

KRZYSZTOF  
STANOWSKI



# STAN FUTBOLU

TAJEMNICE BOISKA, SZATNI I PIŁKARSKICH GABINETÓW

Tytuł każdego rozdziału zaczyna się od słowa „dlaczego”. Taka konwencja pozwoliła mi poruszyć maksymalnie dużo zagadnień i opowiedzieć tyle historii, abyście nie poczuli się zawiedzeni. Mam głębokie przekonanie, że w niemal każdym rozdziale ujawniam przynajmniej jeden fakt, o którym nikt do tej pory nie miał pojęcia, wliczając moich licznych znajomych z branży. Kiedy więc zakończycie lekturę, może nie będziecie mądrzejsi (na pewno nie), ale lepiej poinformowani – jak najbardziej.

Dowiecie się, jaki jest naprawdę stan naszego futbolu.



STAN FUTBOLU  
Tajemnice boiska, szatni  
i piłkarskich gabinetów



Krzysztof Stanowski  
Warszawa 2016

# Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Dedykacja

Dlaczego napisałem tę książkę?

Dlaczego zaimponował mi Zbigniew Boniek?

Dlaczego Adam Nawałka został selekcjonerem reprezentacji Polski?

Dlaczego Ryszard Forbrich zatrzęsł całą polską ligą?

Dlaczego Franciszek Smuda musiał ponieść klęskę?

Dlaczego polscy trenerzy nie pracują za granicą?

Dlaczego z polską piłką nożną będzie coraz gorzej?

Dlaczego piłkarze wcale nie są bogaci?

Dlaczego piłkarze nie są lojalni?

Dlaczego nikt nie lubi menedżerów?

Dlaczego nie lubię Cezarego Kucharskiego?

Dlaczego uważam Kazimierza Grenia za wariata?

Dlaczego Tomaszewski przypomina kobietę w ciąży?

Dlaczego Listkiewicz trzymał Beenhakkera za kolano?

Dlaczego nie warto zostać dziennikarzem sportowym?

Dlaczego warto być dziennikarzem sportowym?

Dlaczego dziennikarze sportowi są lepsi od politycznych?

Dlaczego to już koniec?

Okładka

Copyright © Krzysztof Stanowski, Czerwone i Czarne

Projekt okładki  
Cezary Ołdak

Zdjęcia  
Piotr Kucza

Redaktor prowadząca  
Katarzyna Litwińczuk

Korekta  
Mirosława Jasińska-Nowacka, Piotr Łukasik

Skład  
Tomasz Erbel

**Wydawca**  
**Czerwone i Czarne Sp. z o.o. S.K.A.**  
**Rynek Starego Miasta 5/7 m. 5**  
**00-272 Warszawa**

Wyłączny dystrybutor  
Firma Księgarska Olesiejuk Sp. z o.o. sp. j.  
ul. Poznańska 91  
05-850 Ożarów Mazowiecki  
[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)



ISBN 978-83-7700-233-9

Warszawa 2016

Skład wersji elektronicznej  
[pan@drewnianyrower.com](mailto:pan@drewnianyrower.com)

# Dedykacja



**T**ak naprawdę nie wiem, co mnie tknęło. W lutym po ciężkiej chorobie zmarł tata, świat znacznie poszarzał, trzeba było wylać wiadro łez i nie przespać kilku nocy. A w marcu... W marcu usiadłem do komputera i napisałem list do redakcji „Przeglądu Sportowego”. Naiwny, dziecięcy. O tym, że chciałybym zostać dziennikarzem. Może pomyślałem wtedy, że tata byłby dumny, gdyby mi się udało? Że patrząc tam z góry – uśmiechnie się?

Odpisał Michał Rosiak, chyba jedyna osoba w „PS”, która potrafiła wtedy obsługiwać pocztę elektroniczną. O dziwo „Rosiu” nie napisał tego, co powinno się napisać w takiej sytuacji: „Zgłoś się za kilka lat”. Nie. On – cóż za głupota! – zaprosił mnie, 14-latka z ósmej klasy szkoły podstawowej, do redakcji. A ja już z niej nigdy nie wyszedłem. W redakcji dorosłem, poznałem życie, zdobyłem zawód, który wykonuję do dziś.

Od marca 1997 r. do dziś. Prawie dwadzieścia lat.

To duży bagaż doświadczeń, zwłaszcza że zazwyczaj działałem w pierwszej linii, między ludźmi, obserwując najważniejsze wydarzenia z bardzo bliska. Postanowiłem, że w tej książce przedstawię wam polską piłkę taką, jaką ją widzę. Odpowiem na pytania, które być może czasami sobie zadawaliście. Oprowadzę was za rączkę po gabinetach, szatniach, redakcjach. Poznam was z ludźmi. Wszystko będzie bardzo subiektywne, nacechowane moimi emocjami i moimi wspomnieniami. O piłce, ale i o mnie, bo te dwa światy się zawsze przenikały.

Dedykuję tę książkę mojemu tacie, który zabierał mnie na mecze, a gdy już sam nie mógł tego robić – kazał mojej siostrze



się wyręczać. Nigdy nawet się nie dowiedział, że zaprogramował mi przyszłość. Dedykuję mojej mamie, która trąbieniem o 23.30 dawała znać, że już czeka pod redakcją i że mam schodzić, bo jutro szkoła. Dedykuję także Michałowi Rosiakowi, który miał kaprys, aby mi odpisać, czemu nieprzerwanie dziwię się do dziś.



**Dlaczego napisałem tę książkę?**



**T**ytuł każdego kolejnego rozdziału będzie zaczynał się od słowa „dlaczego”. Taka konwencja pozwoli mi poruszyć maksymalnie dużo zagadnień i opowiedzieć tyle historii, abyście nie poczuli się zawiedzeni. Mam głębokie przekonanie, że w niemal każdym rozdziale ujawnię przynajmniej jeden fakt, o którym nikt do tej pory nie miał pojęcia, wliczając moich licznych znajomych z branży. Kiedy więc zakończycie lekturę, może nie będziecie mądrzejsi (na pewno nie), ale lepiej poinformowani jak najbardziej.

Zapewne wiele osób, które sięgną po tę książkę, zada sobie pytanie, kim ja w ogóle jestem? Najkrócej będzie odpowiedzieć, że od blisko 20 lat dziennikarzem sportowym, chociaż po drodze parąłem się też innymi działalnościami, biznesem – np. reprezentowałem potężne firmy bukmacherskie w Polsce. Jako dziennikarz pracowałem dla „Przeglądu Sportowego”, „Naszej Legii”, „Super Expressu”, „Dziennika”, „Magazynu Futbol”, publikowałem teksty w „Polityce”, „Wprost” i paru jeszcze tygodnikach i miesięcznikach. Założyłem też stronę Weszlo.com, która odcisnęła spore piętno na polskim futbolu. Relacjonowałem mistrzostwa świata i Europy w piłce nożnej, w tym – w wieku 19 lat – finał MŚ z Japonii, co być może stanowi jakiś światowy rekord rekordów. Zarządzałem działami czy bywałem redaktorem naczelnym.

Wierni czytelnicy często zachęcali: napisz o sobie, o dziennikarstwie, o tej całej drodze, którą przeszedłeś. Uważam, że nie byłoby to zbyt ciekawe. Za to jeśli przyrządzić koktajl... Jeśli wymieszać mój życiorys z życiorysami licznych postaci polskiej piłki, wpleść wydarzenia, anegdoty, połączyć świat futbolu i świat dziennikarzy, zajrzeć do szatni, ale też do

redakcji, później odpowiednio wstrząsnąć – o, to wtedy może i dałoby się to przełknąć. Może nawet zaszumiałyby w głowie.

Dlaczego więc napisałem tę książkę?

Ponieważ uważam, że mam sporo wiedzy, którą mogę się z wami podzielić. Pamięć coraz słabsza, przeszłość umyka mi z głowy w zawrotnym tempie. Jak nie teraz – to nigdy. No i dla forsy, to jasne. Mam na koncie trzy inne pozycje – „Kowal – prawdziwa historia”, „Spalony”, „Szamo” – gdzie z grubsza występowałem w roli ghostwritera. Z grubsza, bo z Grześkiem Szamotulskim znaleźmy się jak łyse konie i po prostu siadłem do komputera, w trzy tygodnie wystukałem całą książkę – złożoną z anegdot przeżytych albo przez niego, albo przeze mnie – i dałem mu przeczytać. W sumie teraz trochę żałuję, bo z wielu historii się wystrzelałem, a mogłyby zostać na tę okazję... Ale spokojnie, magazyn ciągle dostatecznie zaopatrzony.

W każdym razie z moich obserwacji wynika, że książki pisze się z dwóch powodów – albo z próżności, albo dla pieniędzy (czasami te dwa powody występują razem). Nie potrafię wskazać ani jednej piłkarskiej pozycji, której nie obejmowałaby ta teoria. Mogą was mamić, że chodziło o jakiś wyższy cel, o ideę, ale to gówno prawda: sprzedaż książek niewiele różni się od sprzedaży bułek – a piekarz nie piecze po to, by nakarmić ludzi, tylko po to, aby kupić lepszą brykę albo opłacić szkołę dziecku. Ale jedną z cech wspólnych jest to, że na dłuższą metę przeżyje tylko ten piekarz, który piecze naprawdę dobre bułki. Pisanie na siłę, na ilość, pisanie wyłącznie dla hajsu, a bez odpowiedniego pomysłu, bez tematu, bez pasji – to droga donikąd. Nie martwcie się więc, to uczciwy deal – nie chcę was wydoić, tylko sprzedać informacje.

Cieszę się, że mogę stworzyć coś od A do Z własnego. Oczywiście każda poprzednia książka, każde słowo, każdy przecinek, cała struktura, narracja – to wszystko było moje, ale jednak punkt wyjścia stanowiło życie opowiedziane mi przez

inne osoby. Bywało to fascynujące, jak fascynujące były przygody moich rozmówców, ale bywało też porażające – jak rozdział o próbach samobójczych Andrzeja Iwana, gdy w paru zdaniach opowiedział mi o podcinaniu żył i truciu się, a ja potem musiałem z tego stworzyć rozdział: i tak bardzo wyobrażałem sobie, co czuł, jak znikał, jak ulatywał, tak się wkręcałem w te jego stany, że aż umysł odmawiał mi posłuszeństwa i zasysała mnie nicość. Teraz nie muszę wędrować po cudzych koszmarach. Siadam i piszę. To wielka ulga.

Podczas pracy na tą książką poza jednym wyjątkiem celowo nie przeczesywałem starych gazet, nie spotykałem się z dawno niewidzianymi znajomymi, nie prosiłem nikogo o jakiegokolwiek wypowiedzi i komentarze (zwłaszcza że mógłbym usłyszeć tradycyjne: „Ale weź o tym nie pisz”). Po prostu wyjechałem daleko i napisałem to, co pamiętałem. Jeśli czegoś nie pamiętałem – widocznie nie było to dostatecznie ważne. Zawarłem opinie na temat ludzi, które są aktualne w tym momencie: w grudniu 2015 r. Kiedyś mogłem ich postrzegać inaczej, a i w przyszłości pewnie się to zmieni. Czasami używałem fragmentów swoich starych tekstów, jeśli pasowały mi do koncepcji – ale niezbyt często.

Dlaczego? To słowo będzie się przewijało aż do ostatniej strony. Zapraszam do moich pytań i moich odpowiedzi. Za kilkaset stron będziemy znać się znacznie lepiej.



**Dlaczego zaimponował mi Zbigniew  
Boniek?**



**O**d kogo innego można byłoby zacząć tę książkę, jeśli nie od Zbigniewa Bońka – najważniejszej postaci w historii polskiej piłki nożnej? Jedynej osoby, która była piłkarzem reprezentacji Polski (i to jakim!), selekcjonerem oraz prezesem PZPN. Ale tytułowe pytanie nie odnosi się do tych osiągnięć, lecz do sytuacji zupełnie innej. Już tłumaczę...

Zdecydowana większość posad w PZPN jest niewarta uwagi i atrakcyjna jedynie dla ludzi, którzy naprawdę nie mają pomysłu na życie. To znaczy można tu i tam w administracji związku skasować pięć albo siedem tysięcy złotych miesięcznie, ale powiedzmy sobie szczerze: nie są to pieniądze, o których śni się po nocach.

Są jednak dwie posady, które faktycznie elektryzują działaczy z całej Polski: prezes PZPN i sekretarz generalny. Pierwszy – o ile zarobków się nie zrzeknie – zgarnia 50 000 złotych miesięcznie, natomiast sekretarz grubo powyżej 30 000 plus premie (do tego wszystkiego dochodzą inne przywileje – jak luksusowe służbowe auto czy budżet reprezentacyjny). W atmosferze wyborów jest to więc karta, którą można grać: poprzyj mnie, zorganizuj mi dwadzieścia głosów, a zrobię cię sekretarzem. Trudno o lepszą zachętę. W zasadzie każdy, kto wspiera kandydata na prezesa związku, ma cichą nadzieję, że przypadnie mu ta fucha. O ile stołek prezesa dostępny jest dla naprawdę nielicznych i zdecydowana większość osób zdaje sobie sprawę z własnych ograniczeń, o tyle wszystkim się wydaje, że w fotelu sekretarza siedziałoby się im znakomicie i że mają ku temu kompetencje.

W czasie wyborów w 2012 roku zrozumiałem, jak bardzo osobą godną zaufania jest Zbigniew Boniek. Zaimponował mi

wtedy nieprawdopodobnie, w zasadzie nie potrzebuję żadnych więcej dowodów na jego dobrą wolę. Pozwólcie, że opowiem tę dość długą historię...

Tak naprawdę poznaliśmy się może z półtora roku przed wyborami. To znaczy pamiętam dwa wcześniejsze nieistotne zawodowe kontakty, jeszcze jakby w innej epoce. Pierwszy – gdy w redakcji „Przeglądu Sportowego” kazano mi zadać mu pytania od czytelników. Jak to zwykle bywa, w rzeczywistości dziennikarze poupychali tam pytania, których nie mieli odwagi zadać, i podpisali się jako Marian z Rzeszowa albo Tadeusz z Gdyni. Gdy pytałem Bońka o kolejne zagadnienia, które niby interesują naszych czytelników, w pewnym momencie nie wytrzymał. Zacytowałem: „Pyta pan Marian. Czy to prawda, że łączą pana interesy z właścicielem hotelu Victoria i to dlatego reprezentacja tam nocuje?”. Wtedy Boniek stwierdził, że to jakieś kpiny i że czytelnicy nigdy by takich głupich pytań nie zadawali. Miał rację – w rzeczywistości było to pytanie red. Jacka Kmiecika, który wszędzie wietrzył spiski, w 99 procentach przypadków kompletnie bezpodstawnie. Drugi kontakt: gdy Grzegorz Szamotulski w wywiadzie mi udzielonym zrezygnował z gry w reprezentacji prowadzonej przez Bońka. W korytarzu na stadionie Legii Boniek mnie zauważył – zdziwiłem się, że w ogóle wie, kim jestem – i powiedział, że podpuszczam piłkarzy przeciwko niemu i że to wszystko moja wina. Gdyby tylko wiedział, ile czasu próbowałem przekonać „Szamo”, aby zachował klasę i pojechał na zgrupowanie, zwłaszcza że wzywa go tam nie byle kto...

Powiedzmy sobie szczerze – nie był to najlepszy wstęp do znajomości. Na dwa podejścia dwa spalone.

Jednak jakoś na początku 2011 roku wraz z liczną rodziną – żoną, teściami, wujkami, generalnie duża to była eskapada – pojechaliśmy do Rzymu. Uznałem, że to może być dobry moment, by w końcu umówić się z Bońkiem i zrobić z nim duży



wywiad. Spotkaliśmy się w jego biurze, pięknie położonym, niedaleko Villi Borghese. Szybko złapaliśmy dość dobry kontakt, Boniek ku mojemu zdziwieniu nie okazał się ani osobą wyniosłą, ani niedostępną – jak go wcześniej mylnie postrzegałem. Wystarczy wspomnieć, że po godzinie albo dwóch pokazywał mi zdjęcia swoich koni. Efektem wizyty był bardzo długi wywiad, puszczony w częściach na portalu Weszlo.com.

Wtedy w końcu się naprawdę poznaliśmy, zdaje mi się, że Boniek doceniał wiele z moich tekstów, często się z nimi zgadzał i podobnie postrzegał środowisko piłkarskie w Polsce. Z czasem więc rozmawialiśmy coraz częściej i częściej i w zasadzie byłem świadkiem momentu, w którym podjął decyzję, aby startować na prezesa PZPN. W czasie kampanii często wymienialiśmy spostrzeżenia, czego w ogóle się nie wstydzę, bo uważałem i uważam, że Boniek jako prezes to najlepsze, co mogło się tej instytucji trafić (a Grzegorz Lato – najgorsze). A jeśli ktoś twierdzi, że jako dziennikarz nie powinienem takich zdań wygłaszać i stawać po czyjejś stronie, to rozumiem, szanuję, przyjmuję do wiadomości, ale dość miałem biernego przyglądania się, jak prezesura trafia w byle jakie ręce, a nasz futbol gnuśnieje.

I teraz odpowiadam na pytanie – z jakiego powodu uznałem Bońka za osobę absolutnie godną zaufania?

Jednego dnia zadał mi pytanie: – Stano? A jak wygram, to kogo wziąć na wiceprezesa ds. zagranicznych? Kojarzysz kogoś?

Na pewno nie zadał tego pytania tylko mnie, ale wielu innym osobom. Boniek tak działa – lubi rzucić hasło i zebrać opinie to z lewa, to z prawa. Wybiera sobie te, które wydają mu się najrozsądniejsze. A gdy zdecyduje się na jedną, będzie jej bronił do upadłego.

Czując dużą odpowiedzialność, zacząłem kombinować. Przez cały dzień analizowałem, któż mógłby w tej roli się

sprawdzić. Nie tyle chciałem na to stanowisko wsadzić kogoś swojego, ile bałem się kompromitacji – bo najgorzej, gdy poważna osoba zada poważne pytanie, a ty odpowiesz w sposób, który cię dyskwalifikuje. Po intensywnej analizie zapisałem sobie na kartce kilka nazwisk. Na pewno wymieniłem Marka Koźmińskiego (później faktycznie został wiceprezesem ds. zagranicznych, ale moim zdaniem to nie miało najmniejszego związku z moją rozmową z Bońkiem, prędzej widziałbym tu wpływ Mateusza Borka), Dariusza Gęsiora, kogoś jeszcze... No i stwierdziłem: – Mam ostatniego gościa, ale pan o nim nigdy nie słyszał.

– Kto to jest?

– Nie wiem, jak to ująć... Nazywa się Maciej Sawicki. To były piłkarz, pasjonat futbolu. Skończył karierę i postawił na edukację. Dobrze sobie radzi w biznesie, zna języki. Ufam mu. Porządny człowiek.

– Nie znam. Ale się poznam. Skontaktuj mnie z nim, jeśli możesz.

Macieja Sawickiego poznałem jako zawodnika Legii, bardzo szybko się zakolegowaliśmy. Jeździliśmy razem na mecze, w których nie mógł grać, odwiedzałem go w Olsztynie, gdy przeniósł się do Stomilu. Kontakt urwał się około 2002 roku, gdy zaprosił mnie na ślub, a ja nie mogłem się zjawić, bo akurat byłem w Korei i Japonii na mistrzostwach świata. Później on oddalił się od futbolu (był na tyle rozsądny, by zorientować się, że z kopania na średnim poziomie życia sobie nie zabezpieczy), ja zająłem się swoją robotą i jakoś każdy poszedł w swoją stronę.

Traktuję jednak Sawickiego jako przyjaciela. Po dziesięciu latach zadzwoniłem do firmy Dajar, w której pracował na wysokim stanowisku. W biznesie radził sobie doskonale. Początkowo sekretarka nie chciała mnie połączyć, ale w końcu kazałem jej przekazać, że dzwoni dawny znajomy, Krzysztof

Stanowski. Po chwili po drugiej stronie słuchawki usłyszałem znany mi głos i nagle było tak, jak byśmy nie mieli kontaktu tydzień, a nie dziesięć lat. Są takie znajomości, w których upływ czasu nie ma znaczenia – i to jest jedna z nich.

Maćka pamiętałem jako osobę niesamowicie serdeczną, pracowitą, uczciwą i lojalną. Gdybym miał w walizce milion dolarów i nie wiedział, komu dać na przechowanie – dałbym jemu. Śledziłem jego losy – wiedziałem, że skończył studia MBA i że później „poprawił” jeszcze rocznymi studiami w Harvard Business School (co kosztowało ok. 40 000 dolarów). To jedna z takich osób, za które dajesz sobie rękę uciąć i po 20 latach dalej tę rękę masz.

Spytałem go wtedy: – Czy nie chciałbyś wrócić do piłki?

– Ale jako kto? – zdziwił się.

– Jako wiceprezes przy Zbigniewie Bońku.

Zdaje mi się, że niemal słyszałem, jak spada z krzesła. Pogadaliśmy dziesięć minut i umówiliśmy się, że przekażę jego telefon Bońkowi. Obaj spotkali się na kawie w hotelu Sheraton. Późniejszy prezes PZPN powiedział mi tego samego dnia wieczorem: – Ten Sawicki, Sawicki... To porządny chłop jest. Wiesz co, ja oceniam ludzi intuicyjnie. Albo mi intuicja podpowiada, żeby się trzymać z daleka, albo w to wchodzę, dopóki się nie sparzę. Ale wiesz co... Ja go nie będę robił wiceprezesem. On powinien być sekretarzem generalnym.

Aż mi oczy wyszły na wierzch. Byłem przekonany, że Boniek posadę sekretarza przehandluje za głosy jednemu z baronów albo innej osobie, która pozwoli mu wygrać wybory. To normalna praktyka. On tymczasem uznał, że powierzy ją komuś, kogo w zasadzie nie znał, a kto po prostu zrobił na nim wrażenie całkowicie kompetentnego. Wtedy w stu procentach zrozumiałem, że to nie jest zwykły działacz, który chce wygrać wybory, bo ma taką fanaberię, ale jest to ktoś naprawdę

nieuwikłany w jakiegokolwiek układy, będący w stanie działać niezależnie.

Do momentu rozstrzygnięcia wyborów nikomu o Sawickim nie mówiłem. Byłem pewny, że gdyby ta wiadomość ujrzała światło dzienne, mogłaby Bońkowi zaszkodzić. Zbyt wiele osób ostrzyło sobie zęby na ponad 30 000 złotych miesięcznie (przy czym akurat Sawicki w biznesie zarabiał więcej, ale perspektywa powrotu do futbolu kusila go bardziej niż kasa). Na przykład na samym finiszu kampanii przybłąkał się Kazimierz Greń. To było jak w starym dowcipie: przykleiło się gówno do okrętu i krzyczy „płyniemy”. No więc ten Greń za pięć dwunasta zorientował się, że wygra Boniek, i rzutem na taśmę starał się pokazać (głównie dziennikarzom), że to dzięki niemu, a gdy ogłoszono werdykt, ostentacyjnie wyskoczył z rękoma w górę jak z katapulty. Gdyby jednak ów Greń wiedział, że jest jakiś Sawicki, który ma być sekretarzem... Oj, gotów byłby zawiązać antybońkową opozycję last minute.

Siedziałem cicho i czekałem. Dziesięć minut po wyborze Bońka na prezesa napisałem: „Sekretarzem generalnym PZPN zostanie Maciej Sawicki”. Kto?! Ludzie byli w szoku? Jak to... Sawicki? Ale ten Sawicki, który kiedyś grywał w Legii? Jaki Sawicki? Inne media pisały: Kazimierz Greń, Bogdan Basała, Andrzej Padewski. A ja spokojnie: Sawicki.

„Sawik” był wtedy w służbowej podróży w Chinach i jak na szpilkach czekał na informacje z Polski. Zadzwoiłem, u niego był chyba środek nocy: – Boniek!

W tym momencie Maciej przebukował swój bilet i wrócił do Polski, mimo że lekarz odradzał lot: przyszły sekretarz miał zapalenie ucha. Boniek natomiast zadzwonił do właściciela firmy Dajar, Dariusza Zaremby, i spytał, czy może mu podebrać pracownika. Darek później wspominał, że – mimo iż strata czołowego pracownika go zabolala – odpowiedział: – Panu się

nie odmawia... A sam telefon przyjął jako oznakę dobrych obyczajów.

Kilka miesięcy później Dariusz Zaremba, gdy już się lepiej poznaliśmy, stwierdził: – Powinienem cię zabić za wykradzenie mi Maćka, ale w sumie muszę wam tylko pogratulować. Teraz on będzie miał pracę, o jakiej zawsze marzył. A jak będzie chciał wrócić, drzwi będą otwarte. W PZPN nie będzie pracował wiecznie, a na pewno się jeszcze więcej nauczy.

Tak, Boniek tym jednym wyborem pokazał swoje intencje. Nie zamierzał się układać z działaczami starszej daty, nie zamierzał handlować stanowiskami i zawierać zgniłych kompromisów. Wziął młodego chłopaka znikąd i dał mu klucze do związku. Zrobił go osobą numer dwa w PZPN, nie bacząc na krzywe spojrzenia wszystkich wokół. I wydaje mi się, że tego ruchu nigdy nie żałował, bo Sawicki całkowicie zreorganizował związek, zwiększył przychody, zmniejszył wydatki, pozatykał wszystkie dziury i sprawił, że dzisiaj to jest po prostu dobrze prosperująca korporacja, a nie prząsna firemka rodzinna.

\* \* \*

Przy okazji warto wspomnieć o jeszcze jednej sytuacji związanej z budowaniem nowego związku. Zabawnej.

Zanim zdecydowano, że odpowiedzialnym za kontakty z mediami będzie Janusz Basałaj, pierwszym kandydatem był Piotr Koźmiński, dziennikarz „Super Expressu”, który ma tę nietypową w środowisku cechę, że wszyscy go lubią i on lubi wszystkich. Boniek i Koźmiński umówili się na kawę w celu omówienia szczegółów.

Pewnego wieczoru, jeszcze zanim się spotkali, prezes PZPN przysłał do Piotrka SMS-a z pytaniem: „Jesteś gotowy?”. Piotrek w ogóle nie odpisał, ponieważ wcześniej zawsze z Bońkiem zwracali się do siebie per pan. Forma wiadomości więc

go zaskoczyła i uznał, że po raz kolejny... pomyłono go z Markiem Koźmińskim. To się zdarzało dość często – Piotr a to odbierał telefony od ludzi, którzy chcieli skontaktować się z byłym piłkarzem o tym samym nazwisku, a to dochodziły do niego SMS-y przeznaczone dla Marka.

Piotr Koźmiński zignorował więc SMS-a i... przepadła mu atrakcyjna robota. Boniek następnego dnia powiedział mi: – Ten Piotrek Koźmiński jakiś dziwny, nie odpisuje na wiadomości.

\* \* \*

Jaki jest więc Zbigniew Boniek? Gdyby z całego słownika należało wybrać jedno słowo, które go najlepiej charakteryzuje, postawiłbym na „charyzmatyczny”. Typowy samiec alfa. Wchodzi do pomieszczenia i po minucie zaczyna dominować. Bez względu na towarzystwo rozdaje karty. Prawdopodobnie to w dużej mierze było składową jego niesamowitych sukcesów sportowych.

W ostatnim czasie pojawia się sporo pytań, czy to aby nie Robert Lewandowski jest najlepszym piłkarzem w historii Polski. Takie tezy z wielką śmiałością stawiają zwłaszcza osoby młode. Trzeba jednak pamiętać, że „Zibi” ma na półce i Puchar Mistrzów, i medal mistrzostw świata, jakichś tam „podrzędnych” superpucharów Europy nie licząc. Ale tak naprawdę nie trofea uznałbym za największy wyznacznik tego, ile osiągnął. Ważniejsza wydaje mi się specyfika futbolu, w jakiej funkcjonował. Mało kto już pamięta, że w tamtych czasach w lidze włoskiej w każdym zespole mogło występować tylko dwóch obcokrajowców. Napoli miało Maradonę i Carecę, a Juventus – najlepszy klub świata – Platinię i Bońka. Miesiąc w miesiąc ktoś władzom klubu z Turynu podsyłał propozycje: może weźcie tego piłkarza, może tamtego. A jednak Juventus – gigant absolutny – ani myślał rozbijać zgrany duet. Uznano, że

niczego lepszego niż dwójka Platini – Boniek ówczesny futbol nie proponuje.

I to jest dla mnie naprawdę mocny argument za tym, kto był najlepszym piłkarzem w historii. O ile nie uważam, by Lewandowski miał tak mocny wpływ na Bayern, jak Boniek na Juventus, o tyle w ogóle nie wyobrażam sobie, że dziś najlepszy klub świata (dajmy na to – Barcelona) przez tyle lat utrzymywałby „Lewego” jako jednego z dwóch jedyńskich obcokrajowców.

O, przyszła mi do głowy historyjka, którą dedykuję młodszemu kibicom... Pamiętam jedną z rozmów z Bońkiem. Rozmawialiśmy właśnie o Barcelonie, której jestem kibicem. Powiedział wtedy: – A wiesz, że mogłem grać w Barcelonie?

– Naprawdę? – spytałem kurtuazyjnie i czekałem na dalszy ciąg.

– Tak. Helenio Herrera siedział u mnie w kuchni w mieszkaniu przy ulicy Mickiewicza (tu mogła paść zupełnie inna nazwa ulicy, po prostu już nie pamiętam) i namawiał na transfer. Ale w tamtych czasach Barcelona to było tak naprawdę nic. Liczyła się liga włoska. Najlepsi piłkarze świata grali w Serie A.

Helenio Herrera – jeden z najsłynniejszych trenerów w historii futbolu – w kuchni, gdzieś w łódzkim blokowisku. Przekonuje Polaka do Barcelony, a ten nie wyraża zainteresowania. Niesłychane, co?

Boniek wstaje wcześniej i dzień zaczyna od czytania gazet oraz przeglądania portali. Wśród nich oczywiście Weszlo.com. Kiedyś dzwoni do mnie i pyta: – Co ten Zarzeczny napisał?

– Ale co? – spytałem, bo jeszcze nie zapoznałem się z najnowszym felietonem Pawła.

– Napisał, że byłem drewniakiem! Wiesz co, Stano? Przekaż mu... Przekaż mu...

Już myślałem, że padną jakieś wulgarne słowa, a tymczasem Boniek poczęstował mnie pyszną anegdotą.

– Przekaż mu, że kiedyś Rai 1 zorganizowało program. Z każdej drużyny jeden piłkarz. Mieliśmy stać w położonym na ziemi hula-hoop i żonglować. Komu spadnie na ziemię piłka lub kto wyjdzie poza hula-hoop, ten odpada. No i było tak... Jestem ja z Juventusu, obok mnie Diego Maradona z Napoli, jeszcze dalej Karl-Heinz Rummenigge z Interu. Tak stoimy i podbijamy. Pięć minut, dziesięć, piętnaście. Kolejni odpadają... I wiesz co?

– Co?

– No i, kurwa, wygrałem fiata 500!

Boniek jest kopalnią anegdot. Wystarczy dać mu dziesięć minut i rozpędzi się do prędkości kosmicznej. Ma niespotykaną zdolność puentowania i kojarzenia faktów. Tak jak kiedyś na boisku, tak i teraz w rozmowie jest zadziorny. Lubi szpilki, rywalizację, kocha szermierkę słowną. Na Twitterze często prowokuje nieprzychylnych mu dziennikarzy i jak sam mówi: to dla draki, żeby się coś działo, żeby wszyscy byli pod prądem. – Mnie zaczepiają od trzydziestu lat i jakoś żyję. Niech i oni poczują presję – mówi. Nie lubił, gdy mecze toczyły się w sennym tempie, i nie lubi też teraz, kiedy życie nie przynosi mu dodatkowych bodźców i nagłych zwrotów akcji.

O Bońku trzeba wiedzieć jedno – on wszystkich zna. Przy czym słowo „wszystkich” nie oznacza „niektórych” albo „większość” tylko po prostu wszystkich. Nie obnosi się z tym, nie szpanuje, nie opowiada w prasie, jakie ma kontakty i czy akurat jadł kolację z premierem. Po prostu wymienisz dowolne nazwisko, niekoniecznie ze świata futbolu – znajomy, kolega albo przyjaciel. Grali w golfa miesiąc temu, jedli obiad w zeszły piątek w Paryżu albo rozmawiali wczoraj przez telefon. Kiedyś udzielił wywiadu, w którym zadano mu pytanie, kiedy po raz pierwszy poczuł, że naprawdę jest znany. Odpowiedział, że było to w czasach, gdy występował we Włoszech i przyleciała do



niego rodzina. Bliscy zapragnęli spotkać się z papieżem. Boniek – czując całą niezręczność sytuacji – zadzwonił gdzie trzeba i okazało się, że Jan Paweł II bardzo chętnie przyjmie całą rodzinę na specjalnej audiencji.

Nie tak dawno z kolei moja żona złapała fazę na słuchanie starych włoskich przebojów, głównie duetu Al Bano i Romina Power. – Ciekawe, czy Boniek ich zna – zastanowiła się kiedyś. No to spytałem go i jak zawsze odpowiedzią mnie rozłożył: – Tylko Al Bano, Rominy nie.

Obecnie Boniek jest członkiem futbolowego establishmentu. O ile wedle najnowszej teorii od dowolnej osoby na świecie jesteśmy oddaleni o cztery pozycje (czyli na Facebooku znamy kogoś, kto zna kogoś, kto zna kogoś, kto zna Baracka Obamę), o tyle w przypadku ZB sprawy mają się znacznie prościej. Przykład? Podczas jednego ze zgrupowań kadry pojawiły się plotki, że Bartosz Salamon przechodzi do AC Milan. Jeden z dziennikarzy całkiem rozsądnie uznał, że najlepiej byłoby o to spytać Bońka. No to podszedł i spytał.

– Do AC Milan, tak? Salamon? A nic nie wiem, zaraz sprawdzę – odparł prezes PZPN.

Wyciągnął telefon, wybrał numer Adriano Gallianiego, czyli najważniejszego działacza mediolańskiego klubu, po czym po krótkiej rozmowie się rozłączył i poinformował: – Tak, to prawda. Jutro podpisze kontrakt.

I jeszcze jedna historyjka. Akurat spotkaliśmy się w hotelu Radisson w Warszawie. Pamiętam dobrze, że Boniek zamówił tatarę i kelner przyniósł do podpisania dokument z zastrzeżeniem, że... klient zje tatarę z surowym żółtkiem na własną odpowiedzialność. Podobno takie przepisy. Obu nas to zdziwiło.

W każdym razie powiedziałem mu wtedy, że PZPN – prezesem był jeszcze Grzegorz Lato – usunął orzełka z koszulek kadry i że teraz zamiast niego będzie jakiś niby nowoczesny

logotyp, zwany pogardliwie „obierkami”. Boniek nie mógł w to uwierzyć i kilka razy musiałem mu tłumaczyć, co naprawdę się wydarzyło. W końcu sięgnął po telefon. Dzwoni... Ale po drugiej stronie komunikat „abonent czasowo niedostępny”.

– Niech pan nie dzwoni do Odliwańskiego. On już dzisiaj ma taki młyn, że na pewno wyłączył – powiedziałem, wymawiając nazwisko przedstawiciela firmy Nike na Polskę.

– Jakiego Odliwańskiego? – zdziwił się Boniek. – Dzwonię do szefa Nike na Europę.

Nigdy wcześniej nie mieliśmy Polaka, który na piłkarskich salonach znaczyłby tak wiele. To Boniek wywrócił do góry nogami projekt Ligi Narodów, budując wokół siebie całą koalicję, która wpłynęła na jej kształt (Liga Narodów wystartuje w 2018 roku i dzięki niej nasz związek zarobi ogromne pieniądze). Gdyby chciał, już dawno byłby we wszelkich komitetach i innych zarządach, ale nie jest mu to do niczego potrzebne. Ludzie w UEFA – w tym członkowie Komitetu Wykonawczego – mają pełną świadomość, że Boniek jest w stanie jednym telefonem osiągnąć więcej niż oni podczas godzinnych obrad i że takie imprezy jak finał Ligi Europy czy też mistrzostwa U-21 załatwia drogą prywatną, a nie formalną (wnioski są tak naprawdę składane dopiero wtedy, gdy sprawa jest przesądzona). Dlatego nie ma osoby, która się z nim nie liczy. Osobiście w ogóle nie byłbym zdziwiony, gdyby w niedalekiej przyszłości ZB został prezydentem UEFA. W dużej mierze jest to kwestia tylko tego, czy będzie mu się chciało. Nie jest to wcale takie pewne – on swoimi wpływami raczej się nie przechwala, pozostaje dyskretny. Nie jest to cecha osób, które mają wielkie parcie na najwyższe stanowiska.

\* \* \*

Wpływy Bońka w UEFA – niesamowicie rozległe – mają związek przede wszystkim z jego przyjaźnią z Michele Platiniem oraz Giannim Infantino. Obaj odbiorą od niego telefon nawet o trzeciej w nocy, przy czym Infantino niedawno został prezydentem FIFA.

Przede wszystkim znajomość z Platiniem jest kluczowa. Nie odkryję Ameryki, pisząc, że zaprzyjaźnili się w Juventusie. Chyba jednak nie każdy zdaje sobie sprawę, że to po prostu najbliżsi sobie przyjaciele do dnia dzisiejszego, a ich żony najchętniej spędzają czas w swoim towarzystwie (żona Zbigniewa Bońka – Wiesława – to niezwykle urocza osoba). Stwierdzenie, że to w zasadzie rodzina, nie byłoby wielką przesadą. Boniek wskoczy w ogień za Platiniem, a Platini za Bońkiem. Myślę, że mają bardzo podobne charaktery. Jak bardzo podobne – zrozumiałem pewnego dnia, gdy Boniek opowiedział śmieszłą historyjkę.

Wraz z Darkiem Zarembą z firmy Dajar (poznaliście go w tym rozdziale wcześniej) wybraliśmy się do Berlina na finał Ligi Mistrzów. Następnego dnia po meczu Boniek musiał być w Poznaniu i zastanawiał się, jak się tam dostać. Zaproponowaliśmy, że i tak jedziemy przez Poznań do Warszawy, więc go podrzucimy i nie ma sensu, by wzywał kierowcę. W czasie dość krótkiej podróży rozmowa potoczyła się w taki sposób, że „Zibiemu” przypomniała się scenka sprzed lat.

– Po mistrzostwach świata jako Juventus graliśmy towarzyski mecz w Padwie – mówił. Wybaczcie, jeśli coś pomyliłem i to nie była Padwa, ale... chyba nie pomyliłem. Chyba wszystko się zgadza. W każdym razie opowiadał tak: – Juventus to był dream team. Kilku aktualnych mistrzów świata, do tego Platini i ja. Stadion pękał w szwach, trzydzieści tysięcy ludzi. Wygrywamy 5:0 i w ostatniej minucie rzut karny dla nas. Michel ustawia piłkę i... podchodzi do niego bramkarz przeciwnej drużyny.

Mówi: – Michel, cała moja rodzina na trybunach, przyjaciele. Daj obronić.

– Dobrze, rzuć się w prawo – odpowiada Platini.

Trzydzieści sekund później bramkarz rzuca się w prawo, a Platini strzela w lewo. Gol. Po meczu rozgoryczony bramkarz podchodzi do słynnego Francuza i pyta: – Michel, dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego mnie oszukałeś?

A Platini na to: – Czy tobie się wydaje, że ci wszyscy ludzie przyszli tutaj, aby zobaczyć, jak ty bronisz, czy żeby zobaczyć, jak ja strzelam?

Ten tupet i ta ambicja, by wykorzystywać każdą możliwą okazję, to zaśmianie się w twarz naiwnemu przeciwnikowi... Oj tak, to zdecydowanie ich łączy. Są ulepieni z tej samej gliny. Nawet kariery zakończyli w podobny sposób – obaj mieli po 32 lata, kiedy zdecydowali, że nie chce im się dłużej grać. Platini tłumaczy! to następująco: – Mógłbym cofnąć się i grać niczym Pirlo, przed stoperami. Stamtąd rozrzucać piłki. Ale prawda jest taka, że najbardziej lubiłem strzelać gole. I kiedy w sezonie 1986/1987 strzeliłem tylko dwa gole w lidze, to uznałem, że gra w piłkę nie sprawia już mi takiej frajdy... Z kolei Zbigniew Boniek mówił: – I tak wiedziałem, że wszystko co najlepsze w futbolu już za mną. Mógłbym grać dłużej, ale po co? Przecież prędzej czy później i tak musiałbym zakończyć karierę i zająć się innym, nowym życiem. Pójść w biznes, jakoś się zorganizować. I uznałem, że im wcześniej się tym nowym życiem zajmę, tym lepiej sobie poradzę. Grając dłużej, tylko marnowałbym czas.

A na koniec opowiadka dotycząca ich obu. Rozmawiam z Bońkiem przy kawie, nagle przychodzi do niego SMS.

– Michel się pyta, kto wygra w meczu Cracovia – Pogoń – mówi.

– Że co?

– No, pyta się, kto wygra. Robak będzie grał?

– Nie, ale Zwoliński zagra, jest w formie – odpowiadam.

- Co byś typował?
- Remis lub Pogoń.

Mija minuta, znowu SMS.

- Michel pyta, czy remis, czy Pogoń.
- No to Pogoń.

Co się okazało: w UEFA pracownicy w ramach wspólnej zabawy typują mecze, które losuje dla nich komputerowy program. Nagrodą dla zwycięzcy rywalizacji są wspaniałe wakacje. Tamtego dnia Platiniemu system wypłuł spotkanie polskiej ligi. A że każdą zabawę traktuje on poważnie, postanowił poradzić się kogoś, kto zna specyfikę ekstraklasy.

Pogoń wygrała wtedy 1:0 po bramce Zwolińskiego.

\* \* \*

Żyjemy w tak dziwnej medialnej rzeczywistości, że trzeba mieć więcej odwagi, by kogoś chwalić, niż krytykować. To prawdziwy paradoks, zwrot o 180 stopni. Chwaląc, narażasz się na ciągłe uszczypliwości – że wchodzisz w tyłek, że jesteś klakierem, że próbujesz coś ugrać. Znacznie bezpieczniej jest krytykować, nawet bez powodu i głupio, bo wtedy nikt nie zarzuca koniunkturalizmu.

Raz po raz obrywam za to, że po prostu uważam Bońka za bardzo dobrego prezesa PZPN, ale przykro mi, nie mogę kłamać tylko dlatego, iż przez lata walenie w związek stało się sportem narodowym. Nie doceniać rewolucji przeprowadzonej przez obecnego prezesa może tylko osoba z zatrutym umysłem. A że takich osób jest sporo – to już zupełnie inna kwestia. Nie mogę się ugiąć i na żądanie kopać kogoś, kto na to nie zasłużył.

Dziennikarska rzetelność to zdaniem niektórych pisanie, iż coś jest źle. Pisanie, że coś jest dobrze, jest podobno nierzetelne. Nie wiem, inaczej postrzegam to pojęcie. I dlatego z czystym sumieniem piszę: jeszcze nigdy PZPN nie działał tak

sprawnie. Boniek zarządza twardą ręką, ale też zostawia swoim pracownikom swobodę. Kiedy został prezesem, mówił do działaczy: – Wybraliście mnie, ponieważ już wam było wstyd wyjść na ulicę... Dzisiaj PZPN nie kojarzy się z totalnym obciachem, tylko z coraz bardziej pozytywną firmą, z uśmiechniętymi piłkarzami, z fantastycznymi filmikami, marketingiem i z prezesem, z którym większość kibiców chciałaby pstryknąć sobie fotkę. Sponsorzy do takiego związku lgną, a kondycja finansowa nigdy nie była lepsza.

Punkt wyjścia był przecież zupełnie inny. Gdy Boniek wraz z Sawickim po raz pierwszy wkroczyli do związku, z szaf wypadały kolejne trupy, kolejne niekorzystne umowy, pieniądze wyciekały każdą dziurą. Przez pierwsze miesiące sekretarz generalny nie wychodził z gabinetu, tylko całymi dniami czytał dokumenty i łapał się za głowę. Później opowiadał: – Stworzyliśmy nową strukturę organizacyjną, powołaliśmy nowe departamenty, daliśmy każdemu z dyrektorów decyzyjność w ramach powierzonych mu departamentów, odmłodziliśmy kadrę zarządzającą, zmodyfikowaliśmy regulaminy i wprowadziliśmy jasne procedury. Dokonaliśmy bardzo radykalnych zmian, w tym te najbardziej wrażliwie dotyczące wymiany kadr. To była rewolucja, nie ewolucja. Musieliśmy się pożegnać z blisko połową pracowników, restrukturyzacja była rozłożona w czasie, tak aby nie wpaść w zwolnienia grupowe. To był przemyślany plan, który konsekwentnie egzekwowaliśmy. Mieliśmy wizję tego, jak PZPN ma docelowo wyglądać, a jedynym kryterium doboru pracowników były kompetencje. Dziś zbieramy tego pozytywne efekty. Mam nadzieję, że już nigdy więcej w PZPN nikt nie będzie musiał leczyć skutków choroby wynikających z różnych patologii, prowadzących do przerostu zatrudnienia lub braku kompetencji u pracowników. Gdybym dzisiaj przychodził

do PZPN, to zrobiłbym dokładnie to samo, z jednym wyjątkiem: pewne osoby zwolniłbym dużo szybciej.

I dalej: – Kiedy zorientowałem się, ile PZPN wydawał na różnego rodzaju delegacje i podróże, złapałem się za głowę. W 2012 roku ponad 5 milionów złotych na same hotele. Można by powiedzieć, że było Euro 2012 i tak dalej. Okazało się, że przez zwykłe negocjacje z tymi hotelami i podpisanie rocznych kontraktów z ustalonymi z góry stawkami zaoszczędziłem w skali roku ponad 700 tysięcy złotych, mimo że przebywaliśmy w tych samych miejscach i nie obniżyliśmy przy tym żadnego standardu! Na różnego rodzaju usługi transportowe (bilety PKP, bilety lotnicze, przewóz osób itp.) poszło kolejne 5 milionów. Do tego dochodziło mnóstwo różnych dziwnych delegacji. Zdarzały się kuriozalne sytuacje, ludzka kreatywność czasami nie miała granic. Trzeba było z tym natychmiast skończyć. Przy pomocy firmy doradczej KPMG przygotowaliśmy i uchwałą zarządu pilnie wdrożyliśmy dokument o nazwie „Polityka podróży służbowych”, który jasno zdefiniował zasady odbywania podróży służbowych i przysługujące delegowanym osobom świadczenia. Nic w sumie wielkiego, ale dało to 2 miliony oszczędności w skali roku.

– Spadła nam liczba delegacji i koszty z tym związane. W tym samym czasie stworzyliśmy komórkę centralnych zakupów i renegotjowaliśmy umowy – kontynuował Sawicki. – Niektóre firmy świadczące nam usługi od wielu lat były bardzo zdziwione, że PZPN wychodzi z taką inicjatywą. Były zaskoczone, że chcemy jakiegokolwiek rabaty, pakiety, preferencyjne stawki, widać, że nie było to chyba w przeszłości praktykowane. Na przykład – kiedyś za samo wystawienie biletu lotniczego międzynarodowego płaciliśmy każdorazowo 50 złotych, a teraz 14 złotych, za bilet krajowy kiedyś 50 złotych, a teraz 10 złotych. Do tego doszły rabaty bezpośrednio w liniach lotniczych. W skali roku i przy liczbie zamawianych przez nas

biletów to kilkaset tysięcy. Kolejne kilkaset tysięcy mniej płacimy za autokary, część tych usług dostajemy w barterze, czyli w zamian za świadczenie usługi marketingowej. Myślę, że łącznie na prostych, podstawowych działaniach administracyjnych w sumie zaoszczędziliśmy około 6–7 milionów złotych w skali roku, z czego 2 miliony na wspomnianej polityce podróży służbowych. Kolejne 2,5 miliona oszczędziliśmy też na organizacji meczów, szczególnie tych związanych z pierwszą reprezentacją. Nie chodzi tu jednak tylko o oszczędności ze stawek za sam najem stadionów na mecze, ale też o koszty cateringu, ochrony i wszelkiego rodzaju usług związanych z meczami. Renegocjowaliśmy też kilka kontraktów informatycznych, co dało kolejne pół miliona. Do tego dochodzą drobiazgi, takie jak: renegocjacja stawek za telefony i obsługę prawną, umowy kurierskie, umowy z pocztą i inne takie. Wszystko zostało zmienione.

PZPN był stajnią Augiasza, a jednak udało się zaprowadzić ład. Czasami trzeba było sporej kreatywności. Na przykład firmie Warbud należało się odszkodowanie za zerwanie irracjonalnej umowy na budowę siedziby związku w Wilanowie (projekt był głupi, drogi, nielogiczny). Dla wszystkich stało się jasne, że prędzej czy później będzie trzeba zapłacić kilka milionów. Co zrobił Sawicki? Porozmawiał z prezesem owej firmy, czy nie chciałaby rozliczyć się barterem – łoża na Stadionie Narodowym w zamian za dług, przy czym i tak zazwyczaj któraś z łoż pozostawała niesprzedana, więc de facto związek wykręcił się, nie wydając (i nie tracąc) ani złotówki.

Dziś PZPN to nie jest już firma rodzinna, czyli taka, w której pracują dzieci znanych działaczy. Nie jest to też firma kojarzona z pijaństwem i obżarstwem. Nie jest to firma, która zarabia po to, by żyło się lepiej znajomym królika. Zyski rosną, rok 2015 był rekordowy, bo na samych biletach osiągnięto przychód w wysokości 37 milionów złotych. Nie byłoby to



możliwe w czasach Grzegorza Laty, kiedy połowę wejściówek rozdawano za darmo działaczom i ich znajomym (a mecz i tak się nie odbył, bo zapomniano zamknąć dach). Jeśli ktoś mi mówi, że nie mogę chwalić Zbigniewa Bońka, to śmieję mu się w twarz.

Oczywiście tak dobrze funkcjonujący związek, posiadający na koncie grubo ponad 100 milionów złotych, z naprawionym wizerunkiem – to prawdziwa gratka. Z tego powodu zaraz pojawią się chętni, by zrzucić Bońka ze stołka i wskoczyć na jego miejsce. Nie wróżę im powodzenia, ale jestem ciekaw, do jakich kroków posuną się w swojej desperacji. Nikt, kto życzy dobrzej polskiej piłce, przeciwko obecnemu prezesowi nie wystąpi, natomiast dobro piłki nie dla każdego (lub dla mało kogo) jest celem nadrzędnym.

Czy może być lepiej? To jasne, ale należałoby zburzyć obecną strukturę polskiej piłki, w której prezesi lokalnych okręgów są ważniejsi niż prezes całego związku. Bo tak w istocie jest – przecież to oni wybierają jego, a nie on ich. I to oni zarządzają – jako członkowie zarządu – PZPN-em, podczas gdy wpływy Bonka (czy też jego poprzednika/następcy) w okręgach są tak naprawdę znikome...



**Dlaczego Adam Nawałka został  
selekcjonerem reprezentacji Polski?**



**M**oment, w którym wybrano Adama Nawałkę na trenera kadry narodowej, miał miejsce znacznie wcześniej, niż wszyscy sądzą. Jakieś dwa lata wcześniej – niestety nie podam dokładnej daty, bo tekstu już w internecie nie ma – Andrzej Iwan napisał artykuł dla portalu Weszlo.com o tym, kto powinien zostać selekcjonerem i dlaczego najlepszy wybór to Adam Nawałka. Argumentacja była naprawdę solidna i po prostu wszystko trzymało się kupy. Wtedy jednak PZPN wybrał Waldemara Fornalika – co nie okazało się dobrym posunięciem.

Jak już pisałem wcześniej, Zbigniew Boniek jest osobą, która lubi słuchać ludzi, otwartą na sugestie i podpowiedzi. Oczywiście wszystkie uwagi starannie selekcjonuje, analizuje, przepuszcza przez sito, ale nie jest kimś, kto uparcie tkwi tylko przy własnych ideach. Nie należy tego rozumieć tak, iż Bońkiem można manipulować, bo to nieprawda. Na sam koniec to on podejmuje taką decyzję, jaką uzna za najlepszą. Wtedy, po tekście Andrzeja Iwana, zadzwonił i powiedział: – A wiesz, że ten pomysł z Nawałką to nie jest zły? Andrzej to mądry chłop, ma swoje racje.

Mówił to wówczas Boniek jako... No, nie chciałbym napisać, że jako zwykły kibic czy mieszkaniec Rzymu (trudno taką postać w ten sposób sklasyfikować), ale jako ktoś, kto nie zakładał, że następnego selekcjonera wybierze osobiście.

Na pewno za Nawałką przemawiało to, że jest Polakiem (Boniek wierzy, że trener powinien komunikować się z piłkarzami w tym samym języku i że to znacznie ułatwia pracę), ma twardą rękę, nikt mu nigdy na głowę nie włożył, podglądał pracę z kadrą za czasów Leo Beenhakkera (jako asystent),

dodatkowo jest to osoba inteligentna i stonowana. No i sam był piłkarzem, z reprezentacyjną przeszłością, uczestnikiem mistrzostw świata. Kwestie sympatii czy antypatii nie miały znaczenia: wielu dziennikarzy pisało, że po prostu prezes dał pracę przyjacielowi, a to kompletna bzdura. Przez bardzo długie lata obaj panowie w zasadzie nie mieli kontaktu.

Andrzej Iwan zasiał więc ziarno, które kiełkowało w głowie Bońka przez kolejne dwa lata. A kiedy już „Zibi” został prezesem PZPN, idea z Nawałką jako trenerem stała się zdecydowanie tą wiodącą. Czasami gdy widzę Iwana, gratuluje mu wyboru, a on się wtedy w charakterystyczny dla siebie sposób zawstydzia i mówi: – Nie no, co ty, że niby dzięki mnie? A po kilku sekundach pyta jakby z lekką dumą: – Myślisz?

Co jakiś czas pojawiały się też inne pomysły, ale myślę, że nie było momentu, w którym Nawałka straciłby status lidera wyścigu. Największe zagrożenie stanowił Dariusz Wdowczyk, z którym też prowadzono konkretne rozmowy. Aby media się o nich nie dowiedziały, „Wdowiec” wjeżdżał na podziemny parking w hotelu Sheraton, tam od razu czekała na niego winda, którą udawał się na odpowiednie piętro. Pełna dyskrecja. Jednak Wdowczyk miał sporą wadę – korupcyjną przeszłość. Osobiście nie potrafiłbym sobie wyobrazić, że ktoś taki prowadzi kadrę narodową – to jednak powinien być zaszczyt zarezerwowany dla ludzi tego godnych, najwyższe futbolowe wyróżnienie. Z pewnością gryzło to także Bońka. Nie tyle chodziło mu o sam udział Wdowczyka w ustawianiu meczów, ile o to, jak ludzie podejną do tej nominacji i czy nie wywoła ona wielkiej, nieustannej draki, całkowicie nie do opanowania. Można sobie wyobrazić atmosferę, jaka powstałaby wokół kadry, i wytypować liczne grono dziennikarzy, którzy non stop wypominaliby selekcjonerowi jego haniebne grzechy. To nie byłyby warunki, w których możliwy byłby sukces i normalne funkcjonowanie PZPN.

O ile więc swoim warsztatem czy niekwestionowaną charyzmą Wdowczyk przyciągał, o tyle wiadomo było, iż wygeneruje masę kłopotów. Skoro jednak zapraszano go na rozmowy, to brano pod uwagę, że związek się z nimi upora albo przynajmniej spróbuje.

W tym momencie ciekawostka. Coś, czego nigdy dotąd nie ujawniałem. Najpierw jednak przeczytajcie ten z pozoru niezwiązany ze sprawą fragment książki Andrzeja Iwana i mojej, „Spalony”...

*No to zostały dwa mecze. W przedostatniej kolejce przegraliśmy w Chorzowie 0:2, po sprzedanym meczu.*

*Dobrze przeczytaliście: po sprzedanym meczu.*

*Zwycięstwo dawało Ruchowi utrzymanie. My mieliśmy w ostatniej kolejce mecz z Arką, a to był wygodny przeciwnik, więc szliśmy na pewniaka – wygrana dawała nam tytuł mistrza Polski. Sam w temat handlu nie byłem wprowadzony, ponieważ przebywałem na zgrupowaniu kadry juniorów (zdobyliśmy brązowe medale mistrzostw Europy do lat 18) i ściągnięto mnie na sam mecz. Chyba tylko po to, żeby... ktokolwiek szarpał. Biegałem więc jak głupi i czułem, że cała drużyna ze mnie kpi. Czułem się jak imbecyl. W szatni zrobiłem awanturę. Byłem gówniarzem, 19 lat, ale nie miałem oporów, by skakać do gardła starszyźnie. Wtedy najwidoczniej zapadła decyzja, że trzeba gówniarzowi coś odpalić.*

*Po kilku dniach kolega z drużyny przyniósł mi 60 tysięcy złotych, co było ogromną sumą – miesięcznie zarabiałem 8 tysięcy. Jasna sprawa, że w zespole byli zawodnicy zatrudnieni na kilku etatach i zarabiali nieporównywalnie lepiej, ale 60 tysięcy robiło wrażenie.*

*Co tu kryć – strasznie się z tym chujowo czułem i strasznie chujowo czuję się z tym do dziś. O ile w samo ustawienie meczu z Ruchem nie byłem wtajemniczony, o tyle tych pieniędzy mogłem nie brać. Gryzło mnie, męczyło, miałem i mam ogromne wyrzuty*

*sumienia. Ale czy bym wziął drugi raz – nie wiem. Może tak? Łatwo napisać: nie, nie wziąłbym! A może jednak bym wziął? W końcu było już po meczu, a wyniku nie dało się odwrócić. Kasa poszła, została rozdzielona, punkty puszczone. Mogłem co najwyżej pozwolić na to, by zarobili wszyscy oprócz mnie. W myślach dyskutowałem sam ze sobą – ato się biczowałem, a to cieszyłem, że zespół o mnie pamiętał. Ale, kurwa, od 19. roku życia przestałem być czysty. Czy tego chciałem, czy nie, zostałem wciągnięty w głąb szamba zwanego dumnie „pierwszą ligą”. Kochałem Wisłę miłością pierwszą, do szaleństwa i gardziłem tymi, którzy mogliby ją sprzedać. Gardziłem... sam sobą.*

Andrzej Iwan opowiadał mi swoją historię podczas kilku albo kilkunastu wielogodzinnych spotkań, a później nie wnikał, co z tym zrobię. Ocenzuował tylko ten jeden, powyższy fragment. Dlaczego?

Otóż piłkarzem, który przyniósł mu 60 tysięcy złotych, był Adam Nawałka. Powiedział wtedy: – Nie piszmy, że to o „Nawałę” chodzi, bo mu coraz lepiej w trenerce idzie. Może kiedyś będzie chciał zostać selekcjonerem?

Selekcjonerem już został. W obecnej sytuacji nie sądzę, by ujawnienie tego faktu miało złamać mu lub chociaż w jakikolwiek sposób utrudnić karierę trenerską. Ponadto to moja książka, a nie Andrzeja – tym razem nie czuję się zobowiązany milczeć.

Czasami zastanawiam się, jak szczegóły – z pozoru nieistotne decyzje – definiują nasze życie. Znam Andrzeja na tyle, że dobrze wiem, iż gdyby powyższy fragment czytał nie we wtorek, tylko dajmy na to w środę, to powiedziałby: sama prawda, trzeba nazwisko Nawałki zostawić. Decydował kompletny kaprys, jak to się ładnie mówi po piłkarsku – dyspozycja dnia. Wyobraźmy sobie, że książka trafiłaby do druku bez tej małej poprawki. Być może – to oczywiście tylko

luźna hipoteza – ktoś ten fragment by wyciągnął i zaczął nim grać. Na dwa sposoby – można byłoby uznać, że skoro selekcjonerem nie może być zamieszany w korupcję Wdowczyk, to nie powinien być nim także zamieszany w korupcję Nawałka. Albo – że skoro obaj nie są czyści, to już lepiej wziąć tego, który lepiej rokuje. Czyli Wdowczyka. Prawdopodobnie przesadzam, ale czy każdy dałby sobie rękę uciąć, że AN zostałby selekcjonerem, gdyby pojawiła się plamka na jego życiorysie? Że rozszalali dziennikarze nie ruszyliby do szturmu? I że PZPN nie wystraszyłby się zamieszania?

Absolutnie nie stawiałbym znaku równości między Wdowczykiem a Nawałką, nawet bym nie próbował szukać punktów wspólnych. Wdowczyk był łamaczem kręgosłupów, postacią całkowicie obrzydliwą. Kimś, kto zmuszał swoich piłkarzy do zrzucania się na kupno meczów, i kimś, kto nie widział w tym niczego niestosownego. Nie było ich stać? Niech biorą kredyty! Cała jego skrucha była tylko pozą. Niektórzy mówią: on jeden odpokutował! Guzik prawda, niczego nie odpokutował. Jego piłkarski wyrok został skrócony, a w trakcie odbywania go lekceważył zakaz pracy, pomagając jednemu z mniejszych klubów. Zawsze postrzegałem go jako osobę bez zasad, idącą do celu po trupach. Trochę bardziej cywilizowana, ujarzmiona wersja Janusza Wójcika. Żmija XXI wieku, a nie przasných lat 90.

O Nawałce natomiast w tym kontekście nie wiemy dużo – jedynie tyle, że jako bardzo, bardzo młody piłkarz przyniósł Iwanowi pieniądze. Nie wiemy, jaka była jego rola w porozumieniu z Ruchem i czy po prostu nie robił za posłańca, któremu „starzy” kazali udać się do Andrzeja z forszą. Gdybyśmy jednak przyjęli najgorszą możliwą dla Nawałki wersję – że uczestniczył w ustawieniu spotkania – to wtedy po prostu musielibyśmy go zrównać z Łukaszem Piszczkiem, który przecież grał w naszej kadrze bez najmniejszych problemów. Tu

młody piłkarz, tam młody piłkarz. Tu jeden występ, tam jeden występ. Tylko oszołomy stygmatyzują człowieka na całe życie na podstawie jednego zdarzenia, a tylko naiwniacy wierzą, że w tamtych czasach chociaż jeden piłkarz przeszedł przez ligę suchą stopą.

W praktyce gra o selekcyjny stołek toczyła się między Nawalką i Wdowczykiem. Prasa jednak musi z czegoś żyć, a najlepiej się żyje ze spekulacji. Ponadto dziennikarze mają to do siebie, że wyjątkowo chcą być ważni. Intensywnie wyszukują więc potencjalnych kandydatów na selekcjonera – z jednej strony mają wtedy o czym pisać, a z drugiej liczą, że ich kandydat wygra. Wówczas będą mogli triumfować, pokazywać czytelnikom „patrzcie, byliśmy pierwsi” lub chełpić się nawet, że sami namaścili trenera. Boniek miał z tego niezły ubaw.

To, co Bońka od dziennikarzy różni – że u dziennikarzy nazwiska zagranicznych sław trenerskich wywołują podniecenie, natomiast na Bońka kompletnie nie działają. Pamiętam jedną z naszych rozmów. Media podsunęły kolejnego kandydata dla kadry. Był to szkoleniowiec naprawdę utytułowany, rozpoznawalny na całym świecie.

– Może on? – spytałem prezesa PZPN.

– Daj spokój, dobrze go znam. To debil – odparł krótko.

I tak Wikipedia przegrywa z prawdziwym życiem.

Według mnie tylko dwaj obcokrajowcy byli brani pod uwagę. Jednym był Lars Lagerbäck, ale tu szczegółów nie znam, podejrzewam, że było to zainteresowanie „dla świętego spokoju” – żeby później nie pluć sobie w brodę. A to drugie nazwisko będzie dla was zaskoczeniem – Paolo Maldini.

Starsi kibice – i tacy w moim wieku – kojarzą go doskonale. 126-krotny reprezentant Włoch, przez całą karierę związany z AC Milan (647 meczów w Serie A!). Żywa legenda tego klubu i jeden z najlepszych obrońców w historii futbolu. Siedmiokrotny mistrz Włoch i pięciokrotny zdobywca Pucharu



Europy. Syn świetnego trenera, Cesare Maldiniego. Niezwykle inteligentny, elegancki, przystojny mężczyzna. Ikona.

Brakuje tylko jednego elementu, kluczowego – osiągnięć trenerskich. Ba, brakuje w ogóle jakiegokolwiek trenerskiego epizodu! Boniek miał jednak przeczucie, że Maldini to materiał na fantastycznego trenera. Nieoczywisty wybór, który mógłby być strzałem w dziesiątkę (ale też gwoździem do trumny). Chciał kogoś głodnego, kogoś, kto tej pracy poświęci się w stu procentach, zamiast po prostu dopisywać sobie do CV kolejne, dwudzieste miejsce pracy. Powątpiewał, czy cudzoziemiec z dużym doświadczeniem faktycznie przyłożyłby się do tej roboty, żył nią przez 24 godziny na dobę. – Polski trener jak przegra mecz, to będzie się wstydził pójść rano po bułki. A zagraniczny wsiałdzie w samolot i polecą do ojczyzny – mówił.

Ale Maldini go kusił, bo pierwsza robota zawsze jest wyjątkowa i zazwyczaj totalnie zasysa.

Wciągnąć Paolo w wir trenerski chcieli też inni. Kiedy w 2009 roku Carlo Ancelotti zakończył pracę w Milanie i podpisał kontrakt z Chelsea, jego pierwszym ruchem była próba nakłonienia Maldiniego, aby ruszył do Londynu wraz z nim. Doszło nawet do spotkania z Romanem Abramowiczem, ale ostatecznie Maldini odrzucił ofertę. Sam fakt, że Ancelotti złożył mu taką propozycję, mówi wiele – ci dwaj panowie zarówno ze sobą grali, jak i później pracowali jako szkoleniowiec i podwładny. Mieli okazję poznać się z każdej strony. Carlo Ancelotti musiał dostrzec u Maldiniego te same cechy, które dostrzegł Boniek. A kto wie – może nawet to ze sobą konsultowali, bo Ancelotti to także kolega dzisiejszego prezesa PZPN (grali razem w Romie).

Maldini przemyślał i ostatecznie nie wyraził zainteresowania. W ten oto sposób Adamowi Nawałce odpadł jeszcze jeden potencjalny rywal. Dziś nie przekonamy się już, kto faktycznie poprowadziłby reprezentację Polski w

eliminacjach Euro 2016, gdyby słynny Włoch stanął do konkursu.

\* \* \*

Powierzenie reprezentacji Adamowi Nawałce okazało się dobrą decyzją. Czy było strzałem w dziesiątkę, czy może raczej w siódmkę – to dopiero pokaże nam przyszłość, zwłaszcza finały mistrzostw Europy we Francji. Niemniej wreszcie w reprezentacji zapanował ład.

Poprzednik Nawałki – Waldemar Fornalik – był miękki, przestraszony, a na sam koniec eliminacji zaczął podejmować coraz bardziej irracjonalne decyzje. Za plecami śmiano się z niego, że działa tak, byle tylko prasa go nie zwolniła, i wsłuchuje się w jakieś głupawe podpowiedzi. Oczywiście jak przyszło co do czego, to dziennikarze i tak wydali wyrok jako pierwsi. Jeszcze wcześniejszy szkoleniowiec – Franciszek Smuda – skompromitował się doszczętnie i zasłużył na osobny rozdział w tej książce, więc w tym miejscu nie ma sensu się nad nim pastwić.

Nawałka na tle poprzedników sprawiał wrażenie faceta z klasą (Fornalik też tak wygląda, Smuda nie), inteligentnego (Fornalik tak, Smuda nie), twardego i hardego (Fornalik nie, Smuda tak) oraz konsekwentnego (Fornalik nie, Smuda nie). Wszystko to potwierdził w kolejnych miesiącach pracy z reprezentacją, chociaż sam początek wyglądał bardzo chaotycznie i wzbudzał niepokój nie tylko wśród kibiców i dziennikarzy, ale też wśród osób, które są naprawdę blisko kadry. Wtedy to nowy selekcjoner przetestował w kadrze tak wielu niemal anonimowych zawodników, że nawet ludzie najbardziej mu przychylni łapali się za głowy. Być może jednak takie szybkie zderzenie z rzeczywistością – błyskawiczne zrozumienie, że niedawni ulubieńcy z Górnika Zabrze nie

udźwigną odpowiedzialności – było potrzebne i oczyszczające. Inna sprawa, że z tego szalonego okresu przynajmniej dwóch piłkarzy na stałe przebiło się do kadry i w niej okrzepło: Krzysztof Mączyński i Michał Pazdan. Czyli zyski też były, i to wyraźne.

Zdaje mi się, że Nawałka wyraźnie przeanalizował, co zgubiło Fornalika i Smudę – a także wyciągał wnioski z sygnałów, które wysyłało mu kierownictwo związku. Fornalik w siedzibie PZPN niemal nie bywał, co nie było dobrze odbierane. Zdarzyło się, że delegacja związku poleciała do Hiszpanii, gdzie przyglądała się pracy tamtejszej federacji. Spotkała między innymi selekcjonera Vicente del Bosque, który urzędował w centrali non stop i jakoś nigdy nie brakowało mu pracy. Jeśli nie analizował meczów swojej drużyny i kandydatów do gry w niej, przyglądał się kadrom młodzieżowym, stale kontaktował się z innymi trenerami zatrudnianymi przez związek. Wysłannicy PZPN zrozumieli, jak znacząco różni się to od standardów przyjętych w Polsce. U nas selekcjoner był w zasadzie wolnym ptakiem. Robił, co chciał i kiedy chciał, najczęściej nic.

Nawałka dał się poznać jako pracoholik i bardzo częsty gość w siedzibie związku przy ulicy Bitwy Warszawskiej, skąd twardą ręką zarządzał swoim sztabem (niektórzy twierdzą, że narzuca swoim współpracownikom wręcz nieludzkie tempo). Miał spore wymagania, bez wyjątków spełniane bez względu na koszty (np. drogie programy do analizy komputerowej), ale też w zamian oddawał cały swój czas i energię. Jego mania – zakaz wypowiedzania słowa „problem”. Nie ma problemów, są tylko wyzwania. Jeśli współpracownik powie mu o problemie, zostanie przywołany do porządku.

Nawałka szybko zrozumiał też, że nie może upodobnić się do Smudy w jednej bardzo ważnej kwestii – nie może być gadułą. Franciszka Smudę zgubiło to, iż plótł, co mu ślina na język przynosiła – zazwyczaj kompletnie bez sensu i od czapy. Z

czasem więc „Franz” stał się totalnym pośmiewiskiem, a błędy logiczne i gramatyczne wytykali mu uczniowie gimnazjum. Wtedy w PZPN nie pracował nikt na tyle rozważny, by powiedzieć selekcjonerowi: przestań udzielać wywiadów, bo w każdym z nich się błądniesz. To naprawdę ważna kwestia – kiedy selekcjoner dostarcza materiału do nieustannych szyderstw, to chętnie korzystają z tego dziennikarze, a komentują kibice. Piłkarze, nawet jeśli nie przyznają tego głośno, to uważni czytelnicy. Trudno, by nie tracili szacunku do swojego przełożonego.

Nawałka – moim zdaniem na skutek mądrych podpowiedzi, a nie z własnej inicjatywy – w ogóle zrezygnował z udzielania wywiadów i komunikuje się ze światem głównie podczas konferencji prasowych. Wprawdzie nigdy nie mówi niczego ciekawego, ale powiedzmy sobie szczerze: nie ma to najmniejszego znaczenia. Smuda mówił ciekawie, czyli głupio. To już lepiej milczeć i trafiać na okładki gazet jedynie po wygranych bądź przegranych meczach.

Wciąż jest kilka historii, które mógłby szerzej opowiedzieć – o sprowadzaniu samochodów z Niemiec czy pracach na wysokościach w USA (przycinał drzewa przy liniach wysokiego napięcia), bo tym wszystkim się w przeszłości zajmował. O dniach młodości na Kubie, o kontuzjach, o zamiłowaniu do dobrego wyglądu, o wiślackich wyskokach. Na razie opowiadają o nim inni, a on sam uparcie milczy. Może kiedyś – po osiągnięciu sukcesu – wyda książkę? Z jednej strony to trochę nie w jego stylu, ale z drugiej – podpisał niedawno kontrakt z agencją Business Sport Solutions z Poznania, która zajmuje się promocją znanych osób, zdobywa im kontrakty reklamowe i otwiera drzwi do show-biznesu. Swoją drogą, właśnie BSS reprezentowało Macieja Żurawskiego i Kamila Kosowskiego, gdy kilka lat temu... procesowali się z PZPN.

W tym momencie na chwilę zmienię temat. Z agencją BSS współpracowałem mniej więcej dziesięć lat temu jako przedstawiciel firmy Bet24 na Polskę. Podpisałem wtedy kontrakt z Maciejem Żurawskim i ówczesny kapitan reprezentacji Polski został ambasadorem marki. Efektem była kampania prasowa i billboardowa, do tego wykupiliśmy powierzchnie wielkoformatowe w Poznaniu. Budżet naprawdę spory, do dziś czasami żartuję, że gazety „Przegląd Sportowy” i „Fakt” musiałyby zatrudniać mnie do końca życia, a i tak nie zwróciłyby mi tyle, ile tam zostawiłem pieniędzy (na szczęście nie swoich).

„Żuraw” w tamtym okresie nie był szczególnie dostępny dla mediów, często umówienie się z nim było prawdziwą katorgą. Tu sytuacja miała być inna. W ramach kontraktu ustaliliśmy, że po każdym meczu reprezentacji w MŚ 2006 będzie o określonej godzinie dostępny tylko dla klientów Bet24, podczas ekskluzywnego czatu. Ku mojemu zdziwieniu Maciek – naprawdę ostatni do takich aktywności, trochę marudny – zawsze pięć minut przed czasem zgłaszał gotowość. I to nawet mimo tego, że reprezentacji nie szło, a on sam – łagodnie mówiąc – nie zachwycał, w związku z czym musiał się mierzyć z nieprzyjemnymi pytaniami.

No, ale w ramach rocznej umowy otrzymał mniej więcej równowartość połowy 50-metrowego mieszkania w Warszawie, czyli pieniądze jak najbardziej godne. Dla takiej sumy można się poświęcić...

Nawałka i reklamy – to będzie coś nowego. Doświadczenie pokazuje, że żaden trener nie wychodzi na nich dobrze (nie licząc dodatkowej gotówki, która jednak nie musi pokrywać późniejszych strat wizerunkowych). Jerzy Engel mocno przeszarżował, więc na koniec o jego drużynie pisało się, iż jest to „drużyna do zupy”, Leo Beenhakker padł ofiarą sloganu „Leo, why?”, a Smuda zszedł do poziomu Adamiakowej i stał się kimś,

kto faktycznie powołać może każdego, nawet jeśli będzie to idiotyczne. Oby obecny selekcjoner potrafił oprzeć się pokusie i dobierał oferty naprawdę rozsądnie.

Pół żartem, pół serio można zasugerować, iż Nawałka mógłby reklamować jakieś latynoskie potrawy. Otóż w nieoficjalnych relacjach ma on tendencję do kończenia wyrazów poprzez dodawanie „-os”. Na przykład – obiados, meczos, treningos.

– To co, obiados? A potem obejrzymy meczos?

Brzmi to groteskowo i czasami wywołuje kpiny (oczywiście za plecami).

To co – kończę ten rozdział, nie?



**Dlaczego Ryszard Forbrich zatrząsł całą  
polską ligą?**



**S** skoro w poprzednim rozdziale padło przeklęte słowo „korupcja”, to nie sposób nie wspomnieć o osobie, która przede wszystkim kojarzy się ze skorumpowaniem polskiej ligi.

Jakieś dziesięć lat temu trafiłem do gazety „Dziennik – Polska Europa Świat”, gdzie stworzono naprawdę świetny dział sportowy. Prawdopodobnie najlepszy, w jakim miałem okazję pracować. Byłem tam szefem poniedziałkowego dodatku sportowego. Zdaję sobie sprawę, że nie była to gazeta szczególnie popularna wśród kibiców i że teksty – chociaż naprawdę dobre – rzadko odbijały się takim echem, na jakie zasługiwały.

W tym rozdziale będę posiłkował się artykułem napisanym właśnie dla „Dziennika” na temat Ryszarda Forbricha, czyli słynnego „Fryzjera”. O tyle nie mam wyrzutów sumienia, że idę o zakład, iż tego wcześniej nie czytaliście. Poza tym uważam, że wykonałem wtedy solidną robotę i nie ma sensu, abym po raz drugi pisał to samo, tylko innymi zdaniem. Natomiast tamten artykuł rozbudowałem o sytuacje, które teraz mi się przypomniały, miejscami go poprzerabiałem.

Zanim odpowiem na tytułowe pytanie, dlaczego Forbrich zatrzęsł ligą, przeczytajcie, kim tak naprawdę był. O tyle łatwo było mi napisać ten tekst, że znałem „Fryzjera” w miarę dobrze, ale nie na tyle dobrze, by robiono mi zdjęcia, jak przed nim klęczę (jak red. Adamowi Godlewskiemu), albo by wydawał mi polecenia lub fundował jakiegokolwiek rozrywki.

\* \* \*



To będzie opowieść o wiejskim „Fryzjerze” z Obrzycka, co stojąc z nożyczkami w rękach, snuł plany o przyszłej sławie. O Rysiu, prząsnym golibrodzie, dla którego ściany zakładu stawały się zbyt ciasne. Jak mawiają niektórzy – o buraku na salonach. O prawdziwym Dyzmie polskiego futbolu.

Jadąc przez Wronki, trudno uwierzyć, że to właśnie tu swoją dość nikczemną karierę rozpoczął „Fryzjer”. Szare, smutne domki, mały rynecek i paskudny dworzec. Ludzie chodzą powoli, bo gdzie się mają spieszyć? Jest wprawdzie bank, kilka sklepów i nawet hotel, ale wszystko to wyrosło w oparciu o produkowane tu Kuchenki. Dawny, siermiężny Wromet przekształcił się w piękną Amicę, do której wzdychają okoliczni mieszkańcy. Ale gdyby ktoś jutro wynalazł dobry sposób, jak poradzić można sobie bez kuchenek, i wprowadził go w życie, Wronki mogłyby w ogóle nie istnieć.

W środku miasta straszy więzienny gmach. Przy ulicy Partyzantów 1, za wysokimi na trzy metry murami zaczynają się inne Wronki – kryminalne, przestępcze, zbrodnicze. Przez małe okna wykute w czterech gigantycznych, ponurych budynkach z czerwonej cegły spoglądają więźniowie. Nie tylko mordercy, gwałciciele, pedofile, ale też złodzieje, oszuści, łapówkarze. Są ich prawie dwa tysiące.

Od 1894 roku niemal codziennie trafia tu ktoś nowy. Kiedyś przywożono ludzi pociągami towarowymi i na klęczkach kazano czekać na pobliskim dworcu. Teraz jest już lepiej – kursują samochody. Ale to wciąż więzienie ciężkie. Wciąż cele są małe i prymitywne. Wciąż izolatki mają ledwie cztery metry kwadratowe i betonową podłogę.

W tym polskim Alcatraz, stojącym wprawdzie nie na wyspie, ale nieopodal rzeki Warta, Ryszard F. bywał wiele razy. Zawsze towarzysko. Jakoś nigdy przez myśl mu nie przeszło, że kiedyś może sam tam zostać osadzony. Wtedy historia zatoczyłaby koło. Ot, taki powrót do korzeni...

Chociaż ze wszystkich więzień w kraju dawny fryzjer (dziś „Fryzjer”) wybrałby właśnie to. Traktowany byłby pewnie niczym najbardziej oczekiwany gość. Z rana kawka, jakiś smakołyk, później śniadanko. Ryś wiedział, jak zjednywać sobie ludzi. Z czasem wyćwiczył się w tym tak bardzo, że „zjednywaniem ludzi” zajął się zawodowo. Jedni wronczanie sprzedawali ziemniaki, inni pracowali w dziale emalii w miejscowej fabryce (stąd pseudonim późniejszego dyrektora sportowego Lecha Poznań Marka Pogorzelskiego – „Emalia”), a on „zjednywał ludzi”. Ależ był skuteczny! Cały region pełny był jego ludzi. I więzienie też.

Przyjrzyjmy się mu z bliska. Na lewej ręce złoty zegarek, na prawej gruba złota bransoleta. Na karku wielki świecący łańcuch, a na samym przedzie błyszczący złoty ząb. Koszula w kratę, modna na początku lat dziewięćdziesiątych. Rozchełstana. Twarz raczej plebejska (czego nie zmieniają nawet noszone na profesorską modłę okulary), lekko obwisłe policzki. Włosy przerzedzone, zwłaszcza na czole. Gdzie indziej, zwłaszcza w okolicach uszu, kręcone i siwe. Wystarczy rzut oka, by stwierdzić – to nie jest typ światowca. Gdyby przedstawić przypadkowej osobie zdjęcie i zapytać, czy ta osoba mieszka w Warszawie, Poznaniu, Nowym Jorku, Londynie, Łodzi, a może Obrzycku, każdy bez wahania powiedziałby: „W Obrzycku”. Nie wiem czemu, ale pasował do tej nazwy.

Wiele osób zadaje to samo pytanie: Jak ktoś taki mógł zostać szefem piłkarskiej mafii? Jak mógł przeniknąć na szczyty futbolu w Polsce i skorumpować tak wiele – kryształowych, zdawałoby się – ludzi? Jak upłócił tę swoją sieć. Kiedyś wraz z Jackiem Kmiecikiem pojechaliśmy do Poznania na spotkanie z nim. Usiedliśmy w restauracji Brovaria. Tam Jacek zaproponował: – Rysiu, napiszmy książkę. Tytuł „Jak ustawiałem ligę!”

A Rysiu podrapał się po wysokim czole, uśmiechnął w charakterystycznym stylu i odparł, jakby z dumą: – Nie „Jak ustawiałem ligę!”, tylko „Jak ustawiłem ligę!”.

Przez długi czas myślano, że to żarty. Że co on może. Pogadać sobie, rubasznie pożartować (ulubione, powtarzane kilka razy dziennie powiedzenie: „Ja twardszego wyjmuję, niż ty wkładasz!”). Redaktor Janusz Atlas po zatrzymaniu „Fryzjera” napisał w „Piłce Nożnej”, iż jego zdaniem Ryszard F. na szefa piłkarskiej mafii nie pasuje z prostej przyczyny – nie jest ku temu intelektualnie gotowy. A Jacek Kmiecik w książce „Piłkarski pasjans” wydanej jeszcze przed falą aresztowań stwierdził: „Przez nieprzychylnie mu media uważany, ale zdecydowanie na wyrost, za ojca chrzestnego czarnej mafii, głowę sędziowskiej ośmiornicy, środek przegwizdanej pajęczyny”.

Rzeczywiście, to nie był Vito Corleone w wykonaniu Marlona Brando. To nie był człowiek pięknymi słowami opowiadający o tym, czym są honor, rodzina, przyjaźń. Ale też jesteśmy w Polsce, a nie w USA. U nas światkiem przestępczym mógł rządzić prosty jak cep „Dziad”, to tu karierę literacką mógł zrobić „Masa”.

Trzeba to napisać jasno – ta opowieść będzie dotyczyła osoby, która miała największy wpływ na polski futbol w ostatnich latach. Większy niż personalne decyzje Pawła Janasa czy Franciszka Smudy. Większy niż oratorskie popisy Michała Listkiewicza czy ostre ruchy Zbigniewa Bońka. Większy niż celne strzały Macieja Żurawskiego, Tomasza Frankowskiego, Roberta Lewandowskiego czy Jakuba Błaszczykowskiego. Nikt inny nie miał do powiedzenia tak wiele, jak złotozębny Rysiu z podpoznańskiej wioski. On decydował, który trener pracował, a który nie. Kto spadał, kto awansował. Kto walczył o mistrzostwo, a kto zajmował dziesiąte miejsce. Do kogo trafiał Puchar Polski, a do kogo wymówienie. Nie bez powodu jego

dom w Obrzycku nazywano „Biurem Spadków i Awansów” czynnym całą dobę. Od poniedziałku do niedzieli – siedem dni w tygodniu. Bez zapisów.

Żadne inne biuro w Polsce nie działało tak sprawnie. „Architekt” czekał z otwartymi rękoma. „Architekt” dlatego, bo słusznie ochrzczono go architektem sukcesów niejednego klubu.

Cofnijmy się w czasie. Bodaj w 1991 roku Ryszard – zwany jeszcze wtedy Forbrichem, a nie F. – namówił prezesa fabryki kuchenek Wojciecha Kaszyńskiego, by połączyć dwa kluby, Czarnych Wromet Wróblewo i Błękitnych Wronki. Czy już wówczas snuł plany o swoich wielkich wpływach, czy też apetyt rósł w miarę jedzenia – trudno stwierdzić. Faktem jest, że w 1992 roku Amica rozpoczęła swój marsz w kierunku ekstraklasy. A marsz to był spektakularny. Amica, czyli po włosku przyjaciółka, nawet nie pięta się szybko – ona zrobiła to bardziej ekspresowo, niż przewidywały przepisy!

Owszem, każdy może skosić trawę, zrobić boisko, znaleźć kilku mężczyzn dobrze kopiących piłkę. Może nawet – przy sprawnej organizacji, świetnych transferach – awansować z szóstej do trzeciej ligi. No dobrze – może nawet awansować do pierwszej, bo historia zna i takie przypadki. Jednak chyba nigdy nie zdarzyło się, aby jakikolwiek klub z szóstej do pierwszej ligi dostał się w cztery lata. Policzmy – z szóstej do piątej, z piątej do czwartej, z czwartej do trzeciej, z trzeciej do drugiej, z drugiej do pierwszej – wychodzi pięć lat przy awansie w każdym sezonie. Krócej się nie da, to fizycznie niemożliwe. Nie można rozegrać dwóch sezonów w ciągu roku.

A jednak – z szóstej do czwartej ligi Amica awansowała bezpośrednio i to był pierwszy wielki numer „Architekta”. Świadek tamtych wydarzeń wspomina: „Przekonano wszystkich, że taki potencjał nie może się marnować. Że gdyby Amica po wygraniu szóstej ligi musiała grać w piątej, byłby to

sportowy bezsens. Wielkopolski związek zgodził się z tą argumentacją. A jakich jeszcze argumentów użyto, nie wiem”.

„Fryzjer” lubił się chwalić, że robił wielki klub za grosze. Że był najsprawniejszym działaczem w Polsce. Że dokonywał najlepszych transferów. To on z Zawiszy Bydgoszcz wyciągnął Pawła Kryszalowicza (sprzedanego później za 5 milionów złotych do Niemiec), na złość klubom bardziej renomowanym. Spotkali się gdzieś koło jednostki wojskowej, niektórzy twierdzą, że „Kryszal” po prostu przeskoczył mur, by pomówić z interesantem. I tam został omamiony, w charakterystycznym dla F. stylu. Raz, dwa, trzy, dużo słów, jakieś żarty, szybko mignęły pieniądze – „Masz, to dla ciebie” – i nim ktokolwiek inny zdołał otworzyć usta, było po sprawie.

A zgodę na sprzedaż Kryszalowicza – jeśli wierzyć legendom – Ryszard załatwił po mistrzowsku. Spotkał się z pułkownikiem prezesem i zaproponował pieniądze. „Pan obraża mundur Wojska Polskiego!” – zagrzemiał oficer. „To ja w takim razie wyjdę, pan się przebierze i wrócimy do rozmowy” – odparł „Fryzjer”, wprawiając rozmówcę w osłupienie. I po pięciu minutach obaj – już po cywilnemu – dogadywali szczegóły. Dzięki takim ruchom potem wybierano go na działacza roku w Wielkopolsce... Chociaż może wybierał się sam? Amica lubiła wpływać na losy plebiscytów. Jeśli chciano, by wygrał właśnie Kryszalowicz, to kupowano wszystkie gazety w okolicy (co do sztuki, jak brakowało – można było dokupić w Poznaniu), a juniorzy przed treningiem mieli obowiązek wypełniać wycięte kupony zgodnie z instrukcją... Faktem bezspornym jest, że za jakieś grosze sprowadził do Wronek jednego z najlepszych napastników lat dziewięćdziesiątych. Potem lubił się tym chwalić. Mówił: „To dzięki mnie Polska awansowała do finałów mistrzostw świata w Korei i Japonii. Ja stworzyłem Kryszalowicza”.

Był w Amice też Piotr Reiss, wypatrzony gdzieś w Kotwicy Kórnik, byli inni – Arkadiusz Bąk, Artur Bugaj. Wronki rosły w siłę. Ten klub, gdy miał swój dzień, był w stanie wygrać z każdym w swojej klasie rozgrywkowej. Ale po co czekać na swój dzień? Po co zostawiać tak ważną marketingowo kwestię jak promowanie nazwy „Amica” jakimś nieokrzesanym sportowcom, którym nie wiadomo, co do łba strzeli? Po co losy klubu powierzać krzywym nogom Bugaja czy Kryszalowicza? „Fryzjer” wiedział, że należy minimalizować ryzyko. Jedną z osób będącą blisko klubu wspomina: „Z czasem mecze przestały być wygrane i przegrane. Dla niego były tylko kupione i sprzedane. Nie mógł pojąć, że czasami rywal jest lepszy, więc wtedy od razu oskarżał piłkarzy o handel punktami. Nawet gdy nic nie było na rzeczy. Przegraliśmy – znaczy, że sprzedaliśmy”.

W 1995 roku Amica była już w ekstraklasie. Fenomen – mówiono o niej. Wprawdzie zdarzyło się, że przyjechała do Wronek Legia i złała gospodarzy 6:1, a Leszek Pisz strzelał gole z takich odległości, z jakich zawodnicy gospodarzy nie zawsze potrafili dokopać do bramki, ale to nie zmieniało ogólnego obrazu – zespół zarządzany sprawną ręką okutą w złotą bransoletę zajął rewelacyjne piąte miejsce. A tę zniewagę Rychu Legii zapamiętał i już nigdy na stadionie przy ulicy Leśnej nie miała lekko. Sezon później została ograna, potem dostała też łomot w Pucharze Polski. Z tym drugim meczem to dziwna historia. Legioniści twierdzą, że sędzia ich po prostu zgwałcił (liniowi w ogóle nie sygnalizowali spalonych), natomiast znajomy piłkarz Amiki utrzymuje, że warszawscy piłkarze tak popili przed meczem, że jeszcze w tuneli jechało od nich niestrawioną wódką.

Gdy Ryszard zaczął działać w klubie, fryzjerską działalność zawiesił, powierzając zakład córce Lidce. Zdarzało się jednak bohaterowi Wronki robić wyjątek i założyć dawny fartuch. Chodzą opowieści, jak zamykano zakład i przyjmowano

jednego gościa – prezesa Kaszyńskiego. Jego Forbrich strzygł i cesał osobiście. Drugą osobą, która dostąpiła takiego zaszczytu, był prezes Grynhoff, a trzecią – trener Bogusław Baniak, po awansie Lecha Poznań z drugiej ligi do pierwszej publicznie ogolony na łyso...

\* \* \*

„Jeśli sędzia Dymek będzie chciał mnie za te słowa pozwać do sądu, to ja mam go serdecznie w dupie. Zasłużył dziś na fartuch z napisem: pomocnik fryzjera” – oświadczył po meczu Amica – Polonia (1:0) bramkarz gości Maciej Szczęsny. Był rok 1999 i po raz pierwszy zwykli kibice z całej Polski usłyszeli, że istnieje ktoś taki jak „Fryzjer”, który niekoniecznie zajmuje się strzyżeniem. Ależ dumny chodził wtedy Rysio. Ależ szczęśliwy...

Kiedy tylko sędzia pomylił się na korzyść Amiki, F. wyszukiwał wzmianki na ten temat w gazetach. „Sędzia sprzyjał wronczanom” – pisano. Ryszard zamiast się denerwować, wycinał i zanosił komu trzeba. „Widzicie, tak się działa!” – przechwalał się. Efekt? Przedobrzył. Kiedy już we Wronkach nie dało się rozegrać normalnego meczu, kiedy Amica już nie grała, ale grasowała w ekstraklasie, klimat wokół zespołu (a tym samym wokół bogatego sponsora) zrobił się mało przyjemny. Zdecydowano, że czas fryzjerstwa minął. Że dla dobra klubu należy się obrotnego menedżera pozbyć.

„Architekt” poczuł się zdradzony i oszukany. Przez kolejne kilka lat jego noga na stadionie przy ulicy Leśnej nie stała. Dopiero po długim czasie, kiedy już ligową piłkę we Wronkach kasowano, postanowiono zaprosić go na mecz. Długo się wahał: – Iść czy nie? Wydzwaniał po wszystkich: – Co mi radzisz?

W końcu poszedł i nie żałował. Takiej burzy oklasków nie dostał tam chyba nigdy żaden piłkarz. „Brawo, Rysiu! Brawo dla naszego Ryszarda! Dziękujemy, sto lat!” – wiwatowali ludzie. Dla

nich kojarzył się z trzema Pucharami Polski i ze sprowadzeniem takich piłkarzy, jak: Kryszalowicz, Kukiełka, Dawidowski, Król, Zieńczuk, Bieniuk, Burkhardt, Dudka...

Zwolnienie Forbricha z Amiki miało – jak się później okazało – niebagatelne znaczenie dla całego polskiego futbolu. To wtedy ponad pięćdziesięcioletni działacz stanął przed pytaniem, co dalej w życiu robić. Wiadomo było, że do fryzjerstwa nie wróci, bo nie zarobiłby nawet na paliwo do swoich samochodów. Przejadać oszczędności? Można, ale przecież energia roznosi... F. miał kapitał w postaci wiedzy, kontaktów, znajomości. Prawdopodobnie nikt w Polsce nie mógł się z nim mierzyć. W każdej chwili „Fryzjer” mógł przecież wziąć telefon i leżąc na kanapie, wygrać mecz. Taki Szymkowiak z Frankowskim chcąc zwyciężyć, musieli przebrać się w strój piłkarski, wyjść na boisko (w deszcz czy mróz) i przepychać się z przeciwnikami. A Rysiu był w stanie osiągnąć to samo, wylegując się w majtkach przed telewizorem.

Coś z tym niebanalnym doświadczeniem trzeba było zrobić, jakoś je spożytkować. I tak to rozpostarł skrzydła nad całą Polską. Amica chciała zabić potwora, ale go tak naprawdę stworzyła...

Dziś trudno oszacować liczbę klubów, którym Ryszard pomagał. W mediach wymieniało się: Górnik Polkowice, Arkę Gdynia, Kujawiaka Włocławek, Zawiszę Bydgoszcz, Górnik Łęczna, Pogoń Szczecin, Lecha Poznań, Kotwicę Kołobrzeg... Pomnóżmy liczbę wymienionych klubów przez trzy, może przez cztery, żeby być bliżej prawdy. A przecież F. jeszcze pracując w Amice, czasami pomagał zaprzyjaźnionym zespołom.

Z czasem cała zachodnia część Polski była jego. Gdybyśmy nakreślili linię na mapie od Trójmiasta po Cieszyn, wszystko, co znalazłoby się po lewej stronie, byłoby obszarem zarządzanym przez „Fryzjera”. To tu był honorowym gościem na wielu stadionach, to tu w klubach umieszczał swoich trenerów i



piłkarzy. Na stronie wschodniej miał na razie tylko przyczółki, chociaż planował walkę o wpływy – walkę poprzez kasowanie konkurencji. Dzwonił do mnie i mówił: – Skandal! Cracovia zatrudnia firmę ochroniarską, która należy do sędziego Pocięgiela! To korupcja!

W dodatku – a może przede wszystkim – trzymał w kieszeni sędziów. Lubował się w wymyślaniu im pseudonimów. „Demarczyk”, „Borsuk”, „Paskuda” („Sędzia Paskuda! Kiedyś były wybory na największą paskudę nad Zalewem Zegrzyńskim i on wygrał” – żartował), „Zdun”, „Dziunia”, „Fujara”, „Bocian”...

Największą słabość miał do sędziów Siedleckiego i Żyry – ich uważał za niezwykle porządnych, cokolwiek to znaczyło (pewnie nic dobrego). Ale już na przykład o „Demarczyku” opowiadał: – Dla niego liczą się tylko bilety Hanki Gronkiewicz-Waltz! Tylko bilety NBP!

„Demarczyk” to oczywiście sędzia Marczyk, który wybierany był – dzięki „Fryzjerowi” – na arbitra roku, zdobywał Piłkarskie Oscary. Głosy na niego oddawane przez piłkarzy były elementem rozliczeń za ustawiane mecze.

Ze swoją armią ludzi i sztabem zarządzającym ulokowanym w Warszawie, a także dzięki kontaktom w klubach „Fryzjer” mógł robić w lidze, co mu się tylko podobało. Gdyby miał kaprys i uznał, że na króla strzelców wypromuje na przykład Adama Czerkasa (czy innego średniej klasy napastnika), to pewnie by dopiął swego. Zresztą, trudno zgadnąć, ile nazwisk wypłynęło tylko dlatego, że F. miał chęć splełtania figla. Do dziś niektórzy śmieją się, że Marek Ryżek – mieszkający kilkaset metrów od „Fryzjera” – przez lata był tylko jego kierowcą. Rozwoził, przywoził, a przede wszystkim nalewał i grzecznie przytakiwał (jak trzeba było, to i leciał po kanapki w środku nocy, i to dwa razy, bo zapomniał o wegetariańskich). Kiedyś, w czasie jednej z zakrapianych nasiadówek, Ryszard stwierdził: – Zrobię z niego sędziego pierwszoligowego!

Patrząc na cichego, zahukanego, trochę nieporadnego Ryżka, tę śmiałą zapowiedź biesiadnicy usprawiedliwili alkoholem. Minęło kilka lat i... Ryżek był w ekstraklasie. W dodatku całkiem dobrze mu szło. Ale to może nic dziwnego, skoro F. zawsze o nim mówił, iż to niezwykle uczciwy człowiek, w dodatku o złotym sercu. – On czyta Pismo Święte w kościele! Ministrant! – opowiadał o nim. I znowu nie wiadomo, czy z komplementu od Forbricha należałoby się cieszyć, czy wręcz przeciwnie.

Swoją drogą, kiedy zatrzymano bliskiego współpracownika „Fryzjera” Krzysztofa P. – szefa wielkopolskich arbitrów – pan Antkowiak z wielkopolskiego związku załamał ręce i stwierdził: – To dla nas cios! Co my teraz pocniemy? Coraz mniej ludzi... Może teraz szefem zrobimy młodego i zdolnego Ryżka?

Tak to Antkowiak – też bardzo dobry znajomy „Fryzjera” – kpił z kibiców. Afera korupcyjna? Złapali głównego machera? No to w takim razie dajmy posadę jego pomagierowi. Niech ocenia, który arbiter się nadaje, a który nie...

Ryszard F. miał świadomość, że jego imperium będzie tym potężniejsze, im więcej jego podopiecznych – takich jak Ryżek – dostanie się na szczyt. W dodatku był to niezły sposób zarabiania pieniędzy. Chodzą słuchy, że uczesanie przez „Fryzjera” na arbitra pierwszoligowego kosztowało 50 tysięcy złotych, a na drugoligowego – 30 tysięcy. Drogo? Odpowiednia fryzura gwarantowała godne apanaże przez wiele lat. Oficjalne stawki to wtedy 3 tysiące złotych za jeden mecz, ale ile można jeszcze dorobić na boku! Dlatego F. należał pewnie do najdroższych, ale i najbardziej obleganych fryzjerów w Europie. Jego usługa gwarantowała biznesowy sukces. Wizyta w zakładzie stawała się inwestycją o niezwykle wysokiej stopie zwrotu. A co ważniejsze, brak odpowiedniej fryzury mógł spowodować niewpuszczenie na salony.

Promując ludzi i jeszcze na tym zarabiając, Ryszard łączył więc przyjemne z pożytecznym. Działał jednak trzytorowo – także w branży trenerskiej i piłkarskiej. Już wiele lat wcześniej w Amice miał swoich ulubieńców – przede wszystkim obrońcę Zbigniewa Małachowskiego, bramkarza Jarosława Stróżyńskiego i pomocnika Andrzeja Przeradę. Z pierwszego z nich zrobił czołowego obrońcę ligi, a z drugiego – wyróżniającego się bramkarza. Byli to jego sąsiedzi, bo obaj pochodzili z okolic Wronek – z Obornik i Czarnkowa. Wypromował też wyjątkowo topornego piłkarza, jakim był Ireneusz Kościelniak. Już dawno zorientował się, że z grubsza większość zawodników gra tak samo (czyli co najwyżej średnio), tylko trzeba wmówić ludziom, że ten jest dobry, a ten nie. W takim wmawianiu był niezwykły – potrafił nawet zorganizować turniej i ustawić wszystkie mecze tylko po to, by na najlepszego zawodnika wybrano konkretnego gracza. Poza tym miał na usługach dziennikarzy, dla których organizował bankiety, podczas których można było i popić, i pozabawiać się z prostytutkami.

Generalnie o piłkarzach miał złe mniemanie. Uważał widocznie, że sam jest w stanie osiągnąć więcej. Byli mu potrzebni tylko do tego, że ktoś musi przebierać się w te śmieszne gacie.

Miał też trenerów, którym nieba by przychylił: Kurowskiego, Baniaka czy Wąsikiewicza. Ulubieńcom pomagał mecze wygrać, przeciwnikom przeszkadzał. Do dziś niektórzy śmieją się, jak Wąsikiewicz – na którego „Fryzjer” mówił „Hrabia Wąs” – przeprowadził odprawę w Amice. Narysował na tablicy tylko kropkę i powiedział: – To jest punkt, z którego wykonuje się rzuty karne. Sęk w tym, żeby tego karnego wykorzystać...

Resztę zrobił najpewniej Rysiu, bo karny rzeczywiście był. Wykorzystany. Dzięki podobnym sztuczkom przez długi czas można było oglądać charakterystyczne czarne wąsy na ławkach

wielu różnych klubów. Dzięki odpowiednim zabiegom pan W. stał się nawet bohaterem Gdyni, w spektakularny sposób uratował ten klub przed degradacją. Bo swoim ludziom „Fryzjer” nie pozwalał utonąć, nawet jeśli sam się czasami śmiał ze stworzonych przez siebie autorytetów. O Wąsikiewiczzu mówił: – Niebywałe! To trzecioligowy trener z pierwszoligowymi wynikami! „Wąs” się wówczas bronił, że to on przecież pierwszy postawił na 16-letniego Żurawskiego...

„Hrabia Wąs” – już świętej pamięci – to postać trochę podobna do Ryszarda. Też bardzo otwarty, serdeczny, przyjacielski. Też trudno go było nie lubić. Też sypał rymowankami, powiedzonkami. Jeśli spytać go, co słyhać w rodzinie, odpowiadał: – Lepiej z Elą niż pod Kaponierą... Ela to żona, a Kaponiera – rondo w Poznaniu, pod którym mieszkali bezdomni. Tego wierszyka „Fryzjer” zawsze mu zazdrościł. Uważał za arcydzieło. Tyle informacji w jednym zgrabnie ułożonym zdaniu.

Wspólną cechą panów F. i W. było też to, iż obaj wiedzieli, komu trzeba się podlizać. Przypomina się w tym momencie opowieść, jak „Hrabia Wąs”, gdy jeszcze pracował w Groclinie, grał w tenisa ze Zbigniewem Drzymałą. W pewnym momencie, przy wyrównanym wyniku, prezes Drzymała posłał piłkę na wyraźny, półmetrowy aut. A pan Wojtek na to: – Prezesie! Pan mi gra! Sama linia!

Faktem jest więc, że „Wąs” i „Fryzjer” dobrali się jak w korcu maku i stanowili duet przyjaciół.

\* \* \*

– Przepraszam, gdzie mieszka pan Ryszard? – pytam przypadkowego przechodnia w Obrzycku.

– Za mostem skręci pan w prawo, trochę pod górę. I tam już na pewno pan pozna – odpowiada sympatyczny starszy pan.

Jak to „na pewno pan pozna”? – Pozna pan, pozna – zapewnia mężczyzna około sześćdziesiątki, znacząco się uśmiechając.

Zgodnie z instrukcją skręcam w mało uczęszczaną drogę, mijając radiowóz policji. I rzeczywiście, nie mam żadnych wątpliwości, który dom należy do „Fryzjera”. Wśród starych, brudnych budynków i ruder wyróżnia się wymuskana willa. Dom z innej bajki. Mógłby stać w Konstancinie, Międzyzdrojach czy Sopocie, a nie akurat przy zabłoconej drodze w Obrzycku. Za ładnym ogrodzeniem rozciągają się chodniczki i świeżo przystrzyżona trawa.

– Pan wejdzie, śmiało! – zaprasza młody chłopak, zamykając wilczura w wielkiej klatce nieopodal garażu. – Jestem dziennikarzem – informuję.

– O nie, to niech pan nie wchodzi! Takich tu nie potrzebujemy! – nagle gościnny ton głosu zmienia się we wrogi.

Ze środka wychodzi średniego wzrostu blondynka w papilotach na głowie. To Krystyna, zwana przez Forbricha „pańcią” lub „myszką” – jego miłość. Bo choć wiele złego mówi się o „Fryzjerze”, to akurat w uczuciach był wyjątkowo stały. Mogąc każdemu zorganizować randkę z najpiękniejszą dziewczyną w Wielkopolsce, sam wracał do swojej Krysi.

Pani Krystyna rozmawiać nie chce. Słyszając, że w „Dzienniku” ukaże się seria tekstów na temat Ryszarda, mówi tylko: – To dobry człowiek jest. Bardzo dobry. I to niech pan napisze.

Inni mówią to samo. Sąsiedzi, dawni znajomi, byli koledzy. – Za czasów Rysia to cały region żył. Ciągle się coś działo. Legia tu przyjeżdżała, Wisła, panie, nawet Atletico Madryt i Hertha Berlin były. A ile razy reprezentację Polski żeśmy gościli! Bez Rysia by tego wszystkiego nie było. I komu to przeszkadzało? No niech mi pan powie – komu – pyta taksówkarz we Wronkach.

Ryszard wszędzie miał znajomych. Taksówkarze (zwłaszcza niejaki „Precyzja”) zawsze mówili mu, co w trawie piszczy. Jak wieźli żonę piłkarza, to meldowali, na co się skarżyła. Jak zawodnika, to od razu dawali znak, o której wracał do domu. Byli oczami i uszami „Fryzjera”. A do tego dochodzili przecież sklepikarze, sprzedawcy na stacji benzynowej – wszyscy oni skrzętnie notowali informacje, które mogły się przydać. Ile piłkarz kupił piw? Który to już raz w tym tygodniu? A może woli wódkę? Raczej pije po meczu czy przed? Dziś wszyscy ci ludzie za Rysiem tęsknią, bo on potrafił odwdzięczyć się za przysługi. Ech, niech on tylko wyjdzie z aresztu, znowu będzie wspaniale!

Tylko miejscowy bukmacher za nim nie tęskni. Zdarzało się, że na widok „Fryzjera” zmierzającego wraz z kolegą w stronę punktu przyjmowania zakładów sportowych dostawał palpitacji serca. Dziwnym trafem Forbrich miał wyjątkowego nosa do obstawiania wyników. Trzeba mu jednak przyznać, że trafiał nie tylko w lidze polskiej. Często – może dla niepoznaki – typował też rozgrywki w Hiszpanii, Anglii i we Włoszech. Nawet zaczął zbierać wygrane kupony, bo zdarzyło się, że przyczepił się urząd skarbowy. Mówił mi: „Pytają, skąd mam kasę! No to ja im mówię, że wygrałem w zakładach. Bo ja w zeszłym roku to wygrałem...” – i tu padła ogromna suma. Teraz już nie pamiętam, czy było to 47 tysięcy złotych, czy też 74 tysiące...

Willa w Obrzycku – w której raz na jakiś czas Forbrich lubił organizować grille – była dla niego oazą spokoju. Trzeba było naprawdę zasłużyć, by wejść do środka. Podręcznych gości „Fryzjer” wolał przyjmować w dość skromnym mieszkaniu we Wronkach (tym samym, w którym przez pewien czas mieszkał Paweł Janas), bo po co kłuć kogoś w oczy bogactwem. Dom był tylko dla niego i jego „pańci”, swoją drogą – też fryzjerki. Poza tym ludzie mogliby zacząć pytać, a skąd kasa na tę chałupę, a

jak on się tak dorobił, skoro rencista? I skąd takie samochody w garażu? A ileż można tłumaczyć, że przecież wszystko to za zarobione przed laty w Amice pieniądze... No i za wygrane w zakładach. Że samo auto warte 250 tysięcy złotych? Dajcie spokój!

Tak w ogóle to Forbrich musiał należeć do niezwykle oszczędnych ludzi, bo pensja z wronieckiego klubu starczyła mu na lata. W dodatku zdołał z niej zakupić – jak twierdzą wtajemniczeni – dwa apartamenty w Kołobrzegu, a także zbudować dom córce. Gdzie jeszcze ulokował majątek, można zgadywać.

W każdym razie na działalności w piłce – tej zakulisowej i tej oficjalnej – dorobił się niezłego majątku. I w pewnym momencie chyba przestraszył się, że może to wszystko stracić. Gdy prokuratura zabrała się do rozbijania piłkarskiej mafii, stał się niezwykle ostrożny. Miał jeden stały numer telefonu, ale też kilka innych, bezustannie zmienianych.

Przez oficjalną komórkę rozmawiał co najwyżej o pogodzie. Zresztą – on zawsze był dyskretny. Tak naprawdę trudno było wydusić z niego cokolwiek na temat korupcji. Raz tylko, zatrzymując się w motelu nieopodal granicy niemiecko-polskiej, powiedział podobno do znajomych dziennikarzy: – To jest historyczne miejsce! To tu wywalczyliśmy awans do ligi!

Faktem jest, że z czasem starał się raczej nie pokazywać w futbolowym środowisku. Rzadko bywał na meczach. W czasie prywatnych spotkań rozglądał się, czy nie ma policyjnego ogona ani czy ktoś nie robi zdjęć. Ostrożności nauczyła go między innymi przygoda z jednym dziennikarzem, Dariuszem Łuszczyną z „Faktu”. „Ja się z nim na misia witam, a on ch... cały okablowany!” – opowiadał o tym zdarzeniu Forbrich. Raz dał się jednak podejść jak dziecko i zaoferował reporterowi „Faktu” łapówkę, nie wiedząc, że padł ofiarą prowokacji. Chciał, by za 8

tysięcy złotych nie pisać już więcej o sekskandalu wśród sędziów.

Ulubioną taktyką Forbricha było marginalizowanie swojej roli. Gdy po meczu MKS Mława – Arka Gdynia (piłkarze gości biegali za sędzią i pytali: „Kiedy w końcu ten karny?”) dziennikarskie tropy wiodły do „Fryzjera”, mówił: „Panowie, co ja mogę? Na wsi mieszkam!”. I dodawał, że z futbolem nie ma już nic wspólnego: „Ja jestem teraz dziadek portier”.

A wcześniej potrafił stanąć do walki nawet z Michałem Listkiewiczem. I Forbrich nie przegrał! Cudem, rzutem na taśmę, prezes PZPN uratował remis. O co chodzi? Otóż w 2001 roku toczył się zacięty bój o pozostanie w trzeciej lidze. Z jednej strony Kotwica „Fryzjera”, z drugiej – Kalisz, czyli rodzinne miasto Listkiewicza. Doszło do kabaretu. Oto w ostatniej kolejce Kotwica przegrała ze Spartą w Brodnicy. Jednak goście zażądali, aby sprawdzić gospodarzom dowody osobiste. Czterech piłkarzy, podobno celowo, te dowody schowało i tak zamiast porażki ekipy Rysia, było zwycięstwo. Zgodnie z przepisami Kotwicy przyznano absurdalny walkower („Fryzjer” to miał łeb!), a z ligi spadał Kalisz.

No ale od czego prezydium PZPN. Tam, na najwyższym szczeblu, uznano, że trzecią ligę należy powiększyć do 19 zespołów, doprowadzając do kompletnego bałaganu organizacyjnego. „Prezydium Zarządu PZPN podjęcie tej decyzji uzasadniło stwierdzeniem szeregu niejasności w rozpoznawaniu tej sprawy na poszczególnych szczeblach oraz działaniem w duchu zachowania zasad sportowej rywalizacji i chęcią uniknięcia skrzywdzenia drużyny niezaangażowanej w spór” – napisano w oświadczeniu.

W roku 2006 Forbrich miał już jednak świadomość, że takie cuda za nim. Jego nazwisko już nie wszystkim kojarzyło się dobrze. Dlatego gdy gdzieś telefonował, rzadko się przedstawiał. Zamiast tego zmieniał głos i mówił: „Haluuuu, z Wiednia



dzwonię”. Nie angażował się też tak bardzo w działalność w klubach, którym pomagał. Starał się kierować z tylnego siedzenia. Już nie wbiegał na boisko i nie krzyczał do arbitra: „Po tobie! Nie ma cię!”

Nie żył też tak meczami jak wcześniej. Kiedyś nawet załatwiał mistrzostwo Polski juniorów. Gdy arbiter w samej końcówce podyktował rzut karny dla gospodarzy, bojąc się, że fajtlapy mogą nie strzelić, Forbrich pobiegł za bramkę i darł się: „Sędzia! Do skutku!”

Strzelamy do skutku!”. Nie dawał się fotografować, gdy ktoś całuje go w rękę – jak sędzia Olech. „To takie jaja były” – tłumaczył.

Poza tym nie przechadzał się już klubowymi korytarzami, wołając do arbitra: „Witam cię, kurwiorzu!” Kiedyś za takie odezwanie do sędziego z Legnicy był przesłuchiwany w PZPN. I musiał tłumaczyć, że nie powiedział „kurwiarzu”, tylko „kurwiorzu”, i że nie było to obraźliwe, tylko bardzo przyjacielskie. A sam arbiter potwierdzał, że słowo „kurwiorz” to muzyka dla jego uszu, a nie żadna obelga.

To wszystko było za nim. Czuł, że może zbliżyć się coś nieprzyjemnego, i schodził z linii ognia. Na przemian odwiedzał adwokatów i lekarzy. Ci drudzy wyposażyli go w całą torbę leków i dziś trudno stwierdzić, czy była to taktyka mająca ochronić Forbricha przed więzieniem, czy też rzeczywista choroba. W każdym razie zdrowie nie pozwalało mu już organizować wyścigów na sto metrów, po bieżni stadionu we Wronkach, przy zapalonych jupiterach.

Ryszard Forbrich nie stworzył się sam. Stworzył go system – skorumpowanych arbitrow, przekupnych piłkarzy, trenerów bez jakichkolwiek zasad. „Fryzjer” po prostu idealnie wyczuł koniunkturę. Zgłaszali się do niego prezesi klubów, prosili o pomoc, więc pomagał. Dlatego nie łudźmy się, że skoro Forbrich został zawinięty, to piłka jest czysta. Jest albo za moment będzie

tak samo upačkana błotem jak wcześniej i tak jak wcześniej wypromuje nowego „Architekta”. Zresztą, tacy ludzie byli i będą. Ryszard Forbrich nie wymyślił niczego nowego – po prostu licytował wyżej, bez hamulców. I często jeśli jego zespół w niesportowej walce wygrał z rywalem, to nie znaczy, że rywalowi trzeba współczuć. On po prostu przegrał licytację. Dawał 500 tysięcy, a Forbrich przebił na 800...

Złapanie jednego „Fryzjera” niewiele daje. Są inni – jak K. w Wielkopolsce, G. i Z. w centrum kraju, S. na południu, jak trenerzy W. i E. Moglibyśmy wypisać cały alfabet. Tyle że działają dyskretniej, inteligentniej, w białych rękawiczkach. A „Fryzjer” za bardzo się afiszował – robił za dużo i za grubo. Na chama, po wiejsku. Gdy zrozumiał swój błąd, było już za późno.

W tej opowieści o Ryszardzie Forbrichu nie chciałem epatować datami, sumami, nazwiskami. To zrobili prokuratorzy. Chciałem nakreślić prawdziwy obraz człowieka uznawanego za szefa mafii piłkarskiej. Obraz pospolitego, choć sprytnego, mężczyzny ze złotym zębem na przedzie. Ale taki ojciec chrzestny, jaka nasza piłka.

\* \* \*

To tyle z „Dziennika”. Teraz trochę ode mnie, bardziej osobiście.

Oczywiście, że znałem „Fryzjera”. Im dłużej go znałem, tym bardziej rozumiałem, w jakim stopniu kręci polskim futbolem, chociaż ostateczna skala przedsięwzięcia ujawniona przez prokuraturę i mnie zaskoczyła. Raz tę znajomość nawet wykorzystałem – z czego pewnie nie powinienem być dumny, ale tak było, co tu kryć. Otóż zdarzyło się, że jeden z arbitrow – i to taki, który przetrwał czystkę i sędziuje do dziś – straszył mnie procesem. Skontaktowałem się wtedy z Forbrichem i spytałem, czy nie dałoby się go jakoś utemperować. „Fryzjer” poprosił o

przyjazd do Poznania. Odebrał mnie z dworca i pojechaliśmy do pobliskiej restauracji. Tam rozegrała się scenka, z której śmieję się do dziś.

„Architekt” wyjął kartkę papieru, napisał na niej, kto z kim grał i kto sędziował (między innymi podał nazwisko arbitra liniowego). Powiedział: – Zapamiętaj, co tu jest napisane. Dokładnie to mu powtórz. To wystarczy.

Następnie podarł tę kartkę na maluteńkie kawałeczki i wszystkie je... zjadł. Naprawdę – zjadł.

Informacje przekazane przez „Fryzjera” poskutkowały na tyle, że upierdliwy sędzia przestał się rzucać. Mówiąc krótko – został spacyfikowany.

No dobrze – ale dlaczego ty, Stanowski, nie zdekonspirowałeś Forbricha w odpowiednim czasie? Dlaczego opisałeś go dopiero wtedy, gdy zainteresowała się nim prokuratura. To jest pytanie, z którym po latach trudno mi się zmierzyć i które sam sobie czasami zadaje.

Na pewno nie siedziałem mu w kieszeni. Nasz kontakt był sporadyczny, chociaż zdarzało się, że wydzwaniał do mnie raz po raz i opowiadał jakieś bzdury. To był dziwny człowiek, lekki wariat, gadający szyfrem i śmiejący się z własnych dowcipów. Potrafił zatelefonować do mnie w Wigilię o 17.00 i... śpiewać do słuchawki „Wśród nocnej ciszy...”. Gdyby dotyczyło to innej osoby – nie uwierzyłbym. Ale tak było.

O ile się nie mylę, po raz pierwszy spotkałem go na rynku w Poznaniu. Późny wieczór, kolacja. Zjawił się prezes pierwszoligowego klubu, trener, działacz sędziowski (później zapuszkowany), wspomniany „Fryzjer”, a nawet dyrektor szpitala i przedstawiciel policji. Żebyście jeszcze lepiej zrozumieli, jakiego rodzaju człowiekiem był Forbrich, wyobraźcie sobie, że w takim gronie – aby zaimponować druhom – zwrócił się do kelnerki: – Co jest mniejsze niż piczka komarzycy?

Kelnerka, lekko zszokowana, odparła, że nie wie. A on na to: – Chuj komara, bo musi w nią wejść!

I wszyscy się śmiali do rozpuku. A im dłużej trwała biesiada, tym bardziej robiło się dziwacznie. Po kilku godzinach „Fryzjer” stawiał sobie kieliszek pełny wódki na głowie i jak gdyby nigdy nic kontynuował rozmowę. Po minucie kieliszek zdejmował, łapał złotym zębem i bez użycia rąk przechylał. No po prostu – wieś tańczy i śpiewa.

Chłop prosty jak budowa cepa. Jak sam mówił – lubiący się bić. Słyszałem historię, jak jeździł z Amicą na mecze wyjazdowe. W autokarze wypełnionym piłkarzami przebierał się w piżamę (!), a następnie kładł w przejściu. Zdarzyło się raz, że autokar mocno przyhamował, kierowca pokłócił się z drugim. Forbrich wyskoczył, podbiegł do sprawiającego problemy kierowcy i – w tej piżamie – po prostu pobił pechowca.

Lubił się chwalić. Kiedyś wraz z kolegą z redakcji wychodziliśmy ze stadionu Lecha. Na parkingu wpadliśmy na „Fryzjera”, który po zakończeniu intensywnej współpracy z Amicą pomagał głównie Kolejorzowi. Przaśny działacz wypalił: – Patrz, jakim samochodem przyjechałem!

Spojrzałem w lewo, spojrzałem w prawo...

– Nie tam się, kurwa, patrz. Na audi patrz! Na audi!

No, burak. Czasami sympatyczny, ale burak.

Dobrze, ale to wszystko nie jest odpowiedzią na pytanie, dlaczego go nie zdekonspirowałem. Powodów może być kilka. Na pewno taki, że przez wiele lat funkcjonowałem w redakcji, w której „Fryzjer” miał moich przełożonych czy też starszych kolegów w zasadzie na zawołanie. Jeździli do niego, pili z nim, plotkowali, dzwoniли do siebie. Stanowił dla nich niezwykle cenne połączenie: sponsora, biesiadnika i informatora (często dawał cynki, który trener straci pracę). Gdybym jako młody gnojek wyskoczył z pomysłem: „Hej, może napiszę prawdę o waszym koledze i go zniszczę”, to mógłbym już się w pracy nie

pojawiać. Po drugie – nie miałem faktycznej wiedzy ani żadnych dowodów, a jedynie domysły i skojarzenia. Jedna baba drugiej babie powiedziała, że Forbrich ustawia mecze, ale co z tym zrobić? To był zdecydowanie temat dla organów ścigania, a nie młodego dziennikarza. Pamiętajmy, że F. na stadionach czuł się jak u siebie, należał do władz Wielkopolskiego Związku Piłki Nożnej. Z całego środowiska piłkarskiego zwalczał go jedynie Boniek, zrobił go persona non grata w strukturach futbolu (szybko tę decyzję cofnięto). Po trzecie – cóż, może zabrakło mi na to pomysłu, bigła, odwagi, a może też „Fryzjer” mi trochę spowszedniał. Bo z tą korupcją to było trochę tak, jak z łapówkami dla drogówki. Machało się na to ręką. Jak z pirackimi płytami sprzedawanymi na ulicy – nikogo nie obchodziły. Sam na giełdzie komputerowej przy Grzybowskiej kupiłem tysiąc gier.

W całej historii tego człowieka najbardziej mnie śmieszy hipokryzja. Chodzi mi między innymi o całe to środowisko Amiki, które z czasem przeniosło się do Lecha Poznań i opowiada o standardach, wzorcach, zachodnich koncepcjach, korporacyjnym ładzie i zasadach. Zbyt rzadko pamiętamy o tym, kto asystował przy narodzinach „Fryzjera” i opłacił mu specyficzną edukację.

Korupcja w piłce jest stara jak świat, zmieniały się tylko stawki i społeczne przyzwolenie. Kazimierz Trampisz – świętej pamięci legenda Polonii Bytom – opowiadał nawet, jak kupił mecz z Legią od Lucjana Brychczego w zamian za nowe palto. Nikogo to dziś nie interesuje i nikt nie ma zamiaru rozgrzebywać starych spraw. Na swój sposób pokrzywdzeni są – tak, tak, pokrzywdzeni – piłkarze, którzy handlowali meczami po wejściu zakazującej tego ustawy. Oni jedyni ucierpieli, a w mediach są piętnowani przez starszych kolegów, którzy robili to samo (tylko że na większą skalę), ale w czasach, gdy przepisy nie funkcjonowały. Za autorytety uchodzą osoby, które kupowały i

sprzedawały mecze, zanim zainteresowała się tym prokuratura. Często widzimy ich w telewizji, w najbardziej prestiżowych programach. Kiedy raz napisałem – po zatrzymaniu Wita Żelazko – że w redakcji Canal+ jeszcze co najmniej dwie osoby mogą czuć się zaniepokojone, nie wiedzieć czemu zadzwonił do mnie akurat Kazimierz Węgrzyn i groził, że pożałuję.

Nie ma klubów czystych, żadnego. Komukolwiek kibicujesz – nie łudź się, że nigdy na twoim stadionie nie doszło do korupcji. To po prostu niemożliwe. Kiedy byłem małym gnojkiem, to uważałem, że Legii należy zwrócić mistrzostwo Polski za rok 1993, ale dawno mi to przeszło. Wiadomo, że mecze były wtedy kupowane na potęgę, a jedyny błąd polega na tym, iż komukolwiek przyznano tytuł. Należało anulować rozgrywki.

Tamta sytuacja – z sezonu 1992/1993 – jest w ogóle ciekawa i polecam wszystkim pewne ćwiczenie intelektualne. Wyobraźcie sobie bowiem, że jesteście Legią (niektórym przyjdzie to z trudnością). W ostatniej kolejce możecie przegrać mistrzostwo tylko pod jednym warunkiem – wasz rywal, ŁKS, musiałby naprawdę znaczącą różnicą goli wygrać swój mecz. Dowiadujecie się, że wygra, bo go kupił. Co robicie? Tak szczerze. Macie do wyboru dwie opcje. Pierwsza jest taka, że gracie normalnie i po prostu dajecie się wyprzedzić metr przed metą, uchodzicie za frajerów. Druga natomiast taka, że dla wyrównania szans kupujecie też swoje spotkanie i mamy zabawę dwutorową – kto więcej strzeli. Może to... nawet uczciwsze? Hm, interesujące, prawda? Sam nie jestem w stanie z pełnym przekonaniem powiedzieć, że zachowałbym się uczciwie.

Tak czy siak, Legia tamten mecz kupiła, kupiła też wiele innych w następnych latach, mimo że nie musiała, bo miała najlepszy skład w Polsce. Ale tak ta liga funkcjonowała, wszyscy się przyzwyczaili. Słyszałem nawet o meczu – zdaje się w

Koninie – w którym miejscowi piłkarze prosili: – Kupcie, zapłaćcie! Od innych kupujecie, a od nas nie chcecie.

– Ale wy jesteście najgorsi w lidze – padła odpowiedź.

– Ale nam nie płacą. Zlitujcie się, nie mamy za co żyć.

To przechodziło w szatni z pokolenia na pokolenie, ludzie nie widzieli w tym nic złego, ot – realia. Na stadionie Lecha Poznań można czasami spotkać „Lulusia”. To barwna postać. Niegdyś jeden z najbogatszych poznaniaków („Pierwszy miałem mercedesa, to była biała dama, jakże ona płynęła ulicami miasta” – wspomina), dziś... żebrak. Może to słowo, które go zaboli, bo wciąż ma w sobie dawną dumę, ale przecież na stadion przychodzi po to, by piłkarze dali mu złotówkę czy dwie. Na piwo, na wódeczkę, na cokolwiek. I dają, nie mając świadomości, kto przed nimi stoi. A przecież to był kiedyś sponsor klubu, człowiek, który płacił za transfer reprezentanta Polski Mirosława Okońskiego. Wystarczy zaprosić go na drinka, by opowiedział, jak na początku lat osiemdziesiątych kupował Lechowi mistrzostwo, jak załatwiał mecz z Górnikiem.

– A nie głupio panu, że brał pan udział w korupcji? – zapytałem go.

– A co, miałem pozwolić, żeby Widzew był mistrzem? – oburzył się. Opisał to w swojej książce nawet wspomniany Okoński, ale... mało kto zwrócił na to uwagę. Nie było głosów potępienia, nie było chóru oskarżycieli. PZPN nie zareagował w ogóle. Normalka.

Z systemem próbował kiedyś walczyć śp. Andrzej Czyżniewski – były piłkarz, sędzia, trener. To on sprawę korupcji przed laty nagłośnił. To jemu Marian Dziurówicz, ojciec Piotra (tego, który był świadkiem numer jeden w aferach piłkarskich), powiedział, wskazując na bordowy notes z listą skorumpowanych arbitrów: – Każdy w nim jest, i ty, synku, też k..., będziesz!

Za czasów „Magnata”, czyli Dziurawicza, GKS Katowice dziesięć lat z rzędu grał w europejskich pucharach. Potem stery w klubie przejął syn. Początkowo działał trochę nieudolnie, ale potem szybko zrozumiał, o co chodzi. W słynnym wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” powiedział: – Mam dość piłki, w której płacę pieniądze – z opóźnieniem, ale płacę, kupuję mecze dla drużyny, aby zajęła jak najwyższe miejsce, żeby piłkarze utrzymali się w lidze, żeby mieli pracę i mogli zarabiać pieniądze, a oni mnie oszukują i sprzedają mecze. Po jakimś czasie człowiek zastanawia się, po co to wszystko. Jeszcze żeby z tego były jakieś profity. Choć wiem, że niektórzy powiedzą, że prezesi kradną i ja też musiałem się nakraść.

Opowiedział o wszystkim – jak się „robi” mecze w lidze, że uczciwych piłkarzy nie ma, że z trenerów to może tylko Kasperczak się nie zeszmacił. Powiedział o stawkach (minimum 50 tysięcy złotych za mecz), o zasadach PZPN, że należy siedzieć cicho. Piotr – student prawa z katowickiej uczelni – powiedział rzeczy, po których każdy szanujący się działacz PZPN powinien podać się do dymisji. Ale takich działaczy, jak się okazało, wtedy nie było.

Związek w kwestii korupcji zawsze stawał po stronie przestępców. W sprawie Dziurawicza nie zrobiono nic. Jedynie zdyskwalifikowano przesadnie odważnego gówniarza. Czyżniewski, gdy ujawnił, jak kazano mu ustawiać mecz, został wyrzucony z pierwszej do drugiej ligi. Dzisiaj sytuacja jest inna, ale jeśli ktokolwiek sądzi, że problem korupcji rozwiązano raz na zawsze, to prawdopodobnie wierzy także w elfy i krasnoludki. Wystarczy spojrzeć na ligę włoską, gdzie podobne skandale zdarzają się raz po raz. A i bukmacherka kusi – wysokie kursy na własną porażkę, łatwa i pewna kasa...

Ludzie zawsze będą chcieli sobie ułatwiać życie. Tacy jesteśmy. A ułatwiając – komplikujemy, wpadamy w tarapaty. I to naprawdę nieistotne, jak dobrze grasz w piłkę, bo te dobre



drużyny też – dla świętego spokoju – przez lata pomagały szczęściu. Opowiadał mi nie tak dawno Maciej Szczęsny, jak Wisła Kraków jechała na spotkanie do Wroniek. W szatni zapadała decyzja, że trzeba Amice zapłacić za remis.

– Jak to, kurwa? Amice? Za remis?! – dziwił się. – Nie dość, że byliśmy dwa razy lepsi od Amiki, to jeszcze mieliśmy jej zapłacić za zremisowanie! Wyobrażasz to sobie? Ale tylko ja i Tomek Frankowski się oburzyliśmy...

A najśmieszniejsze, że Wisła wcale tego spotkania nie zremisowała, bo na boisko w zespole Amik i w końcówce wszedł obcokrajowiec, Maxwell Kału. I w ostatniej minucie strzelił gola. Może był niewtajemniczony.



**Dlaczego Franciszek Smuda musiał  
ponieść klęskę?**



**T**o jedna z moich najdziwniejszych sportowych znajomości w życiu. Bohatera tego rozdziału nie muszę przedstawiać, bo znają go wszyscy. Nawet rodzina Adamiaków.

Franciszka Smudę poznałem, gdy został trenerem Legii, i mogę powiedzieć, że mieliśmy naprawdę świetny kontakt. Poza rzadkimi momentami, gdy tracił nad sobą panowanie (np. konferencja prasowa w Lubinie, gdy redaktorowi naczelnemu tygodnika „Nasza Legia” zaproponował „wyjście na solo”), był pogodnym i otwartym człowiekiem. Później, gdy los go rzucił w inne miejsca Polski, nasze kontakty też były serdeczne i mogłem mieć pewność, że jeśli będę chciał z „Franzem” przeprowadzić wywiad nawet w środku nocy – zgodzi się bez wahania. Byliśmy – jak to określał Smuda – „przyjacioły”. Oczywiście takich „przyjaciołów” miał w środowisku dziennikarskim kilku, pewnie pięciu albo sześciu, a ja nie byłem najlepszym z nich. No ale jednak.

Pamiętam nawet taką scenkę. Trenerem Legii po raz drugi został Dariusz Kubicki. Jego pierwsze podejście było fatalne, zachowywał się jak gbur, żeby nie napisać, że jak totalny cham (o tym, jak traktował piłkarzy czy legendarnego Lucjana Brychczego, można było przeczytać w książce „Szamo” – zachęcam). Kiedyś podczas zgrupowania w Austrii w obecności kilku piłkarzy krzyknął do mnie, bym „nikomu nie zawracał dupy”. W porządku, pomyślałem, pozawracam kiedy indziej. Może po jakichś porażkach.

Porażki oczywiście przyszły, Kubicki został zwolniony. Kiedy go zatrudnili po raz drugi, zaprosił mnie do swojego gabinetu, gdzie odbyliśmy krótką rozmowę.

– Czy nie mógłby pan... – rozpoczął jakoś tak dziwnie, z szacunkiem, nie w swoim stylu. – Czy mógłby pan opisywać mnie tak lepiej, wie pan, jak Franka Smudę? Moglibyśmy mieć lepsze kontakty! Równie dobre!

– To niemożliwe – odparłem.

– Dlaczego?

– Ponieważ Smuda jest sympatyczny, a pan jest chamem.

Aż sam się zdziwiłem, że jako młodziutki chłopak tak odpowiedziałem trenerowi Legii i byłemu reprezentantowi Polski, ale może ta sytuacja z Austrii ciągle we mnie siedziała.

Piszę to dlatego, że moi stali czytelnicy dobrze wiedzą, jakie zdanie mam aktualnie o Smudzie, i mogą być zdziwieni, że inny trener był wręcz zazdrosny o moje z nim kontakty. A jednak! W zasadzie spośród wszystkich szkoleniowców Legii, z którymi jako dziennikarz współpracowałem, tylko z dwoma miałem lepsze stosunki – z Dragomirem Okuką oraz Stefanem Białasem. Ten drugi nawet mnie wzruszył, bo gdy go zwalniali, przyniósł mi... pożegnalny prezent (oryginalną koszulkę z lat siedemdziesiątych). Mało tego, dwa czy trzy lata później – co już było totalnym zaskoczeniem – pamiętał o moim urodzinach. Siedziałem w redakcji „Przeglądu Sportowego”, gdy zadzwonił telefon. Białas poprosił o zejście na dół i wręczył mi piękny album napoleoński, bo jest fanatykiem tamtego okresu.

Wiąże się z nim jeszcze jedna historia. Otóż oglądałem wtedy nie tylko mecze pierwszej drużyny, ale też rezerw – a w nich szalał nieodkryty jeszcze Radosław Wróblewski. Jednego dnia podszedłem do Stefana Białasa i spytałem, czy nie uważa, że mógłby Wróblewskiemu dać szansę.

– A w ilu meczach w tym sezonie go pan widział? – spytał, jak zawsze elegancko, jak zawsze na „pan”.

– We wszystkich.

– I zawsze był taki dobry?

– Zawsze.

– No to zagra w Bełchatowie.

Miałem oczy wielkie jak pięć złotych – w Bełchatowie, czyli za kilka dni, w ekstraklasie, w meczu GKS – Legia! „Wróbel” miał wprawdzie pół roku wcześniej epizodzik ligowy, ale później nikt nie brał go pod uwagę. Aż nagle Białas tam, na parkingu klubowym, podczas nieznaczącej rozmowy ze mną, wzruszył ramionami i powiedział: no to zagra. Jakby mowa była o wysłaniu chłopaka po bułki do sklepu.

Wróblewski faktycznie zagrał, zaliczył asystę przy голу Mariusza Śrutwy, w następnym spotkaniu zdobył bramkę, i to w starciu z Wisłą Kraków, najlepszą drużyną w kraju. Od momentu pogawędki z Białasem do końca sezonu zaliczył siedem występów w podstawowym składzie Legii, a łącznie w ekstraklasie zagrał 139 razy. Gdyby jako człowiek nie zagubił się, mogłoby być ich drugie tyle. Te liczby to taka moja mała satysfakcja.

Jednak darujmy sobie innych trenerów i wróćmy do bohatera tego rozdziału, czyli do Franciszka Smudy. Gdy tylko został selekcjonerem reprezentacji Polski, nie byłem bezkrytyczny i chyba trafnie przewidziałem, co może okazać się największym problemem tego trenera. Napisałem wtedy tekst pt. „Franek Smuda selekcjonerem, czyli pochwała prostoty”. A w nim...

*Frankowi serdecznie gratulujemy, chociaż tak szczerze, to uczucia mamy mieszane. Z jednej strony on ma „to coś”, ale z drugiej – właśnie nie wiadomo, co to jest. I wprawdzie to fajny chłop, ale jednak pełny naturalszczyk. Wyjdzie w praniu, czy się nada na tę funkcję.*

*Jedno jest zastanawiające – czy Franciszek Smuda jest inteligentny? No bo selekcjoner lepiej, żeby jednak był. Zwłaszcza selekcjoner na Euro 2012, który rozmawiać będzie już nie tylko z zaprzyjaźnionymi dziennikarzami sportowymi, ale ze wszystkimi*

*mediami (niektórzy mogą być zaskoczeni, kiedy wypali coś w stylu: „Kaczka, sraczka, padaczka, Siadaczka”). Taki człowiek ma za trzy lata porwać cały kraj, zjednoczyć, oczarować, omamić. Tymczasem „Franz”, choć Polakiem jest stuprocentowym, mówi po polsku w zasadzie gorzej niż Aleksandar Vuković. Jakieś tam postępy przez dziesięć lat poczynił, ale powiedzmy sobie szczerze – niewielkie. Kiedyś powiedział do Macieja Szczęsnego: – Wiesz, muszę się zacząć uczyć języka... Szczęsny: – Ale polskiego? Smuda: – Nie, kurwa, hiszpańskiego! Żart byłego bramkarza Widzewa (niezamierzony) niewiele stracił na aktualności.*

*Z tą inteligencją Smudy to sprawa trudna do rozstrzygnięcia. Ma jakąś tam inteligencję chłopską, życiową, niepopartą żadnymi książkami czy wiedzą ogólną o świecie („Muraś, ty wyglądasz jak dzwonnik z Rotterdamu”). Może to jednak wystarczy? Bo jeśli „Franz” wynikami porwie całą Polskę, to inne metody nie będą już potrzebne. Poza tym – Strejlaua już nazwano „światnym trenerem, ale bez wyników”. Erudyta, gawędziarz, inteligent. Ale do piłkarzy dotrzeć nie potrafił. I nie miał szczęścia. A „Franz” to jednak życiowy farciarz. Są ludzie, z którymi strach wsiąść do windy, ale są też tacy, z którymi śmiało można wchodzić do rozklekotanego samolotu. I Smuda zalicza się do tej drugiej grupy.*

Niestety, z fartem to tak jest, że raz się pojawia, a raz znika. Smudzie czmychnął w siną dal w najważniejszym momencie. Ale po kolei...

Cóż się stało, że się tak poróżniliśmy, iż dzisiaj Franek zabija mnie wzrokiem? Najlepiej będzie odpowiedzieć zgodnie z prawdą – nic. Zupełnie nic się nie stało. Dobrze pamiętam konferencję jeszcze przed jego debiutem, na stadionie przy Łazienkowskiej przeciwko Rumunii. Spotkanie z dziennikarzami odbywało się w sporej salce pod trybuną główną, wejście było mniej więcej na środku. Stoły – na prawo od wejścia, a ja pod ścianą – na lewo. Smuda wszedł, rozejrzał

się, spostrzegł mnie i zamiast zająć miejsce (czyli pójść w prawo), ruszył w moim kierunku. Przywitaliśmy się, wymieniliśmy kurtuazyjnymi uprzejmościami. Aż mnie ten gest zaskoczył, bo przecież sala była nabita po brzegi, a wszystkie oczy zwrócone na nas.

Jeszcze raz zapytacie – co się więc stało? A ja jeszcze raz odpowiem – nic. Zupełnie nic się nie stało. Może po prostu... dorosłem? Może przestało mi specjalnie imponować, że znam tego czy owego, a zacząłem się po prostu wsłuchiwać w słowa i wyciągać wnioski. Mimo że Smudę lubiłem, to nie mogłem pozostać głuchy na to, co wygaduje i co wyprawia jako trener. Przestałem być stojakiem do mikrofonu, a stałem się człowiekiem, który nie tylko chce słowa szkoleniowca spisywać, ale też analizować i polemizować.

Kiedyś dawno miałem dziewczynę w Korei Południowej i co jakiś czas do niej latałem. Panowała wtedy na świecie epidemia SARS. „Franz” wyraźnie zatroskał się o moje zdrowie. Przed wyjazdem ostrzegł: – Żebyś tylko nie złapał... Tego... No... SMS-a!

Wtedy te jego językowe wpadki mnie śmieszyły i nawet wydawały się urocze, ale gdy trener kadry narodowej odpowiedzialny za przygotowania do historycznego projektu – finałów mistrzostw Europy w Polsce – wygadawał kompletne bzdury, trudno mi było wytrzymać. Kredyt zaufania, który zamierzałem mu dać, okazał się... jakby to ująć... nieściągalny. Można się było klepać po plecach, udawać, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, można było robić sto wywiadów miesięcznie, ale byłoby to nieuczciwe wobec czytelników. I chociaż Smuda wściekał się raz po raz – należało skrupulatnie oceniać każde jego posunięcie. Nawet jeśli oznaczało to permanentną krytykę. Ale to naprawdę nie moja wina, że na ciepłe słowa ten akurat selekcjoner nie zasłużył.

Oczywiście on sam patrzył na to inaczej. Jest to trener, który we własnym mniemaniu nie popełnia błędów i zawsze osiąga wynik ponad stan. Trzeba przyznać, że jak na człowieka, który ostatnie mistrzostwo Polski wywalczył w 1999 roku, jest bardzo skuteczny we wmawianiu ludziom swoich rzekomych sukcesów. Weźmy na przykład Lecha. „Franz” lubi opowiadać, że jak wjeżdża do Poznania, to ludzie biją mu brawo na światłach, tymczasem te opowieści nijak się mają do trenerskiego dorobku. Trzy lata, najwyższe miejsce – trzecie, w ostatnim sezonie. Awans do europejskich pucharów, dzięki któremu udało się pograć w grupie Ligi Europy, a nawet z niej wyjść – otrzymany w prezencie, dzięki rezygnacji Groclinu. I wystarczyło tylko, by Smuda Kolejorza opuścić, a już rok później z tą drużyną trener Jacek Zieliński zdobył mistrzostwo kraju.

– Nawet w Odrze Wodzisław stworzył zespół. I uratował przed spadkiem – wspominają czasami kibice, podczas gdy Smuda Odrę objął na jedenastym miejscu w tabeli, a zostawił na trzynastym, przedostatnim, oznaczającym grę w barażach o pozostanie w lidze. Gdy go zapytacie o tamten okres, opowie: – Przejąłem zespół w fatalnej sytuacji i uratowałem go przed spadkiem!

Co najciekawsze, on w to naprawdę wierzy. Mało tego, jemu się wydaje, że Okuka zdobył mistrzostwo z Legią, bo kontynuował pracę Smudy, Michniewicz wygrał ligę z Zagłębiem Lubin, bo przejął drużynę po „Franzu”, Kasperczak święcił sukcesy w Wiśle, bo mu nasz bohater zostawił samograję... I tak dalej. Wnikliwy czytelnik znajdzie odpowiedni cytat ze Smudy na każde powyższe stwierdzenie. Sam od 1999 roku nie może wygrać ligi, za to ciągle wygrywają dla innych. Samarytanin.

Skoro więc „Franz” przypisuje sobie urojone sukcesy, trudno, żeby przyjmował jakąkolwiek krytykę. Z początku nawet się nią specjalnie nie przejmował, traktował jako



nieistotne gderanie, natomiast gdy wpadał w coraz większe tarapaty, stawał się coraz bardziej nerwowy i zgorzkniały. Aż w końcu, po meczu z Czechami, naszym ostatnim na Euro 2012, w tzw. strefie mieszanej zobaczyłem niemalże trupa. Pomiędzy dziennikarzami przemknął człowiek o obwisłej, poszarzałej twarzy i pustym spojrzeniu. Tamtego konkretnego dnia Franciszek Smuda miał 92 lata i wszystkie choroby świata.

Ale tak to się musiało skończyć. Po prostu musiało. Gdybym chciał przedstawić przygotowania do Euro w formie kalendarza miesiąca, musiałyby one wyglądać mniej więcej tak...

#### DZIEŃ PIERWSZY.

Franciszek Smuda obejmuje kadrę. Mówi o kilku zasadach. Na pewno nie będzie taki, jak poprzednicy, którzy na zgrupowania zabierali żony. No i na pewno nie będzie powoływał żadnych cudzoziemców, bo – no ludzie złoci – to są farbowane lisy. Pytają go o Manuela Arboledę, a on odpowiada: – *Nie ma mowy, by kiedykolwiek u mnie zagrał. On jest Kolumbijczykiem. To fantastyczny chłopak i świetny piłkarz, ale stać nas na stworzenie reprezentacji opartej tylko na Polakach.*

#### DZIEŃ DRUGI.

Na pierwsze zgrupowanie do Tajlandii Smuda zabiera żonę. Wprawdzie miał tego nie robić, ale zmienił zdanie. Z tym Arboledą to też takie tylko żarty były. W sumie bardzo by go mimo wszystko w kadrze chciał. Wyznaje, że wcześniej nie interesował się futbolem: – *Kiedy obejmowałem kadrę, nie wiedziałem, że europejskie reprezentacje korzystają z pomocy obcokrajowców. Z czasem zrozumiałem, że to normalna praktyka i nie wiem, dlaczego Polska miałaby stawiać się w gorszej pozycji...*

### DZIEŃ TRZECI.

Arboledy Smuda już nie chce, bo mówi, że jest jednak za stary. Nie wiadomo, czy się postarzał o kilka lat przez jeden dzień, ale widocznie tak. Przedwczoraj był niepotrzebny, bo to Kolumbijczyk, wczoraj potrzebny, bo można naturalizować, a dzisiaj niepotrzebny, bo staruch. Na szczęście jest Arkadiusz Głowacki, który – jak mówi Smuda – *w Turcji wypracował taką formę, że spokojnie można zacząć myśleć o budowaniu obrony wokół niego.*

### DZIEŃ CZWARTY.

Niestety, okazuje się, że Głowacki wcale nie wypracował żadnej formy w Turcji, ponieważ w momencie gdy selekcjoner wypowiadał te słowa, polski obrońca miał rozegrane tylko dwa mecze w Trabzonsporze, i to niecałe. W dodatku jest w tym samym wieku co Arboleda.

### DZIEŃ PIĄTY.

Obrona będzie więc budowana wokół Michała Żewłakowa, teraz trzeba znaleźć dla niego partnera. Na razie obok niego zagra Grzegorz Wojtkowiak, który jest – jak przyznaje Smuda – *urodzonym środkowym obrońcą.* To trochę zaskakujące, ponieważ kiedy Smuda tego samego Wojtkowiaka prowadził w Lechu Poznań, to nigdy nie wystawił go na środku obrony.

### DZIEŃ SZÓSTY.

Smuda tym razem odkrywa wiek Żewłakowa i mówi: – *Nie oszukujmy się, szansa na to, że Michał Żewłakow dotrwa w wyjściowym składzie do finałów Euro 2012, od początku nie była za duża. Biologii nie da się oszukać...* Jednocześnie selekcjoner skreśla możliwość powołania dwóch innych piłkarzy. O Sebastianie Mili mówi: – *Lubię Mile, ale żeby stał się kadrowiczem,*

*musiałby być szybszy i lepiej grać ciałem. Potrzebuję piłkarzy kompletnych... Natomiast o Andrzeju Niedzielanie: – Nie pytajcie mnie o powołanie dla Niedzielana. Ja mam wizję budowy mojej drużyny i nie będę do niej powoływał kogoś tylko dlatego, że zagra dobrze jeden czy dwa mecze w lidze.*

#### DZIEŃ SIÓDMY.

Selekcjoner powołuje Sebastiana Milę i Andrzeja Niedzielana.

#### DZIEŃ ÓSMY.

Smuda oświadcza, że budowa drużyny idzie mu wyśmienicie. Średnia wieku to 23 lata, a średnia liczba zdobytych bramek jest najwyższa od niepamiętnych czasów. Dziennikarze sprawdzają, że w rzeczywistości średnia wieku to ponad 27 lat, a tak niewielu bramek nasza kadra nie zdobywała od wczesnych lat dziewięćdziesiątych. „Franz” nie akceptuje tych wyliczeń i uparcie tkwi przy alternatywnych, własnych.

#### DZIEŃ DZIEWIĄTY.

Do kadry do tej pory powołano 88 zawodników, w tym 12 bramkarzy. Powołanie dostał nawet Bartosz Kaniecki, który do tej pory rozegrał zaledwie cztery mecze w ekstraklasie. Smuda bierze pod uwagę sprawdzenie Kamila Grosickiego, ale nie chce mu się lecieć do Turcji. Mówi: – *Nie będę tam pędził, bo nie wiem, czy Grosicki zagra.*

#### DZIEŃ DZIESIĄTY.

Grosicki oczywiście zagrał. Był to jego dwudziesty pierwszy występ z rzędu. Ale oczy „Franza” są już skierowane gdzie indziej. Bardzo podobają mu się występy Sebastiana Boenisch. Oświadcza, że *ostatnio jak grał w Bundeslidze, spisał się bardzo dobrze, więc nie zapomniał, jak się gra i biega.* Dziennikarze nie

wiedzą, o co chodzi, ponieważ w całym sezonie Boenisch nie rozegrał ani jednego pełnego meczu, a tylko cztery razy pojawił się w składzie. Raz dostał czerwoną kartkę, raz grał krótko, a dwa razy został uznany przez niemiecką prasę za beznadziejnego.

#### DZIEŃ JEDENASTY.

Tým razem trener popisuje się wiedzą na inne tematy. – *Może dojdzie ktoś jeszcze do pionu medialnego, ale żadnych nowych etatów nie będzie. Psychologa też nie, bo nie mamy w drużynie wariatów* – stwierdza, a psychologowie w całej Polsce łapią się za głowy. Smuda mówi, że sam jest *Cyganem i czarodziejem* i świetnie wyczuwa, co siedzi w głowach jego zawodników. Zawsze wie, kiedy przegrają... Cóż, to akurat każdy wie, skoro przegrywają non stop.

#### DZIEŃ DWUNASTY.

Na tapetę trafia Mirosław Sznaucner, o którego pytają dziennikarze. Smuda mówi, że oczywiście wie wszystko na temat tego zawodnika, ale... – *Siedzę zespoły zagraniczne i jak ktoś na 17 meczów rozgrywa raptem trzy, a później jeszcze wypowiada się na temat swoich kolegów negatywnie, to ja wolę go nie znać* – stwierdza. Życzliwi podpowiadają, że Sznaucner rozegrał nie trzy mecze, tylko czternaście, ale już jest za późno. Klamka zapadła. Jest jeszcze opcja z powołaniem Radosława Majewskiego. Smuda w ostatniej chwili rezygnuje z lotu do Anglii. Mówi, że gdyby spadł śnieg, to nie zdążyłby wrócić na sylwestra.

#### DZIEŃ TRZYNASTY.

Gramy mecz towarzyski z Hiszpanią. Smuda zachwala Matuszczyka: – *Mało jest takich piłkarzy, bo to nie jest tylko*

*defensywny pomocnik. Adam bardzo przydaje się też w ataku. Jeśli Tomek Bandrowski się trochę podszkoli technicznie, to razem z Matuszczykiem na Euro 2012 będą taką parą jak Iniesta i Xavi w Barcelonie. Zabiegają wszystkich i nikomu nie odpuszczą... Na mecz z Hiszpanią taktyka ma być ofensywna.*

#### DZIEŃ CZTERNASTY.

Niestety, przegrywamy 0:6. Smuda mówi, że woli dalej grać ofensywnie i przegrywać 0:6, niż zagrać defensywnie jak Szwajcaria i z Hiszpanią wygrać 1:0. – *Jak ktoś chce tylko przeszkadzać, to niech siedzi w domu* – stwierdza buńczucznie. Ogólnie jest w dobrym nastroju, jak na sześciobramkową klęskę: – %%Mówiłem przecież, że ta Hiszpania nie jest niemożliwa do ogrania. Wiem, że z nimi przegraliśmy wysoko, ale gdybyśmy byli tak jak oni w formie przed ważnym turniejem, a nie przed wyjazdem na wakacje, to wynik mógłby być zupełnie inny...%% Lekkim zaskoczeniem jest wypowiedź, że piłkarze nie ćwiczą rzutów wolnych: – *Co nam przyjdzie z tych ćwiczeń, jak potem w meczu możemy nie mieć rzutu wolnego?* Cóż, sama prawda. Aha, Matuszczyk nie okazał się Iniestą, a Bandrowski Xavim.

#### DZIEŃ PIĘTNASTY.

Zaraz poprawimy sobie nastroje meczem z Łotwą. Gra tam Artjom Rudniew, strzelający jak na zawołanie w naszej ekstraklasie. – *Wiem, jak go zatrzymać. Pokazały to zespoły z czołówki tabeli T-Mobile Ekstraklasy. Rudniew strzelał dużo bramek, ale głównie w meczach z drużynami broniącymi się przed spadkiem* – mówi pewny siebie Smuda. Ludzie podpowiadają mu, że Rudniew pierwszym trzem drużynom ligi wbił pięć goli. Nie wiadomo, czy „Franz” nie wiedział o tych golach, czy nie wiedział, jak wygląda tabela.

## DZIEŃ SZESNASTY.

Nastroje trochę siadają, Smuda narzeka, że Beenhakker zostawił mu tylko „pół piłkarza”. Nie wiadomo, kto jest tą połówką – Lewandowski, Błaszczykowski, Piszczek czy kto inny. Tego Franciszek nie ujawnia. Na szczęście przygotowania idą pełną parą. Zagramy w Niemczech z Białorusią. Dziennikarze się dziwią, jak można grać w Niemczech z Białorusią, ale przecież wszystko jest bardzo logiczne. Logistyka. Smuda tłumaczy, że chodzi o to, by piłkarze jak najmniej podróżowali i mieli blisko do swoich klubów.

## DZIEŃ SIEDEMNASTY.

Kilka dni przed meczem z Białorusią w Niemczech – rozegranym tam po to, aby piłkarze nie męczyli się podróżami – gramy w Seulu z Koreą. Marne dwanaście godzin samolotem w jedną stronę. Ale nie ma co przesadzać. Jak mówi nasz selekcjoner: – *Większość reprezentantów Korei występuje w Europie i oni też będą musieli przemierzyć pół świata, aby z nami zagrać. I nie wierzę, żeby ktoś z tego powodu robił problemy...* Rzut oka na kadrę Korei i okazuje się, że szesnastu zawodników gra na co dzień w Korei Południowej, a jeden w Japonii. Ale dobra, nieważne.

## DZIEŃ OSIEMNASTY.

Franciszkowi Smudzie podoba się gra Dudu Paraíby. – *Nie wykluczam, że mu się przyjrzę. Ale podstawowym warunkiem jest posiadanie polskiego obywatelstwa. Skoro Niemcy mogą mieć Turka, Ghańczyka czy Tunezyjczyka, to my możemy mieć Brazylijczyka* – mówi. Mamy już dwóch Francuzów i dwóch byłych reprezentantów niemieckiej młodzieżówki. Dziennikarze przypominają niedawną wypowiedź o farbowanych lisach: – *Wciskanie ich do kadry to kabaret. Chłopaki może i sympatyczne, ale co mają wspólnego z naszym krajem? Nic!*

## DZIEŃ DZIEWIĘTNASTY.

Smuda ogłasza, że w kadrze skończyło się pijaństwo, tak powszechne za czasów jego poprzedników. Teraz jest dyscyplina i kult pracy. I tak ma zostać.

## DZIEŃ DWUDZIESTY.

Po meczu w Krakowie Sławomir Peszko, będąc pod wpływem alkoholu, w hotelowym korytarzu w środku nocy ubliża drugiemu trenerowi kadry. Na pewien czas wypada z kadry.

## DZIEŃ DWUDZIESTY PIERWSZY.

Rozgrywamy sparingi w USA i Kanadzie. Smuda mówi, że zaprezentowaliśmy się bardzo dobrze, licząc, że nikt nie zarywał nocy, by to faktycznie obejrzeć. W samolocie powrotnym Boruc i Żewłakow piją wino. Zostają za to usunięci z kadry. Selekcjoner ogłasza program „zero tolerancji”. Podczas spotkania z kibicami w Wodzisławiu Śląskim mówi, że zamiast Boruca może grać Mateusz Gliwa.

## DZIEŃ DWUDZIESTY DRUGI.

Gliwa okazuje się najgorszym bramkarzem ligi. Ale mniejsza z tym. Sławomir Peszko i Marcin Wasilewski podchmieleni jadą taksówką, co kończy się kłótnią z kierowcą. Smuda jedzie do Niemiec, by sprawdzić osobiście stan taksówki. Wyrzuca zawodników z reprezentacji i mówi, że to decyzja nieodwołalna.

## DZIEŃ DWUDZIESTY TRZECI.

Marcin Wasilewski w reprezentacji.

## DZIEŃ DWUDZIESTY CZWARTY.

Smuda pytany jest o coraz to inne tematy. To w końcu selekcjoner, czyli autorytet. Dziennikarz więc docieka, jakie

powinny być prawidłowe proporcje w czołowym polskim klubie. Ilu Polaków, a ilu cudzoziemców. „Franz” odpowiada: – *Myszę, że w kadrze sześciu, siedmiu zawodników z zagranicy, to góra. Czterech, pięciu w podstawowym składzie...* Ktoś wylicza, że gdy przejął Lecha, cudzoziemców było trzech, a gdy go zostawiał – dwunastu.

#### DZIEŃ DWUDZIESTY PIĄTY.

Ostatnia prosta przed Euro. Zatrudniamy nowego trenera. – *Cieszę się, że doszedł do nas amerykański specjalista od przygotowania fizycznego Barry Solan. Ma dobry kontakt z piłkarzami. I – co ważne – ma doświadczenie turniejowe, bo na Euro 2008 pomagał Turkom. Doszli do półfinału, więc widać, że zna się na robocie. Oby z nami pracował z podobnymi efektami. I wystarczy – przedstawia go Franciszek Smuda podczas konferencji prasowej.*

#### DZIEŃ DWUDZIESTY SZÓSTY.

Niestety, okazuje się że Barry Solan wcale nie jest Amerykaninem, tylko Irlandczykiem. No dobrze, to mały problem. Gorzej, że wcale nie pomagał Turkom w czasie Euro 2008. W ogóle nigdy im nie pomagał. A co najgorsze – nigdy przenigdy nie współpracował z jakąkolwiek drużyną piłkarską. Do tej pory specjalizował się w futbolu gaelickim, czyli zupełnie innej dyscyplinie sportu. Generalnie tak naprawdę nie wiadomo, kim jest. Smuda uparcie twierdzi, że to Amerykanin. I że pociągnął Turcję do półfinałów. A zresztą, proszę nie zawracać mu głowy.

#### DZIEŃ DWUDZIESTY SIÓDMY.

Już po Euro. Kończymy turniej na ostatnim miejscu w najgorszej grupie, jaka kiedykolwiek została wylosowana. Smuda jest



względnie zadowolony: – *Zostają Grecy i Czesi, my kończymy. Kończymy, ale z klasą. Nie było blamażu, nie polegliśmy po 0:4, 0:5. Co mają powiedzieć Holendrzy, którzy już po dwóch meczach wpadli w niesamowite tarapaty? Przecież my nie mamy kilku takich piłkarzy, jakich oni mają w całej kadrze. Nie mówię tego, by komuś dopiec, to są fakty i wszyscy zdajemy sobie z nich sprawę...* Nie jest jasne, czy „Franz” zdaje sobie sprawę, że Holendrom bramki strzelali Cristiano Ronaldo i Mario Gómez, a nam Salpingidis i Jiráček. Innymi słowy, Holendrzy byli w grupie z Niemcami, Portugalią i Danią, a nie Grecją, Czechami i Rosją. Zachodzi podejrzenie, że Smuda nie chciał powiedzieć „kończymy, ale z klasą”, tylko „kończymy, ale z kasą”. Wszak piłkarze zapewnili sobie premie niezwiązane z wyjściem z grupy, a sam Smuda zarabiał 150 000 złotych miesięcznie.

#### DZIEŃ DWUDZIESTY ÓSMY.

Trwają rozliczenia. Dziennikarz pyta Smudę, czy ma jakiś zarzut do siebie. Ten odpowiada: – *Tak, jeden. Nie wyszedłem z grupy. Resztę pracy, wszystkie przygotowania wykonaliśmy w sposób perfekcyjny, co do przecinka. Jeszcze raz powtórzę: ani taktycznie, ani osobowo niczego bym nie zmienił. Poprowadziłbym wszystko tak samo. Nie spieprzyłem niczego, byłem, gdzie mogłem, by znaleźć najlepszych ludzi, czy to w Polsce, czy za granicą. Kto na nas pluł, będzie to robił nadal, ale teraz przestaje to mieć znaczenie. Wiem, ile radości i nadziei daliśmy ludziom, nasz zespół pociągnął za sobą całą Polskę, wszyscy mówili o nas, za nas trzymali kciuki, wszystko inne przestało się liczyć...* Nie tylko Smuda wie, ile ten zespół dał radości Polakom. Wszyscy wiedzą – zero.

#### DZIEŃ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY.

Rozstań czas, trochę rzewnych tekstów. Smuda mówi, że zostawia następcy gotowy zespół. W zasadzie wykonał już całą robotę niezbędną, aby awansować do mistrzostw świata w 2014 roku. Nikt nie wie, o co mu chodzi, ale też nikt nie dopytuje, bo po co? Na koniec „Franz” stwierdza: – *Autentycznie czuję, że byłem szefem kapitalnej, zdyscyplinowanej, głodnej zwycięstwa ekipy...* To prawda, ekipa nadal jest głodna, bo jeszcze niczego nie wygrała.

#### DZIEŃ TRZYDZIESTY.

Nowa perspektywa. Smuda: – *Ponownie wracam dopytania: na jakiej podstawie określono nasz cel minimum i wynik uznano za porażkę, a wręcz klęskę?* Chyba nie trafia do niego argument, że trudno za porażkę, a wręcz klęskę, nie uznać ostatniego miejsca w grupie i braku chociaż jednej wygranej. Stara prawda, że jeśli ktoś przegrywa, to uznaje się, że przegrał, a jeśli wygrywa – że wygrał, tym razem okazuje się nieaktualna.

#### DZIEŃ TRZYDZIESTY PIERWSZY.

Adam Nawałka cztery lata później awansuje do finałów Euro 2016. Franciszek Smuda mówi, że w dużej mierze to też jego sukces.

Może się komuś wydawać, że to, co powyżej – to jakiś żart, kiepskiej klasy parodia z przygotowań reprezentacji. Niestety, wszystkie zdarzenia i wszystkie cytaty są prawdziwe. Jedynie poprzestawiałem kolejność, żeby się łatwiej było połapać, zestawiłem fakty, upchnąłem kolanem te niedorzeczności, podałem w skondensowanej formie. Lista mogłaby być zresztą dłuższa, ale po co? I tak widać całość jak na dłoni – brnęliśmy donikąd, kierowani przez nikogo. Żartem były te przygotowania, o czym niestety nie informowały

mainstreamowe media. Pompowano balon, podbijano bębenek, podczas gdy należało alarmować: wszystko, co dzieje się w reprezentacji, przybliżyło nas do katastrofy. Katastrofy, która – rzecz jasna – nastąpiła. Ale nie, my woleliśmy biało-czerwoną na maszcie, telewizyjne łączenia z dachu fabryki Wedla, ekspertów opowiadających, że celujemy w półfinał, Marylę Rodowicz z gitarą, uszminkowanych celebrytów i pajaców skaczących w rytm „Koko-koko Euro spoko”. Łaknęliśmy tych wszystkich durnot i te durnoty nam dostarczano.

Jako dziennikarz często jestem postrzegany jako czarnowidz, przesadny pesymista, dla niektórych nawet – mąciciel. A ja po prostu obserwuję i wyciągam wnioski (nie twierdzę, że zawsze słuszne – często błędne). Zdarza się, że mimo wielopoziomowej katastrofy na sam koniec w meczu pada pozytywny wynik – to normalne, piłka nożna jest najbardziej przypadkowym spośród wszystkich sportów zespołowych i bywa, że wygrywają drużyny, które wręcz błagały o klęskę. Wówczas pismak jest wrogiem numer jeden – jątrzyicielem, który piłował gałąź, ale nie dopiął celu. Cudem uzyskany pozytywny wynik stanowi usprawiedliwienie dla każdej niekompetencji, której się wcześniej dopuszczono. Ty, drogi czytelniku, właśnie taki jesteś. Masz swoją ulubioną drużynę i gwarantuję, że przynajmniej raz w życiu naskoczyłeś na dziennikarza, który wskazywał na jej rzeczywiste problemy. Ale ponieważ udało się wygrać (zapewne przypadkiem), uznałeś, że problemy są wymyślone, a dziennikarz to sprzedajna szuja i wrogi agent.

W lidze wygrywa się i przegrywa mnóstwo meczów przypadkiem. Natomiast raczej nikt przypadkiem nie zostaje mistrzem kraju i nikt przypadkiem nie spada – na długim dystansie system wypływa prawidłowe rozwiązania. W mistrzostwach Europy bywa inaczej. To zaledwie trzy mecze, bez rewanżów. My dodatkowo mieliśmy to szczęście, że

wszystkie spotkania rozgrywaliśmy na własnym boisku. Ale nawet ta szansa została zmarnowana.

Jeśli ktoś nie ma dość, niech powyższy kalendarz przeczyta raz jeszcze. Trudno o bardziej dobitny dowód, iż od początku brnęliśmy w ślepą uliczkę. Armia potrzebuje charyzmatycznego wodza, tymczasem tutaj zamiast niego miała rozkołysanego od lewa do prawa mitomana, któremu wydawało się, iż za moment podbije świat, chociaż w rzeczywistości należało zacząć od wyprania skarpetek. Nie istniał żaden długofalowy plan, nikt nie nakreślił ścieżki z punktu A do punktu B, nie stworzono jakichkolwiek fundamentów. W każdym biznesie – a futbol to też biznes – określa się założenia, których należy bezsprzecznie przestrzegać. Wytycza się plany, które muszą zostać zrealizowane, i wskazuje ludzi, którzy mają odpowiadać za konkretne obszary. Reprezentacja Polski przed Euro 2012 była spontanicznym kompletnym bałaganem, klockami, które rozsypano na podłodze, a potem pospiesznie zebrano, nie bacząc na to, czy elementy do siebie pasują. To, co stanowiło priorytet w poniedziałek, w czwartek pozostawało nieznaczącym wspomnieniem. Strategia? Wątpię, by ówczesny szef szefów potrafił napisać to słowo bez konsultacji. Dążyliśmy do samozagłady, lecz niestety dziennikarze na wszelki wypadek woleli o tym nie wspominać.

Na wszelki wypadek, czyli... na wypadek sukcesu. Wyobraźmy sobie, że reprezentacja jest prowadzona w najgorszy możliwy sposób, ale wygrywa z Grecją – co zresztą nie byłoby wielkim wyczynem. Ci wszyscy czołowi dziennikarze, których znacie, nie są samotnymi jeźdźcami, lecz mają swoich szefów. I ci szefowie mówią: – Za godzinę potrzebuję wywiad ze Smudą.

Mamy więc do czynienia z wielką kalkulacją. Niby wiesz, że to się nie uda, niby masz świadomość, że bardziej

przygotowań nie dało się spieprzyć, a jednak musisz czekać, ponieważ – jakkolwiek to brzmi – istnieje ryzyko. Bo co, jeśli... Czekasz więc i nie palisz mostów, jesteś dostępny na każde skinienie. Odprawianie medialnego pogrzebu, gdy potencjalny nieboszczyk jeszcze czuje się dobrze, skacze, wywija nogami i sądzi, że za moment rzuci świat na kolana – no, jednak jest przedwczesne i bardzo ryzykowne. Większość dziennikarzy to więc koniunkturaliści – czekają na ewentualną możliwość podpięcia się pod sukces, jednocześnie wiedząc, że nie ma nic łatwiejszego niż wyprawienie pogrzebu. Skrywają głęboko swoje obiekcje, chowają do kieszeni płaszcza kartki z zapisanymi błędami i czekają. Na razie jeśli już podają negatywne informacje, to w sposób tak dyskretny, aby nie urazić jaśnie pana trenera. I każdą złą wiadomość przykrywają trzema dobrymi.

Tacy jak ja mają najgorzej. Opowiedziałeś się po jednej ze stron – na przykład po takiej, że wszystko zrobiono źle – i możesz tylko czekać. Bez satysfakcji. Jeśli się pomyliłeś lub jeśli los spletał figla i ktoś niezasłużenie wygrał, już po tobie – zjedzą cię, odsuną na margines, będą wytykać palcami: o, to ten, który wsadzał nam kij w szprychy! Ale my jedziemy dalej, a on został daleko w tyle. Wcześniej też nie było miło – pisałeś prawdę, lecz z każdej strony słyszałeś, że psujesz atmosferę, mącisz, generalnie przeszkadzasz. Ludzie zresztą nie oczekują od ciebie prawdy i trochę ich irytuje konsekwencja, z jaką wróżysz łomot. Jesteś trochę jak ktoś, kto mówi dziecku, że Święty Mikołaj nie istnieje.

Natomiast jeśli historia przyzna ci rację – cóż z tego? Gdy przyjdzie etap rozliczeń, i tak na trenera oraz piłkarzy rzuca się wszyscy, i to nawet z większą zajadłością niż ty sam. Tobie się już to znudziło, przejadło, wystrzelałeś się, a oni mają wciąż pełne magazynki.

\* \* \*

Franciszek Smuda tak zaraz po Euro 2012, jak i później – z perspektywy lat – nie zauważył jakichkolwiek popełnionych przez siebie błędów. Wydaje mu się, że wszystko zostało zrobione prawidłowo i że dopilnowano każdego szczegółu. Mało tego – jest święcie przekonany, że jego znakomita praca procentuje do dziś i że to on położył podwaliny pod kadre Adama Nawałki. Różnica między nimi – zdaniem „Franza” – polega tylko na tym, że Nawałka ma lepszych piłkarzy. Kilku młodych wystrzeliło, a kilku starszych nabrało doświadczenia. Na swój sposób podziwiam: przyjemnie musi się żyć w takim matriksie.

Tylko że u Nawałki wszystko jest naprawdę dopięte na ostatni guzik. To perfekcjonista, człowiek, który pracując w Górniku Zabrze, zapisał sobie w kontrakcie, iż... boisko treningowe musi być zroszone wodą. A Smuda? Mecz z Portugalią w Warszawie. Dyrektor kadry Konrad Paśniewski nie może się doczekać składów, a do meczu coraz bliżej. Nie wie, kto zagra w ataku.

– Wpisz, tego, ślaślaślaślaśla.

– Kogo?!

– Tego, kurwa, jakałę z Płocka.

Czyli Ireneusza Jelenia, mającego wadę wymowy.

Żeby jeszcze bardziej przedstawić wam skalę prowizorki, wspomnę o meczu z USA. Andrzej Niedzielan, z którym znam się świetnie od wielu lat i z którym wielokrotnie spędzałem wakacje czy sylwestry, opowiadał mi: – Wchodzę na boisko, ale za Adriana Mierzejewskiego. Z przodu jest jeszcze Robert Lewandowski. Nie wiem, jaką pozycję mam zająć. Zazwyczaj rezerwowi dostaje wskazówki, a ja nic. Jestem napastnikiem, wchodzę za pomocnika, nie wiem, czy zmienia się taktyka i mamy grać na dwóch z przodu, czy może mam wejść na lewą

pomoc. Po prostu nie mam pojęcia. Wbiegam, odwracam się i krzyczę: – Ale gdzie mam grać?! A Smuda na to: – Graj!

Tak właśnie wyglądało to zgrupowanie, co po części opisałem już w książce „Szamo”. Znajdziecie tam następujący fragment:

*U Franka jest tak naprawdę tylko jedno ćwiczenie treningowe: gierka. Gierka do usranej śmierci, tłuc można non stop. Opowiadał mi kolega o zgrupowaniu w USA i Kanadzie, kiedy Smuda był selekcjonerem reprezentacji Polski. Codziennie gierki, jedenastu na jedenastu. Jednak po pierwszym z dwóch towarzyskich spotkań dwaj piłkarze zostali zwolnieni, by mogli wrócić do klubów i zagrać w weekend w meczach Bundesligi. Jednak nawyków „Franz” nie zmienił.*

*– Gierka, jedenastu najedenastu! – zaordynował.*

*Piłkarze patrzą na siebie. Kto ma powiedzieć, że to niemożliwe? W końcu odzywa się asystent Smudy, Jacek Zieliński:*

*– Trenerze, ale...*

*– Co „ale”, co „ale”? Do roboty!*

*– Nie możemy grać jedenastu najedenastu!*

*– Jak, kurwa, nie możemy, skoro codziennie tak gramy!*

*– Ale Błaszczkowski i Matuszczyk wrócili do Niemiec.*

*Franek stracił rezon tylko na sekundę.*

*– W takim razie... „Sandomierz” zagra w pomocy! – wskazał na „Sandomierza”, który w rzeczywistości nazywał się Sandomierski, ale kto by to zapamiętał...*

*Niewtajemniczonym wytłumaczę, że „Sandomierz” zazwyczaj jednak jest bramkarzem.*

*To żenujące, kiedy trener nie jest przygotowany do zajęć i nawet nie wie, ilu zawodników będzie mieć do dyspozycji. Jednak*

*jest to też całkiem typowe dla Franka, który zazwyczaj niespecjalnie przygotowywał się do treningów i „jechał z głowy”.*

Po Euro Smuda pracował jeszcze w 2. Bundeslidze, co zakończyło się katastrofalnymi wynikami i w konsekwencji spadkiem, oraz w Wiśle, skąd go wyrzucono. Zdaniem „Franza” w obu tych miejscach radził sobie dobrze lub bardzo dobrze, przy czym w Niemczech sukces miał polegać na tym, że... wyremontowano szatnie. Później Smuda wypuszczał w świat plotki o tym, jakoby miał prowadzić reprezentację młodzieżową Peru albo klub ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich, co oczywiście nie miało prawa się wydarzyć. Cóż, trudno nadażyć za tym człowiekiem. Gdybym miał napisać książkę tylko o nim, dałbym jej tytuł „Urojona kariera”.

\* \* \*

Być może Smuda byłby znacznie lepszym trenerem, gdyby otaczał się właściwymi ludźmi i dodatkowo ich słuchał. Zazwyczaj dobierał sobie niespecjalnie lotnych asystentów, a gdy już czynił wyjątek – to wszelkie podpowiedzi wpuszczał lewym, a wypuszczał prawym uchem. Dlatego całą wielostronicową analizę gry Grecji miał skwitować krótkim „opierdolimy ich” po uprzednim pobieźnym przekartkowaniu.

Podczas Euro 2012 asystentem Smudy był Jacek Zieliński, którego uważam za bardzo rozsądnego i inteligentnego człowieka, z bardzo twardym kręgosłupem moralnym. Wyobrażam sobie, jaką udręką musiał być dla niego ten okres, chociaż Jacek – człowiek z klasą – nigdy publicznie o przełożonym się nie wypowiadał.

W tamtym czasie – podczas dwuletnich przygotowań do turnieju – co tydzień we wtorki graliśmy w karty, w gronie tzw.



VIP-ów. W wynajętym mieszkaniu kolegi zbierali się byli piłkarze (czasami też obecni, wpadał np. Łukasz Trałka, który okazał się świetnym facetem, do tego Jakub Tosik, Marcin Baszczyński, Marcin Żewłakow, Tomasz Łapiński), siatkarze, aktorzy, biznesmeni. Zamawialiśmy catering, czasami oglądaliśmy mecze Ligi Mistrzów. No i graliśmy przez sześć czy osiem godzin. Regularnie przychodził również Jacek Zieliński. Imponowało mi to, że potrafił całkowicie rozdzielić pracę zawodową i rozrywkę. Wiedział, że nie podobają mi się przygotowania do Euro i że bardzo krytykuję decyzje Smudy. Jednak obaj rozumieliśmy, że nie powinniśmy tego poruszać, bo atmosfera siądzie. On ma swój zawód, a ja swój. Ani się na mnie nie obrażał, ani nie próbował przekabacić.

Dopiero po turnieju zdarzyło się poruszyć kilka kwestii. Stół do pokera to idealne ku temu miejsce. Przez większość czasu czekasz na dobre karty, więc... nic nie robisz. A skoro nic nie robisz, to możesz pogadać. Najczęściej o głupotach, z rzadka o czymś poważnym. Jednego dnia Jacek powiedział, że oni – trenerzy – mieli problem z Robertem Lewandowskim. Mówiąc po piłkarsku, grał „za wysoko”, czyli zbyt blisko pola karnego przeciwników. Nie przyjmował do wiadomości, że to nie jest optymalna pozycja, ponieważ twierdził, iż tam właśnie każe mu poruszać się w Borussii Dortmund Jürgen Klopp. – Tylko że Borussia gra zupełnie inaczej, ma innych piłkarzy i inną taktykę. Gdyby Robert cofnął się o piętnaście, dwadzieścia metrów i tam przyjmował piłkę, szybko dołączyliby do niego inni zawodnicy i można byłoby zawiązać atak. On jednak grał za daleko od innych, przez co gdy otrzymywał piłkę, nie miał koło siebie innych graczy, a oni z kolei nie byli w stanie do niego dobiec, ponieważ nie był w stanie odpowiednio długo utrzymać się przy piłce. Zobacz, dokładnie ten sam problem miała reprezentacja Hiszpanii z Negredo. Wystawili go w półfinale z Portugalią, ale grał za daleko od reszty zespołu. Był odłączony. W efekcie to było

jedyne spotkanie, w którym Hiszpanie nie zdobyli gola, i awansowali dopiero po rzutach karnych. Takie detale też mają znaczenie – mówił.

Jacka Zielińskiego cenię i uważam za pozytywną postać w polskiej piłce. Niestety obawiam się, że jego głos nie był specjalnie słyszalny. Smuda preferuje zarządzanie jednoosobowe, nie buduje sztabu fachowców, a jeśli już sztab musi istnieć – bo czy ktoś widział reprezentację bez sztabu? – to niech sobie istnieje, ale też niech się za bardzo nie wyrywa.

\* \* \*

Pracował kiedyś dla Weszlo.com, jako dziennikarz, niezwykle oryginalny. Nazywał się Tomasz Kwaśniak i nie miał żadnych obiekcji przed zadawaniem jakichkolwiek pytań. Zazwyczaj dziennikarze, zwłaszcza młodzi, jednak się krygują, są nieśmiali, podchodzą do rozmówców jak do jeża. Zwłaszcza tych znanych. Ale Kwaśniak nie. Niech dowodem tego będzie jego dialog z Orestem Lenczykiem.

Lenczyk jest znany z tego, że obraża się, gdy... osoba młodsza jako pierwsza poda mu rękę. Kwaśniak o tym nie wiedział i wyciągnął rękę na przywitanie.

– Chyba pan nie sądzi, że teraz panu podam rękę? – spytał Lenczyk.

– A dlaczego nie? – zdziwił się reporter.

– Bo takie są zasady.

– Ta, to chyba więzienne! – wypalił Tomek.

– Przedwojenne, a nie więzienne – odparł leciwy trener.

Kwaśniak był więc idealną osobą, aby go posłać w bój. Jednego dnia powiedziałem mu: – Tomek, idź na konferencję prasową i spytaj Smudę, czy odda pieniądze Zagłębiu Lubin, które zarobił dzięki korupcji.

– OK – odparł momentalnie.

– Ale wiesz, że on się zdenerwuje, prawda? Że będzie niemiło? Jesteś na to gotowy?

– Dlaczego miałyby się zdenerwować? – zupełnie szczerze zapytał młody dziennikarz. Wyglądał wręcz na zdumionego.

– No, ludzie się denerwują, kiedy publicznie wyciągasz im takie rzeczy.

– Nie rozumiem – skwitował i polazł.

Podczas konferencji oczywiście zadał niewygodne pytanie, a Smuda oczywiście bardzo się zdenerwował. Wspominam o tym dlatego, że cała sprawa jest dla „Franza” charakterystyczna. W ostatniej kolejce sezonu 2005/2006 prowadzeni przez niego zawodnicy Zagłębia Lubin ustawili mecz z Cracovią – remis dawał im trzecie miejsce. Prokuratura po latach wykazała, że spotkanie nie zostało rozegrane uczciwie, o czym Smuda mógł nie wiedzieć (swoją drogą, taki czarodziej, dobrych piłkarzy miał poznawać po tym, jak schodzą po schodach, a nie zauważył, że przez półtorej godziny piłkarze grali w poprzek, na 0:0).

Sęk w tym, że trener otrzymał z klubu premię za trzecie miejsce i awans do europejskich pucharów. A ponieważ ten sukces nie został wywalczony uczciwie, uznałem, że powinien te pieniądze oddać. Zwłaszcza że jako selekcjoner otrzymywał około 150 000 złotych miesięcznie (nie licząc wpływów z reklam), więc musiałyby zwrócić równowartość mniej więcej trzytygodniowych zarobków. Uważałem, że to na swój sposób ohydne, iż trener kadry narodowej wzbogacił się na skutek ustawionego meczu i nikt nie zamierza nic z tym zrobić.

Wiadomo, nie oddał. Smuda kocha pieniądze, chyba nawet bardziej niż samego siebie.

\* \* \*

Na koniec tego rozdziału opowiem wam, jak... przegrałem Smudzie jeden mecz, a przynajmniej mogłem w tym maczać palce. Nigdy nie dowiemy się na sto procent, dlaczego nasza reprezentacja była aż tak słaba w spotkaniu z Litwą, ale niewykluczone, że jednym z elementów składających się na zły wynik było to, co działo się przed meczem i co całkowicie dekoncentrowało niektórych kluczowych zawodników.

Podczas zgrupowania kilku piłkarzy reprezentacji udało się do luksusowego hotelu w Poznaniu – jak później twierdzili, w celu przymierzania ubrań. Pracownik hotelu miał na ten temat inne zdanie – że jeśli o ubrania chodziło, to jedynie o zdejmowanie i niekoniecznie własnych. Nie zamierzałem tej historii publikować, ponieważ jako dziennikarz mam zasadę: nie rozbijam rodzin.

Kilka godzin po cynku od poznańskiego portiera gawędziłem z Mariuszem Piekarskim, byłym zawodnikiem, a obecnie menedżerem. To znany żartowniś. Namawiał mnie: – Zróbmy jakieś jaja z tego. Ty, wiesz co... Może trzeba piłkarzom kazać coś zrobić w zamian za nieopublikowanie tekstu.

Razem doszliśmy do wniosku: – Niech pozdrowią Weszlo.com i nazwą najlepszym portalem piłkarskim podczas pomeczowego wywiadu w TVP!

To byłoby coś – Weszło bezustannie atakuje rodzaj przygotowań do Euro, a tu nagle piłkarze pozdrawiają. Chryja jak nic!

„Piekarz” zadzwonił w tej sprawie do Kamila Grosickiego: – Słuchaj, powiedz tam chłopakom, że Stano wie wszystko o wyprawie do Poznania i nie opublikuje tego pod jednym warunkiem...

Najpierw z kadry dochodziły głosy, że nie ma szans i że w ogóle chyba mnie porąbało. Jednak im bliżej było meczu, tym bardziej zawodnicy miękli. Wytypowano Dariusza Dudkę do

kontakty ze mną, bo Darka znam jeszcze z czasów, gdy grał w Amice.

– Ty, no, musisz to pisać? – zadzwonił.

– No nie muszę.

– No to nie pisz! – jakbym słyszał ulgę.

– Słuchaj. Jak napiszę, to na stronę wejdzie milion ludzi.

Ale jak pozdrowicie Wesoła w telewizji w pomeczowym wywiadzie, to też wejdzie milion ludzi. Rozumiesz?

– No tak, rozumiem... A jak nie wezmą do wywiadu nikogo?

– Postarajcie się, żeby wzięli.

Litwa wygrała 2:0. Czekam na wywiady, Piekarski przed telewizorem umiera ze śmiechu. Patrzą – jest! Stoi przed kamerą Darek Dudka we własnej osobie! Mówi, mówi i mówi, nagle cięcie, koniec. Nic na co się umawialiśmy!

I w tym samym czasie prosto z szatni dzwoni sam piłkarz.

– I jak? Dobrze powiedziałem? Załatwione? – pyta.

– Przecież nic nie powiedziałeś...

– Powiedziałem!

– W takim razie wycięli. Dobra, nieważne. Jesteśmy kwita!

Żart urósł do niespodziewanych rozmiarów, ale niestety wywiady były pokazywane z kilkuminutowym opóźnieniem. Akurat wystarczyło, by usunąć absurdalne pozdrowienia dla znienawidzonego przez Smudę portalu.

A sprawa „przymierzania ubrań” i tak wypłynęła, bo pracownik hotelu poinformował także gazetę „Fakt”.



**Dlaczego polscy trenerzy nie pracują za  
granicą?**



Jakim słowem najlepiej scharakteryzować odczucia wobec polskich trenerów piłkarskich? Pogarda. Nasi szkoleniowcy są permanentnie wykpiwani, wytykani palcami, pogardzani właśnie, a przecież nie każdy z nich to Smuda. Sam przez długie lata niezwykle sceptycznie podchodziłem do ich kompetencji. Jednak z im mniejszej odległości przyglądałem się, w jakich warunkach pracują, tym nabierałem coraz większej wyrozumiałości, a momentami też szacunku. Uprawiają oni zawód ekstremalny – równie dobrze mogliby startować w Rajdzie Dakar, mając na wyposażeniu deskorolkę, suchy prowiant i parę sandałów.

Na dowód, jak słabych mamy trenerów, bardzo często podawany jest argument: „Są tak słabi, że nikt ich nie chce zatrudniać za granicą”. Czytałem go setki albo i tysiące razy, używali go nawet na pozór poważni ludzie, tak zwani eksperci. Niestety, rzadko kiedy ktoś zadaje sobie trud, by zastanowić się: a w sumie to dlaczego nikt ich tam nie zatrudnia? Czy aby na pewno z powodu poziomu?

Jeśli przeanalizujemy zagraniczne ligi i pracujących w nich trenerów, to z wyjątkiem bardzo specyficznej, przepompowanej pieniędzmi Premier League, we wszystkich pozostałych rozgrywkach zdecydowanie dominują lokalni szkoleniowcy. Zajrzymy do Hiszpanii – prawie sami Hiszpanie. Do Włoch – prawie sami Włosi. Francja – niemal wyłącznie Francuzi. Holandia – sami Holendrzy. I tak dalej. Nie wiem, skąd się wzięło tak powszechne przekonanie, że trenerzy innych narodowości fruują sobie po świecie i raz trenują tam, raz gdzie indziej, a tylko Polacy tkwią wyizolowani we własnej lidze. Aktualnie nie ma to pokrycia w faktach.

Zostać trenerem w dobrej zagranicznej lidze można na dwa sposoby. Przede wszystkim: należy osiągnąć spektakularny sukces w europejskich pucharach. Nawet to nie jest gwarancją otrzymania posady w innym kraju, ale powiedzmy, że to idealny punkt wyjścia. Pytanie – jak zdefiniować sukces? Dla Mourinho i Villasa-Boasa było to wygranie europejskiego trofeum, co stanowiło przepustkę do największych klubów świata. Ale już dla trenera białoruskiego BATE niewątpliwy wyczyn stanowiły kolejne awanse do Ligi Mistrzów. Czy zrobiło to na kimś wrażenie? No, nie za bardzo. Na moment Wiktora Gonczarenkę zatrudnił rosyjski średniak, ale koniec końców chłop całkowicie przepadł i obecnie nawet nie pracuje jako pierwszy trener. Europa widziała, że osiągał wyniki ponad stan, a jednak tylko pokiwała z uznaniem głową i odwróciła się na pięcie. Gonczarenko bowiem – jakie to proste – jest Białorusinem. A skoro jest Białorusinem, to jego szanse na angaż w jednej z najsilniejszych lig świata są znikome albo żadne. Mógł się zahaczyć jedynie w Rosji. I to naprawdę bez znaczenia, czy prowadzi świetne treningi, ma taktykę w małym palcu i czy rozpracowuje rywali w pięć minut.

Polscy trenerzy też mogliby przedstawić się szerszej publiczności, odnosząc sukcesy w Europie, i w ten sposób chociaż powalczyć o zainteresowanie z innych krajów. Ale nasuwa się oczywista wątpliwość: czy polskie kluby mają potencjał, by cokolwiek osiągnąć w Europie? I czy jeśli nie mają, to jest to akurat wina szkoleniowców? Jeszcze do tego wrócimy...

Drugim sposobem, aby dostać pracę w zagranicznej lidze, jest... bycie znanym, chociażby lokalnie. Po prostu – jeśli swego czasu grałeś w danej lidze, jeśli dałeś się poznać jako inteligentna i godna zaufania osoba, jeśli nauczyłeś się języka i wrosłeś w miejscową społeczność, to jest szansa, że ktoś powierzy ci drużynę. Spójrzmy na ligę hiszpańską. Pracuje w niej obecnie pięciu zagranicznych szkoleniowców. Diego



Simeone w Atletico (były piłkarz Atletico), Zinedine Zidane w Realu (były piłkarz Realu), Eduardo Berizzo w Celcie (były piłkarz Celty), Constantin Gâlcă w Espanyolu (były piłkarz Espanyolu) oraz Gary Neville, zatrudniony akurat z innego klucza, czyli dzięki biznesowym relacjom z właścicielem Valenci.

Możemy poszukać jakichś egzotycznych nazwisk w różnych ligach. Darije Kalezić, trener Rody Kerkrade? Praktycznie całą karierę piłkarską spędził w Holandii. Pál Dárdai w Hercie Berlin? Wieloletni zawodnik Herthy. Viktor Skripnik w Werderze? Były piłkarz Werderu. Slaven Bilić w West Hamie? Niegdyś grał w West Hamie. I tak dalej... Widać tu niezaprzeczalną prawidłowość.

Polacy też bywali zatrudniani na identycznych zasadach. Zbigniew Boniek prowadził kluby we Włoszech właśnie dlatego, że zapracował na to swoją postawą na boisku, gdy był jeszcze piłkarzem. Uznano, że jest osobą na tyle inteligentną i znającą futbolowe realia, że sobie poradzi. Nie tak dawno Jan Urban objął Osasunę Pampeluna. Dostał tę posadę nie dlatego, że komuś imponowały wyniki z polskiej ligi, lecz dlatego, że był doskonale znany miejscowym działaczom i kibicom. Od lat w Szwajcarii między klubami skacze Ryszard Komornicki, który zapuścił tam korzenie. Najdłużej w branży działa Henryk Kasperczak, który zakończył karierę piłkarską w Metz, a potem w tym samym Metz rozpoczął trenerską. Zbliżony był szlak Piotra Nowaka w USA.

Nie jesteśmy więc dyskryminowani. Jedyne problem polega na tym, że przez lata nie dorobiliśmy się zbyt wielu dobrych piłkarzy, którzy wyjechaliby za granicę i zapracowali na ponadczasowe uznanie. Wyjazdy naszych zawodników zazwyczaj kończyły się szybkim powrotem do kraju i opowieściami o niesprzyjających okolicznościach w obcym otoczeniu. A jeśli już któryś zawodnik wyjechał,

zaaklimatyzował się, nauczył języka i potrafił zaskarbić sympatię fanów oraz prezesa, to rzadko kiedy okazywał zainteresowanie trenerką. Nasi zawodnicy częściej jako królowie życia wracali do Polski, trwonili tu pieniądze i ewentualnie dopiero kiedy w kieszeni zrobiło się już naprawdę pusto, zaczęli myśleć o trenowaniu jako o wyjściu awaryjnym.

Gdyby nasi piłkarze byli gwiazdami w najsilniejszych ligach świata, to pewnie co piąty, co ósmy albo co dziesiąty byłby też w nich trenerem. Tak jak gwiazdą był Boniek w Serie A i od razu mu tam zaufano. Ale niestety, piłkarzy, którzy naprawdę coś znaczyli za granicą, mieliśmy tylu co kot napłakał.

Nie zgadzam się więc ze stwierdzeniem, że polscy trenerzy są słabi, ponieważ za granicą nikt ich nie zatrudnia. Tak samo nie zatrudnia nikt trenerów z Rosji, Czech, Słowacji, Bułgarii, Szwecji, Grecji... I tak dalej. Nikt też nie zatrudnia – poza Anglią – trenerów z Anglii, boom na Holendrów dawno się skończył, Niemcy siedzą głównie u siebie. To ogólnoświatowa prawidłowość, że prezesi klubów – co rozumiałe – chcą powierzać zespoły osobom, które doskonale znają język, realia, środowisko, ligę... Czasami trafiają się przeprowadzki w ramach jednego kręgu kulturowego, czyli Austriak może pracować w Niemczech albo Niemiec w Austrii, ale praktycznie nie da się znaleźć przykładów, by ktoś ze wschodniej Europy poleciał do zachodniej wyłącznie na bazie odnoszonych we własnej lidze wyników.

Proszę więc stawiać sto innych zarzutów polskim trenerom, ale akurat nie ten.

\* \* \*

Problem z naszymi trenerami jest taki, że w zasadzie nie da się ich zweryfikować, a przynajmniej nie poprzez przyłożenie tej samej miary co do trenerów z zagranicznych klubów. Wykonują zupełnie inny zawód i mają w rękach inne narzędzia.

Usystematyzujmy... Jakie zadania można postawić przed nowym trenerem? Tak generalnie, w największym skrócie?

1. Zbudowanie kadry
2. Opracowanie taktyki
3. Trenowanie zawodników
4. Codzienne zarządzanie

Punkt pierwszy... W poważnych ligach szkoleniowcy mają ten komfort, że budują drużyny po swojemu. Przychodzą, rozglądają się po klubie, szukają zgniłych jabłek, wreszcie przedstawiają prezesowi listę: tych sześciu piłkarzy należy się pozbyć, natomiast potrzebuję dwóch obrońców, lewego pomocnika, defensywnego pomocnika i napastnika grającego tyłem do bramki. Zazwyczaj już podczas negocjacji kontraktu trener wie, jaką sumę będzie mógł wydać na przebudowę drużyny. Wie też, jakim systemem będzie chciał grać i jakich będzie potrzebował do niego wykonawców. Każdy prezes ma świadomość, iż zatrudnienie nowego szkoleniowca kosztuje – nie tylko trzeba pokryć jego pensję, ale też liczne wydatki.

U nas natomiast drużyny ligowe nie mają swoich architektów – patrzysz na nie i nie wiesz, kto je zbudował. Ten klub w krótkim czasie miał pięciu trenerów, ten ośmiu, ten sześciu...

– Na razie graj tym, co masz – mówi prezes. A sekwencja zdarzeń zawsze taka sama: drużyna słabo gra, zwalniany jest trener, przychodzi nowy i dostaje tę samą drużynę, która znowu słabo gra, więc znowu zwalniany jest trener... Piłkarze

utrzymują się na powierzchni, ciągle mają pracę, ponieważ nawet nie ma kto ich wyrzucić. Kluby są nie dość, że zbyt biedne, aby sprowadzić zastępców, to jeszcze zbyt biedne, by wypłacić rekompensatę za rozwiązanie umowy niechcianemu zawodnikowi.

Drużynę powinno się konstruować jak samochód. Każda śrubka powinna być na swoim miejscu. Trener – jako konstruktor – ma za zadanie dopasować elementy i sprawić, by pojazd notował jak najlepsze efekty. Trzymając się tego porównania, u nas stoi fiat 125p. Wsiada jeden trener, samochód jedzie kiepsko. Wołają: – Wsiadaj! Wsiada kolejny trener, znowu to samo. I znowu go wołają: – Wsiadaj! Kierowcy się zmieniają, ale wciąż siadają za kierownicą tego samego rżęcha.

Nikt niczego nie konstruuje. Nie ma klubu, w którym szkoleniowiec mówi, iż chce grać konkretną taktyką i potrzebuje do niej zawodników o konkretnej charakterystyce. Nie zdarza się, że dłubie przy tym swoim eksponacie i w końcu mówi: – Nie, jednak ta część ponownie do wymiany, koszty nie grają roli.

– Prawda jest taka, że my grzebiemy w śmietniku. Jeśli pozwala nam się sprowadzić piłkarza, to pod warunkiem że będzie za darmo i że nie będzie chciał dużo zarabiać, a najlepiej jeszcze, żeby był na tyle głupi, żeby nie trzeba było mu regularnie płacić – powiedział mi kiedyś polski trener. – Przychodzimy do klubów wtedy, gdy jest naprawdę źle, zespół w kryzysie. Zazwyczaj nie można już dokonywać transferów. Albo się udaje podźwignąć zespół, z którego zbudowaniem nie mieliśmy nic wspólnego, albo nie. Jeśli się uda, latem może pozwolą ci sprowadzić dwóch piłkarzy. Dwóch, ale osiemnastu będzie tych samych, którzy wcześniej pograżyli twojego poprzednika. Możesz mieć nadzieję, że ciebie akurat nie pograżą,

ale to dość naiwne. Z reguły ci chłopcy albo są po prostu słabi, albo źle dobrani.

No dobrze. Trener przejmuje już zespół. Pal licha, czy ceni piłkarzy, których dostał, czy nie i czy ma cokolwiek do powiedzenia w kwestii przebudowy składu. Przejdźmy do punktu drugiego – opracowanie taktyki. Najpopularniejszym twierdzeniem w Polsce jest takie, iż szkoleniowiec powinien dobierać taktykę do materiału ludzkiego, jakim dysponuje. Czyli już na wstępie musi się naginać.

Jeśli przeprowadzicie sondę wśród trenerów, bardzo wielu wam powie, że ich ulubiona taktyka to 4-3-3. A na pytanie, dlaczego w takim razie jej nie stosują, zgodnie odpowiedzą: – Ponieważ nie mam do niej wykonawców.

Gdyby polski klub zatrudnił Guardiolo, Mourinho, Kloppa czy jeszcze innego Enrique, żaden prezes nie odważyłby się powiedzieć: – Dobierz taktykę do tych piłkarzy, których tu mamy... Nie, tamci przysliby jako szefowie, którzy całą przestrzeń uporządkują na swoją modłę. Jeśli Guardiola od sezonu 2016/2017 będzie trenerem Manchesteru City, to tam doskonale wiedzą, iż wypłacenie mu astronomicznej pensji to dopiero początek, a nie koniec wydatków.

Może więc w kwestii prowadzenia treningów i codziennego zarządzania da się znaleźć pewne podobieństwa?

No niestety – niekoniecznie.

Przypomina mi się historia sprzed kilku lat. Maciej Skorża był trenerem Wisły Kraków. Napisałem, że za kilka dni zostanie zwolniony – po spotkaniu z Jagiellonią Białystok, i to bez względu na wynik. Wiedziałem to od Andrzeja Czyżniewskiego, któremu z kolei wyznał to sam Skorża. Faktycznie – w poniedziałek Skorża pożegnał się z posadą.

Kilka dni później znowu zadzwonił „Czyżyk”, z jeszcze lepszą informacją: – Trenerem Wisły będzie Wilfried Schaefer.

– A skąd ta pewność? – spytałem Andrzeja, który wtedy był dyrektorem sportowym Arki Gdynia.

– Ponieważ człowiek od nas ze sztabu jest z nim ciągle na linii, kiedyś pracowali razem i analizują teraz kontrakt. Znają się od lat. Pomaga mu w kwestiach papierkowych.

Schaefer – niemiecki trener z charakterystyczną lwią grzywą – nie porozumiał się jednak z Wisłą, ponieważ ta nie chciała wydać odpowiednich pieniędzy na jego sztab (co po latach potwierdzał mi jeszcze Bogdan Basała, były prezes Wisły). Najlepiej, gdyby Schaefer przyjechał sam, i najlepiej, żeby pracował za wikt i opierunek. Schaefer wsiadł do samolotu i wrócił do siebie, a awaryjnie wytrzaśnięto Kasperczaka. Zorganizowano wtedy jedną z najbardziej żenujących konferencji w historii naszej ligi: utytułowany trener na dzień dobry musiał z kartki przeczytać przeprosiny skierowane do właściciela Wisły Bogusława Cupiała. Nie do końca wiadomo, za co przeproszał. Chyba za niewinność.

W każdym razie jeśli polski trener idzie na rozmowy do klubu, to zazwyczaj dowiaduje się, że nie ma co marzyć o sprowadzeniu całego swojego sztabu – brak na to środków. W porywach może ktoś mu pozwoli zatrudnić jednego asystenta (ale to pod warunkiem, że trener jest naprawdę pożądanym, zazwyczaj sięga się po następnego w kolejce – takiego, który nie ma wygórowanych żądań). Trafia więc szkoleniowiec do nowego środowiska i nie dość, że piłkarzy nie ma i nie będzie mieć swoich, to jeszcze musi bezpośrednio współpracować z ludźmi, których zastanie na miejscu, nawet jeśli ani ich nie ceni, ani nie lubi, ani im nawet nie ufa (często to tzw. zaufani ludzie prezesa). Nie jest to najbardziej komfortowe rozwiązanie.

Później z tym sztabem i z tymi piłkarzami trzeba przenieść się na boisko. O ile boisko jest. Bardzo lubimy oglądać zdjęcia baz treningowych w Anglii i jednocześnie zupełnie ignorujemy fakt, że nie zbudowano ich po to, żeby ładnie

wyglądały na zdjęciach, ani też nie powstały dlatego, że nie wiadomo było, co zrobić z hektarami nieużytków. Mają swój oczywisty cel. Ale że w Polsce takich nie ma? Cóż z tego! Polscy trenerzy, nieudacznicy, nie potrafią trenować!

Sytuacja powoli się poprawia – z akcentem na „powoli”. Wciąż w ekstraklasie są kluby, które nie mają gdzie przeprowadzać codziennych zajęć. Podbeskidzie Bielsko-Biała jeszcze niedawno jeździło na treningi do pobliskiej miejscowości, gdzie czekało niepełnowymiarowe, nieskoszone boisko. Stróż powiedział, że mógłby regularnie kosić trawę i malować linie, ale za 500 złotych miesięcznie, na co prezes klubu Wojciech Borecki nie przystał. W czasach gdy Manchester City wydał ponad miliard złotych na centrum treningowe, klub polskiej ekstraklasy nie chciał płacić 500 złotych za skoszenie trawy. Wymowne?

Zestawianie trenerów polskich z zagranicznymi nie ma najmniejszego sensu. Gdy Mourinho przełamuje barierę miliarda euro wydanych na transfery, gdy Jürgen Klopp zamawia wielką i kosztowną maszynę, mającą ćwiczyć refleks zawodników, nasi szkoleniowcy zastanawiają się, gdzie przeprowadzić trening, gdy spadnie śnieg. Gdy Arsenal odbywa najkrótszą podróż samolotem na mecz (14 minut od startu do lądowania), piłkarze Pogoni ruszają w dziesięciogodzinną podróż autokarem. Nie dałbym sobie nawet palca uciąć, że którykolwiek z wielkich trenerskich autorytetów poradziłbym sobie w naszej lidze – dostając do dyspozycji tak skromne środki i tak nieliczne narzędzia.

A przecież mowa o elicie – o ekstraklasie, szesnastu najlepiej zorganizowanych klubach w Polsce, podlegających wymogom podręcznika licencyjnego. Jeśli tak wygląda rzeczywistość na szczycie, to jak wygląda niżej? W drugiej, trzeciej, czwartej lidze? Jak tam pracują trenerzy? Gdzie prowadzą treningi? Czym? Jaką mają pomoc? Jaki sztab? Ilu jest

dietetyków w niższych ligach? Łatwo powiedzieć: mamy słabych szkoleniowców, bo tym jednym zdaniem – prymitywnym – przykrywa się milion innych zaniedbań, w krótkim czasie nierozwiązywalnych.

Aż nasunęła mi się opowieść, jak Adam Fedoruk – niegdyś świetny piłkarz – trenował klub w niższej klasie rozgrywkowej, zdaje się, że Olimpię Elbląg.

– Prezesie, mamy jedną piłkę do ćwiczeń – mówi do prezesa.

– No i co?

– No, wie prezes. Przydałoby się więcej piłeczek. Moglibyśmy jakieś kupić.

– Ty masz tak słabe wyniki, że przez ciebie muszę teraz mecz kupić, a nie piłki!

\* \* \*

Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy i przyznać, że jako naród – w sensie piłkarskim – jesteśmy niesamowicie zakompleksieni. Taka pozostałość po komunie, że wszystko, co zagraniczne, musi być lepsze. Zdaje nam się, że kiedy tylko przyjedzie ktoś z zagranicy, to trzeba wytężyć słuch i sumiennie robić notatki, bo ktoś taki z pewnością wie o futbolu znacznie więcej niż polscy trenerzy.

Niegdyś wraz z Piotrem Koźmińskim z „Super Expressu” na kolację do warszawskiej restauracji zaprosiliśmy Raymonda Domenecha, byłego selekcjonera reprezentacji Francji, autora fantastycznej książki „Straszliwie sam” (polecam, jeśli nie czytaliście). Domenech to uroczy człowiek, a rozmowa z nim – sama przyjemność.

Czułem się naprawdę poruszony. Siedzieliśmy na tarasie razem z człowiekiem, który całkiem niedawno zdobył wicemistrzostwo świata, a zarazem z człowiekiem, którego



jeszcze bardziej niedawno uznano za najgorszego trenera w dziejach Francji i niemal skazano na banicję. Z kimś, kto zarządzał Zidane'em, Henrym i innymi wielkimi zawodnikami. Powiedział wtedy mnóstwo interesujących rzeczy, chociażby to, że nigdy nie wybaczy Zidane'owi czerwonej kartki w finale mundialu. Wtedy też – mimo że tematyka nie była jeszcze tak powszechnie podnoszona jak dziś – stwierdził: – Wiecie co jest największym problemem francuskiego futbolu? Nie mogę tego powiedzieć głośno, bo zostałbym uznany za nietolerancyjnego, ale... największym problemem francuskiego futbolu jest islam. Od najmłodszych reprezentacji, od juniorów, aż po reprezentację dorosłą. Muzułmanie odgradzają się od innych, coraz częściej po prostu gardzą pozostałymi członkami zespołu. Widać to na stołównie, w szatni, na boisku. Problem narasta z każdym rokiem. I kiedyś ten problem zdusi naszą piłkę. Już dusi.

– Nasri był takim problemem? To tego rodzaju muzulmanin? – spytałem.

– Nie, Nasri jest muzulmaninem, kiedy mu to wygodne. On jest zwyczajnie wredny.

Przegadaliśmy ze trzy godziny, poznając sekrety francuskiej kadry narodowej (dwadzieścia minut analizował przypadek Davida Trezegueta, by stwierdzić na koniec, że to po prostu – tak po ludzku – jest kompletny głupek), aż doszliśmy do Laurenta Blanca.

– Wiecie, co jest największą siłą Blanca? – spytał Domenech.

– Nie.

– Jest mistrzem świata.

– I co z tego?

– Kiedy ja wchodzę do szatni, muszę piłkarzy przekonać do siebie słowami, taktyką, organizacją, muszę potrafić ich zmobilizować. Oni i tak mogą mieć to gdzieś, bo akurat kupili nowe auto. A Blanc wchodzi i mówi: „Jestem mistrzem świata”. I

to już, wystarczy. Voilà! Nic więcej nie musi dodawać. On mówi tylko to, naprawdę! „Cześć, jestem mistrzem świata”. Oni rozdziawiają gęby, bo widzieli Blanca w telewizji, jak podnosił puchar.

I tak to jest mniej więcej z polskimi i zagranicznymi trenerami w naszej lidze. Polscy muszą na sto sposobów udowodniać swoją wartość, a zagraniczni – wystarczy, że coś powiedzą w obcym języku. Jakiś banał, ale po angielsku/niemiecku/francusku z pewnością będzie brzmiał poważniej.

Weźmy cały wybór selekcjonera. Media krzyczały: cudzoziemca, koniecznie cudzoziemca! Nie tworzyły „rysopisu” trenera idealnego, nie wynotowywały cech, które są kluczowe. Po prostu – cudzoziemiec! Byle jaki, ale cudzoziemiec! Polacy z góry uważani byli za tych gorszych, a gdy się okazało, że ten Nawałka wcale nie taki zły, to nagle słychać cichutkie: „No dobra, jeden Nawałka się nadawał...”. Ja natomiast jestem pewny, że nadawało się wielu. Tylko że przez większość kariery nie mieli żadnych możliwości, aby popracować w takich warunkach, w których mogliby pokazać wszystko, co potrafią. Głównie walczyli nie z przeciwnikami, tylko z codziennymi przeciwnościami losu.

\* \* \*

Najłatwiej powiedzieć: polski trener jest głupi. Można dodać kpiąco: tak zwana polska myśl szkoleniowa. Jeszcze jakiś piłkarz pójdzie do zagranicznego klubu i powie: o, tutaj to się naprawdę ciężko trenuje, nie to co u nas!

Bo w sumie – dlaczego u nas nie trenuje się tak ciężko jak w najlepszych ligach? Teoretycznie nic nie stoi na przeszkodzie, tak? Ale to taka teoria dla małych dzieci...

Kiedy Łukasz Piszczek odchodził z Polski do Niemiec, profesor Jan Chmura był zafascynowany jego możliwościami fizycznymi – tym, jak szybko organizm Piszczka się regeneruje, jak bardzo dostosowany jest do wysiłku. Chmura twierdził, że mamy do czynienia z fenomenem. Sęk w tym, że do topowych lig trafiają właśnie najlepsi z najlepszych, światowa śmietanka. A jeśli organizmy nie wytrzymują (Mateusz Klich), to nie ma problemu – znajdzie się takie, które wytrzymają. Materiał ludzki, z jakim pracują trenerzy na Zachodzie, czy nam się to podoba, czy nie, jest zupełnie inny niż ten, z jakim pracują nasi szkoleniowcy. Dlatego inaczej dobierać trzeba intensywność, obciążenia...

Owszem, mógłby polski trener powiedzieć: będziemy trenować jak najmocniej, zostaną tylko najtwardsi. Tylko co by mu było po przeciążanych, ewentualnie kontuzjowanych zawodnikach, którzy w meczach nie byliby w stanie dobrze kopnąć piłki? Jak długo taki trener by się utrzymał?

W Polsce i tak coraz bardziej podkreca się obciążenia, ale powoli, bo zbyt drastyczne przestawienie wajchy nie skończyłoby się dobrze ani dla szkoleniowca, ani dla zawodników.

Jeśli piłkarz mówi, że dopiero za granicą przekonał się, co znaczy mocny trening, to wcale nie znaczy, że tutaj trenował źle – być może trenował optymalnie, biorąc pod uwagę możliwości (limity) większości zawodników. A on jeden przebił się właśnie dlatego, że miał jeszcze rezerwy.

\* \* \*

Celowo w tym rozdziale przejęskrawiam, przedstawiam fakty korzystne dla polskich trenerów, biorę ich aż tak zdecydowanie w obronę, niemal utulam. Tekstów napastliwych

przeczytaliście przecież już całe mnóstwo, po co wam jeszcze jeden?

Gdybyśmy teraz siedli przy piwie i zaczęli rozmawiać o tych naszych rodzimych szkoleniowcach, na pewno szybko znaleźlibyśmy powód do drwin, wytypowalibyśmy sześciu czy ośmiu ludzi, którzy zupełnie nie pasują do zawodu. Razem z wami śmiałybym się z trenerów, którzy przez lata dali się poznać z jak najgorszej strony, opowiadałbym o nich zabawne anegdoty. Tylko że ja miałbym w pamięci, iż bez trudu podobnych ananasów da się znaleźć w każdym innym kraju, a nie tylko w Polsce.

Nie lubię, gdy sami z siebie – Polacy z Polaków – robimy głupków, zapóźnionych intelektualnie prowincjuszy. Mamy wspaniałych naukowców, nasi matematycy pomogli wygrać II wojnę światową, a Mikołaj Kopernik zrozumiał wszechświat na długo przed tym, zanim oderwaliśmy stopy od ziemi. Dlaczego mielibyśmy być zbyt tępi na coś tak banalnego jak piłka nożna? To tylko gra drużynowa, jedenastu na jedenastu. Nie potrafię znaleźć ani jednego powodu, dlaczego Polak zdaniem tak wielu osób nie obejmie jej swoim małym rozumkiem. Przypominam, że stawiając takie tezy, oceniacie też samych siebie czy swoje dzieci.

To tylko futbol. Tylko. Można go komplikować na sto sposobów, poddawać komputerowej analizie, rozkładać na milisekundy i szukać wrażliwych momentów. Można. I polscy trenerzy też to robią. Też siedzą godzinami wgapieni w ekran, też analizują spotkania swoje oraz przeciwników, też przeprowadzają arcszczegółowe badania i pomiary. I też wiedzą, że najlepiej mieć cały czas piłkę i co jakiś czas strzelać w bramkę. To naprawdę nie jest odkrycie na miarę Marii Skłodowskiej-Curie. Koniec końców mówimy o naprawdę prostej grze. Przecież nawet tak ją definiują – że taka popularna, bo prosta.

Setki, tysiące trenerów rok w rok się edukuje, inwestują w siebie, wydają pieniądze na kursy i pomoce naukowe, jeżdżą na staże, zamiast polecieć na wakacje, prowadzą trening za treningiem. W zamian otrzymują kpiny i pogardę – tylko dlatego, że Hiszpanie, Niemcy czy Francuzi są w tym sporcie lepsi. Apeluje, by zastanowić się, czy są lepsi dlatego, że mają lepszych trenerów, czy może dlatego, że ci trenerzy pracują w Hiszpanii, Niemczech czy we Francji.

\* \* \*

Nie w trenerach szukałbym problemu polskiej piłki, ale we właścicielach klubów – to oni kumulują najwięcej wad. Każdy jest inny, na swój sposób niepodrabialny, ale większość łączy wspólna cecha: to dewastatorzy. Szastający forszą Józef Wojciechowski, finansowo wstrzeźliwy Janusz Filipiak i skąpy Sylwester Cacek – niby inni, ale tak naprawdę bliźniaczo do siebie podobni. Dorobili się majątku i sądzą, że automatycznie posiadli wiedzę na każdy temat. Zdaje im się, iż po prostu wystarczy ich słuchać, realizować nakreślone w gabinecie wizje – i w ten sposób wygra się każdy mecz. Nie przyjmują do wiadomości oczywistych wniosków z funkcjonowania największych klubów świata: że potrzeba boisk do treningu latem i zimą, że konieczny jest liczny sztab szkoleniowy i medyczny, że istotna jest suplementacja i dieta, że trenerowi nie wolno wtrącać się w robotę i że to właśnie on powinien mieć decydujące zdanie w sprawie transferów. Mają jedną zasadę – uważają wszystkich swoich pracowników za głupszych od siebie, po prostu sami nie mają czasu, by wykonać każdą pracę, ale oczywiście wykonaliby ją z większym powodzeniem. Lepiej oceniają potencjał piłkarzy, mają większą wiedzę taktyczną, a wszelkie wymagania szkoleniowców odbierają jako fanaberię. Józef Wojciechowski nawet na

medycynie znał się lepiej niż klubowi lekarze i sam analizował stan uzębienia bramkarza Polonii. Gdzie indziej na świecie znaleźlibyśmy takiego prawdziwka?

Ale Wojciechowski to jeszcze miał swój urok. Stawiał pracownikom drogą whisky (naprawdę drogą) i kiedy jeden z nich dolał coli, po prostu mówił: – Jesteś zwolniony! Płacił kelnerowi 600 złotych za pokrojenie dziecku kotleta. Nawet te narady piłkarskie – w których uczestniczyły niemal wyłącznie osoby bez pojęcia o piłce, byli politycy i eksperci od budowlanki – były na swój sposób zabawne. I gdy dzwonił do trenera tylko po to, by zwozywać go od durniów, bo nie spodobało mu się zestawienie pomocy, wszyscy mówili: – No tak, to tylko Józek...

OK, on był jeśli nie wariatem, to oryginałem, ale takim, którego da się polubić. Natomiast nie dało się polubić Sylwestra Cacka.

Sam miałem nieprzyjemność pracować dla byłego właściciela Widzewa Łódź (byłego, bo oczywiście doprowadził ten klub do upadłości). Akurat Cacek postanowił zainwestować w media sportowe, kupił miesięcznik „Magazyn Futbol” oraz zechciał stworzyć coś, co miało być polskim „Kickerem”, a z czego wyszedł ukazujący się dwa razy w tygodniu kiepski tabloid „Futbol News”. Ja zostałem redaktorem naczelnym miesięcznika, natomiast przy „FN” miałem z doskoku pomagać. Nie wdając się specjalnie w szczegóły – w pewnym momencie przestałem otrzymywać wynagrodzenie. Człowiek, o którym czytałem, że znajduje się w gronie stu najbogatszych Polaków z majątkiem wycenianym na ponad 300 milionów złotych, zalegał mi z zapłatą za faktury na kwotę 60 000 złotych. Sprawdzałem konto – nic.

Pewnego dnia przyjechali jego emisariusze: – Słuchaj, sytuacja wygląda tak. Możemy ci zapłacić piętnaście procent zaległości, a ty umorzysz całą resztę. Podpiszemy odpowiednie dokumenty.

Zdaje mi się, że chodziło o piętnaście, ale mogło też to być dziesięć lub dwanaście procent. W tych granicach.

– Ale dlaczego miałbym to zrobić? – spytałem.

– Ponieważ jeśli tego nie zrobisz, to ogłosimy upadłość. A spółka nie ma żadnego majątku. Kilka biurek i krzeseł. Nie opłaca ci się to.

Na taki szantaż nie mogłem się zgodzić i uznałem, że wolę nie dostać nic, ale z czystym sumieniem nienawidzić Cacka do końca życia, niż wziąć takie okruchy.

W tym czasie ten rzekomy multimilioner zatrudniał agencję PR i podobno płacił jej kilkadziesiąt tysięcy miesięcznie. Wysłałem mu więc na szwajcarski numer SMS-a o treści mniej więcej takiej: „Szanowny Panie Prezesie, dostałem upokarzającą propozycję zapłaty piętnastu procent zaległości. Nie mogę się na to zgodzić. Wolę nie dostać nic. Ale musi Pan wiedzieć, że tego pożaru nie ugasi żadna agencja PR i że palić się będzie długo”.

O dziwo, Cacek oddzwonił i zapewnił, że doszło do pomyłki. I mimo że jego przedstawiciele twierdzili, że w obliczu upadłości układowej zapłacenie mi całości zaległości byłoby nielegalne, to jednak otrzymałem wszystkie pieniądze. Ale jak mawia klasyk – niesmak pozostał.

Cacek i jego syn Mateusz to grabarze Widzewa, naprawdę szczerze współczuję kibicom tego klubu, że musieli trafić na tak paskudnych zarządców. Chcieli podbijać Europę, a sprawdzali stan kolorowego tonera w klubowej drukarce. Zdawało im się, że wprowadzają korporacyjny ład, a w rzeczywistości z każdym dniem przeistaczali klub piłkarski w szpital dla niepoczytalnych. Co jednak charakterystyczne, byli szalenie zakochani w sobie i nie zauważali, że wszystko się sypie. Sylwester Cacek wręcz powiedział kiedyś: – A wiesz, że my zrobimy z Widzewa franczyzę?

– Jak to?

– Wprowadzimy taki model funkcjonowania klubu, że później za opłatą będziemy go sprzedawać do Anglii, Francji, Niemiec. Przyjdzie Manchester United i kupi od nas gotowe rozwiązania.

Jemu naprawdę zdawało się, że nikt na świecie nie wie, jak powinno się zarządzać klubem piłkarskim, i że odkryje to dopiero były nauczyciel ZPT z Piaseczna!

Praca w Widzewie była udręką dla pracowników każdego szczebla, zwłaszcza gdy Mateusz Cacek – z zawodu syn – postanowił mocniej chwycić stery. Piłkarze, zanim podpisali kontrakt, musieli zapoznać się z sążnistym regulaminem klubu, w którym nie zawarto jedynie informacji, w jakim tempie należy oddychać. W tamtych czasach łódzki klub miał umowę z małą firmą odzieżową Vigo i gdy Rafał Grzelak przyjechał podpisać kontrakt, usłyszał, że nie może paradować w koszulce ani w butach ze znaczkiem Adidasa.

– A w butach Nike mogę?

– Nie.

– A Pумы?

– Też nie.

– To w czym mogę?!

Mateusz Cacek zastanowił się chwilę, ale że nie znalazł właściwej odpowiedzi, to tylko syknął: – Ja tu sobie nie życzę żadnych much w nosie!

A Grzelak na to wyszedł i trzasnął drzwiami. Taki tam miły początek współpracy pomiędzy zawodnikiem i klubem.

W pewnym momencie Widzew po prostu został sparaliżowany biurokracją, a pieniądze wyciekały na totalne bzdury, za to brakowało ich na kluczowe sprawy. Dla przykładu – kiedy piłkarz przyjeżdżał na testy, najpierw robiono mu drogie badania (zdaje się, że cena wynosiła 5000 złotych od osoby), prowadzono nawet do okulisty i psychologa. Dopiero później



zawodnik wychodził na boisko i z reguły okazywało się, że nie umie grać w piłkę.

– A może byśmy najpierw ich testowali, a potem badali? – zaproponował raz trener.

– Nie, to wbrew procedurze.

Procedura była święta. Łotewski napastnik Deniss Rakels (późniejsza gwiazda ekstraklasy) nie przeszedł sita psychologicznego, pani psycholog uznała, iż jego tatuaże świadczą o braku pewności siebie i wewnętrznym zagubieniu. Już więc wiadomo, że ani Lionel Messi, ani tym bardziej Zlatan Ibrahimović w Widzewie zagrać by nie mogli. Szkoleniowcy dzień w dzień musieli wypełniać formularz obserwacji sportowej zawodnika (w skrócie FOSZ) i gdyby chcieli robić to naprawdę rzetelnie, to na nic innego nie mieliby już czasu, tylko na te głupie papierki.

Czy ktoś w tym widział jednak jakikolwiek problem? Absolutnie. Nigdy nie uważano, że ktokolwiek zna się na futbolu lepiej niż rodzina Cacków. Kiedyś doszło nawet do śmiesznego zdarzenia – młody Mateusz Cacek w towarzystwie Zbigniewa Bońka tak się wymądrzał na temat piłki, w zasadzie pouczał „Zibiego”, że aż przysłuchujący się rozmowie Michał Probierz przerwał: – Zaraz, zaraz, bo ja się gubię. Ustalmy, kto grał w piłkę – pan czy pan Boniek?

Gdyby jeszcze wszystkim regularnie płacono, wiele osób machnęłoby ręką na tę fanfaronadę. Problem w tym, że im dłużej rządy Cacków trwały, tym płacono rzadziej i mniej, aż w końcu w ogóle. Rzekomy krezus proponował piłkarzom alternatywne rozwiązania, na przykład chciał na nich przepisać ziemię, którą kupił podobno jako genialną inwestycję, a której za żadne skarby nie mógł sprzedać.

– Zaraz, zaraz, jaką ziemię? Ja jestem z Brazylii. Ja chcę wracać do Brazylii – łamaną polszczyzną oburzył się lewy obrońca Dudu.

– Spokojnie, weźmiesz w doniczkę – żartowali koledzy.

Nie mogłem zrozumieć, że poważny biznesmen, dla którego reputacja powinna być sprawą kluczową, zostawia po sobie tak wiele niezapłaconych rachunków i tak wiele wykiwanych osób. Że raz po raz daje komuś słowo honoru, a potem okazuje się, że nie jest ono warte funta kłaków. A już szokująca była wizyta komornika, który chciał zająć majątek Cacka, ale usłyszał: – Dom nie mój, samochód nie mój...

I w efekcie komornik zabrał... zegarek, który później zlicytował. Czy naprawdę ludzie z listy najbogatszych Polaków dają sobie ściągać z ręki zegarki, zamiast po prostu regulować zobowiązania?

W 2016 roku Sylwester Cacek z listy przygotowywanej przez miesięcznik „Forbes” w końcu wypadł. A ja mam wątpliwości, czy w ogóle kiedykolwiek powinien na niej się znaleźć.



**Dlaczego z polską piłką nożną będzie  
coraz gorzej?**



**S**koro w poprzednim rozdziale wziąłem w obronę polskich trenerów, to wypadałoby pójść za ciosem i nakreślić przyszłość naszej piłki w optymistycznych kolorach. Tego niestety zrobić nie mogę, ponieważ nos mi podpowiada, że nie będzie lepiej, tylko coraz gorzej. Jak w przypadku każdego prognozowania zdarzeń bardzo odległych i zależnych od wielu czynników, może się okazać, że nie mam racji w ani jednym zdaniu, a każdy mój wniosek jest fałszywy – tym lepiej. Niemniej zapraszam do wspólnych rozważań, co nas może czekać i dlaczego.

Kiedy miałem dziesięć lat, na każdym osiedlu słychać było tylko rytmicznie odbijaną piłkę. Rozgrywano mecze na prowizorycznych boiskach, grano w „kwadraty” albo na bramę garażową, najeden kontakt. Kto nie załapał się do składu, ten ćwiczył żonglowanie. Życie osiedla kręciło się wokół piłki i trzepaka (ten z kolei służył do grania w siatkówkę, ale wszyscy byliśmy wtedy zgodni: siatkówka jest bez sensu, poza tym jest dobra dla dziewczyn).

Najpiękniejszą piłkę dostałem od taty w nagrodę za dobre stopnie. Szedłem do domu trochę przestraszony, bo chyba miałem jedną czwórkę – po raz pierwszy, poza tym piątki, szóstek jeszcze nie było – ale ku mojemu zdziwieniu tata po obejrzeniu świadectwa uśmiechnął się i zawiózł mnie do centrum Warszawy. Tam, w sklepie MDM Sport przy placu Konstytucji kupił piękną piłkę Adidasa. Jak to w tamtych czasach bywało – szybko się zdarła, bo chociaż wszyscy wokół powtarzali „nie graj na asfalcie”, to... niby gdzie miałem grać? Trawiaste boisko zazwyczaj blokowali starsi.

Całe pokolenia wychowały się przed blokiem, umorusane, z kluczem zawieszonym na szyi. Dzisiaj całe pokolenia wychowują się w bloku, czyściutkie, z kluczem wetkniętym w zamek drzwi. Nikt nie dzwoni domofonem z pytaniem: „Czy Krzysiek zejdzie z góry”. Wiadomo, że nie zejdzie. Ma PlayStation.

Kiedy jakiś czas temu zrobiłem sobie wycieczkę szlakiem dawnych miejsc, najbardziej w oczy rzuciły mi się właśnie puste boiska. Ba, często już nawet boisk nie przypominały, bramki zniknęły, a trawa urosła tak wysoka, że nawet nie dałoby się grać. Te boiska, które kiedyś były oblegane od rana do wieczora i z których przepędzali nas starsi, zamieniły się w nieużytki. Dzisiaj nikt już nikogo nie wypędza, na pustych placach srają psy.

A przecież wokół stoją bloki – jest ich nawet więcej. W blokach wciąż mieszkają dzieci. Tylko kto dzisiaj wypuszcza dzieci, żeby sobie swobodnie pobiegały po okolicy? Dzisiaj trzeba je zawieźć na angielski, na plastykę, na pływanie. Albo na piłkę właśnie. Kiedyś dzieci, aby grać w piłkę, zakładały buty i wychodziły przed blok. Dzisiaj są zawożone przez rodziców na „profesjonalne treningi”. A po treningu zaniepokojona mama dotyka karku, aby sprawdzić, czy syn się przesadnie nie spocił. Ojejku.

Ja jestem jedną z tych osób, które wierzą w to, że jakość sportu wynika z jego masowości oraz z pasji. I że prawdziwi mistrzowie wychowują się w błocie, na asfalcie, gdzieś na jakimś klepisku między jednym budynkiem a drugim. Malują bramkę farbą na ścianie i łomoczą, doprowadzając lokatorów do szewskiej pasji. Kiedyś takie podwórka były kopalniami talentów, z czasem wyławianymi przez lokalne klubiki, jakich było sporo w każdym mieście. Nie przez akademie jak dzisiaj – do których może zapisać się każdy, kogo stać na comiesięczną składkę, lecz właśnie przez kluby, które prowadziły skrupulatną

selekcję. – Grałem w piłkę od rana do wieczora, a zapisałem się do klubu, żeby... grać jeszcze więcej – powiedział mi kiedyś Zbigniew Boniek. – Ale nie szedłem do klubu, żeby czegoś się nauczyć, bo wszystkiego uczyło podwórko. Sprytu, zadziorności, techniki, dryblingu, strzału. W klubie można było dostać koszulkę i to było fajne.

Masowość piłki umarła. Nie na zawsze, ale na pewien czas. Mam taką osobistą teorię – niepopartą żadnymi badaniami, analizami, jedynie własnym przeczuciem – że sport najlepiej rozwija się w dwóch rodzajach krajów. Po pierwsze – w tych, które są bardzo biedne, tam, gdzie stadion jest idealnym miejscem, aby zapewnić sobie przyszłość. Dzieciaki uganiają się za piłką od rana do wieczora (albo bez piłki – jak w Etiopii czy Kenii), rywalizują ze sobą, zdzierają kolana, ponieważ widzą w tym okazję do ucieczki z biedy oraz – co prawdopodobnie jeszcze ważniejsze – ponieważ nic lepszego nie mają do roboty. Gdzie nie ma internetu, konsol i innych wynalazków, które kradną czas, tam ciągle najpopularniejszą zabawką jest piłka. Ale jest też ten drugi rodzaj krajów – bogate. Tam z kolei wszystko jest, wszystkie te zdobycze XXI wieku, ale zdążyły się opatrzyć. Ponadto tam właśnie ludzie nie pędzą przesadnie za pieniędzmi, mają czas dla siebie, mają też czas na refleksję. Rozumieją, że nowy samochód zawsze zdążysz kupić, ale zdrowia nie kupisz. W takich wysoko rozwiniętych krajach jak grzyby po deszczu powstają boiska, ludzie rekreacyjnie jeżdżą na rowerach, biegają, jeżdżą na nartach i na rolkach, jest moda na zdrowy tryb życia. U nas też powoli sport zyskuje na popularności, ale to wciąż zajawka dla małej części społeczeństwa i raczej weekendowa. Większość osób zaharowuje się od rana do wieczora i nie chcąc takiego samego losu dla dzieci, mówi im: czytaj książki, ucz się angielskiego, idź na kurs informatyki. Tak, to wszystko też jest potrzebne. Ale najbardziej potrzebne są prosty kręgosłup, pojemne płuca i zdrowe serce.

Świadomość, na ile ważne jest zdrowie oraz finansowy komfort, by o nie zadbać – to jest coś, czego u nas jeszcze brakuje. Polska jest na etapie dorabiania się. Dorabiasz się ty, ja, dorabia się sąsiad, dorabia się lekarz pracujący w trzech różnych miejscach oraz taksówkarz jeżdżący na dwie zmiany. Dorabiają się też deweloperzy, upychając coraz więcej budynków na coraz mniejszych działkach, bo tak maksymalizuje się zyski. Czy ktoś dzisiaj widział, żeby na nowym osiedlu powstało boisko? Nie, jest jedna zjeżdżalnia, jedna huśtawka i ewentualnie piaskownica. To ładnie wygląda w reklamowych folderach i zajmuje niewiele miejsca. Jednak są to atrakcje dla dzieci do trzeciego roku życia. A co później? Co z chłopcami, gdy są już zbyt duzi, aby babrać się w piasku? Nic. Przecież oni nie mają znaczenia, ponieważ rodzice już kupili mieszkanie. Transakcja się dokonała.

Piętro nade mną mieszka Ivica Vrdoljak, czyli kapitan Legii Warszawa. Często przez okno widziałem, jak jego synowie grali w piłkę na małym skrawku trawy, jaki deweloper zostawił na naszym osiedlu. W najbliższej okolicy są same nowe bloki, więc co za tym idzie – nie ma żadnego boiska. Z tego, co wiem, synowie Vrdoljaka – a przynajmniej jeden z nich – są zapisani do szkoły Legii, ale czy ktoś wierzy, że to coś da? Czy ktoś wierzy, że piłkarz może osiągnąć międzynarodowy poziom, jeśli przychodzi trzy razy w tygodniu na krótkie zajęcia do klubu, a nie może tłuc od rana do wieczora pod blokiem, bo nie ma takich możliwości? Ja w to nie wierzę.

W Krakowie na bloku, w którym wychował się Andrzej Iwan, nie ma tabliczki: „Tutaj żył medalista mistrzostw świata w piłce nożnej oraz mistrz Polski w barwach Wisły Kraków”. Nie ma, mimo że moim zdaniem byłaby wskazana, stanowiłaby fantastyczną inspirację dla młodych chłopaków mieszkających w okolicy. Jest za to na bloku inny napis: „Zakaz gry w piłkę”. Znak naszych czasów. Dokładnie w miejscu, gdzie Iwan

wyszkolił się technicznie, dzisiaj w ogóle nie można kopać piłki. Niestety, ale skwery przejęły staruszki i młode matki, a trawniki w całej Polsce zostały zawłaszczone przez psy.

Mamy więc problem dwutorowy: boiska, które kiedyś istniały, dzisiaj zarosły chwastami lub – co też częste – zostały zabudowane. Nowe nie powstają, bo grunt jest drogi, więc i tym bardziej nikt w przyszłości nie pogra. Jeśli nawet nastanie moda na sport, braki infrastrukturalne zduszą ją w zarodku. Biegać, jeździć na rowerze – to można wszędzie. Ale do futbolu potrzebujesz wolnej przestrzeni, bramek... O tym, jak istotny to problem, niech świadczy fakt, że nawet ekstraklasowe kluby, z budżetami liczonymi w dziesiątkach milionów, cierpią na niedostatek miejsca, gdzie mogłyby prowadzić zajęcia z dziećmi i młodzieżą.

\* \* \*

Kiedy zaczynałem przygodę z dziennikarstwem, początkowo musiałem opisywać mecze trzeciej ligi. Było co robić – o ile pamięć mnie nie myli, w samej Warszawie w tym samym czasie było pięć drużyn na tym poziomie rozgrywkowym: Gwardia, Okęcie, Olimpia, Hutnik oraz Legia II, nie wykluczam, że jeszcze trzeba dodać Ursus oraz pobliskie KS Piaseczno. Co tydzień udawałem się na jeden z tych stadionów i trzeba przyznać, że czasami było nawet na czym zawiesić oko. Trafiali się piłkarze dobrze wyszkoleni, kreatywni pomocnicy, nieźli snajperzy. Jednemu z nich – Piotrowi Barchwiczowi – jakiś czas później nawet załatwiłem testy w Legii, przekonując trenera Jerzego Kopę, że warto, ale rozgrywający Gwardii niestety je oblał. Chyba był już wtedy troszkę za stary.

Pamiętam, że miałem taką małą karteczkę, na której szef działu piłkarskiego „Przeglądu Sportowego” Maciej Polkowski napisał: „Pan Krzysztof Stanowski jest współpracownikiem



gazety. Prosimy o umożliwienie wejścia na stadion”. Dostawił pieczętkę, ja zafoliowałem kartkę, później ochrona robiła wielkie oczy, czytając ten komunikat i nie wiedząc, co począć, wpuszczając mnie na obiekt za darmo.

Dzisiaj tak naprawdę ani Gwardia, ani Okęcie, ani Olimpia, ani Hutnik nie mają najmniejszego znaczenia, kluby te albo wyzionęły ducha, albo otrzymały już ostatnie namaszczenie i robią to za moment. Warszawska piłka – zwłaszcza po problemach Polonii – ograniczyła się do Legii, pozostałe stadiony są puste i zarastają mchem. Taka centralizacja futbolu nie ogranicza się tylko do Warszawy i ma swoje negatywne skutki.

Kiedyś każda dzielnica miała minimum jeden klub, który szkolił młodzież, i często było to szkolenie na naprawdę dobrym poziomie, prowadzone przez wielkich pasjonatów, w dodatku mających niesamowite rozeznanie, czy akurat za rogiem nie wprowadził się zdolny chłopak. Oprócz zespołów, które wymieniłem powyżej, był przecież także Sarmata Warszawa (prowadzony przez Krzysztofa Bazyłowa z „Przeglądu Sportowego”), Polonez Warszawa (z którego do Legii trafił Wojciech Kowalczyk i po chwili został największą gwiazdą) czy Marymont (zdaje się, że dzisiaj pod krytą trybuną tego klubu nocują bezdomni). Wszystko się rozpadło, cała ta struktura wykruszała się, wykruszała, aż w końcu całkiem przestała istnieć. Ani nie było kogo już trenować, bo dzieci przestały się garnąć do piłki (a jeśli się garnęły, to nie do tych mniejszych klubów), ani też nie było za co.

Mniej więcej rok temu podczas obiadu z Dariuszem Marcem, prezesem Ekstraklasy SA, który bardzo przejmuje się szkoleniem młodzieży (chyba nawet za bardzo, biorąc pod uwagę, że w sumie nie to należy do zakresu jego obowiązków), powiedziałem mu, że nie jestem wielkim zwolennikiem systemu licencyjnego, nakładającego na kluby coraz większe

wymagania co do szkolenia. Kiedy publicznie wygłaszam ten pogląd, ludzie robią zdziwioną minę, myślą, że ich testuję tymi herezjami, z czasem chyba po prostu uznają mnie za głupka – cóż, może mają rację. W każdym razie przyjęło się u nas, że trzeba dokręcać śrubę i wymagać więcej i więcej od klubów ekstraklasy, mają szkolić ile wlezie i inwestować w kolejne roczniki. Moim zdaniem – ale chyba tylko moim – to nie musi być dobra droga, a przynajmniej dostrzegam w niej pewne zagrożenie.

Pomyślmy... Każdy klub piłkarski to w zasadzie prywatna firma. W porządku, różne bywają źródła finansowania, czasami część pieniędzy pochodzi ze środków miejskich, ale generalnie są to prywatne firmy, którymi rządzą prywatne osoby. U nas PZPN – wzorem UEFA – mówi tym prywatnym firmom, że część swoich przychodów muszą lokować w szkolenie młodzieży, nawet jeśli nie mają do tego ani chęci, ani warunków. Powstają więc klubowe akademie, które zamiast budować kariery dzieciakom, niszczą je w zarodku. Swoją nieudolnością, bylejąkością, działaniem nastawionym tylko na to, by spełnić licencyjne wymagania jak najmniejszym nakładem kosztów i energii. Oczywiście dzieci lgną do tych wielkich klubów, bo widzą fajny znaczek, znane barwy, ładny stadion. Nie wiedzą, że stanowią tylko mięso armatnie.

Zdarzają się kluby, które szkolą dobrze, naprawdę się w to angażują, rozwijają, mają wizję – jak Zagłębie Lubin, Lech Poznań, w mniejszym stopniu Legia czy Lechia. Jednakże są też takie, które mają głęboko w nosie zabawę z dziećmi i wolą skupić się na futbolu seniorskim, zawodowym. Moim zdaniem powinny mieć do tego prawo. I teraz zanim dojdę do sedna, krótkie nawiązanie do innej branży. Kiedy pracowałem w firmie PartyPoker, a był to gigant w pokerze online, szef marketingu na cały świat zawsze tłumaczył: – Świat pokera to wielkie akwarium. Pływają w nim wielkie, wiecznie głodne rekiny. To

one przynoszą nam najwięcej pieniędzy. Ale twoim zadaniem jest dostarczanie małych rybek, jak najwięcej małych rybek, żeby te wielkie rekiny miały kogo zjadać. Tak buduje się cały pokerowy ekosystem. Mali, średni, więksi, najwięksi.

Utkwiło mi to w pamięci. W piłce też taki ekosystem kiedyś funkcjonował, ale został zakłócony przez licencyjne represje. Za mało dostarcza się mniejszych i średnich rybek, a po akwarium pływają już niemal wyłącznie rekiny.

Moim zdaniem jeśli klub X ma wydawać 4 miliony złotych rocznie na funkcjonowanie akademii, ale każdy widzi, że ta akademia jest kiepska, prowadzona niechlujnie, służąca tylko utrzymaniu licencji, to lepiej ją od razu zamknąć, a te 4 miliony wydać w inny sposób. Na przykład kupić ośmiu najlepszych juniorów, po pół miliona każdy, z niższych lig – z takich właśnie Sarmatów, Polonezów itd. – napędzając przy okazji cały ekosystem. Takie pieniądze pozwoliłyby funkcjonować tym, którzy na szkoleniu się znają, chcą szkolić, mają do tego pasję.

Mam nadzieję, że rozumiecie, o co mi chodzi? Jeśli kluby ekstraklasy chcą szkolić, to wspaniale, biję brawo. Jeśli jednak nie chcą, a są do tego przymuszane – czynią szkodę samym dzieciom, które marnują czas i talent, oraz całemu futbolowi. Kiedyś pieniądze rozchodziły się po wszystkich poziomach piłkarskiej piramidy, a dzisiaj podstawa owej piramidy jest coraz bardziej odcięta od kasy i dogorywa. Pieniądze, które mogłyby popchnąć piłkę od dołu, przepadają gdzieś u góry. A zdolna młodzież z mniejszych miejscowości, niemająca tego szczęścia, że w okolicy istnieje klub ekstraklasowy, musi czekać na cud.

Ponieważ ludzie czytają po łebkach i wyciągają idiotyczne wnioski, ktoś zaraz zapyta: „Czyli co? Nie szkolić?!”. Szkolić, ale nic na siłę. Niech szkolą ci, którzy są w tym dobrzy. Nie odcinajmy ich od materiału ludzkiego i potencjalnego zarobku.

Hm, w zasadzie już to zrobiliśmy...

Oczywiście tu i ówdzie powstają szkółki prywatne, zakładane np. przez byłych piłkarzy, ale ze względu na brak ciągłości szkolenia (np. brak sekcji seniorów) trudno je zestawiać z klubami, które kiedyś dobrze sobie radziły, a dziś podupadły. Często owe szkółki są faktycznie oczkiem w głowie pasjonatów, ale jeszcze częściej to projekty czysto komercyjne, nastawione na regularne pobieranie składek i sprzedaż sprzętu sportowego, a treningi można zestawić z lekcjami plastyki – ot, rodzice chcą, by dziecko rozwijało się ruchowo, ale nie ma to wiele wspólnego z wykuwaniem profesjonalnego sportowca. Bo żeby takiego wykuć, to nie tylko muszą być ładne markowe stroje, nie tylko fajne logo i przyjemny trener. Czasami muszą być krew, pot i łzy.

A chyba nie rośnie nam pokolenie krwi, potu i łez, prawda? Sam jako rodzic ze wstydem (umiarkowanym) przyznaję: dla swojego dziecka sam też szukam głównie komfortu. Dlatego wiem, że piłkarzem nie zostanie.

\* \* \*

Niezwykle popularne w ostatnich latach stało się sformułowanie „system szkolenia”. Odmieniano je przez wszystkie przypadki. Nie mamy systemu szkolenia, trzeba opracować od podstaw system szkolenia, każdy szkoli po swojemu, brakuje ujednoczonego systemu. I tak dalej. Są dziennikarze, którzy mają na tym punkcie fioła. Czasami się z nich śmieję – chociaż to nie żart, tylko szczerza prawda – że tyle razy napisali, iż nie mamy systemu szkolenia, że już dawno sami zdążyliby go napisać na własną modłę. I w zasadzie nie mogą zrozumieć, dlaczego tego nie robią. Zawracają głowę jakimś wyświechtanym hasłem, nikt ich nie rozumie i nikt nie słucha. Zamiast tego mogliby przyjść z gotową książeczką i na trwałe zapisać się w historii naszej piłki. Przecież gdyby opracowali coś

naprawdę rewolucyjnego – coś, czego sami oczekują i do czego stworzenia sami mają, jak im się zdaje, kompetencje – to nikt by tego do śmieci nie wyrzucił. Może nawet mogliby liczyć na nagrodę finansową.

Ale nie, zamiast napisać system szkolenia, ciągle mówią, że go nie ma. No dobrze, uznajmy, iż taka rola mediów – alarmować, a nie wyręczać. Chociaż ja, dla świętego spokoju i z nudów, wolałbym wyręczyć.

Problem z tym całym rejwachem polega na tym, że... system szkolenia oczywiście jest. W pięć minut w internecie można znaleźć dokładne wytyczne, jak należy prowadzić treningi z ośmiolatkami, jak z dziesięciolatkami, a jak z czternastolatkami. Każdy trener, któremu na tym zależy, bez trudu ściągnie wszelkie pomoce naukowe, wskazówki, przykłady, filmiki instruktażowe. Nie są to żadne przedwojenne zapiski, tylko zalecenia całkiem na czasie. Czego jeszcze oczekuje grupa od „nie ma systemu szkolenia” – nie wiem. Mogę na siłę zgadywać, że może tego, by wszyscy się obowiązkowo jednego systemu trzymali, ale nie mam pojęcia, dlaczego miałoby tak być. Moim zdaniem w Hiszpanii FC Barcelona szkoli inaczej niż Real Madryt i jeszcze nikt nie wpadł na to, by dokonać jakiejś obowiązkowej unifikacji.

System szkolenia jest, a to, czy ktoś z niego korzysta, to zupełnie inna kwestia. Warto bowiem sobie uświadomić, iż związki piłkarskie – ani w Polsce, ani w ogóle w Europie – nie prowadzą szkolenia dzieci i młodzieży, a przynajmniej nie na naprawdę znaczącą skalę. Atakowanie PZPN w kwestii szkolenia dzieci i młodzieży jest równie zasadne jak atakowanie leśników za nieodśnieżone drogi w miastach – jedni i drudzy po prostu się tym nie zajmują. Jeśli jesteś rodzicem i chcesz, aby twoje dziecko grało w piłkę, to zapisujesz je do klubu piłkarskiego. Nie do związku piłkarskiego, tylko do klubu. I to tam je szkolą. Jako tata lub mama wybierasz taki klub, który twoim zdaniem otoczy

latorośl opieką. Zasięgasz opinii – gdzie szkołą lepiej, a gdzie gorzej.

Z reguły są to całkowicie prywatne inicjatywy – akademie przypisane do klubów Ekstraklasy, klubiki zakładane przez byłych piłkarzy albo lokalnych zapaleńców, czasami szkółki odwołujące się do symboliki związanej z zagranicznymi drużynami. Nie ma żadnego powodu, dlaczego miałyby się słuchać PZPN w kwestii organizacji treningów. Mało tego – kluby często chełpią się własnymi rozwiązaniami i w ten sposób rywalizują o klientów (dzisiaj młody piłkarz jest przede wszystkim klientem, który ma opłacić składki). Jakby ogłaszały, że robią to samo co konkurencja, to byłoby to z lekka bez sensu.

System szkolenia to takie coś, co rzekomo istnieje, gdy wyniki są dobre, i co rzekomo nie istnieje, gdy są złe. Bardzo dynamiczna sprawa. Kiedyś mówiło się, że najlepiej na świecie szkoli Ajax Amsterdam, ale niestety najwidoczniej zgubili tam system szkolenia (dziwne, że mieli tylko jedną kopię) i teraz nie wiedzą, co robić. Później złoty okres miała szkółka Barcelony, która wydała na świat: Messiego, Fàbregasa, Iniestę, Xavięgo, Piquégo, Busquetsa, Valdésa i paru innych, ale – jak się już pewnie domyślacie – znowu to samo: zapodziali zeszyt. Od jakiegoś czasu – nic, żadnej gwiazdy.

Bo to niestety jest tak – odchodząc od żartów – że piłkarskiej gwiazdy się nie szkoli. Ona się po prostu zjawia. Owszem, czerpie nauki w szkółce, chłonie wiedzę trenerów, gra i trenuje, ale od momentu, gdy przekracza próg po raz pierwszy, wszyscy już wiedzą: to dziecko jest inne niż pozostałe. Przecież opowieści o wielkich piłkarzach są takie same. W żadnej nie ma nic o tym, że „był jednym z wielu, ale uważnie słuchał trenerów i uczył się kopać, aż się nauczył”. Nie, zawsze jest tak: „Od pierwszego dnia byliśmy pewni, że ma niesamowity talent, przerastał rówieśników o kilka klas”. Mówiąc krótko – dobre szkolenie polega na tym, by nie przeoczyć tego momentu, gdy

trafi do ciebie perła. I aby potem tej perły nie zniechęcić do sportu, tylko pomóc jej rozwinąć skrzydła.

Ajax miał swoje złote pokolenie, później miała takie Barcelona. Przecież nie uznamy, że nagle potem jakość szkolenia drastycznie spadła, trenerzy cofnęli się w rozwoju, a cała baza treningowa popadła w ruinę. Te kluby wciąż wybierały najlepszych chłopców ze swoich roczników, wciąż prowadziły elitarne klasy piłkarskie, wciąż wykonywały z tymi kandydatami na piłkarzy dokładnie te same czynności, które w przeszłości przyniosły powodzenie. Tylko że wtedy jedną grupę Pan Bóg wskazał palcem, a teraz nie. I być może na kolejne złote pokolenie czekać będzie trzeba pięć lat, a może trzydzieści – przez ten czas nie zaniedbując szkolenia ani na moment.

W połowie lat dziewięćdziesiątych był Ajax, jakiś czas później Barcelona, niedawno ludzie dostali fioła na punkcie szkolenia w Belgii, ale szukanie prawidłowości może zaprowadzić na manowce, bo za moment okaże się, że w tej Belgii jakoś z talentami krucho. I wtedy padnie hasło: może szkolmy jak Szwajcaria, Portugalia czy kto tam akurat będzie na topie. Ja mam taki pomysł: szkolmy jak Polacy, tylko dajmy trenerom równe boiska, napompowane piłki, godne pensje, dajmy im tylu chłopaków na jedno miejsce, ilu mieliby w innych krajach. Nie róbmy z siebie debili, tylko sami stwórzmy sobie warunki. Opowiadanie o „systemie szkolenia” to pójście na skróty, szukanie czarodziejskiego zaklęcia, które nie istnieje.

Teraz za moment być może polska piłka oddana zostanie w ręce Belgów, którzy stworzą „system certyfikowania akademii”. Ciągłe powtarzanie, jak to w Belgii jest świetnie, a u nas do kitu, doprowadziło do tego, że chcemy przelewać miliony złotych cudzoziemcom, którzy w zamian za te miliony... powiedzą, która akademia powinna mieć trzy gwiazdki, a która jedną. No przepraszam bardzo, ale czy naprawdę żaden Polak nie byłby w stanie dokonać takich weryfikacji? Oczywiście, że by

mógł, i to za jedną dziesiątą tej stawki. Ale Polak to nie Belg. Polak gorszy. Tak napisali w gazecie.

Papier wszystko przyjmie. Można napisać, co się chce, można potem na podstawie takich zapisków wydać i sto milionów złotych. A na koniec największe znaczenie będzie miało to, ile godzin lekcji wychowania fizycznego mają dzieci w szkołach, ile spędzają czasu na podwórkach i czy latem wolą biegać za piłką, czy grać w „Wiedźmina”. Myślicie, że w miejscowości Rosario, skąd pochodzą: Messi, Di Maria, Lavezzi, Icardi, Banega, Correa i wielu, wielu innych, stworzyli jakiś niesamowity system szkolenia, znacząco lepszy niż w innych argentyńskich miastach? Nie, tam po prostu jest od groma boisk, mnóstwo amatorskich lig oraz – tak czytałem – tony zdrowego jedzenia i czyste powietrze. Ot, przepis na futbol. Ciągła rywalizacja, pasja i jak najwięcej chętnych. Ekosystem, w którym jest miejsce dla wszystkich.

\* \* \*

Gdybyśmy jednak nawet najwspanialej szkolili młodzież i gdybyśmy mieli całe zatrzęsienie zdolnych piłkarzy – wyobraźmy sobie, co wtedy? W zasadzie nie musimy sobie wyobrażać, wystarczy wczuć się w rolę wywołanego do tablicy Belga. Otóż co robi taki Belg w piłkarski weekend? Idzie na stadion? No niekoniecznie. Raczej siada przed telewizorem, aby obejrzeć, jak radzi sobie Eden Hazard w Chelsea albo Romelu Lukaku w Evertonie. Czyli w sumie robi dokładnie to samo, co Polacy, którzy z kanapy śledzą poczynania Roberta Lewandowskiego w Bayernie (Polacy mają nawet lepiej, bo Lewandowski częściej strzela).

Zmierzam do tego, że możemy naprodukować talentów tyle co Belgowie, ale... nic z tego mieć nie będziemy, ciągle zostaniemy na etapie lizania cukierka przez szybę. Wszyscy



zdolni piłkarze i tak wyjadą z naszej ligi, a kluby – chociaż bogatsze i coraz bardziej profesjonalne – dalej nie będą się liczyć w walce o europejskie trofea, o ile w ogóle do jakichkolwiek międzynarodowych rozgrywek się zakwalifikują. Świat wielkiego futbolu ucieka szybciej, niż my jesteśmy i będziemy w stanie go gonić. Nastąpiło rozwarstwienie, które będzie się tylko pogłębiać. Możemy w tym całym biznesie funkcjonować jedynie jako tania siła robocza, dostarczyciel podzespołów i półproduktów.

Futbolem rządzi kasa. Kwestią kilku lat jest, kiedy przychody najbogatszego klubu świata przekroczą miliard euro rocznie. W sezonie 2016/2017 kluby Premier League podziela między siebie ponad 5 miliardów funtów, czyli blisko 30 miliardów złotych, do czego dojdą oczywiście kolosalne zyski z innych źródeł. Wszyscy wielcy rosną coraz bardziej i coraz bardziej zostawiają w tyle europejski peleton. My się cieszymy, gdy nasze kluby dzielą między siebie 150 milionów złotych z praw telewizyjnych, i liczymy, że kiedyś pęknie 200, a to jest nawet mniej, niż zgarniają dwa najbardziej dziadowskie kluby włoskiej Serie A – takie, które naprawdę nikogo nie interesują.

Łatwo więc sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby nagle trafiło nam się złote pokolenie – zresztą, niewykluczone, że właśnie się trafiło, ale jeszcze to do nas nie dotarło, i że na następnego Lewandowskiego będziemy czekać kolejne 50 lat. Wszyscy zdolni piłkarze zostaliby rozkupieni, i to niekoniecznie do najlepszych klubów świata, wystarczyłaby druga liga angielska, która wychwytywałaby co zdolniejszych młodzików, zanim na dobre rozwiną skrzydła. Nasza ekstraklasa dalej byłaby słaba, tak jak słaba jest obecnie ekstraklasa belgijska czy chorwacka, natomiast skorzystałaby reprezentacja. Czyli cały efekt tego fantastycznego szkolenia byłby w sumie epizodyczny, ograniczałby się do spotkań reprezentacji kraju. Kilku w roku.

Nie ma u nas wielkich firm, które chciałyby zainwestować w futbol, nie ma oligarchów, jak w Rosji czy na Ukrainie, nie ma i chyba szybko nie będzie takiej rzeszy rozrzutnych miliarderów jak w Chinach. Biznes w rozmiarze XXL chce się trzymać blisko futbolu XXL, nikt z forszą nie będzie tracił czasu, żeby w Polsce zasiać i poczekać, czy coś wyrośnie. Bo i po co? Są gotowe rynki, takie, gdzie już cała koniunktura jest nakręcona, oglądalność gwarantowana, przychody przewidywalne. A Polacy? Przecież Polacy i tak tkwią z nosami przyklejonymi do telewizora. Zareklamujesz się w Anglii czy w Hiszpanii, dotrze to też do mieszkańców Warszawy, Poznania, Katowic czy Krakowa.

OK, jeżeli dla kogoś świetlana przyszłość polskiej piłki oznacza na przykład sukces w wielkiej imprezie – jest on jak najbardziej możliwy. Aby osiągnąć taki sukces, wystarczy dwudziestu dobrych piłkarzy, przy korzystnych wiatrach nawet dziesięciu albo ośmiu. A żeby doczekać się tylu wysokiej klasy zawodników, wystarczy odrobina fartu, nic więcej. Natomiast jeśli komuś marzą się czasy, gdy znowu polski klub gra w finale europejskiego pucharu, gdy zdarza się chociaż dotrzeć do półfinału Pucharu Europy... Gdy ktoś chciałby, aby ponownie na trzeciego piłkarza świata wybrano zawodnika z polskiej ligi... Cóż, nie wierzę, że to jeszcze kiedykolwiek nastąpi. Po prostu, jak za młodu: graliśmy, graliśmy, aż nagle przyszli starsi i powiedzieli, że teraz mamy iść do domu, bo przejmują boisko.

I tyle, finito. Możemy tylko popatrzeć.



**Dlaczego piłkarze wcale nie są bogaci?**



**P**iłkarze w przyływie złości lubią powoływać się na argument: – Bo mi zazdrościsz. To bardzo częste słowa, chociaż czasem nie muszą być nawet wypowiedziane na głos – wystarczy mimika, gest, prychnięcie, spojrzenie z góry. Często tę narrację podchwytują sami kibice i podczas dyskusji rzucają w kierunku oponenta: – Bo ty im zazdrościsz! Ile razy musiałem zmierzyć się z tak głupią opinią. A przecież nawet nie ma jak odpowiedzieć. Odpowiesz, że nie zazdrościsz, to i tak przeciwnik ci nie uwierzy – bo jak można nie zazdrościć? On zazdrości, więc z automatu przyjmuje, że ty również.

A nie ma czego zazdrościć. Naprawdę.

Piłkarze bywają bogaci, ale zazwyczaj krótko. Skoro w pięć lat po zakończeniu kariery bankrutuje większość koszykarzy NBA (to fakty!) i skoro w pięć lat po wygranej w lotto większość szczęśliwców nie ma grosza, to nie myślcie, że z piłkarzami jest inaczej. Wedle moich obserwacji przynajmniej ośmiu na dziesięciu kończy, biedując. Przy czym ów „koniec” przychodzi w czterdziestym roku życia – a żyć trzeba. Wówczas szybko mijają im złość na dziennikarzy, którzy niegdyś coś niepochlebnego o nich napisali. Pytają o pracę, próbują się dostać na łamy gazet lub – jeszcze lepiej – do telewizji, by przypomnieć ludziom swoją twarz (czyli poprosić o pracę, ale nie bezpośrednio). Kiedyś Arkadiusz Onyszko jechał na program do Orange Sport, ale po drodze... zabrakło mu paliwa. Zadzwoił do redakcji i mówi: – Mam problem, nie dojadę, samochód stanął, nie mam paliwa.

– A nie możesz zatankować? – spytał dziennikarz.

– Nie mam za co.

Dziennikarz pożyczył mu 50 złotych.

Dziennikarze – ci sami, którzy kiedyś mieli być tymi, co zazdroszczą piłkarzom – nagle stają się ostatnią deską ratunku. Znam to od podszewki, bo pomagałem w różny sposób. Niektórym pożyczałem pieniądze, ale z tego się wyleczyłem na zawsze, bo odzyskiwanie długów to wieczna udręka. Innym dawałem pracę lub też pomagałem w napisaniu książki. Kiedyś bardzo zły na mnie był wspomniany Onyszko, którego – nie przeczę – dopadła straszliwa choroba nerek, ale który – to moje zdanie – chciał za wszelką cenę wydoić Józefa Wojciechowskiego (miliardera, właściciela Polonii Warszawa), nie bacząc na to, iż nie jest w stanie realizować kontraktu piłkarskiego. Twierdziłem – i twierdzę dalej – że trzymanie się kontraktu gwarantującego 50 tysięcy złotych miesięcznie, gdy tak naprawdę nie jesteś w stanie wejść po schodach, a co dopiero grać w ekstraklasie, po prostu nie jest fair. Oczywiście to błąd Polonii, że przed podpisaniem umowy nie przebadala Onyszki, ale... na koniec chodzi też po prostu o zwykłą przyzwoitość. Tak, łatwo mi o tym pisać, bo sam nie znalazłem się w takiej sytuacji – tu akurat pełna zgoda.

Arek strasznie się na mnie wściekł, ręki nie podawał, czasami przez znajomych przekazywał niewybredne „pозdrowienia” albo zapewnienia, że kwestią czasu jest, kiedy zbiorę po mordzie. Pewnego dnia jednak zadzwonił: – Słuchaj, co było, to było, puśćmy wszystko w niepamięć, nie ma sensu się kłócić jak dzieci.

Trochę mnie to zdziwiło, bo wydawał mi się człowiekiem, który skoro już nienawidzi, to do końca życia. Dopiero po minucie sprawa stała się jasna – chciał, abym napisał mu książkę.

– Ale ty przecież już napisałeś książkę, w Danii.

– No tak, ale teraz napisalibyśmy nową, a ty piszesz najlepsze.

– A nie można podrasować tej, którą już napisałeś? Może dopisać nowy wstęp, zakończenie?

– To bez sensu, bo trzeba byłoby dzielić się pieniędzmi z jej współautorem, tym z Danii.

Motywacja była więc oczywista – źródło zaczęło wysychać i to na tyle, że byłemu bramkarzowi przeszła nawet złość na mnie (albo chwilowo udawał). Schował dumę do kieszeni.

To nie jest żaden zarzut wobec Arkadiusza Onyszki, ponieważ źródło wysycha zdecydowanej większości zawodników, nawet nie byłoby wielką przesadą napisać, że wszystkim. Tyle że jedni mają pomysł, jak się odbić – i Arek miał, zresztą pracuje jako trener, napisał (z kim innym) naprawdę ciekawą książkę i radzi sobie w życiu, czego mu szczerze gratuluję – a inni nie mają i gniją w jakichś zagrybionych mieszkaniach, które swego czasu kupili jako nowe.

Każdy piłkarz jest inny, każdy ma swoją historię, trudno napisać uniwersalny poradnik: jak kosić gruby hajs, a na koniec zostać z niczym. Poniżej przedstawię kilka najczęściej spotykanych dróg do bankructwa.

\* \* \*

Nieumiarkowanie. Im więcej zarabiasz, tym bardziej rosną twoje wydatki. Każdy, kto miał ten przywilej zarabiać naprawdę sporo, w pewnym momencie zaczynał łapać się na myśleniu: gdzie się taka kasa podziała? Znam to z autopsji, bo sam miewałem w życiu bardzo intratne zajęcia, zarabiałem na poziomie dobrych zawodników ekstraklasy i zamiast trochę więcej oszczędzić, to latałem na sylwestra do Las Vegas i brałem apartament w hotelu Venetian za 700 dolarów za dobę. Gdybym zarabiał trzy razy więcej, niewykluczone, że wziąłbym hotel za 2100 dolarów i dalej dziwił się, gdzie rozplývają się pieniądze.

Ale różnica między mną a piłkarzem jest olbrzymia: ja mam otwartą drogę do tego, by zarabiać coraz więcej, a piłkarz prędzej czy później zawsze ląduje na aucie. U mnie siwe włosy są oznaką bagażu życiowego, dodatkowych spostrzeżeń, jakiejś nabywanej mądrości, a u sportowca pierwszy siwy włos to dzwonek alarmowy, a drugi – bezrobocie.

Tylko nieliczni polscy piłkarze zarabiają naprawdę olbrzymie pieniądze. A pozostali... Jeśli grając na średnim poziomie w lidze, dostaniesz około 20 tysięcy złotych miesięcznie, to z tej sumy nie ustawisz się na resztę życia. To znaczy – da się ją rozsądnie zagospodarować, ale prawie żaden zawodnik o tym nie myśli. Przede wszystkim musi kupić samochód. Jeśli bierze go w leasing, to ma ratę w wysokości około trzech tysięcy złotych. Dwa tysiące wyda na ubrania, drugie dwa tysiące wyda dziewczyna albo żona. To już razem siedem. Do tego dochodzi jedzenie w restauracjach, zwykłe zakupy, paliwo – spokojnie cztery tysiące. Czyli jedenaście. Jeśli piłkarz kupił mieszkanie, to płaci ratę kredytową, a jeśli nie kupił, to wynajmuje – tak czy siak kolejne dwa albo trzy tysiące do tyłu. To już mamy prawie piętnaście. Coś tam wprowadzie zostało, ale przecież trzeba dwa razy do roku polecieć na wakacje. Niektórzy mają dzieci, a to kolejne koszty.

Co piłkarzy gubi? Przede wszystkim większość z nich zakłada, że „zarobić jeszcze zdążą”. Wierzcie mi – oni wszyscy tak mówią. Teraz jeszcze za wcześnie na przesadne oszczędności, ale „z następnego kontraktu już coś zostawię”.

Z czasem się okazuje, że wcale nie zdążyli zarobić, bo do klubu przyszedł lepszy zawodnik, kontrakt się skończył, nie został przedłużony, nasz bohater ląduje gdzieś indziej już nie za 20 tysięcy, tylko za 15, albo co gorsza – za 10. Z kolei ci, do których uśmiechnęło się szczęście i zarabiają dwa razy więcej niż poprzednio, zamiast wydawać tyle, ile do tej pory (a przecież żyli bardzo godnie), zaczynają też dwa razy więcej wydawać.

Kupują samochody, na które stać ich tylko pozornie, i ciuchy, które są absurdalnie drogie. Na przykład Jakub Kosecki dostał w Legii kontrakt na poziomie 50 tysięcy złotych miesięcznie i z miejsca sprawił sobie porsche panamera. Zdobyłem się na złośliwy komentarz, że Kuba jeździ w tym aucie zgodnie z przepisami – tyłem do kierunku jazdy. Kto ma małe dzieci, ten zrozumie aluzję.

W każdym razie zagadał do mnie pewnego dnia jeden z działaczy Legii takimi słowami: – Hej, może zrobicie listę piłkarzy, którzy pięć lat po zakończeniu karier będą spłukani? Kosecki od nas na pierwszym miejscu.

Kosecki jest jeszcze względnie młody i ma szansę się ogarnąć, ale jest idealnym przykładem zawodnika, który niedostatecznie przejmuje się jutrem. Obserwując go, można nakreślić obraz typowego ligowca, który sądzi, że zawsze będzie świecić słońce. W każdym klubie jest takich kilku. Zamiast kupić spodnie za 400 złotych, kupują za 1400. I zamiast kupić auto za 80 000, kupują za 240 000. Nie wspominając już o tych wszystkich kosmetyczkach, torebkach i torbach podróżnych Louis Vuitton, które stanowią znak rozpoznawczy piłkarzy. Nigdy tego nie mogłem pojąć. Po co kupować za dwadzieścia tysięcy złotych wielką markową torbę, skoro po zapakowaniu do niej ubrań trzeba ją na lotnisku położyć na taśmie, a potem... Potem będzie ona przerzucana, uderzana, przewracana, na bank się pobrudzi, a z czasem w ogóle zniszczy, będzie jechała razem z tymi plastikowymi, obcierała o nie, mokła na deszczu itd. Albo kosmetyczki... Jedyne, z czym kojarzą mi się kosmetyczki, to z tym, że prędzej czy później zawsze w środku rozlewał mi się szampon albo wszystko usmarowane było pastą do zębów. Nigdy nie pomyślałem, aby na szampon i pastę sprawić sobie pokrowiec za dwa tysiące, ale wiem, że gdybym był piłkarzem, to musiałbym to zrobić. Bo skoro wszyscy, to i ja. Kosmetyczka z literkami LV to jedyne, co łączy piłkarzy z naszej ekstraklasy z



zawodnikami Barcelony czy Manchesteru United. Jest takim samym znakiem rozpoznawczym jak spodnie z krokiem między kolanami dla raperów.

Pamiętam, jak jednego razu odwoziłem na Polski Bus Radka Matusiaka – to bardzo, bardzo sympatyczny chłopak, poznaliśmy się dopiero, gdy już skończył karierę. Miałem na jego temat zupełnie nieprawdziwą opinię, wydawał mi się wyniosły i zarozumiały. Tymczasem to naprawdę fajna postać. Ale z tamtego dnia pamiętam, że Radek – zawsze szalenie elegancki, w idealnie skrojonych marynarkach – miał ze sobą wielką torbę Louis Vuitton, wartą grubo ponad 10 tysięcy złotych, i wrzucił ją do tego Polskiego Busa, do luku bagażowego, co jakoś mi się ze sobą gryzło. Pomyślałem wtedy, że ten zestaw podróży to taka pozostałość po czasach bogactwa, przepychu i chwały.

Generalnie dość łatwo rozpoznać późniejszych bankrutów. Po pierwsze – nie mogą być asami przedsiębiorczości, ale takich szukać ze świecą. Raz zadzwonił do mnie Andrzej Niedzielan i zapytał: – Słuchaj, nie wszedłbyś ze mną w spółkę? Chciałbym produkować sztuczny węgiel.

To chyba był sztuczny węgiel albo coś podobnego, już nie pamiętam, bo temat odpuściłem. Ale zapytałem go wtedy: – Andrzej, ale po co ci ja? Nie możesz wziąć kogoś z Wisły?

A on mi na to: – Oni nie rozumieją nawet, jak trener tłumaczy ćwiczenie na treningu, a mają rozumieć biznes?

No więc większość nie rozumie i jest całkowicie zależna od tego, co przyniesie im piłka nożna. Jak to się ładnie mówi w środowisku o najbardziej prymitywnych jednostkach: „piłka uratowała mu życie”.

Po drugie – późniejszy bankrut musi obnosić się z forszą. Hm, większość się obnosi. Mark Zuckerberg ma grube miliardy dolarów, ale codziennie zakłada identyczny szary T-shirt. Oni nie, muszą mieć na sobie rzeczy markowe i krzykliwe. Z ust do ust powtarzana jest historia, jak Damian Gorawski zadzwonił do

niejakiego „Diabła” ze Szczecina (obecny partner Natalii Siwiec) i powiedział: – Taki jesteś cwaniak? Taki, kurwa, jesteś mocny? To weź torbę najlepszych ciuchów, ja wezmę swoje i zobaczymy, kto ma lepsze.

Pojedynek XXI wieku.

Po trzecie – taki bankrut często ma obok siebie pijawkę, która a to chce płaszcz, a to suknię, a to szpilki, a to maseczkę za 1500. Znam jednego zawodnika, który kupił dziewczynie buty za 5000 euro, a rok później zgłosił się do mojego znajomego i powiedział:

– Słuchaj, wizyty w marketach, w jakichś programach telewizyjnych, na otwarciach sklepów. Biorę wszystko, załatw chociaż trzy „koła” za przyjście.

Jeśli więc mamy osobę niespecjalnie bystrą (choć może być nawet inteligentna, tylko tymczasowo oszołomiona „bogactwem”), lubiącą dobrze i drogo żyć, a jednocześnie pogrążoną w jakimś kosztownym związku, to jest to stuprocentowy przepis na dotknięcie dna. Pamiętajmy, że zazwyczaj ci zawodnicy nie mieli się kiedy kształcić lub uważali, że nauka jest im zbędna, nie myśleli też o otwieraniu pobocznych interesów, które pozwoliłyby na stały dopływ gotówki z innego źródła.

– Panowie, otwórzcie chociaż warzywniak – powiedział kiedyś Czesław Michniewicz swoim piłkarzom i im się wydawało, że żartuje, a to była najlepsza rada, jaką mogli usłyszeć.

Najsmutniejsze są te spotkania po latach. Po pięciu – to jeszcze jak cię mogę, da się udawać. Po dziesięciu – trudno już cokolwiek ukryć, na twarzy wypisana jest życiowa sytuacja, w oczach już brak żaru, raczej rezygnacja. Swego czasu na łamach Weszlo.com pokazano zdjęcia Radosława Kałużnego, pracującego w magazynie DHL na angielskiej prowincji. Był to dla wszystkich szok – jak taki piłkarz, grający przez tyle lat w

Niemczech, mógł skończyć w taki sposób. A przecież była to typowa, wręcz bardzo typowa historia zawodnika (rozpasanie, źle ulokowane pieniądze i źle ulokowane uczucia), tyle że zazwyczaj nikt nie robi zdjęć i można wegetować w spokoju. Jako młody chłopak uwielbiałem Legię z połowy lat dziewięćdziesiątych. Jeszcze wtedy nie sądziłem, że z czasem wszystkich tych ludzi poznam. Adam Fedoruk, bardzo sympatyczny człowiek, z takim chłopskim poczuciem humoru, szybką ripostą, też wkrótce po karierze wyładował w Anglii, gdzie obsługiwał wózek widłowy. Jak potem żartował: – Nie ukrywam, że życie zmusiło mnie do nauki języków obcych.

W tamtej Legii próżno szukać krezusów, chociaż przecież naprawdę mieli wszystko w swoich rękach. Uwielbiam Leszka Pizę – superfacet, jak grał w Grecji, to przysyłał mi... pocztówki – ale dzisiaj rzucam okiem i widzę, że raczej nie przyjechał nowym modelem mercedesa. Zbigniew Mandziejewicz, gdy kiedyś wraz z Fedorukiem wchodziliśmy do Sphinxu, nagle wypalił: – Ooo, po jakich knajpach się bujacie!

Innemu odcięli prąd, jeszcze inny przepadł i nie wiadomo, gdzie jest. Kolejny narobił długów i przestał odbierać telefony. Krzysztof Ratajczyk dorabiał w kasynie, ale go zwolnili.

Ktoś powie: wtedy nie zarabiano się tyle, ile teraz. Oj, zarabiano się. Jednego sympatycznego wieczoru siedzieliśmy wraz z Radosławem Michalskim w Gdańsku i opowiadał, jak z wypłatą przyjechał do banku. A tam – wielka kolejka, starsze kobiety i wiekowi mężczyźni, przyszli po emerytury. Radek tymczasem miał w ręku wypłatę, pakowaną w papier, szary papier, a każdy taki pakunek był wielkości pudełka od butów.

– Podszedłem do okienka, które było zamknięte, ale w którym już pani siedziała i coś tam sobie robiła. Poprosiłem, czy mógłbym gdzieś z boku, dyskretnie, wpłacić pieniądze na konto, bo mam tu – na stare – nie wiem, z miliard. Przyszła kierowniczką, otworzyli to okienko dla mnie, ale zrobił się

problem, bo paczki nie mieściły się w tym otworze, który jest na dole. No i cały bank się patrzy, a ja te paczki przerzucam górą – nad szklaną ścianką, prosto do rąk kasjerki. Jedna paczka, druga, trzecia... Po prostu kabaret – opowiadał.

I teraz – nawet jeśli z tamtej drużyny, najlepszej w Polsce, grającej w Lidze Mistrzów, koszącej naprawdę niehumanitarny smalec, tak niewielu zawodników dzisiaj może sobie polecieć na fajne wakacje, to wyobraźcie sobie, gdzie się podzieli piłkarze z innych zespołów?

\* \* \*

Centrum handlowe Złote Tarasy. Siedzimy na obiedzie – ja, Czesław Michniewicz, Mariusz Piekarski i Marek Citko. Piekarski i Citko to dwa niezłe ananasy (o Piekarskim będzie więcej w jednym z kolejnych rozdziałów). Dwóch chłopaków z Białegostoku, którzy zawsze mieli żyłkę do biznesu i od dziecka zarabiali pieniądze, ale mieli też niezwykły dar do ich trwonienia. O ile inny z białostoczan, Tomasz Frankowski, potrafił zadzwonić do redakcji „Faktu”, że wypłata za felieton spóźnia się o dwa dni, o tyle tamci żyli zawsze tak, jakby jutra miało nie być. Zaczynali od przemytu przez obie granice (jeździli i na Wschód, i na Zachód), obwiązywali się pasami z paczkami papierosów albo kitrali towar po schowkach w pociągu. Później okazało się, że z futbolu można wyżyć jeszcze lepiej, więc grali w piłkę, przy czym Marek i tak wtedy wszystko przegrał na automatach, nawet samochód musiał sprzedać, a jak już nic nie miał, to zaczął się modlić i stał się najbardziej rozmodlonym zawodnikiem w lidze.

W każdym razie – siedzimy w tych Złotych Tarasach, Marek i Mariusz zamawiają krewetki, ale przecież wszyscy znamy te zasady: im droższa restauracja, tym mniejsza porcja. Dlatego kelner co chwilę słyszy: jeszcze raz, jeszcze raz. A potem

od razu: jeszcze pięć razy. Przede mną stos opróżnionych talerzyków, może już z osiemnaście, jeden na drugim. Zajadają tak, że aż im się uszy trzęsą.

Nagle Marek poważniejsze, patrzy na ludzi przechodzących w tę i z powrotem, wszyscy się gdzieś spieszą, gdzieś gonią.

– Patrzcie... Ci ludzie tyle pracują, że nawet nie mają kiedy zarobić pieniędzy – mówi i wybucha śmiechem.

Obaj są niepodrabialni i obiad z nimi to gwarancja... kolacji, bo nikt się nie rozchodzi przez pięć czy osiem godzin. Pamiętam jedną z takich nasiadówek. Tym razem Nowy Świat, chyba restauracja La Cantina. Mariusz przychodzi w niezwyklej okularach przeciwsłonecznych. Naprawdę niezwyklej. Marek też w nie najgorszych – z dużym napisem Prada po boku.

– Mariusz, co to za okulary?

– Od takiego japońskiego projektanta. Kupiłem w hotelu Marriott.

– Ile dałeś?

– Cztery tysiące.

– Dałeś cztery tysiące złotych za okulary przeciwsłoneczne? – pytam.

– A co? Miałem kupić takie...

W tym momencie Mariusz spogląda na okulary Citki, marki Prada. Bierze je do ręki, z nieukrywanym niesmakiem.

– Miałem kupić takie jak te? Takie... Takie... Takie na rower? – zarechotał.

Na rower! Marek nagle zrobił się czerwony i szybciotko swój sprzęt schował.

Dlaczego wspominam o tym białostockim duecie? Ponieważ jest niepodrabialny, a także – ponieważ przeżył wszystko to, co może przytrafić się zawodnikom. Piekarski po prostu palił pieniędzmi w kominku. To wprowadzie metafora, ale

wcale bym się nie zdziwił, gdyby po przeczytaniu tej książki „Piekarz” zadzwonił do mnie i stwierdził, że faktycznie kiedyś nie miał czym rozpać grilla, więc wyjął zwitek banknotów. Nie był to u niego szpan, tylko całkowita życiowa frywolność. Jak zwykł mawiać Mariusz: „Ja nie kolekcjonuję pieniędzy”.

Mógłby więc być on żywą przestrożą dla wielu piłkarzy, gdyby nie to, że spada na cztery łapy. I nawet kiedy spłukał się do zera – przy czym zero oznacza pewnie nie zero, lecz minus kilkaset tysięcy złotych – to i tak się wykaraskał. W życiu przyświeca mu jedna zasada: daj zarobić wszystkim wokół, to i oni dadzą zarobić tobie. Dzieli się kasą i później inni dzielą się z nim.

No dobrze – ale miał być przestrożą, a nie dowodem na to, że „jakoś to będzie” i „wszystko się ułoży”. Otóż poza Piekarskim nie znam nikogo, kto miałby taką łatwość do wychodzenia z opresji i błyskawicznego gromadzenia kasy, natomiast znam wielu, którzy chociaż przez moment prowadzili podobny tryb życia. Na przykład kupowali samochody jeden po drugim, nie zważając na to, że – jak mawia Warren Buffett – nie ma to sensu, ponieważ równocześnie można prowadzić tylko jeden. Niedawno zaskoczył mnie Kamil Glik, którego odwiedziłem we Włoszech. Jeździł pożyczonym od swojego menedżera, Jarosława Kołakowskiego, volkswagenem. Tymczasem klubowi koledzy podjeżdżali na trening na przykład ferrari. Glik wyznał, że samochód potrzebuje tylko do tego, by pojechać na zakupy, a potem je zapakować do bagażnika – i do niczego więcej. Na koniec stwierdził: – To najgorsza inwestycja, bo minutę po wyjechaniu z salonu tracisz trzydzieści procent.

Piłkarze to młodzi ludzie, często idioci. Ale idioci z chwilowym dopływem gotówki (nawet nie wiedzą, jak bardzo chwilowym). Zdarza się, że jedyne, co w życiu czytali, to magazyny o samochodach. Nagle wydaje im się, że ich stać na te najlepsze. To oczywiście nieprawda, ale o tym przekonają się za

dziesięć lat. Na razie sądzą, że ich stać. Ponadto czują, że jeździć kiepskim samochodem to jednak obciach, bo granie w lidze zobowiązuje. Auto wymieniają co dwa lata, zawsze na bardzo drogie. Sprzedają ze znaczną stratą. Każda transakcja – ostro w dupę. Piekarski miał samochodów ponad dwadzieścia, ale nawet jeśli miałeś pięć w dziesięć lat, to niestety spuściłeś znaczną sumę w kiblu. To jest ta suma, której w wieku 60 lat może ci brakować na lekarstwa.

\* \* \*

Pijawki otaczające piłkarzy, te wszystkie dziunie ze sztucznymi cyckami i napompowanymi ustami, to temat na zupełnie inną książkę. Swego czasu mówiło się wręcz o zorganizowanej grupie (w domyśle – przestępczej) dziewczyn ze Szczecina, które okręcały zawodników wokół palca, a potem ich po prostu bezwzględnie doły lub nawet okradały. Znani zawodnicy, reprezentanci Polski – tacy jak Maciej Żurawski, Damian Gorawski czy Tomasz Kłos – tracili głowy i nie tylko. Myślę, że dziś żaden ze wspomnianych tu byłych kadrowiczów nie może o sobie powiedzieć, że stać go na to, by następnego dnia wsiąść w samolot i polecieć na dwa tygodnie na Bora-Bora. A kiedyś nie sprawiało to problemów.

Szczecińska zaraza stanowiła tajemnicę poliszyneła, ale chociaż od plotek i ostrzeżeń huczało – sami piłkarze nie myśleli wówczas organami, które do myślenia faktycznie służą. Z jakichś dziwnych przyczyn nawet gdy ich partnerki pojawiały się na przykład na okładkach pisma „CKM”, uznawali ten fakt za nobilitację, a nie dzwonek ostrzegawczy.

Dzisiaj piłkarze są zwierzyną. Nie oni polują na dziewczyny, ale dziewczyny polują na nich – na ich wysportowane ciała, sportowe samochody, pękate konta bankowe oraz na ich rozpoznawalność, możliwość

autopromocji. Rzadko który młody mężczyzna, w którego krwi buzuje testosteron, jest w stanie obronić się przed taką zasadzką o wymiarach 90–60–90. Zazwyczaj wszyscy wokół widzą, że koleś wpadł jak śliwka w kompot, ale nie on sam – on nie dopuszcza do siebie tej myśli, wręcz się oburza, reaguje agresją. Aż przypomina się słynny „Baranek” Kazika Staszewskiego:

*Znów widzieli ją z jakimś chłopem,  
Znów wyjechała do Saint-Tropez,  
Znów męczyła się, Boże drogi,  
Znów na jachtach myła podłogi.  
Tylko czemu ręce ma białe?  
Chciałem zapytać – zapomniałem,  
Ciało kłoniąc, skinęła dłonią, wsparła skroń o skroń,  
Znów zapadłem w nią jak w toń...*

Jest niemal regułą, że dobrze grają ci piłkarze, którzy mają uporządkowane życie rodzinne i normalną partnerkę (dlatego dobrze gra niewielu). Pozostali prędzej czy później zaczynają się frustrować, złościć, stają się kłębkami nerwów, co w oczywisty sposób odbija się na ich formie boiskowej. Kiedy widziałem piłkarzy, którzy nagle przestawali grać na miarę talentu albo wręcz stawali się karykaturami samych siebie, to albo nikt na nich w domu nie czekał (to jeszcze nie taka zła sytuacja, chociaż do głowy przychodzi głupoty), albo czekała żona prowadząca ich na złą drogę, sprawiająca, że zawodnikowi zmieniały się priorytety – kiedyś chciał świetnie grać w piłkę, a teraz tak jak ona chce po prostu świetnie wyglądać i miło spędzać czas. Zaraźliwe próżniactwo, także zaraźliwe lenistwo – bo te lale nie są przecież przyzwyczajone do sumiennej pracy.

– Najważniejsza jest baba – powiedział mi Sebastian Mila, gdy siedzieliśmy sobie w jednej z knajpek w Barcelonie i



gawędziliśmy o różnych piłkarskich upadkach. To jest sama prawda. Jeśli piłkarz obroni się przed atakiem pijawek i zwiąże się z rozsądną dziewczyną, to ona pierwsza zareaguje w momencie kryzysowym – takim, gdy zawodnikowi zaczyna uciekać z pola widzenia cel sportowy, gdy otoczy się niewłaściwymi kolegami, zacznie zarywać noce. To także ona powstrzyma go przed przesadną rozrzutnością, przed hulaszczym trybem życia. Wystarczy popatrzeć na partnerki najlepszych polskich piłkarzy ostatnich lat – Lewandowskiego, Glika, Piszczka i Błaszczykowskiego. Z wyjątkiem Anny Lewandowskiej pozostałe trzy trzymają się w cieniu i ewidentnie są po prostu bardzo normalnymi dziewczynami, żonami, matkami. Z kolei Lewandowska może i nastawiona jest na lans, ale na szczęście jest to lans niegroźny, a nawet wręcz przeciwnie – bo skoro dziewczyna ma fioła na punkcie bycia fit, to bardzo dobrze, że zaraziła tym także Roberta. Na pewno nie przeszkodziła mu w prowadzeniu sportowego trybu życia i zbudowaniu sylwetki gladiatora, a pewnie nawet pomogła.

Niemniej – jakkolwiek to zabrzmie, ale to szczerza prawda – dla piłkarza partnerka to zawsze koszt. Tak po prostu – koszt. Wydatek. Bycie żoną czy dziewczyną piłkarza to bowiem niełatwa sprawa. Można nawet tym kobietom współczuć, ponieważ ciągła zmiana miejsca zamieszkania zazwyczaj wyklucza podjęcie pracy zawodowej, a we wcześniejszych latach znacznie utrudnia edukację. Nawet jeśli wybranka jest naprawdę ambitną osobą, to w pewnym momencie musi zdecydować, że po prostu będzie tułać się za piłkarzem z miejsca na miejsce, aż w końcu inni będą o niej mówić: utrzymanka. Tak, bo to jest utrzymanka, ale też jaki miała wybór? O ile więc w klasycznych rodzinach zazwyczaj pracuje i mężczyzna, i kobieta, tak w rodzinach sportowych nie. I to jeszcze jeden powód, dlaczego pieniądze tak szybko znikają.

Bardzo często piłkarze po karierze się rozwodzą, co tylko pogłębia ich problemy finansowe. Rozwodom nie można się dziwić. Oni sami leżą w domach na kanapie i szukają pomysłu na życie, ale żadnego nie potrafią znaleźć. Żony denerwują się: – Zrób coś wreszcie, zajmij się czymś, idź zarabiać.

Przyzwyczyli się, że to mężczyzna zarabia, i do głowy nie przychodzi im sytuacja, w której role miałyby się odwrócić. W domu zaczyna panować toksyczna atmosfera – ona chce, żeby ruszył dupę, a on uważa, że już się naharował przez poprzednie dwadzieścia lat i teraz należy mu się chwila wytchnienia. Dodatkowo nie ma co ukrywać – jeśli już taki były piłkarz leży na kanapie, to zazwyczaj popija piwko, pierwsze jeszcze przed południem, bo „teraz już nie muszę sobie odmawiać”. I to jeszcze bardziej doprowadza żonę do wściekłości. Standard życia szybko się obniża, pojawiają się coraz większe zgrzyty, zwłaszcza że perspektyw na dobrą robotę brak.

Najbogatszym byłym piłkarzem w Polsce jest prawdopodobnie Marek Koźmiński. Nie chwali się zacumowanym na Morzu Śródziemnym jachtem, który kupił za 8 milionów złotych, nie chwali się apartamentem z widokiem na Sukiennice, nie szpanuje zegarkami, zdjęciami w mediach społecznościowych. Jest spokojnym, rozsądnym mężczyzną z klasą. Od początku kariery – jak twierdzi – inwestował nawet 80 procent zarabianych pieniędzy, a że trafił na dobry okres (występował w lidze włoskiej, a w Polsce tak naprawdę rodził się kapitalizm), to szybko mnożył majątek. Przede wszystkim kupował grunty w centrach miast czy w innych atrakcyjnych lokalizacjach. Później wielu zawodników próbowało go naśladować, ale z mizernym skutkiem – nie mieli tej smykałki, instynktu, a i czasy były inne. Niech nikt się nie zdziwi, jeśli lada moment Koźmiński będzie jednym z największych deweloperów w kraju.

Czasami trudno nie odnieść wrażenia, że Marek nie jest szczególnie lubiany przez byłych kolegów z boiska, zwłaszcza tych z kadry Jerzego Engela, która w 2002 roku występowała w finałach mistrzostw świata. To dlatego, iż niemal wszyscy pozostali piłkarze nie poradzili sobie w życiu i zazdrością spoglądają w stronę „Kozy”, często nawet są oburzeni, że im finansowo nie pomaga. Nie dajcie się zwieść tym wszystkim znanym twarzom z tamtych lat, które opowiadają w telewizji, że „mają biznesy, ale nie powiedzą jakie”. Nie mają nic. Ale że nikt nie wierzy w to, że nie mają nic (przecież tyle lat grał, taki znany), to czasami jeszcze kogoś zbajerują. Szukają gotówki w show-biznesie, w programach telewizyjnych, a generalnie – pożyczają. Po prostu.

Koźmiński problemy wielu swoich byłych kolegów diagnozuje następująco: kiedyś cieszyli się, że „mogli się skupić tylko na futbolu” i że w klubie „nie brakuje niczego”. Przywykli do życia, w którym wszystko robi się za nich, co odczyło ich normalnego funkcjonowania (to bardzo trafne stwierdzenie)

i zabiło jakąkolwiek przedsiębiorczość. Dodatkowo żyli ponad stan, wydawali zbyt dużo. A teraz? – Jeśli wydawałeś na życie dziesięć tysięcy złotych miesięcznie, to jak się bardzo zmusisz, zejdziesz do pięciu. Ale do dwóch nie zejdziesz. Nie potrafisz – mówi.

A to przecież problem podwójny, bo jeszcze należałoby namówić małżonkę do drastycznego zaciśnięcia pasa i liczyć, że ona to zniesie. Zazwyczaj nie daje rady. Wtedy rozwód, podział resztek majątku, alimenty...

Nie, nie ma czego zazdrościć.

\* \* \*

Nieumiarkowanie nie tyczy się tylko zakupów i codziennych wydatków, których ci młodzi ludzie nie potrafią

zracjonalizować. Ogromną chorobą polskiej piłki jest hazard. Potęgę tej choroby, całkowicie zatruwającej umysł, poznałem na przykładzie Grzegorza Króla. Jest to mój serdeczny kolega, który zresztą zakończył karierę na poziomie ekstraklasy, leżąc kilkanaście metrów ode mnie.

Pamiętam, że poszliśmy na imprezę, pamiętam, że byliśmy w pięć czy sześć osób. Pamiętam, że staliśmy przy barze i Grzesiek spytał: – Masz pożyczyć stówę?

Dałem mu stówę, a on odwrócił się do barmana i powiedział: – Jeszcze raz to samo, dla wszystkich!

– To będzie 95 złotych – odparł barman.

– Reszty nie trzeba.

W ten sposób moja stowa rozplynęła się w powietrzu, posłużyła do tego, by Grzesiek

pokazał, jaki to ma gest. Oczywiście, że jej nigdy nie odzyskałem.

Kilka godzin później leżeliśmy w mieszkaniu przy ulicy Belgradzkiej w Warszawie, należącym do mojej siostry. Wynająłem je Królowi, bo Polonia zakwaterowała go w jakimś paskudnym miejscu. Obudziłem się, spojrzałem na zegarek – dziesiąta.

– Ej! – krzyknąłem do kolegi śpiącego w drugim pokoju. – Ty nie masz o jedenastej treningu?

– Tak, tak – słyszę dogorywanie.

Z Belgradzkiej na Konwiktorską jest naprawdę daleko. Obudziłem się jeszcze godzinę później, a „Królik” dalej spał.

– Królik!

– Co?

– Przespałeś trening!

– Coś wymyślę.

Niestety, główkował cały dzień i nie wymyślił. Dzień później nie poszedł na trening ponownie, ponieważ – jak mi powiedział – skończyły mu się kity i nie wiedział, jak

usprawiedliwić pierwszą nieobecność. Miał więc już dwa puste dni. Skoro nie był w stanie znaleźć historyjki pokrywającej pierwszą nieobecność, to nic dziwnego, że nie miał też żadnej na dwie kolejne doby.

W efekcie – w Polonii nie stawił się już nigdy. Zadzwońnięm do ówczesnego trenera, Dariusza Kubickiego, ale moje wstawiennictwo niewiele dało, bo to nie był pierwszy wybryk Grzeška. Pozornie nie przez hazard stracił wtedy pracę, ale w praktyce tak – to hazard go zdestabilizował, odebrał chęci do codziennej pracy i wyrzeczeń. Grał w piłkę, żeby zabić nudę i mieć kasę na kasyno – nic więcej.

Grzegorz niedawno w książce „Przeegrany” opisał, jak patologicznym jest kłamacą, jak odczłowieczył go hazard, jak zrujnował w każdym zakresie: nie tylko finansowo, ale też rodzinie, po prostu – po ludzku. Tylko że takich jak on jest wielu. Można nawet uznać, że choroba hazardowa jest chorobą zawodową polskich piłkarzy. Myślę, że wynika to z faktu, że często trafiają do obcych miast, w których nikogo nie znają, za to mają nadmiar czasu. Wtedy ktoś daje sygnał, jak można zabić nudę, i zaciąga po raz pierwszy do kasyna. Ilu takich piłkarzy po raz pierwszy zaciągnął do jaskini lwa tak uwielbiany przez kibiców Radosław Sobolewski? Niech sobie odpowie sam.

– Lubię się odstresować w kasynie, zagrać symbolicznie. Wchodzę i mówię, że mam 300 złotych do przegrania. Nigdy więcej – tak mówią piłkarze, gdy ich ktoś zauważy w takim miejscu. Oczywiście wcale nie idą się odstresować, tylko idą zestresowani, a wychodzą zestresowani jeszcze bardziej. I to nie dlatego, że przegrali 300 złotych, tylko dlatego, że przegrali 20 000.

Po latach już żadne nazwiska mnie nie dziwią. Co jakiś czas słyszę – a wiesz, że chłop się wciągnął? I tu pada nazwisko, na przykład – Karwan. Kiedyś byłbym w szoku: – Karwan? Taki spokojny chłopak, z bogatej rodziny?!

A dzisiaj już tylko wzruszam ramionami. Dziwi mnie tylko, gdy dowiaduję się, że są i tacy, którzy puszczają kasę nie przy ruletce, ale na automatach – jak swego czasu Tomasz Jodłowiec. Ile to się trzeba naklikać w to paskudztwo. I jaka z tego przyjemność? Mało rzeczy na świecie wydaje mi się głupszych niż obserwowanie wirujących wisienek.

Bo kiedy Kamil Grosicki poleciał z Turcji do Nicei prywatnym samolotem, stamtąd helikopterem do Monte Carlo – to jednak miało to jakiś urok, nawet jeśli wracał już tanimi liniami, splukany. Odrobinę to ciekawsze niż automat wstawiony w knajpie przy stacji benzynowej.

\* \* \*

Skoro wspomniałem o Karwanie, to potem – w kolejnych rozdziałach – pewnie nie będzie lepszej okazji, a tak błyskawiczna anegdotka. Opowiadał mi o nim kiedyś Radosław Osuch, były menedżer Bartka. Otóż kiedy ten piłkarz grał w Hercie Berlin (zasłynął tym, że na mecz zapomniał koszulki i w efekcie z tego powodu nie wszedł na boisko), miał kompletnego fioła na punkcie czystości. Jeśli wierzyć Osuchowi, szaleństwo było posunięte do tego stopnia, że kiedy obaj wchodzili do domu i Radek chciał usiąść na kanapie, to Karwan zabraniał i... kazał gościowi zdjąć spodnie – twierdził, że zebrało się na nich zbyt wiele zarazków.

– Ale najbardziej mnie zdziwił, gdy jechaliśmy samochodem i kupił sobie batonika. Wziął mokre chusteczki i zaczął myć tego zapakowanego w folię marsa. I kiedy go całego umył, to znaczy kiedy już umył całą folię, to w końcu ją zdjął i po prostu zjadł batona. Do dzisiaj się zastanawiam, co miał na myśli – mówił.

\* \* \*

Przy rozmowie o pieniądzach piłkarzy warto pamiętać, że często są to pieniądze tylko wirtualne. Na papierze wszystko się zgadza, ale na koncie pusto... Teraz sytuacja się cywilizuje, dzięki działaniom komisji licencyjnej PZPN, ale przed laty zawodnicy mogli mieć tylko nadzieję, że faktycznie dostaną obiecaną wypłatę. Nadzieję i nic więcej. Jest bardzo wielu zawodników, którzy rozegrali sto i więcej meczów w ekstraklasie, ale otrzymywali np. co piątą pensję, a dzisiaj żadna emerytura czy renta im nie przysługuje.

Kluby upadały, zmieniały nazwę, właściciele przenosili się z miejsca na miejsce, a długi w praktyce były nieściągalne. „Nikt ci tyle nie da, ile Widzew obieca” – mówiło się kiedyś nie bez przyczyny. Chociaż znam jednego piłkarza, który okazał się cwańszy niż cwani właściciele łódzkiego klubu – Jacek Magiera, znany w środowisku z ponadprzeciętnej inteligencji.

– Po prostu sam napisałem swój kontrakt z klubem – powiedział mi kiedyś.

– Jak to sam?

– Trochę się bałem, że Widzew mi nie zapłaci, tak jak wszystkim innym. Trenowałem tydzień, dwa, trzy, ale nie mogłem doprosić się kontraktu. Po prostu wszyscy mnie ignorowali. Mówili: „później, później, jutro”. Jednego dnia poszedłem do sekretariatu i zapytałem, czy mogę skorzystać z komputera. Usiadłem i napisałem kontrakt. A wcześniej zadzwoniłem do Leszka Miklasa, prezesa Legii, z pytaniem, jak się mogę zabezpieczyć, żeby Widzew mi na pewno zapłacił. No i wpisałem punkt, że jeśli Widzew mi nie zapłaci, to o sumę, którą będzie mi winny, zostanie pomniejszona płatność ze strony Legii za transfer Tomasza Łapińskiego. Miałem więc święty spokój. Prezes Widzewa nawet nie przeczytał, co podpisuje. Chyba mnie nie docenił.

Magiera jest wyjątkiem, od lat walczy o uświadamianie piłkarzy. Sam nie może patrzeć na tych wszystkich młodych ludzi, którzy jeszcze nie wiedzą, iż skończą na dnie, bez grosza przy duszy. Zazwyczaj jednak i on okazuje się bezradny. Po prostu – głupiemu nie pomożesz.

Na pewno pozytywną zmianą jest to, że jeśli klub nie upadnie jak Polonia Warszawa czy ŁKS, to pieniądze zapisane w kontrakcie są w praktyce gwarantowane, najwyżej trzeba na nie trochę dłużej poczekać. Przypomnijcie jednak sobie tych wszystkich piłkarzy, których oglądaliście z trybun w latach osiemdziesiątych czy dziewięćdziesiątych. Jeśli napisałem wcześniej, że zawodnicy Legii z połowy lat dziewięćdziesiątych – którzy awansowali do Ligi Mistrzów i zarobili w niej kokosy – dzisiaj nie opływają w dostatki, to wyobraźcie sobie tych wszystkich piłkarzy, którzy z nimi rywalizowali w polskiej lidze. Piłkarze ŁKS-u, Stali Mielec, Rakowa Częstochowa, Hutnika Kraków, Lecha Poznań, Górnika Zabrze, GKS-u Katowice... Czym się mogą zajmować? Kim są? Jak sobie radzą?

Niech pewną wskazówką będzie opowieść Piotra Jegora, który przecież był bardzo znanym obrońcą, strzelił nawet gola Realowi Madryt na Santiago Bernabeu. W zasadzie w jego słowach streszcza się wszystko to, co napisałem w tym rozdziale. – Po zakończeniu kariery przez rok nie miałem pracy. Siedziałem w domu, nie wiedziałem, co ze sobą zrobić, no to wychodziłem na piwo, szukałem różnych kumpli. Zacząłem pić, żona tylko pracowała, dzieci w domu... Nikomu tego nie życzę. Człowiek kończy karierę, jeszcze chwilę ma pieniądze, a potem nagle wpada w przepaść... – wspominał. – Trzy lata mi zajęło, zanim wróciłem do normalnego życia, niezwiązanego z piłką. Próbowałem załatwić jakąś pracę. Chciałem iść do kopalni, ale mi się nie udało. Pracowałem chwilę w MOSiR w Knurowie za trzysta złotych miesięcznie. Potem w klubie w Bełku za siedemset. Spróbuj, pan, wyżyć za siedemset złotych, mając



żonę i dwójkę dzieci. Taka to była tułaczka. Gdzie się nie poszło, to ktoś próbował załatwić jakąś robotę, żeby ten piłkarz mógł coś zarobić. Teraz pracuję w Gliwickiej Strefie Ekonomicznej. Firma robi parowniki do chłodziarek. Bardzo sobie chwalę. Praca nie jest ciężka, spawamy elementy do lodówek, klimatyzatorów, chłodnic do aut. Chodzę na trzy zmiany. Ważne, że jest. Jakbym się urodził dziesięć lat wcześniej, to dziś bym pewnie był na górniczej emeryturze i miał to wszystko w nosie. Gdybym się znowu urodził dziesięć lat później, tobym może zarabiał duże pieniądze na piłce w innych czasach. A tak wpadłem w dziurę.

Oni wszyscy wpadli w dziurę. Ci, którzy teraz grają, też wpadną w dziurę – tylko w inną, jeszcze nie wiadomo jaką. Tego rodzaju wywiady powtarzają się jak dobrze znany refren. Inne nazwiska, inne lata, ta sama śpiewka.

Piłkarz bogaty tylko bywa.

\* \* \*

A na koniec tego rozdziału coś wesołego. Różne są odcienie przedsiębiorczości i różne sposoby zarabiania. Najbardziej oryginalny pomysł na wzbogacenie się przedstawił mi Marek Józwiak – niezwykle wesoły człowiek, który po zakończeniu kariery stale funkcjonuje albo jako menedżer, albo jako klubowy działacz. Najwidoczniej zawsze miał do tego żyłkę.

– Nie wiedzieć czemu dostałem powołanie do reprezentacji Polski. Rok 1992, tournée po Ameryce Południowej. Ja? Z jakiej paki ja? No ale dobra, lecę! – mówił. – Na miejscu zameldowaliśmy się w hotelu, przy recepcji kręcą się przepiękne dziewczyny. Chłopaki od nas – niby już światowcy, ale całkiem nieśmiali. Języka w gębie zapomnieli. Ja mimo że w sumie prosty chłop z Raciąża, to jednak prosty chłop z bigłem. Idę do tych dziewczyn i pytam, nie znając żadnego języka, ale machając rękoma i pokazując różne gesty: – Ile za numerek? One

na to, że pięćdziesiąt dolarów. Wracam do chłopaków i mówię: – Dogadałem się. Jak ktoś chce, to daje mi stówę, pokazuje, o którą chodzi, i ja załatwiam temat. No i w kilka dni zarobiłem 1500 dolarów!



**Dlaczego piłkarze nie są lojalni?**



**N**a tytułowe pytanie najlepiej byłoby odpowiedzieć innym pytaniem: a dlaczego mieliby być? Ale uczono mnie, że nie odpowiada się pytaniem na pytanie, bo to niekulturalne, więc wspólnie podyskutujmy na temat wierności klubowym barwom.

Z jakichś nie do końca jasnych przyczyn wszyscy mamy tendencję do przenoszenia własnych cech, wymagań i przyzwyczajeń na inne osoby. Jeśli lubimy biegać, to zrobimy wiele, by biegać zaczęli też nasi bliscy. Jeśli smakują nam kotlety schabowe, z trudem zaakceptujemy fakt, iż ktoś inny woli placki. Z piłką nożną jest podobnie – skoro sami nie wyobrażamy sobie zmiany barw klubowych (bo jak barwy klubowe może zmienić kibic?), to wymagamy tego samego od piłkarzy. I nigdy przenigdy nie przyswajamy racjonalnych argumentów, że to całkiem bez sensu. Owszem, co jakiś czas – przywaleni argumentami – przyznajemy z pokorą: piłkarze grają tylko dla forsy, wyjątków nie ma. Ale później ktoś nas ujmuje swoją grą, zachowaniem, charakterem i dajemy się omamić ponownie. Mówimy wtedy – wyjątki jednak są!

Nie, nie ma. Nie ma wyjątków. Zapomnijcie. Dobra, ostatecznie mogę pójść na kompromis, że zdarzają się raz na sto tysięcy przypadków, ale szansa, że taki piłkarz – naprawdę kochający klub – przytrafi się akurat wam, jest znikoma. Dlatego lepiej od razu nie zawracać sobie tym głowy.

Piłkarze grają dla pieniędzy, co nie oznacza, że od razu są prostytutkami – jak to niektórzy lubią głosić. Pani w sklepie mięsny też pracuje dla pieniędzy, a prostytutką nie jest. Wszyscy albo prawie wszyscy wstajemy z rana tylko z jednego powodu – żeby zarobić. Kiedy dostajemy inną ofertę, lepszą, z

reguły ją przyjmujemy, bo czemu nie? W futbolu miałyby jednak być inaczej – kibice domagają się od zawodników tak zwanej lojalności. Mieliby oni okazywać lojalność kosztem własnych interesów, interesu rodziny, komfortu życia. Nikt nigdy nie powiedział dlaczego. Bo tak, po prostu.

Spotkałem wielu zawodników, którzy spędzili w jednym klubie naprawdę długie lata. Z reguły nie mogłem wyzbyć się wrażenia, że nie są to ludzie po uszy zakochani w danej drużynie, tylko po prostu wygodni, w miarę zadowoleni z miejsca, w którym się znaleźli, lubiący stabilizację. Wszyscy przecież mamy różnych znajomych – jednego nosi z miejsca na miejsce, nie może usiedzieć, co weekend wyjeżdża za miasto. Mówimy o nim: ADHD. Inny woli spędzać czas w domu i nie wyciągniesz go, choćbyś roztaczał wizję najlepszej imprezy w mieście. Nie, jemu jest dobrze przed telewizorem i już. Drużyny piłkarskie składają się właśnie z takich osób – są żądni przygód narwańcy i są spokojni domatorzy. Z tych drugich co jakiś czas robi się klubowe legendy, a ich największa zasługa polega na tym, że... nie chciało im się odejść (a często dodatkowo byli na transfer za słabi). To dopiero miks: legenda przez zasiedzenie. Zbyt leniwa i zbyt słaba, by odejść do bogatszego klubu. Dlatego poważana.

Tacy ludzie często spotykają się z uwielbieniem, mimo że tak naprawdę są nudziarzami, bezjajecznymi nudziarzami, którzy trzęśli się na samą myśl wyjazdu z kraju. Albo też – opcja łagodniejsza – są to ludzie, którzy po prostu na miejscu dobrze zarabiali, mieli ładny dom, dziecko miało koleżanki i kolegów, a żona przyjaciółki. I nie chcieli wywracać życia do góry nogami, ale nie miało to zupełnie nic wspólnego z miłością do klubu. To kibice wmówili im tę miłość.

Dajmy spokój z miłością do klubu. Jeśli taka miłość istnieje, to dlaczego nikt na świecie nie kocha małych klubów? Dlaczego nie ma piłkarzy, którzy zakochali się po uszy w Leyton

Orient albo w Aston Villi? Dlaczego nikt na zabój nie kocha Chievo Werony albo Deportivo La Coruñi? Dlaczego gdy mówimy o miłości, to jej rzekome przykłady znajdujemy tylko w klubach największych – w Milanie, Barcelonie, Bayernie, Realu? Czy nie wydaje się to trochę dziwne? „Paolo Maldini, legenda Milanu, dzisiaj już tak lojalnych piłkarzy nie ma” – jakże często to słyszałem. A przecież nie ma nic prostszego niż być lojalnym wobec Milanu w tamtych czasach. Dokąd miał odejść? Mieszkał w pięknym mieście, grał w wielkim klubie, zarabiał kosmiczne pieniądze i zdobywał kolejne trofea. Ale są tacy, którzy mówią, że on po prostu był lojalny z charakteru, kochał klub. Zastanawiam się – czy gdyby urodził się w Pizie, a nie w Mediolanie, to też by do końca kariery był wierny lokalnemu klubowi? Wolne żarty.

Przykłady wiernych piłkarzy, żywych legend, znajdujemy tylko w klubach, które świetnie płacą, walczą o wysokie cele, często znajdują się w pięknych miastach. Nawet Francesco Totti, wieloletni kapitan AS Romy, pasuje do reguły – bo gdzież mu by było tak na sto procent lepiej niż w Rzymie, w którym się urodził? O ile więcej by zarabiał w innym klubie? Przyszedłby na świat w Brescii, toby z niej wyjechał przed ukończeniem osiemnastego roku życia.

Zmienię zdanie, jeśli ktoś mi pokaże przykład piłkarza, który przez dziesięć lat grał dla lokalnego, względnie małego klubu i odrzucał propozycje z lepszych drużyn, z wyższych lig. Kogoś, kto strzelał gola za golem i nie wyrażał zainteresowania transferem wyżej i zdecydowanie większymi pieniędzmi. Ale mam przykrą wiadomość: nikogo takiego nie znajdziecie. Lojalność w futbolu mylona jest z lenistwem, wygodnictwem albo zwykłym nasyceniem.

Jest w tej całej dyskusji o wierności barwom jeszcze jeden aspekt całkowicie pomijany. Często mówi się: czasy się zmieniają, dziś trwa pogoń za szmałem. I to dlatego zawodnicy

skaczą z kwiatka na kwiatek. Kiedyś przynależność do klubu coś znaczyła, dzisiaj to tylko kolejne miejsce pracy. Zastanawiam się, czy aby na pewno kiedyś przynależność do klubu faktycznie coś znaczyła, czy po prostu inne były przepisy? Czy dawne regulacje nie produkowały legend na potęgę? Legend mimo woli? Bo co – natura ludzka tak się zmieniła na przestrzeni kilku dekad? Oj, bardzo bym z takimi wnioskami uważał.

Jakże niesprawiedliwe jest gloryfikowanie dawnych gwiazd i jednocześnie kpienie z dzisiejszych piłkarzy tylko dlatego, że kiedyś nie zmieniało się klubów tak często. Czy dacie sobie rękę uciąć za wasze klubowe legendy, że byłyby tak wierne, gdyby funkcjonowało już prawo Bosmana? Prawo Webstera? Gdyby na sześć miesięcy przed zakończeniem kontraktu mogli związać się z nowym pracodawcą, z dowolnego kraju? Gdyby w całej Europie można było swobodnie zatrudniać obywateli UE? Moim zdaniem czmychnęliby przy pierwszej okazji, ale różnią się tylko tym od dzisiejszych zawodników, że nie mogli. Ktoś naprawdę uważa, że Lucjan Brychczy marzył o tym, żeby spędzić całe życie w Warszawie? Nie wolałby Madrytu albo Manchesteru? Dzisiaj jest uwielbiany – i słusznie, bo to był wielki piłkarz, a później przyzwoity człowiek – ale przecież każdy doskonale wie, dlaczego został legendą Legii. Legendą w sensie człowieka, który przez niemal pół wieku dzień w dzień przychodził do pracy – bo nigdzie nie byłoby mu lepiej. Miał pójść na bezrobocie?

Tak to jest z tą piłką, że gdyby podejść do niej maksymalnie racjonalnie, odrzeć ją z tych wszystkich emocjonalnych pierdów, to traci na uroku. Dlatego lubimy się wszyscy oszukiwać, budować sztuczne więzi, pozorować głębsze uczucia, udawać wielką rodzinę. Wiemy, że to jeden wielki kit, ale prawda nie jest do niczego potrzebna, wręcz przeszkadza, dlatego lepiej ją ignorować.

Popsuję wam humor jeszcze bardziej – z moich obserwacji wynika, że piłkarze nie tylko nie kochają klubu, w którym aktualnie grają, tylko nawet go nie lubią (do czego rzecz jasna nie mogą się przyznać). A szczególnie jest to widoczne w przypadku byłych zawodników – często są rozżaleni, że ktoś ich źle potraktował, mają jakąś zadrę, wspominają zdarzenia z przeszłości, kiedy spotkało ich coś niemiłego, czują się niedopieczeni. Inne kluby są im zupełnie obojętne, a tego, w którym spędzili najwięcej czasu, po prostu nie znoszą. To jak z dziewczynami – mijasz setki dziewczyn na ulicy i zupełnie się nimi nie przejmujesz, natomiast kiedy widzisz swoją eks, która nie potraktowała cię zbyt miło... No, wtedy zalewa cię krew.

Regułą jest jednak, że nikt się do tych uczuć nie przyznaje. Byli piłkarze klubu X nie odważą się powiedzieć, że już się odkochali i że w rzeczywistości życzą wszystkiego najgorszego. To byłoby źle odebrane. Dlatego odgrywają swoją rolę w teatrzyku i wszyscy są zadowoleni, zwłaszcza kibice.

Gdybyście jednak poszli do łóż VIP na dziesięciu różnych stadionach i rozejrzeli się uważnie, gdybyście analizowali, kto naprawdę cieszy się z goli, a na kim nie robią one żadnego wrażenia, zorientowałibyście się, że byli piłkarze nie skaczą pod sufit. Z reguły w ogóle pozostają niewzruszeni, przychodzą głównie po to, by spotkać się ze znajomymi, poplotkować, zjeść za darmo, ewentualnie ponarzekać, że „kiedyś to się grało”. Dlatego zawsze śmiać mi się chce, gdy czytam, że np. ten czy inny komentator jest nieobiektywny, ponieważ 20 lat wcześniej występował w jakimś klubie. To nie ma najmniejszego znaczenia. Mało tego – jest całkiem możliwe, że on tego klubu nie lubi, właśnie dlatego, że w nim występował. Pokręcone, prawda? Pokręcone, ale prawdziwe.

Moja rada dla kibiców: cieszcie się z piłkarzy, bo szybko odchodzą. Za kasą, standardem życia, lepszym jutrem. Im mniej będziecie oczekiwać od nich jakiegokolwiek lojalności, tym mniej



się rozczarujecie. Traktujcie samych siebie jak pracodawców, a ich jak pracowników. Kupiłeś bilet, to wymagaj, aby zawodnik dostarczył produkt, za który zapłaciłeś. I nic więcej. Zawarto transakcję biznesową, z której on ma się wywiązać.

Miłości szukaj w domu, a na stadionie oczekuj soczystych strzałów, efektownych dryblingów, zaangażowania i walki.



**Dlaczego nikt nie lubi menedżerów?**



**J**est zupełnie naturalne, że aktor filmowy ma swojego agenta. Bez względu na to, jaką uzyskał pozycję w show-biznesie, jak bardzo jest rozpoznawalny i jak bardzo oblegany przez reżyserów – korzysta z pomocy impresaria. Pewnie Al Pacino albo Brad Pitt poradziliby sobie i bez menedżera, ale jednak świadomie powierzają karierę w ręce odpowiedniej osoby. Co za tym idzie – oddają jej część swoich zarobków.

Aktorzy to z reguły inteligentni ludzie. Oczywiście nie wszyscy, ale zdecydowana większość. A już na pewno gdybyśmy oszacowali średnie IQ wśród aktorów, byłoby ono wyższe niż średnie IQ wśród piłkarzy. Jeśli któraś z tych dwóch grup zawodowych mogłaby prowadzić kariery samodzielnie, to z pewnością większe szanse na sukces miałaby ta pierwsza.

Co jakiś czas ktoś jednak mówi: – Dobry piłkarz nie potrzebuje menedżera.

To jedno z najgłupszych zdań, jakie można wypowiedzieć, a jednak przyjmowane jest ze zrozumieniem i nawet akceptacją. Gdyby jednak ktoś w Hollywood powiedział, że dobry aktor nie potrzebuje agenta, głośny rechot słychać byłoby aż w Dallas.

Bardzo często piłkarzami zostają prości ludzie, bez jakiegokolwiek wiedzy o świecie, bez obycia, bez umiejętności uważnego czytania i konstruowania umów. Naiwni, nieśmiali, nierozróżniający brutto od netto, niemający pojęcia, jak działają biznesowe mechanizmy, o wiedzy na temat prawa Webstera czy jakiegokolwiek innej piłkarskiej regulacji nie wspominając. Część z nich z czasem nabywa obycia, cwaniactwa, zaczynają się lepiej ubierać i lepiej wysławiać. Ale jakkolwiek by się wystroili, nie miałbym odwagi doradzić im, że nie potrzebują menedżera.

Stwierdzenie, że dobry piłkarz może poradzić sobie sam, można sprowadzić do absurdalnego zdania: „Dobrze dryblujesz, więc poradzisz sobie w biznesie”. Jedno z drugim nie ma żadnego związku.

Każdy piłkarz, który poważnie myśli o swojej karierze, potrzebuje menedżera, a dobry piłkarz – w szczególności. Słabemu menedżer życia nie uratuje, ale dobremu może stworzyć ścieżkę kariery wiodącą daleko w górę. Iluż ja widziałem zawodników, którzy mogli zejść wysoko (względnie wysoko), ale byli albo zbyt pazerni, albo zbyt krótkowzroczni, by związać się z konkretnym agentem. Najlepszym przykładem jest mój przyjaciel Grzegorz Szamotulski, któremu zawsze wydawało się, że ktoś mu załatwi klub w zamian za flaszkę. Naprawdę. – Weź mi zrób ten temat, kupię ci whisky – mówił, jakby zupełnie nie rozumiejąc, iż menedżer na dobrym transferze nie zarabia na wartość 200 złotych whisky, lecz zgarnia 50 000 euro, a czasami dużo więcej. W efekcie menedżerowie wiedząc, iż klub X poszukuje bramkarza, w pierwszej kolejności polecali swoich klientów, a Grzesiek spadał gdzieś na koniec kolejki. Jest on tylko przykładem – spotkać można wielu ludzi, którzy nie rozumieją, że dzisiaj futbol to wielki biznes, z którego każdy musi coś uszczknąć.

Przy dużym szczęściu lub naprawdę dużych umiejętnościach da się poprowadzić karierę samodzielnie, trafiać do coraz lepszych klubów i coraz więcej zarabiać. Ale nie da się wycisnąć z tej kariery wszystkiego, chociażby pod względem finansowym. Zawsze po drodze pojawiłyby się możliwości, o których piłkarz sam nigdy by się nie dowiedział, jest też niemal pewne, że 99 procent zawodników nie miałyby wystarczających zdolności negocjacyjnych, takiej biznesowej bezczelności, by w rozgrywce wykorzystać wszystkie dostępne karty i zgarnąć ze stołu tyle, ile faktycznie było do zgarnięcia.

Menedżerów podzieliłbym na trzy kategorie:

1. Programiści.
2. Bankierzy.
3. Przylepy.

Za programistę uważam kogoś, kto zawodnikowi programuje karierę. Myśli na sześć ruchów do przodu, wie, co chce osiągnąć konkretnym transferem, i już kalkuluje, jaki będzie następny. Tacy menedżerowie – chociaż nie są nieomylni, bo to rynek trudniejszy niż prognozowanie pogody na pół roku do przodu – potrafią oszacować potencjał piłkarza i skroić transfer na miarę, biorąc pod uwagę wszystkie możliwe uwarunkowania (wiek piłkarza, siła ligi, specyfika klubu, charakter trenera, możliwość kolejnego ruchu). Bankierzy mają z kolei wielkie zdolności negocjacyjne, licytują wysoko i potrafią docierać do ludzi z kasą. Sport stanowi wtedy jedynie środek do celu – celem są jak największe pieniądze dla piłkarza (a wtedy też dla menedżera). Nie oceniam bankierów źle – sam zawodnik musi określić, jakie ma priorytety. Jeden marzy o tym, by zagrać na Camp Nou, a inny o tym, by mieć wart 10 milionów euro jacht. Wreszcie przylepy to coraz częściej spotykani menedżerowie, którzy po prostu chcą żyć wygodnie na koszt zawodnika, tak naprawdę nie mając kompetencji i kontaktów, by skutecznie działać w tym zawodzie. Pojawiają się i znikają. Żyją intensywnie i krótko. Trzy, cztery okienka i po nich.

Przez lata poznałem prawie wszystkich ludzi, którzy się w tej branży liczą. Widziałem z bliska mnóstwo transakcji, które doszły do skutku, oraz takich, które w ostatniej chwili upadły. Sam negocjowałem z Glasgow Rangers kontrakt wspomnianego wcześniej Szamotulskiego czy też byłem tym, który „skojarzył go” ze Śląskiem Wrocław po nieudanej przygodzie w Grecji. Postaram się być waszym przewodnikiem po jakże elektryzującym świecie transferów.

\* \* \*

Rywalizowanie, kto pierwszy poinformuje o transferze piłkarza, stało się dziennikarską obsesją. Trudno jest jednoznacznie stwierdzić, kto napisał najlepszy reportaż, kto najsprawniej oddał przebieg meczu albo kto przeprowadził najlepszy wywiad. Za to w przypadku newsów sprawa jest jasna – albo byłeś pierwszy, albo nie. Takimi informacjami buduje się więc swoją pozycję w branży. Można łatwo określić, kto ma swoje źródła, a kto tylko przepisuje teksty po innych.

Najlepsi dziennikarze sportowi to tacy, którzy potrafią zdobyć newsa, ale też poprowadzić rozmowę i napisać coś większego, a najlepiej jeśli jeszcze zredagują teksty innych i zaplanują gazetę, może nawet zbudują dział. Takich jest bardzo niewiele, ale jeśli czytacie tę książkę, to przynajmniej jednego powinniście potrafić wskazać. Ha! Ale tak, to newsy odróżniają chłopców od mężczyzn. Można w zasadzie uznać, że to takie wirtualne mierzenie „kto ma dłuższego”.

Wielokrotnie odczuwałem dziwne podniecenie, mając informację jako pierwszy. Oczekiwanie, czy zdążysz, czy nikt cię nie wyprzedzi na ostatniej prostej, wreszcie – czy transfer nie upadnie, mimo iż wszyscy się zarzekają, że jest całkowicie pewny. Kiedyś wraz z Przemysławem Rudzkiem dostaliśmy cynk, że Tomasz Kuszczak przejdzie z Birmingham do Manchesteru United, co oznaczało, iż dokona się jeden z najgłośniejszych transferów w historii polskiej piłki. Tomek grał dobrze, ale taki ruch nie był oczywisty, wielu wręcz całkowicie nie dowierzało i wytykało nas palcami jako fantastów. Napisaliśmy, iż Polak zagra w MU, na dwa albo trzy miesiące, zanim faktycznie podpisał kontrakt, co oznaczało, że przez długi czas nam dogryzano: no i jak, gdzie ten Kuszczak? W Manchesterze? Ha, ha, ha!

Kiedy transakcja została oficjalnie dopięta – odczułem sporą ulgę.

Dzisiaj rynek mediów się zmienił. Dzięki internetowi jesteś w stanie podać informację w ciągu kilku sekund. Jeśli trwa wyścig i wiesz, że twój konkurent też może zdobyć newsa – najpierw zaklepujesz sobie pozycję lidera krótkim wpisem na Twitterze, a dopiero później skrobiesz tekst. Kiedyś jednak – gdy rządził papier, a nie internet – trzeba było sprawę rozgrywać z wielkim wyczuciem. Transfer potwierdzać w taki sposób, aby nie wypuścić sygnału do konkurencji. Dla przykładu – nie dzwoniło się po komentarz do dyrektora klubu X, ponieważ było wiadomo, iż on zaraz zadzwoni do dziennikarza Y z informacją: już wiedzą! A newsa trzeba było utrzymać na wyłączność przez cały dzień, aby następnego dnia rano gazeta miała go jako jedyna. Już to było bardzo trudne, a jeśli pracowałeś w tygodniku, stało przed tobą zadanie niemal niewykonalne.

Gdyby się jednak nad tym mocniej zastanowić, walka o newsa nie ma większego sensu. Jest to wewnętrzna rozrywka jedynie dla wąskiego grona dziennikarzy, a czytelnicy w większości i tak nie wiedzą, kto co napisał, a tym bardziej, kto był pierwszy. Nie są w stanie też odróżnić informacji prawdziwej od wyssanej z palca. Kiedyś policzyłem, że 93 procent informacji transferowych podanych przez „Przegląd Sportowy” podczas jednego okna okazało się nieprawdziwych (lub też transfery nie zostały sfinalizowane)! 93 procent! Przed oczami mam sytuację sprzed lat: Michał Zichlarz przysłał do „Faktu” tekst, że Jerzy Dudek zostanie piłkarzem Realu Madryt, ale wydawało się to tak niewiarygodne, że nikt nawet nie pomyślał, by wyeksponować tę informację na pierwszej stronie. Za to następnego dnia Zichlarzowi newsa pozazdrościł Marek Ignasiewicz (chyba największy zmyślacz wśród dziennikarzy, teraz poza zawodem) i postanowił go przebić informacją: „Boruc w Barcelonie”. I to już na okładkę trafiło.

– A ty skąd masz takie info? Że Boruc w Barcelonie? – spytaliśmy dzień później.

– Grzegorz Wędryński mi powiedział.

No, ręce nam opadły.

Stali czytelnicy wiedzą, że przywiązuję wielką wagę do tego, by podawać jedynie informacje o transferach, które faktycznie się dokonają. Powiedzmy, że przyjąłem zasadę, iż puszczam newsa w świat, jeśli jestem w 90 procentach pewny, że nic już nie zablokuje transakcji. 90-procentowa pewność oznacza, że co dziesiąty news się nie sprawdza – uznaję to za ryzyko zawodowe, czasami wiążące się z bolesnymi konsekwencjami (utrata zaufania).

Tego rodzaju dbałość bywa zgubną, ponieważ czekasz i czekasz na rozwój sytuacji, a inny dziennikarz może mieć to w nosie i wystrzelić, gdy tak naprawdę nie ma jeszcze ku temu mocnych przesłanek. Często taki ktoś – mimo że z zawodowego punktu widzenia popełni! falstart – wygrywa.

Przypomina mi się informacja w którejś z gazet: „Andrzej Niedzielan w Cracovii”.

Z Andrzejem znam się tak dobrze, że zweryfikowanie tego było kwestią jednego telefonu. Dzwonię i upewniam się, a on mówi: – Nie ma szans. Zaproponowali mi upokarzające warunki, zupełnie nie jestem zainteresowany.

Wiem, że nie kłamie. Napisałem więc – bzdura, nie przechodzi.

Mija tydzień i Andrzej dostał nowe warunki, o nieco lepsze – i zdecydował się przyjąć ofertę. Tamta gazeta: „Byliśmy pierwsi”. Ja z kolei wychodzę na tego, który nie miał pojęcia, co się dzieje.

Wielokrotnie proszono mnie: jeszcze nie pisz, dam sygnał. W zasadzie słyszę to non stop. I wtedy czekam, a wiadomość i tak się wydostaje, tyle że bez mojego udziału. Najgorsze dla dziennikarza to wiedzieć i nie mieć zielonego światła do



publikacji. Zgroza. Podczas każdego okna transferowego przeżywam to prawie codziennie. Czeka, czeka, czekam. I chociaż kusi, to czekam. Jest jeden prezes, który w mistrzowski sposób – z niezwykłym urokiem – blokuje moje newsy. Otóż prosząc o całkowitą dyskrecję, podpytuje o zawodników, których zamierza ściągnąć – jaka jest moja opinia na ich temat. Wtedy już mam całkowicie związane ręce – bo skoro ufa na tyle, by konsultować swoje ruchy, to ja przecież nie mogę być sprawcą przecieku. Nie wypada.

Najlepszym źródłem wiedzy o transferach są menedżerowie, ponieważ jako jedyni mają pełny obraz sytuacji. Prezes klubu, który sprzedaje piłkarza, może nie wiedzieć, co tak naprawdę planuje klub kupujący (i na odwrót). Sam zawodnik też często nie ma pojęcia, jak blisko jest do finalizacji transakcji. A menedżer to łącznik pomiędzy wszystkimi stronami, ma pełny dostęp do informacji i często jako jedyny zna intencje wszystkich zaangażowanych osób. Zdradzę wam trochę kuchni: często informacje o transferach dostaję od prezesów klubów, często od trenerów, dyrektorów i piłkarzy, ale najczęściej od menedżerów. Wielu z nich zrozumiało, że dyskrecja jest ważna, ale nieprzesadna – najlepiej na koniec poinformować, kto stał za danym ruchem, umieścić w tekście wypowiedź „menago” albo dorzucić zdjęcie. Wtedy obie strony są zadowolone: dziennikarz, ponieważ ma newsa na wyłączność, a menedżer, ponieważ ma reklamę, dzięki której być może podpisze umowy z kolejnymi zawodnikami. Stawiam więc sprawę jasno: daj mi newsa, a ja nie zapomnę wspomnieć, że to twój deal.

Często teksty mam napisane wcześniej. Na przykład – Bartłomiej Pawłowski w Maladze (transfer Fabryki Futbolu). Artykuł gotowy, zdjęcie przygotowane. I czeka sobie materialik. Czekaj dzień, dwa, trzy... Aż w końcu przychodzi SMS z informacją: „Można puszczać”. O, albo Henning Berg w Legii. Mniej więcej tydzień wcześniej wiedziałem, że zostanie

trenerem. Spotkałem się z Bogusławem Leśnodorskim, prezesem Legii, a on powiedział: – Chyba zwolnimy Janka Urbana.

Odparłem, że wiem, bo wiem też o Henningu Bergu, co go trochę zaskoczyło. Lekko blefowałem – wprawdzie miałem pewność, że Legia rozmawiała z norweskim szkoleniowcem, ale brakowało mi informacji, czy ostatecznie się porozumiała i czy nie wybrała kogoś innego. Mały blef poskutkował, Leśnodorski przyznał, że Berg będzie szkoleniowcem i poprosił o dyskrecję. Zgodziłem się pod jednym warunkiem: chciałem, aby pierwszego wywiadu norweski szkoleniowiec udzielił w moim i Piotra Koźmińskiego programie w telewizji Orange Sport. Tak też się stało, a sam Berg mówił z uśmiechem: – Musicie być naprawdę mocni, skoro kazano mi tu od razu przyjść.

To był właśnie taki moment, gdy teksty masz napisane od dawna, palec świerzbi, żeby puszczać, ale nie możesz, bo dałeś słowo. I nagle pada komenda: teraz. I gdy inni klecą coś na szybko, ty wrzucasz sześć wielkich, przygotowanych wcześniej artykułów: kim facet jest, jakie ma osiągnięcia, co o nim mówią inni itd.

Zdarza się, że czekasz i potem możesz wyrzucić tekst do śmieci – bo sprawa wypłynęła. Ale nie ma innej drogi, by połączyć wodę z ogniem: bycie pierwszym z byciem wiarygodnym.

Od razu przypomina mi się inna transakcja przeprowadzona przez Legię, zdaje się, że pierwsza za kadencji Bogusława Leśnodorskiego. W ogóle go jeszcze nie znałem, nie zamieniliśmy ani jednego słowa. Informator doniósł, że Tomasz Jodłowiec przejdzie ze Śląska Wrocław do Legii. Chciałem to zweryfikować w drugim źródle, więc wykonałem telefon do Dominika Ebebenge. Ten wpadł w popłoch, że jak napiszę, to cały plan się wysypie. Poprosiłem więc o rozmowę z

Leśnodorskim, uznając, że to dobry moment, aby wreszcie nas sobie przedstawić.

Transfer był nietypowy, ponieważ piłkarz niby odchodził ze Śląska, a tak naprawdę sprzedawał go Józef Wojciechowski, były właściciel Polonii Warszawa. Istniało prawdopodobieństwo, że jeśli Śląsk dowie się o zakusach Legii, to zdoła ukręcić łeb sprawie. Miałem więc do wyboru – zaczekać albo od razu napisać, że Jodłowiec przechodzi do Legii i sprawić, że... może do niej nie przejść. Byłoby to z mojej strony bez sensu – dałbym prawdziwego newsa, który na skutek publikacji tego właśnie newsa okazałby się fałszywy. Strzał w stopę.

Umówiłem się więc tak: – Proszę o telefon lub SMS-a, gdy tylko Jodłowiec wsiądzie do pociągu i będziecie mieli pewność, że transfer nie padnie. I druga opcja: proszę o telefon lub SMS-a, gdy takiej pewności jeszcze mieć nie będziecie, ale gdy tylko inny dziennikarz zadzwoni z pytaniem o tego piłkarza i zacznie węszyć.

Po kilku godzinach telefon wydał dźwięk pod tytułem „masz wiadomość”. A tam: „Można pisać, jest w pociągu”.

\* \* \*

W kraju jest kilku liczących się menedżerów – Jarosław Kołakowski, Mariusz Piekarski, Fabryka Futbolu (Przemysław Erdman, Szymon Pacanowski, Tomasz Magdziarz), Bartłomiej Bolek, Daniel Weber, Cezary Kucharski, Przemysław Pańtak, Marek Citko, wcześniej jeszcze Radosław Osuch. Pierwszy zaistniał „Kołak”, prawdziwy wyjadacz. To były dziennikarz sportowy od zawsze mający żyłkę do interesów. Szybko zrozumiał, gdzie tak naprawdę są poważne pieniądze i zabrał się do roboty na dużą skalę. Konkurenci zarzucali mu, że ma podpisane umowy z tak wieloma zawodnikami, iż niektórych nawet nie kojarzy, ale to z jednego powodu oczywiste żarty:

Kołodowski jest diabelnie inteligentny i po prostu kojarzy wszystkich, nawet tych, z którymi kontraktem się nie związał i nie zwiąże. Z pewnością jeśli miałbym ułożyć ranking najinteligentniejszych osób w polskim świątku piłkarskim, on byłby na podium. Nie wiem, na którym miejscu, ale na podium. Z szansami na lokatę numer jeden.

Nawet Boniek kiedyś wypalił pół żartem, pół serio: – Z Kołodowskim trzeba uważać. Jest dla wszystkich zbyt inteligentny.

To pionier na rynku menedżerskim w Polsce, jego poprzedników traktuję bardziej jako hobbystów niż faktycznych zawodowców. Kiedyś, dla podkreślenia swojej pozycji, Kołodowski powiedział mi: – Moi pracownicy zarabiają więcej niż moi konkurenci. Niech to będzie komentarzem.

Wiedzie mu się faktycznie wybornie, mieszka w cudownym, ogromnym domu w Izabelinie i jeździ takimi samochodami, na jakie w danym momencie ma ochotę. O liczbie przeprowadzonych transferów świadczyło kiedyś kilkadziesiąt koszulek wiszących na ścianie biura, należących do jego najbardziej znanych klientów. Transferował za granicę Glika, Kaźmierczaka, Saganowskiego, Wszołka, Karwana, Mięciela, Białkowskiego, Kieszka, Szamotulskiego, Wilka, Kupisza, Malarczyka, Augustyna, Kusia, Ćwielonga, Madeja, Sznaucnera, Murawskiego, Włodarczyka i jeszcze wielu, wielu innych. O transakcjach na rynku krajowym nawet nie wspominam, bo idą w setki.

Niektóre transfery były pewnie dość łatwe (choć Kołodowski twierdzi, że nie ma łatwych transferów, ale to chyba po to, by sobie dodać wielkości), kilka na pewno z pespektywy czasu nieudanych – bo piłkarz nie spełnił pokładanych w nim nadziei. Natomiast kilka ruchów to perełki. Kołodowskiego zaliczam do menedżerów programistów. Moim zdaniem nie byłoby Kamila Glika, jakiego znamy, gdyby nie on. Odkąd

pamiętam, był totalnie zafascynowany tym zawodnikiem i wmawiał mi, iż to materiał na wielkiej klasy defensora nawet w czasach, gdy z Glika częściej kpiono, niż go chwalono. Trzeba to Kołakowskiemu oddać – ma dobre oko, zmysł. I jest uparty. W sprawie tekstów na temat Glika potrafił wiercić dziurę w brzuchu – twierdził, że Kamil został potraktowany niesprawiedliwie – i jednocześnie ciągle powtarzał: to będzie najlepszy polski obrońca. Nikt nie podzielał tego zdania. Po prostu nikt.

Sprzedać młodego króla strzelców ekstraklasy Roberta Lewandowskiego z Lecha Poznań do Borussia Dortmund – powiedzmy sobie szczerze – żadna wielka sztuka. Ale sprzedać Kamila Glika ze zdegradowanego Piasta Gliwice do Palermo za milion euro to wyższa szkoła jazdy. Polskie kluby – Legia Warszawa, Lech Poznań czy Wisła Kraków – nie były specjalnie zainteresowane Glikiem, a Kołakowski znalazł kontrahenta we Włoszech i to takiego, który występował w europejskich pucharach. Namówił go do wydania naprawdę sporych pieniędzy na kogoś, o kim w Polsce pisało się, że „rusza się jak wóz z węglem”. Kołakowski miał przekonanie, że Glik we Włoszech sobie poradzi życiowo, ale też przede wszystkim uważał, że tam będą potrafili wydobyć z zawodnika wszystko, co najlepsze, poukładać go, oszlifować, po prostu nauczyć bronienia w stylu włoskim. Gdyby Kamil został w Polsce, zapewne nie byłby w połowie tak dobry. Później każdy jego kolejny ruch był strzałem w dziesiątkę – krok do Serie B, aby regularnie grać u odpowiedniego trenera, i powrót do Serie A już jako uznany zawodnik.

Dzisiaj Glik w Turynie jest nieprawdopodobnie popularny. Odwiedziłem go tam wiosną 2015 roku. Od razu zaznaczył, że przyjechać możemy – ja oraz operator kamery i drugi dziennikarz Tomasz Ćwiąkała – tylko pod warunkiem, że zamieszkamy u niego, a nie w hotelu (choć trzeba zaznaczyć,

że jego 350-metrowy apartament przypominał hotel). Specjalnie na tę okazję zrobił zapasy w pobliskiej winiarni (nie mam na myśli sklepu z winami, tylko plantację pod miastem). Ugościł nas po królewsku, a może wypadałoby napisać, że... po Śląsku. – My już z Jarkiem to chyba zostaniemy razem do końca – powiedział podczas przejażdżki samochodem. Menedżerowie mogą podpisywać umowy z piłkarzami na dwa lata i co dwa lata je odnawiają. Ten duet raczej się nie rozstanie.

Ale nie tylko Glik został odpowiednio poprowadzony, osiągając poziom, jakiego w Polsce nikt się nie spodziewał. Podobnym przykładem jest Przemysław Kaźmierczak, cudem wyrwany z rąk Antoniego Ptaka i wysłany przez Kołakowskiego do Portugalii, gdzie przez Boavistę trafił do FC Porto, a więc absolutnego giganta. To już był poziom trochę za wysoki, sytuacja przerosła piłkarza i po chwili musiał wykonać krok w tył. Kołakowskiego kiedyś zapytałem o tych wszystkich zawodników, którym załatwił kontrakty aż zbyt atrakcyjne, w klubach na pierwszy rzut oka zbyt wielkich. Takich, którzy nie dali rady sportowo i gdzieś przepadli. Powiedział wtedy: – A gdybym był agentem filmowym, to uważasz, że powinienem Borysowi Szycowi załatwić rolę w hollywoodzkim hicie czy jednak powinienem mu powiedzieć: sorry Borys, ale jesteś zbyt słabym aktorem, zagrasz tam jedną rolę i potem koniec? Jestem od tego, by kreować możliwości, ale nie mogę zagrać zamiast piłkarza. Każdy ma swoją robotę do wykonania. I on, i ja. Ale nie posyłam piłkarzy na ścięcie. Jeśli gdzieś idą, to wierzę, że dadzą radę. I zawsze przygotowuję wyjście awaryjne, aby kariera dalej toczyła się w odpowiednim kierunku.

To dość trudny człowiek, niedostępny, często w pierwszym kontakcie trochę oschły, ale jak już się go lepiej pozna, to ma swój niekwestionowany urok. Jedno słowo, które charakteryzuje go w największym stopniu? Wymagający. Wymaga od siebie, od piłkarzy, od klubów, ale też od

dziennikarzy. Wymaga przygotowania, rozumienia mechanizmów, inteligencji. Pewnie dlatego z wieloma dziennikarzami ma na pieńku.

Kiedys zadzwonił podenerwowany.

– Twój dziennikarz napisał tekst o Wszołku, mimo że nie oglądał meczu!

– Co ty gadasz, oglądał. Jak mógłby napisać i nie oglądać?

– Mówię ci, że gdyby oglądał mecz, nie oceniłby Wszołka w ten sposób.

– Jarek, nie jesteś obiektywny. Na pewno oglądał, tylko ma inne zdanie.

– Nie. Nie oglądał. Założmy się.

– A jak to sprawdzimy?

– Zadzwon do niego i spytaj, co w tym meczu było niecodziennego, nietypowego?

– A co takiego było?

– Nie mogę ci powiedzieć. Najpierw zapytaj tego dziennikarza.

Pytam dziennikarza, zarzeka się, że oglądał i że tekst jest rzetelny. Nie wychwycił nic szczególnie nietypowego.

– Jarek, on nie zauważył niczego bardzo nietypowego – mówię.

– No patrz – słyszę satysfakcję po drugiej stronie słuchawki. – Nie zauważył, że mecz był rozgrywany na zamkniętym stadionie?

Zakład więc przegrałem.

Pisząc, że Kołakowski jest wymagający, miałem też na myśli jego kontakty z zawodnikami. Zdarza się, chociaż rzadko, że jeśli któryś nie wywiązuje się z umowy, oddaje sprawę do sądu. Wychodzi z założenia, że sądy są przecież właśnie po to, aby rozstrzygnąć, kto ma rację, gdy piłkarz nie chce zapłacić prowizji, bo uważa, że menedżerowi się nie należy (coś więcej macie na ten temat w rozdziale o Cezarym Kucharskim).

Oczywiście wiadomo, kto te sprawy wygrywa – zawodnicy niestety mają to do siebie, że zdarza im się zapominać o zobowiązaniach finansowych, po fakcie uznają, że np. dziesięć procent wartości kontraktu to jednak zbyt wiele i woleliby zapłacić trzy. Duże dzieci.

Walczył Kołakowski między innymi ze Sławomirem Peszką, który pewnego dnia uznał, że ważna umowa jest jednak nieważna. Z nim w ogóle „Kołak” miał przejścia, ponieważ w 2010 roku wypracował porozumienie z Wolfsburgiem. Piłkarz był chętny do transferu, dopóki... nie porozmawiał z Franciszkiem Smudą podczas zgrupowania w Hiszpanii. Ten podobno miał go przekonać, że jednak lepszą opcją mógłby być Panathinaikos – co ciekawe Panathinaikos, z którym kontaktować miał się Eugeniusz Kamiński, ulubiony menedżer Smudy. Ten sam, który – jak twierdził śp. Andrzej Czyżniewski – przynosił mu reklamówki z płytami DVD, z nagranyimi meczami piłkarzy z Ameryki Południowej.

Doszło do totalnego zamieszania, Peszko po prostu zniknął, odnalazł się w Atenach, chociaż każdy rozsądny człowiek wie, że w ten sposób transferów się nie załatwia. W efekcie piłkarz nie trafił ani do Wolfsburga, ani do Panathinaikosu, a wielomiesięczna praca menedżera poszła na marne...

\* \* \*

Przeciwnieństwem Kołakowskiego – chociaż obu bardzo lubię – jest Mariusz Piekarski. To ludzie z dwóch światów. Jeśli Kołakowski jest programistą, to Piekarski kimś pomiędzy programistą i bankierem, ale raczej bankierem. Śmieje się z ludzi, którzy w gazetach próbują układać kariery współpracującym z nim piłkarzom. Filozofów, którzy mieszkają w wynajmowanej kawalerce, a wymądrzają się na temat



milionowych interesów. – Dla mnie jest ważne, żeby mój piłkarz po zakończeniu kariery miał trzydzieści milionów złotych na koncie, a nie jakieś bzdury – prycha.

Zna życie. Był bardzo bogaty, potem bardzo biedny, dzisiaj znowu stać go na wszystko. Często dostrzega, że tak naprawdę ten czy inny piłkarz nie potrafi zbyt wiele, tylko po prostu ma swoje pięć minut, swój moment, w trakcie którego jest znacznie przeszacowany. Wtedy trzeba załatwić kontrakt życia, pokusić się o złoty strzał. Nie ma znaczenia, gdzie to będzie – w Rosji, w Turcji, w Niemczech czy Anglii. Może być i Turkmenistan, jeśli tam akurat wystrzeli ropa. Po prostu tam, gdzie obecnie siedzi jakiś oligarcha z kasą i ma kaprys, by się nią podzielić. Mariusz ma zdolność do docierania do takich ludzi.

Prosta zasada: wyjechać, skasować, wrócić.

Jest jedyną mi znaną osobą, którą w środowisku niemal wszyscy lubią. Dusza towarzystwa, żartowniś, błyskotliwy anegdociarz, całkowicie niepodrabialny w szpanerstwie, z którym naprawdę mu do twarzy. U niego blichtr nie odrzuca, stanowi element image'u. Pieniądze zawsze zarabia jakby przy okazji, lekką ręką z nich rezygnuje, kupuje drogie prezenty. Mawiają, że jak Piekarski robi interesy, to zarabiają wszyscy wokół. Kiedyś siedzieliśmy w restauracji w centrum Warszawy i jedliśmy steki. Trochę kręcił nosem, że zatrudnił asystenta – do jakichś przyziemnych zajęć jak odbieranie faksu, wysyłanie e-maili, generalnie praca biurowa.

– Ale co, źle pracuje? – pytam.

– Nie, dobrze!

– To w czym rzecz?

– Wpisałem w umowę premię – procent od moich zysków.

No i w tym miesiącu zarobił 38 tysięcy złotych! Przesada, nie?

Tak opisywałem go w książce „Szamo” (pewnie nie wszyscy czytali, a inni odświeżą pamięć):

*Nie ma takiej sumy, której nie da się wydać. Żadna kwota nie gwarantuje bezpiecznej starości. Sam Mariusz wylicza, gdzie szeroki gest go zgubił. Pół miliona dolarów kosztował go rozwód w Brazylii, gdzie żonie zostawił dom warty 300 tysięcy zielonych, dyskotekę za 150 tysięcy i jeszcze pięć dych w gotówce. We Francji odpuścił Bastii kontrakt, w ramach którego miał przez kolejne lata zarobić 1,5 miliona dolarów. Zamiast tego, zamiast siedzieć na tyłku i „kasować”, wziął jakiś ochłap i poszedł do Legii. Tu z kolei na koniec też odpuścił ostatni rok umowy. Gdy doznał poważnej kontuzji, odwiedził dyrektora sportowego Jerzego Engela i poprosił o rozwiązanie kontraktu – z 530 tysięcy złotych wziął tylko 120 tysięcy.*

*Kto inny doiłby, ile się da, a on ciągle wszystkim coś darował. Taki już jest. Pieniądze rozchodziły się na wszystkie strony, przy tym nie dbał o zabezpieczenie dopływów. Nie ma wielu ludzi z większym gestem niż młody „Mario” (choć i ten starszy nie należy do skner).*

*Mariusz wydaje pieniądze w... śmieszny sposób. To znaczy, on wydaje, a wszyscy wokół się cieszą. Bo on nawet o najgłupszym zakupie umie opowiedzieć z takim wdziękiem, że trudno nie słuchać z sympatią. Najlepsze jest to, że szastania forszą w ogóle się nie wstydzi, i pytania, których inni unikają jak ognia, on traktuje jak najnormalniejsze na świecie, równie normalne co: „Jaka jutro będzie pogoda?”.*

*Zapytałem go więc:*

*Czy to prawda, że jak latałeś samolotami, to przez całą drogę nawijałeś przez telefon satelitarny?*

*Tak, wsiadałem do Air France i od razu w ruch szła karta kredytowa, brałem telefon i do samego lądowania rozmawiałem. Dzwoniłem do wszystkich znajomych, do Polski, do Brazylii. Ludzie patrzyli na mnie jak na nienormalnego. Nawet nie wiem, ile to kosztowało. Nigdy nie sprawdzałem wyciągów.*

*Czy to prawda, że w Brazylii kupowałeś kilka par identycznych spodni, bo jak się któreś pobrudziły, to je wyrzucałeś?*

*Tego już nie pamiętam, ale tam miałem pierwszą pensję miesięczną w wysokości jedenastu tysięcy dolarów. Mnie nigdy nie starczała, natomiast Krzysiek Nowak oszczędzał dziewięć tysięcy. Jak szedłem ulicą, to wszyscy sprzedawcy błagali mnie, bym wstał. Za darmo dostawałem jakieś duperele, buty czy skarpetki. Bo zawsze trójkę się wydało na wszystko inne.*

*Czy to prawda, że miałeś lokaja?*

*Tak, we Francji. Ale to był chłopak z Białegostoku. Był mi winny trochę kasy, to odpracował.*

*Czy to prawda, że jak zostałeś piłkarzem Legii, to samochód kupiłeś od razu na lotnisku w Warszawie?*

*Tak, zadzwoniłem do brata Tomka Frankowskiego, on handluje autami. Poprosiłem, żeby coś mi przyprowadził. Mówi, że mitsubishi. Ja na to, że świetnie, bo właśnie nie chciałem się rzucić w oczy. Potem się okazało, że to mitsubishi – model 3000GT – to w Polsce jakiś megaluksus. Byłem lekko zdziwiony, na Korsyce raczej byłby to taki trupek. Ale tutaj zamieszanie: Piekarski kupił sobie 3000GT! Wylądowałem, dałem „Frankowi” siedemdziesiąt tysięcy w gotówce i pojechałem na stadion.*

*Czy to prawda, że miałeś ponad trzydzieści samochodów?*

*Prawda. Na samochodach najczęściej traciłem. Kupowałem, a po sześciu miesiącach sprzedawałem za siedemdziesiąt procent wartości.*

*Czy to prawda, że grając w Legii, na zakupy jeździłeś do Berlina?*

*Prawda. Wolałem tam wydać dwadzieścia czy trzydzieści tysięcy na ciuchy raz na jakiś czas, niż w Polsce szwendać się dzień w dzień po sklepach.*

*Czy to prawda, że jak nie chciało ci się chodzić na solarium, to kupiłeś sobie własne i wstawiłeś do domu?*

*Prawda. Po co miałem się kłaść po jakiejś starej babie?*

*Czy to prawda, że jak spóźniłeś się na samolot w Paryżu, to wynająłeś prywatny odrzutowiec i poleciałeś na Korsykę?*

*A to akurat niestety nieprawda.*

*Pytać można byłoby dalej, bez końca. Mariusz żył, jakby źródółko miało nigdy nie wyschnąć. Muszę jednak od razu zaznaczyć: to nie ma nic wspólnego z jakąkolwiek sodówką, to nie jest palma, bo on zachowywał się identycznie niezależnie od stanu konta. Kiedy został zawodnikiem Polonii Gdańsk, z Białegostoku przyjechał z telewizorem pod pachą. Od razu zaniósł sprzęt do lombardu, a za odebrane pieniądze zorganizował imprezę dla kolegów z zespołu. Żeby to naprawdę zrozumieć, trzeba go znać, widzieć tę roześmianą mordę, te oczka wesolutkie. Bo on nie szpanuje, tylko... żyje. On się cieszy, bawi, jest wiecznie zadowolony i widzi wszystko w różowych kolorach. To figlarz, dla którego każdy dzień jest przygodą. Potrafi się śmiać zarówno z siebie bogatego, jak i z siebie biednego. W każdym zdaniu, które wypowiada, puszcza oko. Pieniądze nie stanowią celu samego w sobie, są tylko narzędziem, by miło spędzać czas.*

*Co? Skończyły się? No to trudno. Teraz trzeba znaleźć sposób, by znowu doładować konto. On doładowuje konto tak jak normalny człowiek doładowuje komórkę.*

*Mariusza nie da się nie lubić. Jest to jedna z najweselszych, najszczęśliwszych i najbardziej bezinteresownych osób w polskim futbolu. To jasne, że chce dobrze zarabiać i że odkuł się w spektakularnym stylu, ale chyba nie ma osoby, która by powiedziała, że „Mario” w pierwszej kolejności myśli o sobie. Na tym właśnie polega jego siła, że on najpierw myśli o innych, a w efekcie wszyscy chcą z nim współpracować. Licytuje wysoko, dlatego ustawia swoich zawodników na długie lata. Niektórzy mówią: „Gdzie on ich wysyła!”. A on ich wysyła do skarbca, by wzięli, ile tylko uniosą.*

*I jeszcze cały on, w pigułce:*

*Młody Mariusz przyjeżdża na zgrupowanie kadry. Na stoliku w kawiarni kładzie przed sobą telefon komórkowy. Wtedy na takie cacko mogli pozwolić sobie tylko najzamożniejsi.*

- „Mario”, co oznacza to czerwone migające światełko?*
- Że telefon w Polsce nie działa.*
- Topo co go nosisz?*
- Bo tylko ja wiem, że nie działa.*

Poznaliśmy się, gdy trafił do Legii i... nie mieliśmy początkowo najlepszych kontaktów. Mało tego – Piekarski w zasadzie zbuntował zespół przeciwko mnie. Napisałem w korespondencji ze zgrupowania w Austrii, że nie mógł zagrać w sparingu, ponieważ ciągle leczy kontuzję, a on się obraził – powiedział, że wcale nie leczy kontuzji, tylko przechodzi rehabilitację. Dla mnie oznaczało to dokładnie to samo, ale podenerwowany zawodnik postrzegał niewinne zdanie jako atak. Uznał, że jestem nierzetelny i nie powinno się ze mną rozmawiać.

Nie spodziewałem się, że po latach będzie jednym z moich ulubionych rozmówców.

To właśnie Piekarski niechcący jest sprawcą tego, iż raz po raz w internecie – kiedy tylko informuję o zbliżającym się transferze – pojawiają się prześmiewcy i wpisują: tak, na pewno, pewnie tak samo jak z Bereszyńskim w Benfice! Jeśli pisałem wcześniej, że informuję o transferach, gdy mam 90-procentową pewność, że dojdą do skutku, to właśnie tak było w przypadku zawodnika Legii Bartosza Bereszyńskiego, którego przejście do portugalskiego giganta w pewnym momencie przesądziłem. I to właśnie była ta jedna z dziesięciu transakcji, która wywraca się na ostatniej prostej.

Pamiętam swoją frustrację: od trzech tygodni wiedziałem, że to gorący temat, ale „Piekarz” ciągle wstrzymywał – jeszcze nic nie pisz, jeszcze poczekajmy, aż wydarzy się to czy tamto.

Wiedziałem, że Portugalczycy chcą pokryć klauzulę odstępnego, czyli wpłacić dwa miliony euro. Widziałem entuzjastyczny raport głównego scouta. Wreszcie najważniejsze – sam Mariusz poleciał do Portugalii, gdzie spisano warunki pięcioletniego kontraktu, wedle którego zawodnik miał zarabiać 600 tysięcy euro brutto. Połowę wartości piłkarza miała zapłacić Benfica, a połowę niemiecki fundusz inwestycyjny. Dwa razy przedstawiciele niemieckiego funduszu latali do Lizbony i dopinali szczegóły, a prawnicy przygotowali umowy, aby uporządkować i spiąć tę dość skomplikowaną operację (tym bardziej skomplikowaną, że finanse Benfiki nadzorował komornik).

W końcu sygnał – załatwione. Do zdania pozostały jeszcze tylko testy medyczne, ale to już formalność. – Dzwonili z Benfiki, jutro mają określić, czy Bereszyński ma tam lecieć w poniedziałek, czy we wtorek. Możesz pisać, wszystko klepnięte – powiedział mi Piekarski, a Legia – wiedząc, że „Bereś” odchodzi – sfinalizowała przejście Łukasza Brozia. Niestety, Benfica raz w tygodniu potwierdzała, że robi przelew i zaprasza piłkarza na testy, po czym milczała przez kolejne siedem dni. Sytuacja robiła się dziwna. Po jakimś czasie Portugalczycy już nawet przestali dzwonić – i do dzisiaj nikt nie wie, czemu transfer, w który włożono tak dużo pracy i energii, nie doszedł do skutku. Zamiast Bereszyńskiego jakiś czas później do Lizbony wezwano Pawła Dawidowicza z Lechii Gdańsk (w którą zresztą weszli ludzie związani ze wspomnianym niemieckim funduszem inwestycyjnym).

A ja raz po raz muszę mierzyć się z czytelnikami, którzy wypominają: – Ty naprawdę uwierzyłeś, że Bereszyński mógłby zagrać w Benfice?!

Początkowo – jak każdy – nie wierzyłem. Ale ja nie jestem od wiary, Bébé mógł trafić do Manchesteru United, Wszółek do Sampdorii, a Dudek z Sokoła Tychy do Feyenoordu Rotterdam.

Większe sensacje widział świat. Koniec końców transakcja w dziwny sposób upadła na ostatniej prostej, metr przed metą.

Cóż, tak bywa. Po prostu. Ondřej Duda miał już nawet zarezerwowany luksusowy dom w Mediolanie – tak bardzo był pewny, że zostanie zawodnikiem Interu. – To była przedziwna sytuacja, trochę jak z Bereszyńskim – mówił mi Bogusław Leśnodorski. – Przecież oni byli tacy napaleni. Non stop dzwonili, że już go biorą, tylko muszą a to dopiąć transfer Kovačicia do Realu, a to kogoś innego. Dzwonił właściciel klubu, przylatywał Mancini. Byłem pewny na sto procent, że Ondřej trafi do Interu. I nagle się urwało. Szaleństwo. Kompletnie tego nie rozumiem.

Mało tego – zdarzają się nawet transfery, które upadają... już po podpisaniu kontraktu. Spektakularny jest przykład Piotra Gizy. 30 czerwca 2007 roku oficjalna strona rumuńskiego klubu poinformowała: „Pomocnik Cracovii i reprezentacji Polski Piotr Giza w przyszłym sezonie będzie występował w Rapidzie Bukareszt. – Jesteśmy szczęśliwi, że udało nam się pozyskać tak doświadczonego reprezentanta kraju. W niedzielę sfinalizujemy umowę z piłkarzem – powiedział dyrektor generalny Rapidu, Constantin Zotta”.

Umowę faktycznie sfinalizowano, a na poniedziałek zwołano konferencję prasową. Jednak w nocy z niedzieli na poniedziałek rozległo się pukanie do hotelowego pokoju Kołakowskiego. To był Giza. Rozpłakał się, że on jednak nie chce, że sobie nie poradzi, że nigdy nie mieszkał w obcym kraju. Był roztrzęsiony.

Rumuńscy działacze zobaczyli, z kim mają do czynienia, i niemal poczuli ulgę, że mogą po prostu podrzeć kontrakt, bo takie jest życzenie piłkarza.

Ale czego się spodziewać po Gizie, który w końcu trafił do Legii i pewnego dnia – już dobre kilka miesięcy później – jechał z zespołem na mecz wyjazdowy. Autokar przejechał przez rondo

Charles'a de Gaulle'a. Giza spojrział przez szybę i spytał: – A to co za ulica?!

– Nowy Świat – odpowiedzieli koledzy.

Okazało się, że pomocnik Legii przez kilka miesięcy podróżował tylko między mieszkaniem na Ursynowie a stadionem i ani razu nie wyściubił nosa, nie miał pojęcia nawet o istnieniu najbardziej reprezentacyjnej ulicy w mieście.

\* \* \*

Wspomniałem o tym, że Piekarski w pewnym momencie skłócił mnie z Legią. To był interesujący epizod, dla mnie z zawodowego punktu bardzo istotny, bo chyba zrozumiałem, że na dłuższą metę piłkarze nie są dziennikarzowi do niczego potrzebni. Oczywiście, mogą pogadać, ale jak nie pogadają – świat się nie zawali. Mało tego, oschłe relacje działają ożywczo: wreszcie można pisać dokładnie to, co się uważa, zamiast lawirować w taki sposób, by i autor był zadowolony, i czytelnik, i jeszcze dodatkowo bohater tekstu. Olać bohaterów tekstów, to nie oni kupują gazety, prawda?

Z tamtego czasu przypomina mi się jedna scenka. Legia rozgrywała zagraniczny mecz, zdaje się że w Luksemburgu. Podszedłem do Wojciecha Kowalczyka po komentarz, on mówi: – To chodź, przy autokarze pogadamy, zostawię tam torbę, co? Ja na to, że lepiej nie, bo generalnie to nie można ze mną w ogóle rozmawiać. Na to „Kowal” ruszył do autokaru, stanął na schodach i tam – w taki sposób, by słyszała cała drużyna – rozmawiał ze mną dziesięć razy dłużej niż to było potrzebne. Autokar czekał i czekał, a on ostentacyjnie nawijał, dwadzieścia minut albo i lepiej, nawet gdy nie chciało mi się już go słuchać.

Był to zapewne efekt sytuacji sprzed kilku miesięcy.

Kiedy byłem małym chłopcem, Kowalczyk był moim absolutnym idolem. Znałem go z telewizji, z radia, wiedziałem,



że ma wąsy i że w szkole wszyscy o nim mówią. A później po raz pierwszy poszedłem na mecz. Był rok 1994, Legia w ostatniej kolejce grała o mistrzostwo Polski z Górnikiem Zabrze. Bardzo przeżywałem pierwszą wizytę na stadionie i od rana oglądałem lokalną telewizję WOT, która raz po raz nadawała informacje z Łazienkowskiej. W jednym z łączzeń pokazano trybuny, na których siedzieli ludzie i ja – naiwniak – pomyślałem, że to przekaz na żywo. Zadzwoiłem więc do taty do pracy i powiedziałem: – Musimy już jechać, bo za moment miejsc nie będzie!

I tak na stadionie byliśmy jednymi z pierwszych.

Obiekt faktycznie szybko się zapełnił i dwie godziny przed meczem trudno było szpilkę wcisnąć. Ścisk przeogromny, ludzie wisieli na drzewach, na jupiterach. Legia po raz pierwszy po 24 latach miała sięgnąć po mistrzostwo (po raz pierwszy od 24 lat – czy mogą sobie to uzmysłować rozpieszczeni dziś kibice tego klubu?). W pewnym momencie na boisko wyszli piłkarze, jeszcze w cywilnych strojach – czyli džinsach, dresach... I wtedy 25 tysięcy ludzi zaczęło skandować nie „Legia Warszawa”, tylko „Wojtek Kowalczyk” („Legia Warszawa” też, ale później). I pomyślałem: to jest ktoś. To jest naprawdę ktoś. Kiedy odszedł do Betisu Sewilla, biegłem do kiosku, kupowałem „PS” i szybko szukałem wyniku. Tak, wygrali 5:0, gol w debiucie. Byłem szczęśliwy.

Kilka lat później umówiliśmy się na wywiad w restauracji Garaż – ulubionej knajpie starszych legionistów. Było to nasze pierwsze spotkanie twarzą w twarz, wcześniej zdarzały się wywiady telefoniczne. Kowalczyk wyglądał strasznie. Był opuchnięty, czerwony, oczy szkliste. I przede wszystkim – był po prostu gruby. Żadna niezorientowana osoba nie byłaby w stanie rozpoznać niedawnego gwiazdora naszego futbolu, mało tego – żadna niezorientowana osoba nie dałaby mu wtedy 28 lat, tylko od 35 mocno w górę. Siedział po drugiej stronie stolika, pił piwo

za piwem, papierosa odpalał od papierosa, aż popielniczka zapełniła się petami i zaczęła przypominać swoistego tytoniowego jeża. I wtedy powiedział: – Chcę wrócić do piłki.

– Do piłki? – zdziwiłem się.

– Tak.

– Ale... Ale... Przecież ty ważysz ze sto kilo.

– Dziewięćdziesiąt pięć. Zrzucę.

– Wojtek, odkąd tu siedzimy, wypiełeś z sześć piw. Palisz jak smok.

– Ja już nie palę.

– Jak to nie palisz? Przecież wypaliłeś przez ostatnią godzinę całą paczkę.

– To było wtedy. Ale ja już nie palę. Właśnie rzuciłem – uśmiechnął się.

– Rzuciłeś?

– No, rzuciłem. A czy teraz palę? Nie. Więc rzuciłem. Przed minutą.

I faktycznie, rzucił. Tak po prostu. Przynajmniej na jakiś czas.

Zaraz po wyjściu z Garażu telefonicznie poinformowałem prezesa Legii Leszka Miklasa, że Wojciech Kowalczyk chciałby wrócić do piłki, czyli – co było tożsame – do Legii. Powiedziałem też, jaki jest stan samego piłkarza, a Miklas miał to przemyśleć.

Dzień później – jakoś po szkole, bo chyba byłem wtedy uczniem czwartej klasy liceum – przyszedłem do redakcji „Naszej Legii”, mieszczącej się na terenie stadionu. W korytarzu pod drzwiami czekał kierownik drużyny Ireneusz Zawadzki.

– O, dobrze, że jesteś. Podaj numer do Kowalczyka. Bierzemy go – powiedział.

Czułem wielką satysfakcję, gdy jakiś czas później „Kowal” – już łysiejący, już z nie tak sportową sylwetką – wchodził na boisko, a publiczność znów skandowała jego nazwisko. Jeszcze większą czułem, gdy zaczął strzelać gole. Idol.

Tamten wywiad, na stopniach autokaru, na złość reszcie, był elementem rachunków, które ciągle wobec siebie wyrównywaliśmy. Raz ja, raz on. Obaj sobie zawdzięczamy pewne rzeczy.

\* \* \*

Kolejnym niezwykle ważnym graczem na rynku menedżerskim jest Fabryka Futbolu – poznańska agencja menedżerska, skupiona głównie wokół trzech postaci: Przemysława Erdmana, Tomasza Magdziarza i Szymona Pacanowskiego. Każdy zaczynał inaczej – Erdman był wiceprezesem Lecha Poznań, Magdziarz to były zawodnik, niespecjalnie utalentowany, za to bardzo rzutki i świetnie prosperujący finansowo (kupił wyspę w Kambodży, gdzie buduje hotel). Natomiast Pacanowskiego do biznesu przed laty wciągnął Radosław Osuch, ponieważ potrzebował kogoś z licencją menedżerską, której początkowo sam nie posiadał. Osuch naśmiewał się z niego w swoim niepowtarzalnym stylu: – Wziąłem go, Krzychu, bo powiedział mi, że ma ziemię. Rozumiesz? Ma ziemię! I ja myślałem, że to wielki właściciel ziemski, że ma całe hektary w centrum miasta, że się pod niego podepnę. A okazało się, że on ma działkę w Swarzędzu, rozumiesz? Kurwa, działkę w Swarzędzu! I to nie w samym!

Osuch takie bzdurki wymyśla na poczekaniu, bywają one bardzo śmieszne, ale na dłuższą metę słuchanie ich bywa męczące (zwłaszcza że wygłasza je w obecności obgadywanego, który może się tylko rumienić, bo jeśli czemuś zaprzeczy – dostanie podwójną dawkę szyderstw), więc nic dziwnego, że Szymon Pacanowski – spokojny, wyważony człowiek – w pewnym momencie zmienił miejsce zatrudnienia i niejako wybił się na niezależność.

Teraz Fabryka Futbolu rozwija się niezwykle szybko. Nie tak dawno sami właściciele opowiadali mi ze śmiechem, że oglądają jakiś mecz, mniejsza o to jaki, a jeden mówi: – Ten lewy pomocnik dobry. Jak się nazywa?

– Podpisaliśmy z nim umowę w zeszłym tygodniu – odpowiada drugi.

Podpisują umowę za umową i rosną na potentata na polskim rynku, w zagranicznych transferach jeszcze nie są tak mocni, jak będą za jakiś czas, gdy wraz z kolejnymi transakcjami będą nabywać coraz lepsze kontakty. Jednocześnie Fabryka Futbolu jest jedną z dwóch agencji menedżerskich, z którymi umowy pozwala swoim młodym piłkarzom podpisywać Lech Poznań. Na ile takie „wskazania” ze strony klubu są rozsądne i etyczne, to zupełnie inna kwestia. Bo przecież menedżer nie ma za zadanie reprezentować interesów klubu, lecz interesy zawodnika – a to się niekiedy wyklucza. Innymi słowy: menedżer czasami musi być tym złym, który zakomunikuje prezesowi klubu to, czego piłkarz osobiście mówić nie powinien. Albo pójdzie na otwartą wojnę, jeśli to konieczne.

\* \* \*

Wspomniany Osuch – podobnie jak Fabryka Futbolu związany z Poznaniem – wycofał się z menedżerki, odkąd kupił klub Zawisza Bydgoszcz. To niezwykle barwna postać, często – niesłusznie – brani jesteśmy za jakichś wielkich kolegów, podczas gdy po prostu się od dawna znamy, ale nie ma między nami wielkiej zażyłości i zdarzało się, że nie rozmawialiśmy rok czy dwa. W całym środowisku piłkarskim nie ma większego gawędziarza, kogoś, kto może opowiadać przeróżne historie przez pięć, sześć czy siedem godzin, codziennie niby te same, ale codziennie w innej wersji i niezmiennie śmieszne. Ujmijmy to

tak: prawda nie powinna przeszkadzać w narracji. Najważniejsze, aby się pośmiać.

Radka jako pierwszy poznał Przemysław Rudzki, z którym pojechaliśmy na mecz do Poznania. Mieliśmy wieczorem standardowo wypić jakieś wino, ale nagle stwierdził: – Muszę dzisiaj spotkać się z jednym gościem, idziesz?

– Z kim?

– Taki menedżer, Radosław Osuch. Chce się poznać.

– Nie słyszałem o człowieku. Nie chce mi się.

No i Przemek poszedł, co się okazało dobrym strzałem, bo przez lata – zanim się pokłócili – Osuch dał mu sporo informacji z pierwszej ręki. Kilka lat później razem z Przemkiem właśnie wpadliśmy na pomysł, by otworzyć portal internetowy. Zastanawialiśmy się, kto mógłby wyłożyć kasę w zamian za udziały i przyszedł nam do głowy właśnie Radek. Spotkaliśmy się w jednej z warszawskich knajp i przedstawiliśmy biznesplan. Osuch stwierdził, że musi to przemyśleć i się odezwie za tydzień.

Oczywiście nie odezwał się ani za tydzień, ani za dwa, za to zadzwonił po miesiącu, że jest w Warszawie i że warto się spotkać na kolację. W pewnym momencie stwierdził...

– Łeee, słuchajcie! – bo on uwielbia mówić „łeee” z takim charakterystycznym, poznańskim zaśpiewem. – Jechałem dzisiaj pociągiem i czytałem „Wprost”. I tam był tekst, że teraz wszyscy otwierają portale, że z tego jest taka kasa! I wiecie co? Pomyślałem sobie: „Łeee, Radzili, musisz otworzyć portal o piłce”.

Następnie przedstawił dokładnie taką wizję strony internetowej, jaką mieliśmy my. Słowo w słowo. Tylko że nas już w tym biznesie nie było.

– Zaprosiłeś nas po to, aby nam powiedzieć, że zapierdoliłeś nam pomysł, tak? – spytał bez ceregieli Przemek.

– Łeee, Przemo, jaki ty jesteś małośtkowy. Ale rozumiem. iy, chłopak spod Sosnowca, biedaszyby wszędzie, węgiel byś przerzucił, gdybym cię nie zaprosił na kolację. Łeee, nic się nie bój. Jakoś to będzie.

I tyle. Radek faktycznie otworzył stronę, ale oczywiście szybko zbankrutowała. Do pisania trzeba mieć serce, a słupki Excela zazielenią się z czasem same.

Początki Osucha w branży były śmieszne. Wybaczcie mi, jeśli coś pokręcę, ale... chyba nie pokręcę. Otóż żona Radka była siostrą żony Tomasza Jarzębowskiego, piłkarza Legii Warszawa. Zawodnik nie mógł wywalczyć dobrego kontraktu i pewnego dnia podczas rodzinnej pogawędki powiedział: – Radziu, ty masz takie gadane, więc może idź do prezesa i załatw mi podwyżkę.

Radek poszedł i załatwił. Wieść rozniosła się po szatni, więc szybko z podobną prośbą zgłosił się Artur Boruc. Radek znowu poszedł i załatwił. Sam się wtedy zdziwił, jakie to łatwe – wizyta u prezesa, nawijanie makaronu na uszy („Łeee, to jest nowy Buffon, dzwonił do mnie wczoraj Giovanni Trapattoni i mówił: – Radziu, poznam cię ze swoimi wnuczkami, jak dasz mi do niego telefon”), potem podpisanie dokumentów i skasowanie prowizji. Miał – i nadal ma – tę szczególną zdolność, że potrafi ludzi otumanić w sekundę. Aż mi się przypomina pewna piłkarska impreza w Zielonej Górze – chyba jakiś turniej, ale turniej nie miał znaczenia, liczył się bankiet.

Zielona Góra – z perspektywy Warszawy – jest na końcu świata, wyjątkowo słabo skomunikowane miasto. Pojechałem pociągiem do Poznania, a tam z dworca odebrali mnie Dariusz Dudka i Marcin Burkhardt. We trójkę ruszyliśmy w dalszą podróż. Na miejscu poznałem obu piłkarzy z Osuchem i... po jakichś dwóch minutach byli najlepszymi przyjaciółmi, a po pięciu Radek w zasadzie już ich oficjalnie reprezentował. Chyba nie widziałem nigdy wcześniej i nigdy później człowieka, który tak celnie odgadywałby potrzeby zawodników i mówił im

dokładnie te bzdury, które oni chcieliby usłyszeć. Zero merytoryki, tylko skrojone na miarę żarciki. Dla prymitywów – specjalnie przygotowane te prymitywne, o wielkich penisach itd. Dla co bardziej inteligentnych – z trochę wyższej półki. Wszystko dokładnie w tej konwencji, która obowiązuje w piłkarskiej szatni. Bajer, kit, żart, szyderka, ale też pracowitość, niezwykła zdolność do nawiązywania kontaktów i umiejętność negocjacji – na tym zbudował swoją pozycję.

Jeśli chodzi o kitowanie – nie ma sobie równych. Czasami nie wiadomo, po co to robi. Przykład. Jedzie samochodem do Piaseczna, dzwoni Marcin Burkhardt.

– Łeee, Bury, zaraz u ciebie jestem! Już płac i wychodź na zewnątrz! Tak, tak, wiem, Jeff's na Polu Mokotowskim!

Robimy wielkie oczy. Obrany kierunek – Piaseczno. Czyli zmierzamy w zupełnie inną stronę. Znowu telefon.

– Łeee, Bury, jesteś już na zewnątrz? To czekaj tam, już podjeżdżam!

Kolejne pięć minut, znowu telefon.

– Łeee, Bury, kochany ty mój. Jednak nie przyjadę!

Od razu przypomina mi się też pewna nietypowa wizyta w hotelu Marriott. Radek zaprosił do Polski dyrektora Celticu Glasgow i namawiał go, aby na bazie popularności Boruca oraz Żurawskiego otworzyć w Polsce sklepy z klubowymi pamiątkami. Szkot wydawał się zapalony do pomysłu. Ja i Przemek Rudzki pojechaliśmy poznać tego nietypowego gościa. Na miejscu okazało się, że są również ówczesni gwiazdorzy GKS-u Bełchatów walczącego o mistrzostwo kraju – Dariusz Pietrasiak i Łukasz Garguła (i chyba jeszcze jeden piłkarz, ale już nie pamiętam który).

Garguła ciągle dopytywał się o kluczyki do bmw. Z rozmowy wydedukowałem, że Osuch sprzedał mu samochód, a Garguła chce nim wrócić do Bełchatowa.

Zamiast kluczyków otrzymał typowe opowieści dziwnej treści. Najpierw Radek opowiedział, jak nauczył się języka francuskiego w dwa tygodnie (miałem wrażenie, że piłkarze mu wierzyli), co zakończyło się prezentacją lingwistycznych możliwości menedżera. Potem był czas na chińskie przysłowia i inne wymyślone przez Osucha rzekome mądrości starców z Dalekiego Wschodu (na przykład taka, że stary Chińczyk powiedział mu o idealnym wieku kobiety: wiek męczyzny należy podzielić przez dwa i dodać dwa – sprawdza się i dla nastolatków, i dla starców, pobawcie się i policzcie). W trzeciej godzinie opowiadanie o nieobecnych zawodnikach, coś w stylu, że bracia Brożkowie zamawiają KFC, a potem urządzą zawody w pierdzeniu. I tak dalej. Czas mijał, a kluczyków Garguła nie mógł się doprosić. Gość z Glasgow z kolei siedział i udawał, że rozumie po polsku.

Zrobiła się druga albo trzecia w nocy, Garguła już wyraźnie zrozpaczony: – Radek, proszę cię. Daj mi kluczyki. My mamy jutro rano trening, musimy jechać.

A Osuch na to: – Łeee, „Guła”, jaki ty jesteś kochany. Jaki ty jesteś kochany! Tylko ty mogłeś uwierzyć, że ja mam dla ciebie te kluczyki. Przecież ja przyjechałem do Warszawy pociągiem. Łeee, kocham cię!

I jak gdyby nigdy nic wrócił do rozmowy ze Szkotem, natomiast Garguła siedział wstrząśnięty w środku nocy, 120 kilometrów od domu.

\* \* \*

Jeśli myślę o Osuchu, w największym stopniu kojarzy mi się z dwiema zakrapianymi imprezami. Pierwsza – w Jeleniej Górze. Wigilijny turniej piłkarski organizowany przez Piotrka Lizaka, przy czym znowu sam turniej nie ma znaczenia.



Zaczął się od tego, że na bankiecie zjawił się Marek Bajor i chyba czuł się dość obco. Jako że nie widział nikogo znajomego, dosiadł się do mnie – poznaliśmy się swego czasu we Wronkach, ale raczej pobieżnie. Później przyszedł Radek i rozpoczął swoją typową gadkę.

– Łeee, ty jesteś ten słynny Marek Bajor! – wypalił.

Widać było, że Markowi zrobiło się bardzo miło, nie potrafił ukryć rozpierającej go od środka dumy. Rzadko kiedy spotykał ludzi, którzy pamiętali jego karierę piłkarską. Uznanie kibiców zawsze zyskiwali bardziej medialni koledzy.

– Łeee, Mareczku. Ja miałem twój plakat nad łóżkiem. Jak ty grałeś w tym Widzewie. Jak ty wszystkich zatrzymywałeś. Łeee, zawsze mówiłem wszystkim: wy patrzcie na Bajora, jak on gra, to jest artysta defensywy. Paganini wślizgu!

Marek już był w siódmym niebie, niewykluczone, że nigdy wcześniej nikt nie prawił mu takich komplementów. Bo – jak wiadomo – był to piłkarz niezły, ale bez przesady.

Niestety, kelner zaczął donosić alkohol. I znowu, i znowu... Jeszcze przez dwadzieścia minut Bajor był legendą ekstraklasy, chlust, później został sprowadzony do rangi zwykłego ligowca, chlust, po czterdziestu minutach był już dość kiepski, chlust, aż po godzinie – kiedy pękła cała flaszka – Osuch nagle zmienił ton i wypalił: – Ty trenerem? Bajor, ty jesteś, kurwa, tak słaby, że nie dałbym ci nawet poprowadzić sekcji panczenistek w Poznaniu, rozumiesz?!

I czar prysł.

Tego samego dnia Osuch miał jeszcze dwa starcia. Pierwsze z Mateuszem Borkiem, dość zabawne. Borek przyszedł w marynarce, która miała wyhaftowany napis, zawierający litery „s”, „p”, „k” i coś tam jeszcze. Radek na dzień dobry spytał: – Co tu masz napisane? S... P... K... Sparks? Nawet cię nie stać na własną marynarkę? Wszystko musi ci Sparks kupować?

Raymond Sparks był brytyjskim agentem, z którym Osuch miał na pieńku od czasu transferu Artura Boruca z Legii do Celticu. Borek Sparksa znał.

– Co powiedziałaś, kurwa? – zagotował się Mateusz.

– Że ci Sparks kupuje marynarkę, frajerze

– odparł Osuch.

– Nie mów do mnie frajerze, kurwa. Wiesz, co znaczy słowo „frajer”? Wiesz, co to znaczy? Jeszcze raz powiesz do mnie „frajerze”, kurwa, jeszcze raz powiesz, to cię zajebię – Borek nie zawsze posługuje się piękną, telewizyjną polszczyzną.

– Zmiataj stąd, frajerze.

– Kurwa, kurwa, tylko nie „frajerze”! Zajebię cię!

Na to Osuch wyciąga telefon i na oczach wściekłego Borka gdzieś dzwoni.

– Halo, Anita? – zwraca się słodko do żony. – Słuchaj, kotku. Proszę cię, powiedz to, co zawsze mówisz, żeby mnie powstrzymać, bo stoi tu przede mną ten frajer Borek w marynarce, którą dostał od Sparksa, i ja zaraz użyję krav magi, no i niewykluczone, że go wtedy zabiję i będę miał kłopoty.

Oczywiście do bójki nie doszło, ale co koguciki poskakały, to ich. Cała ta wymiana uprzejmości trwała zresztą znacznie dłużej, pewnie z pół godziny, co i raz ktoś wychodził, wracał, znowu się straszili, znowu padało „tylko nie frajerze” i znowu był telefon do żony. Wszyscy wokół mieli wielki ubaw.

Tej samej nocy doszło do wyjątkowo osobliwego zdarzenia – Marcin Wasilewski, znany jako twardziel, któremu kariery nie przetrąciła nawet doszczętnie połamana noga – rozpłakał się jak mała dziewczynka.

Staliśmy w kilka osób przy barze, nagle Wasilewski zagadał do Osucha.

– Czy to prawda, że wzięłaś prowizję za mnie zarówno od Amiki, jak i ode mnie?

– Łeee, „Wasył”, co ty gadasz? Gdyby nie ja, to byś dalej gnił w rezerwach Wisły Płock!

– Przecież ja nigdy nie byłem w rezerwach.

– Oj, „Wasył”, „Wasył”... Przecież oni tam na ciebie patrzeć nie mogli. Przesunęli cię do rezerw i liczyli, że się zgubisz podczas jakiegoś wyjazdu do Wąchocka.

– Radek, ja nigdy nie grałem w rezerwach!

– Jak nie grałeś w rezerwach, jak cię z rezerw wyciągnąłem. Grałeś w jakiejś osiemnastej lidze z kobietami w chodakach, między ujadającymi psami i wiewiórkami skaczącymi z drzew.

– Kurwa, Radek, co ty pierdolisz? Nigdy nie byłem przesunięty do rezerw! Wzięłeś te dwie prowizje czy nie?

– Łeee, „Wasył”, ty byś w tych rezerwach jeszcze pięć lat spędził, gdyby nie ja...

I tak nastąpił powrót do punktu wyjścia.

Po dalszej niezwykle interesującej rozmowie toczącej się w rytmie...

– Grałeś w rezerwach.

– Nie grałem w rezerwach.

– Grałeś.

– Nie grałem.

...no po prostu nagle Wasilewski stracił cierpliwość i... Nie, nie przywalił Osuchowi, tylko z bezsilności się kompletnie rozkleił i rozbeczał. Promile na pewno zrobiły swoje, ale był to jedyny moment w życiu, gdy widziałem „Wasyła” płaczącego jak pięciolatek, który zgubił mamę w wielkim centrum handlowym.

To były historie z zaledwie jednej zakrapianej imprezy, a przecież dopiero co napisałem, że kojarzy mi się z opowiastkami z dwóch. Druga miała miejsce w Białymstoku i tam dopiero zdarzyły się rzeczy niespotykane. Po jakimś z meczów ligowych Jagiellonii całe towarzystwo – jak to zwykle bywa – przeniosło

się do położonego w centrum hotelu Cristal. Tamtego dnia frekwencja naprawdę dopisała, zjawili się ludzie z różnych środowisk – od trenerów, działaczy, menedżerów, po byłych piłkarzy czy lokalnych gangsterów. Już po godzinie doszło do pierwszych zgrzytów, ponieważ Osuch koniecznie chciał zdyskredytować siedzącego naprzeciwko Mariusza Piekarskiego. Dopytywał się, jakie szkoły skończył, potem przeszedł do epitetów, aż całość podsumował testem, który miał wykazać, że „Piekarz” – wbrew temu, co twierdzi – wcale nie zna języka portugalskiego (zna perfekcyjnie). Radek wyciągał kolorowe słomki i pytał: jaki to kolor po portugalsku? Mariusz go oczywiście ignorował, ale Radziu robił się coraz bardziej natrętny. Trzeba wiedzieć, że kiedy się napije, to zna – tak mu się wydaje – wszystkie języki świata.

Później jeszcze swoje usłyszał miejscowy gangster, chociaż Paweł Wołosik – dziennikarz „Przeglądu Sportowego” pochodzący z Białegostoku – zapewniał mnie potem, że to nie mógł być TEN gangster, ponieważ gdyby to był TEN gangster, to Radek zostałby po trzech minutach wywieziony do lasu.

W każdym razie – tamtą nasiadówkę jeszcze Radek przetrwał, ale później jego dobra passa się skończyła.

Przenieśliśmy się do knajpy nieopodal, zrobiło się nawet sympatycznie, chwilowo nikt nikogo nie obrażał i można było zająć się tym, czym zawsze w takich przypadkach, czyli szeroko pojętą konsumpcją połączoną z opowiadaniem najbardziej szalonych anegdot (swoją drogą, skoro jesteśmy przy Białymstoku – nie uwierzylibyście, jaki show podczas opowiadania anegdot potrafi zrobić Michał Probierz!). Niestety, oczywiście pijaństwo było po białostocku, czyli bez umiaru. W efekcie...

Przy barze usiadł mężczyzna po trzydziestce. Radosław Osuch nagle wstał i powiedział, że nam coś pokaże. Po czym podszedł do siedzącego na wysokim stołku faceta i ni stąd, ni

zowąd wymierzył mu soczysty cios pięścią w twarz. Oniemieliśmy. Zrobił to bez jakiegokolwiek powodu, w dodatku wybierając na ofiarę mężczyznę, który wyglądał najgroźniej w promieniu pięciu kilometrów.

O dziwo, przeciwnik rozmasował szczękę i... nie oddał. Po zachowaniu kelnerek było jednak widać, że to się dobrze nie skończy.

Radek usiadł, a po jakimś czasie nabrał ponownie ochoty do bitki i... po raz kolejny przywalił mężczyźnie ubranemu w skórzaną kurtkę, a tamten ponownie nie oddał, mimo że był w stanie położyć ciosami pół dzielnicy. Wraz z Żelisławem Żyżyńskim, reporterem Canal+, obserwowaliśmy tę scenę z rozdziawionymi ustami.

Tajemnica szybko się wyjaśniła. Mężczyzna, którego Radek obijał jak worek treningowy, dopiero co wyszedł z więzienia i miał jeszcze wyrok w zawieszeniu za ciężkie pobicie. Chociaż bardzo chciał, nie mógł wymierzyć sprawiedliwości. Za to – no właśnie – miał kolegów. Nie minęła więc minuta od uderzenia numer dwa, a do restauracji wpadł niewysoki, ale krępy facet, dopytał się „kogo” i zaczął tak oprawiać Osucha, że skręcało od samego patrzenia. I teraz wyobraźcie sobie taką scenę. Radek leży na podłodze, zbir siedzi na nim i leje po twarzy. I w tym momencie dochodzi wszystkich... odgłos chrapania.

– Kurwa, usnął mi! – warknął oprawca. – Ja pierdołę, pierwszy raz mi kolo usnął! Ja pierdołę! – nie mógł uwierzyć i chyba potraktował to jako najbardziej wstydlive zdarzenie w swoim chuligańskim życiu. Osuch natomiast – chociaż cały zakrwawiony – chrapał w najlepsze.

Gdybym nie widział, nie uwierzyłbym.

Zakończenie: znany menedżer ląduje w białostockim szpitalu i zostaje w nim na dwa tygodnie z powodu krwaka mózgu. Odwiedzamy go w szpitalu, gdzie „Szamo” daje mu

ksywę „Kung-Fu Panda” (pacjent ma tak opuchnięte oczy, że tylko najedno w niewielkim stopniu coś widzi).

\* \* \*

Czytelnicy uważają, że Osuch to mój przyjaciel, ponieważ często go bronię. Oczywiście znam go, znam jego uroczą żonę Anitę, byłem u niego w domu pod Poznaniem oraz w mieszkaniu w Bydgoszczy. Ale nie, nie przyjaźnimy się, nie dzwoniemy do siebie, by zapytać, co słyhać, w zasadzie od wielu lat, jeśli już mamy jakikolwiek kontakt, to czysto zawodowy i bardzo, bardzo rzadki. Zresztą do Radka lepiej nie dzwonić, ponieważ nie sposób zakończyć rozmowy przed upływem 30 minut, przy czym on zupełnie nie jest zainteresowany tym, co masz do powiedzenia ani o co pytasz, tylko musi wygłosić swoje przygotowane wcześniej kwestie, nawet jeśli nie mają one żadnego związku z tematem wyjściowym. Powie o jakichś „esbekach”, którzy go prześladują, czy o innym spisku.

Rzeczywiście broniłem go zawzięcie w kilku kwestiach, ponieważ uważałem, że był oskarżany bardzo niesprawiedliwie, zwłaszcza w dość niskich lotów paszkwilu w „Przeglądzie Sportowym”. Z Osucha zrobiono wówczas złodzieja, który działa na szkodę Zawiszy Bydgoszcz, podczas gdy w rzeczywistości to pod jego wodzą klub osiągnął największe sukcesy w historii, a jedyna jego wina była taka, że przeszkodził w robieniu interesów miejscowym cwaniaczkom i osiłkom. Po jakimś czasie spotkałem współautorkę artykułu z „PS” i powiedziałem jej: – Wiesz, co jest najśmieszniejsze? Że ja wcale nie wykluczam, że za jakiś czas Osuch faktycznie wszystkich oszuka i zniknie. Nawet mnie to jakoś bardzo nie zdziwi. Natomiast problem polega na tym, że ty to wszystko napisałaś, gdy on jeszcze w niczym klubowi nie zaszkodził, natomiast bardzo pomógł. Nie ten czas.

Oczywiście nie dała wiary, bo łatwiej sobie wytłumaczyć, że Stanowski broni kumpla.

Jako właściciel Zawiszy Osuch zaimponował mi niezłomnością, bo niełatwo żyć w mieście, w którym tak bardzo podpadłeś tak wielu oprychom. Tym bardziej nie jest łatwo, jeśli musisz do tego stale dopłacać. – W Hiszpanii posiadanie klubu to przyjemność. Kiedy wchodzisz na trybunę, ludzie wstają i biją ci brawo. A u nas? Wieczne niezadowolenie, niezależnie od klubu. Patologia wokół. A może zrobić na złość, wziąć kasę za cały sezon ekstraklasy od Canal+, a ligę zagrać juniorami i spaść? Wziąć te sześć milionów i kupić sobie dom w Maladze? – zapytał mnie kiedyś. Jednak tego nie zrobił, choć mógł. A spadł i tak.

Osuch ma kilka obliczy. Jest z pewnością rubaszny, gadatliwy, zabawny, jest też pamiętliwy, niezłomny, zadziorny, lubi się pośmiać, ale też lubi obrażać. Dobrze się czuje, mając wokół wrogów, i trudno go zapędzić w kozi róg. Może iść sam na barykady, wsparcie nie jest mu do niczego potrzebne. I to nieważne, czy przeciwnikiem jest grupa kibiców, przewodniczący rady nadzorczej Ekstraklasy SA, czy szef sędziów PZPN. Wywiady z nim to ciągła rozterka. Siadasz, gadasz trzy godziny. Spisujesz. Dobrze wiesz – albo raczej przeczuwasz – że gdybyś chciał zweryfikować każde zdanie, to nie zostanie nic. Że okaże się, że osiemdziesiąt procent zarzutów, które wysuwa pod adresem wrogów, to nieprawda, a pozostałe dwadzieścia – spore przejawskrawienie. Tylko że, do cholery, to się tak dobrze czyta!

I dylemat: czy dziennikarz przepytujący dorosłego człowieka odpowiada za to, co tamten mówi, czy niekoniecznie? Czy może to jego prawo – mówić, co chce, zwłaszcza że przecież zawsze istnieje możliwość, iż faktycznie ma rację, a wszyscy wokół się mylą.

Nie wiem, czy Osuch wróci do menedżerki. Nie sędzę. Swego czasu miał pod swoimi skrzydłami połowę reprezentacji Polski, trzymał się też dość blisko z obecnym selekcjonerem Adamem Nawalką (z kim on się blisko nie trzymał, pamiętam, jak na kanapie obok nocował drugi trener Werderu Bremy), strzelał pomysłami, stanowił element świeżości w środowisku. Był tak charakterystyczny, że szybko się wybił. Ale ten etap już raczej bezpowrotnie minął. Chyba zbyt wiele mostów spalił i ze zbyt wieloma osobami się pokłócił, by znowu wykonywać zawód wymagający łączenia ludzi. Nie sędzę, by dał radę wykonać krok w tył i zamiast właścicielem klubu, znowu zostać kimś, kto właściciele klubów próbuje przekonać do tego czy innego piłkarza. Ambicjonalnie by tego nie udźwignął.

\* \* \*

Czasy, kiedy Osuch miał kontrakty z połową reprezentacji, były ciekawe. Zwłaszcza gdy selekcjonerem został Leo Beenhakker, którego menedżer w dość swobodny sposób oskarżał o machlojki. Proces wytoczony przez Holendra przegrał, ponieważ nie był w stanie niczego udowodnić.

Często jednak przekonywał, że coś jest na rzeczy i że na zgrupowaniach kadry załatwiane są interesy. Że jego piłkarze spotykają się z naciskami, aby zmienili menedżera i związali się umową z innym, wskazanym przez sztab. Wtedy drzwi do kadry będą otwarte na oścież.

Czyżby naprawdę Beenhakker lub jego otoczenie miało się bawić w takie interesiki? Osuch powtarzał: – Holendrzy to najpodlejszy i najbardziej zachłanny naród świata. Sprzedadzą cię za pięć centów.

Głosów o dziwnych praktykach dochodziło na tyle dużo, że wraz z Rudzkim postanowiliśmy przeprowadzić prowokację. Radek opowiadał, że kolejny jego piłkarz – Robert Kolendowicz –



otrzymał od Bogusława Kaczmarka sugestię, iż powinien się zwrócić do Jana de Zeeuwa, a ten mu powie, co dalej robić w kwestiach menedżera, zmiany klubu i powołań. Zawodnik nie wyraził zainteresowania propozycją pomocy.

Wraz z Przemkiem ustaliliśmy, że zadzwonimy do de Zeeuwa i podamy się za Kolendowicza. Mówić miał on, ponieważ znacznie lepiej potrafi naśladować głosy (ma talent aktorski!). Poszliśmy do małego pokoiku w redakcji... Jeden sygnał, drugi...

– Dzień dobry, dyrektorze, tu Robert Kolendowicz – zaczął Przemek.

I tak od słowa do słowa wchodziliśmy coraz głębiej, a de Zeeuw w zasadzie potwierdzał wszystko to, o czym alarmował Osuch. Rozmowa trwała, a Przemek pokazywał wymownymi gestami „jest!”. Mieliśmy przekonanie, że oto nadchodzi afera, która może wywrócić do góry nogami sztab kadry. Facet w zasadzie przyznał, że po zmianie menedżera na właściwego jest w stanie pomóc w transferze, co też będzie miało korzystny wpływ na powołania w przyszłości.

Byliśmy wniebowzięci.

– Do widzenia.

– Do widzenia.

I po chwili: mamy to!

Dzwoniliśmy z telefonu o dumnej nazwie Nokia Communicator, wielkiego, rozkładanego, z klawia turką. Miał tę zaletę, że dało się nagrywać rozmowy. Niestety, miał też wadę, o której istnieniu nie wiedzieliśmy – jeśli ktoś zadzwonił w trakcie i pozostawał na linii jako „oczekujący na połączenie”, to nagrywanie zostawało przerwane.

Tak, dobrze podejrzewacie. Ktoś zadzwonił na samym początku. Poza „dzień dobry” nagrało się niewiele więcej. Z prowokacji więc nic nie wyszło, może poza tym, że... Kolendowicz już nigdy w reprezentacji nie zagrał, mimo że

debiut miał obiecujący. Efekt naszego telefonu i tego, iż nie dotrzymał słowa?

\* \* \*

Niezwykłą postacią na polskiej scenie menedżerskiej był Karol Glomb, który pojawił się znienacka i niespodziewanie też zniknął. Zanim jednak wrócił do Niemiec, gdzie – jak mówił mi jakiś czas temu przez telefon – prowadzi firmę deweloperską i świetnie sobie radzi, sporo namieszał w naszym futbolu. Miał coś, co go odróżniało od innych – niemiecką licencję menedżerską, na widok której piłkarzom miękły nogi, jak dziewczynom na widok forda mustanga.

Był też kompletnym naturszczykiem. Sympatycznym, to prawda, ale naturszczykiem. I moim zdaniem gdyby nie ów niemiecki dokument, nigdy nie zdołałby się przebić. A tak zagraniczny świstek stanowił alibi dla kompletnej nieznajomości rynku i piłkarzy. Karol mógł jechać windą z trzema reprezentantami Polski i nawet nie zorientować się, że to sportowcy. O wymienieniu ich nazwisk nawet nie wspominam.

Od razu przykład. Kiedy jeszcze Canal+ rozdawał Piłkarskie Oscary, pojednej z takich uroczystości udaliśmy się wraz z Ivicą Križanacem, Karolem Glombem oraz Krzysztofem Klickim do pobliskiej dyskoteki The Mexican, wówczas najmodniejszej w stolicy.

– Mamy stolik? – spytałem Karola, gdy przeciskaliśmy się przez tłum ludzi.

– Kolega Kriży coś załatwił.

Trochę mnie zaskoczyło, że Karol tytułuje jednego z najbogatszych Polaków – twórcę firmy Kolporter i właściciela ekstraklasowego klubu z Kielc – „kolegą Kriży”. No dobrze, ale niech i tak będzie.

Jednak gdy po chwili usiedliśmy, Karol spojrzał na pusty stół, potem na Klickiego i wypalił: – Kolego, przynieś dwie butelki whisky i kilka butelek coli, OK?

To już było całkiem dziwne. Jeszcze dziwniejsze, że kielecki multimilioner (aktualnie „Forbes” wycenia jego majątek na blisko miliard złotych) bez ociągania wstał i faktycznie poszedł do baru po napoje, a potem wrócił z pełną tacą.

Nie minęło dwadzieścia minut, gdy Karol wysłał go do baru ponownie, z jeszcze innym zamówieniem. Klicki ponownie poszedł.

– Te, Karol! – zabrał głos Križanac, świetny obrońca z Chorwacji, wtedy zawodnik Groclinu, a później zdobywca Pucharu UEFA w barwach Zenita Sankt Petersburg, gdzie płacono mu tyle, że mówił, iż „kasę trzyma na balkonie”. – Ty wiesz, kto to jest? Ty wiesz?

– Jakiś twój kolega.

– To nie jest jakiś mój kolega. To Krzysztof Klicki. Jeden z najbogatszych Polaków! Właściciel Korony!

Ile kolorów widziałem wtedy na twarzy Karola Glomba, nie zliczę, ale gdy już przebił się ten jeden dominujący, to menedżer był czerwony jak burak. A Klicki – znany z tego, że na mecze latał helikopterem i wesoło mawiał, że to dlatego, bo na górze nie łapią i można walnąć lufkę – jak gdyby nigdy nic zrealizował kolejne zamówienie. Gdy wrócił, Karol stał już wyprostowany jak cieć przed prezesem i z wyciągniętą wizytówką: – Karol Glomb, menedżer piłkarski. Witam serdecznie.

Lubiłem Karola – to znaczy lubię, tyle że nam się kontakt urwał – bo był naprawdę pocieszny, ale gdybym był piłkarzem, to jednak moje interesy reprezentowałby kto inny. Chociaż bywał skuteczny. Na przykład przez bardzo długi czas prowadził Andrzeja Niedzielana – albo było na odwrót, bo Andrzej ma dryg

do menedżerki i wielokrotnie miałem wrażenie, że w tym duecie to on jest ważniejszy i bystrzejszy. Były reprezentant Polski podpisał w życiu kilka kontraktów, ale jeden nietypowy – otóż przeszedł jako wolny zawodnik do Wisły Kraków, co uznano powszechnie za bardzo dobry interes. W rzeczywistości Niedzielan zdołał wynegocjować najwyższą kwotę za podpis, o jakiej słyszałem przy okazji transferów w Polsce – krakowski klub wypłacił mu na dzień dobry pół miliona euro.

Kiedy więc czytacie, że klub X pozyskał zawodnika Y za darmo, to pamiętajcie, że nie ma nic za darmo. I że w rzeczywistości za słowem „darmo” mogą kryć się naprawdę duże pieniądze, tyle że przelane na prywatne konto piłkarza, zamiast na konto innego klubu.

Karol Glomb transferował też Sebastiana Miłę do Austrii Wiedeń czy Tomasza Frankowskiego z Elche do Wolverhampton, co akurat skończyło się publiczną awanturą o kasę. Tu źle Glomb trafił, bo jeśli kogoś chciał przekreślić, to akurat lepiej nie „Franka”, który pieniądze liczy wyjątkowo skrupulatnie.

\* \* \*

Chętnych, aby dobrać się do miodu, jest wielu. Ważnym graczem na rynku jest Bartłomiej Bolek, któremu drzwi w polskiej piłce pootwierał Maciej Iwański – przekonując kolegów z Zagłębia Lubin, by poszli jego śladem i związali się z tym właśnie menedżerem (stąd złoty strzał – Łukasz Piszczek). Na niezależność wybił się Daniel Weber, dawny pracownik Jarosława Kołakowskiego. To coraz mocniejszy na rynku gracz, przeprowadzający wiele transferów zwłaszcza do Lechii Gdańsk. Stracił wpływy Marcin Kubacki, którego – z żalem, bo często grywaliśmy razem w karty, a pewnie jak skończy czytać to zdanie, to się obrazi – muszę podczepić do grona „przyklep”.

Przynajmniej na razie. Słysząc o dużych prowizjach, które zgarnia, a jakoś mało u niego sukcesów, wyważonych ruchów, zaprogramowanych karier. Za to sporo pojedynczych strzałów, typu wysłanie Stępińskiego do Niemiec albo Furmana do Francji i Włoch, co nie mogło się dobrze skończyć.

To właśnie Kubacki był menedżerem Dominika Furmana, gdy ten przechodził do francuskiej Tuluzy za ponad dwa miliony euro. Leśnodorski opowiadał: – Kilka dni wcześniej mieliśmy w klubie naradę i uznaliśmy, że trzeba się pozbyć Furmana, bo nie będzie u nas grał. Wypożyczyć gdzieś, nie wiem – do Podbeskidzia może? Wszyscy byli zgodni, że to nie ten poziom. Aż tu nagle przyjeżdżają ci Francuzi i zaczynają się licytować. Ten menedżer mówi: – Dominik będzie tam najlepszy! Patrzymy po sobie... OK... Skoro chcą... I jeszcze tyle płacą...

Po rynku pływa Marek Citko, ale trudno go uznać za grubą rybę. Największym jego strzałem było umieszczenie Waldemara Soboty w Belgii, co Bogiem a prawdą dokonało się w dużej mierze samo, na bazie dobrych meczów tego piłkarza przeciwko FC Brugge. Marek ma urok, jest zabawny, szuka okazji Kiedyś reprezentował – a może dalej reprezentuje – Łukasza Gikiewicza, wtedy napastnika Śląska.

– Marek, moim zdaniem on nie umie grać w piłkę – podzieliłem się z nim kiedyś wątpliwościami.

– Dlatego mu powiedziałem: „Stój w polu karnym i uderzaj tylko głową. Jak zaczniesz grać nogami, to nie zrobimy żadnego transferu”.

Marek nawet przez jakiś czas doradzał Józefowi Wojciechowskiemu, ale na dłuższą metę nie miało to najmniejszego sensu, bo Wojciechowski słucha tylko sam siebie i jeśli doradca ma inne zdanie albo inny pomysł, to znaczy, że jest głupi i należy go zwolnić (więc nic dziwnego, że i Marka pogonił). Pamiętam, jak kiedyś poszedłem do Wojciechowskiego

na wywiad, już skończyliśmy rozmowę, wychodzę, a on sięga po telefon i warczy do sekretarki: – Dawaj łysego!

Stoję w drzwiach i widzę, jak urocza kobieta odkłada słuchawkę i z wyćwiczonym uśmiechem zwraca się do Józefa Oleksego: – Panie premierze, prezes serdecznie zaprasza.

Marek trochę świata z Wojciechowskim zwiedził, polatał jego odrzutowcem, widział kilka transferów dokonanych i kilka niedokonanych. Na przykład jak Dawid Nowak przyjął pół miliona złotych zaliczki, a potem – oglądając mecz Polonii z trybun – zbladł jak nieboszczyk, bo Smolarek i Sobiech zaprezentowali się z dobrej strony. Po prostu doszedł do wniosku, że się nie nadaje, i pieniądze zwrócił.

Ma Marek ten spryt nabyty w młodości, kiedy przemycił towar przez granicę i handlował nim na

bazarach. Zna różne sztuczki, swego czasu uczestniczył w transferze brazylijskiego napastnika Maycona do Jagiellonii. Białostocki klub prawie się rozliczył. Prawie, bo brakowało 5 tysięcy euro.

– Nie mogłem zrozumieć, dlaczego pomniejszyli prowizję o 5 tysięcy.

– I co zrobiłeś?

– A, oglądałem jakiś mecz. No i grał Klepczarek. Zadzwoiłem do Czarka Kuleszy i powiedziałem mu: „Czaruś, ale lewy obrońca, w sam raz dla ciebie. Gadałem ze Smudą, wierz, że mnie bardzo lubi z dawnych czasów. No i Smuda mi powiedział, że będzie go powoływał. Piotr Klepczarek – bierz koniecznie”. Kulesza zapytał, co za to chcę.

– I co chciałeś?

– Pięć tysięcy euro.

\* \* \*

Rozdział ma tytuł: „Dlaczego nikt nie lubi menedżerów?”. Wiadomo, uogólnienie, bo na przykład ja większość z nich lubię. Umówmy się jednak, że opinii u zwykłych kibiców nie mają zbyt dobrej. Traktowani są jak pijawki, które przysysają się do zawodników, mącą im w głowach, zatruwają myśli. To rzekomo z winy menedżerów ulubieni zawodnicy nagle zapominają o miłości do klubów, do kibiców i ruszają w pogoń za pieniędzmi.

Bajki, bajki i jeszcze raz bajki.

Każdy piłkarz ma menedżera, dlatego że chciał go mieć, a nie dlatego, że mu kazano. Najał go – wiążąc się umową – świadomie, w bardzo konkretnym celu: miał nadzieję, że menedżer pomoże w znalezieniu jeszcze lepszego klubu, gwarantującego jeszcze lepsze zarobki. Dopóki menedżer niczego godnego uwagi nie znajdzie, można opowiadać te bzdury o miłości do herbu (w rzeczywistości w tym kontekście powinno się użyć słowa „logotyp”, ponieważ dla piłkarzy to nic innego jak znaczek towarowy). Ale gdy wreszcie przyjdzie oferta, okazuje się, że walizka była już od dawna spakowana i stała w korytarzu.

Przede wszystkim należy pamiętać, że menedżer nie pracuje dla klubu, tylko dla piłkarza. I po drugie – że menedżer sam nic nie może. Aby doszło do jakiegokolwiek transferu, zgodę musi wyrazić zarówno zawodnik, jak i klub. Menedżer jest tylko osobą, która podsuwa ewentualne rozwiązania, możliwe kierunki, często wynikające nie z formy piłkarza, ale z kontaktów jego przedstawiciela. Wyładowywanie na menedżerach złości jest tyleż nonsensowne, co po ludzku... zrozumiałe. Łatwiej znienawidzić obcą osobę – rzekomo zachłanną i zepsutą – niż napastnika, którego jeszcze dwa dni wcześniej się okłaskiwało.

Ale w sumie taka też dodatkowa rola menedżerów – być piorunochronem. Ściągać burzę wyłącznie na siebie. Menedżer może być tym złym w oczach kibiców, może też być tym złym w

oczach prezesa klubu, ponieważ ma obowiązek powiedzieć to wszystko, czego piłkarzowi względem swojego przełożonego mówić nie wypada. Piłkarz z własnym prezesem nie powinien się kłócić o zarobki, znacznie zdrowiej, gdy robi to niezależny impresario.

Warto jednak uzmysłwić sobie jedno: menedżerowie w polskiej piłce to jedyna grupa, która faktycznie pracuje na swoje pensje. Wszyscy inni mogą się rok czy dwa przebijać, pozorując pracę. A menedżer, który pozoruje pracę, po prostu nie zarobi. Dlatego zasuwiają tydzień w tydzień, oglądają nieistotne mecze, setki nieistotnych meczów. I odbywają tysiące niepotrzebnych podróży. Zatrudniają własnych poszukiwaczy talentów. A na koniec często to oni odpowiadają za... skauting największych klubów. Zatrudnieni specjalnie w celu poszukiwania przyszłych gwiazd ludzie nie mogą nikogo ciekawego namierzyć, dyrektorzy sportowi zajmują się układaniem pasjansa, natomiast menedżerowie przychodzą z gotowymi rozwiązaniami. Wy, kibice, o tym nie usłyszycie, ponieważ klubowi nie wypada powiedzieć: tych czterech zawodników znaleźli nam menedżerowie.

Ale gwarantuję, że większość transferów w naszej lidze to wciąż ich inicjatywa. Często kluby wręcz dają zlecenie: potrzebujemy piłkarza na taką i taką pozycję. A menedżerowie uruchamiają kontakty, dzwonią, rzucają przynętę. Potem przekonują: tego weźcie, on będzie dobry. Miesiąc później dyrektor sportowy przedstawia pomysł jako swój. Jako sukces działu skautingu.

Kibice nie lubią menedżerów, bo widzą tylko transfery z klubu, a nie do klubu. Nie lubią ich też dlatego, że nie rozumieją ich roli i tego, kto komu płaci w tym układzie i kto dla kogo pracuje. Wielu prezesów nie lubi menedżerów, ponieważ bez nich mieliby intelektualną przewagę nad piłkarzami, mogliby nimi kręcić do woli, a menedżerowie wyrównują szanse albo



wręcz przechylają szalę na korzyść gracza. Dużo łatwiej zarządzałoby się bezbronnymi owieczkami... Wreszcie sami piłkarze często menedżerów nie lubią, szukając łatwych wymówek dla swoich niepowodzeń.

Jedno muszę napisać, co z pewnością nie spodoba się agentom piłkarskim. Sami zawodnicy – z własnej głupoty, a raczej zachłanności – sprawili, że dziś mają znikomą kontrolę nad własnymi karierami. W założeniu układ powinien być prosty: skoro piłkarz zatrudnia menedżera, to piłkarz powinien mu płacić. Zazwyczaj chodzi o dziesięć procent zarobków. Wszystko się jednak z czasem wykoślawiło. Dzisiaj menedżerowie najczęściej biorą prowizje od klubów, a nie od piłkarzy.

Menedżer mówi do piłkarza: – Podpisz ze mną umowę, a ja od ciebie nie wezmę ani złotówki. Rozliczę się z klubem.

Brzmi to wspaniale – będę miał agenta i to w dodatku za darmo! Ale przecież nie ma nic za darmo. Jeśli pula pieniędzy przeznaczona na transfer wynosi przykładowo milion złotych, to zawodnikowi znacznie bardziej opłacałoby się wziąć milion i oddać dziesięć procent zarobków, niż wziąć 700 tysięcy i menedżerowi nie oddać nic (tyle że on od klubu weźmie pozostałe 300 tysięcy).

Wierzcie mi – to klasyczna sytuacja. Zawodnicy sądzą, że oszczędzają pieniądze, w rzeczywistości je tracąc. Gdyby jednak naprawdę płacili 10 procent zarobków – jak pan Bóg przykazał, a raczej jak w kontrakcie zapisano – mieliby gwarancję, że menedżer walczy o jak najwyższe ich zarobki, ściśle powiązane z własnymi. Teraz gwarancji nie mają, a jedynie nadzieję. Nigdy nie wiedzą, ile tak naprawdę wyciągnie na całej transakcji ich przedstawiciel i czy czasem nie wielokrotnie więcej, niż mu się należy. Mało tego – teraz nawet nie mają pewności, że menedżer przedstawia im najlepsze oferty. Bez trudu można sobie wyobrazić, że piłkarza chcą dwa kluby. Klub A gwarantuje mu

milion rocznie i pół miliona dla menedżera. Klub B – pół miliona rocznie i milion dla menedżera. Dacie sobie rękę uciąć, drodzy piłkarze, że menago przedstawi wam obie opcje, a nie tylko tę z klubu B?

A wszystko przez waszą zachłanność i krótkowzroczność. Wstręt przed płaceniem rachunków. Powinniście jednak zrozumieć: chcecie, by ktoś wykonywał uczciwie dla was pracę – to mu płąćcie. Bo jeśli mu zapłaci ktoś inny, to sami sobie odpowiedzcie, dla kogo ów jegomość rzeczywiście pracował.

Gówniane oszczędności kończą się tak, że czasami macie na koncie o jedno zero za mało.



**Dlaczego nie lubię Cezarego  
Kucharskiego?**



**B**yć może ciekawsza byłaby odpowiedź na pytanie, dlaczego nikt nie lubi Cezarego Kucharskiego, a przynajmniej dlaczego trudno taką osobę spotkać. Zanim jednak do tego dojdziemy, będzie wyłącznie o moim stosunku do niego.

Kucharski to obecnie wzięty menedżer piłkarski, w przeszłości leniwy poseł Platformy Obywatelskiej, a jeszcze wcześniej całkiem niezły, ambitny piłkarz. Pierwszą styczność mieliśmy blisko dwadzieścia lat temu, kiedy Legia sprzedała go do Sportingu Gijón. Spodziewałem się, że „Kucharz” może w Hiszpanii zaczepić się na dobre, ale niestety jego talent dość szybko został zweryfikowany negatywnie. Skończyło się na marnych dwunastu występach w Primera División i szybkim powrocie do Polski. Mówiąc krótko, liga hiszpańska wypłuła go jeszcze przez przeżuciem. Kojarzę, że zrobiłem z nim spory wywiad dla „Przeglądu Sportowego” po którymś z jego dwóch goli, które zdobył dla Sportingu. Kucharski zdawał mi się wówczas interesującym rozmówcą i pozytywnym facetem.

Sympatia, jaką odczuwałem wobec Kucharskiego, zakończyła się dość niespodziewanie, wiosną 1999 roku. Charakterystyczną cechą tego człowieka jest kłótniwość, więc oczywiście wtedy też musiał się z kimś pokłócić. Padło na Władysława Stachurskiego, dyrektora sportowego Legii, a w przeszłości znakomitego piłkarza i trenera, którego karierę zakończyły problemy kardiologiczne. Stachurski to był dość oschły mężczyzna, wymagający, żaden brat łata. Młodszy kibice mogliby raczej znaleźć cechy mu wspólne z Orestem Lenczykiem. Nie przesądzam, kto miał rację w starciu Stachurski – Kucharski, w każdym razie sprawy potoczyły się

tak, że dyrektor Legii chciał, aby zawodnik z własnej kieszeni oddał pieniądze za koszulkę, którą komuś ofiarował. Piłkarz się wściekł, poszedł do gabinetu Stachurskiego i cisnął meczowym trykotem prosto w swojego przełożonego. Między innymi z tego powodu został przesunięty do rezerw.

Jako młody dziennikarz odpowiadałem wtedy również za drugą drużynę Legii i pojawiałem się na wszystkich meczach. To zresztą było interesujące, bo w tamtym okresie przez ten zespół przewinęło się bardzo wielu zawodników, którzy z czasem nie tylko docierali do ekstraklasy, ale także do reprezentacji Polski (choćby bramkarze – Boruc i Kowalewski). Owo zesłanie miało pomóc Kucharskiemu odtajać, ale tylko zaostriżyło konflikt.

Pamiętam tę sytuację całkiem dobrze. To był jeszcze stary stadion przy Łazienkowskiej, na tyłach trybuny otwartej znajdowały się dwa połączone ze sobą budynki, sprawiające wrażenie tymczasowych, skonstruowane z kontenerów budowlanych, ale jednak wykorzystywane przez długie, długie lata. Patrząc od frontu, po lewej znajdowała się przychodnia lekarska, a później też w jednym pokoju redakcja tygodnika „Nasza Legia”. Po prawej – siedziba klubu oraz szatnie, umiejscowione trochę jakby w piwnicy. Z szatni wychodziło się schodkami na prawo, pod daszkiem z blachy falistej, i trafiało prosto na parking dla piłkarzy. Tam właśnie po meczu z Narwią Ostrołęka stało auto Kucharskiego (prawdopodobnie było to renault laguna, ale mogę się mylić). Piłkarza zatrzymałem wraz z reporterem „Radia dla Ciebie”. W zasadzie nie zdążyłem za bardzo dojść do głosu, bo po pierwszym pytaniu kolegi po fachu Kucharski niespodziewanie pękł, otworzył się, a całe przemówienie zakończył ze łzami w oczach. Oto zapis tamtej rozmowy:

*Co się stało tego feralnego dnia, podczas tego incydentu?*

*Nie chciałem oddać koszulki, którą zatrzymałem sobie po meczu z Widzewem. Chciałem ją podarować swojemu przyjacielowi. Dostałem pismo od działaczy, w którym pan Stachurski oświadczył mi, że zostanę ukarany karą regulaminową i dodatkowo zapłacę za cały komplet koszulek, gdyż pomimo nalegań kierownika drużyny i ludzi z magazynu tej koszulki nie zwróciłem. Wziąłem ją i poszedłem do pana Stachurskiego, rzuciłem ją na stół i powiedziałem „masz pan”. Pan Stachurski wybiegł za mną, zaczął mnie obrażać słownie. Ja spokojnie szedłem do szatni, po chwili też się zdenerwowałem i zaczęliśmy obrzucać się różnymi obraźliwymi słowami.*

*Wielka szkoda, ponieważ mecz z Widzewem pokazał, że wraca pan do wysokiej formy.*

*Tak, to prawda, że czułem się coraz lepiej. Najpierw działacze przeszkadzali mi w zimowych przygotowaniach i to spowodowało, że nie mogłem od początku być w wysokiej formie, przede wszystkim fizycznej, a to jest dla mnie podstawą. Gdy dochodziłem do formy, zdarzył się ten incydent. Panowie Pietruszka, Stachurski i Olędzki po prostu manipulowali faktami, przedstawili mnie jako... nie wiem kogo. Wydali wyrok, nie prosząc mnie o żadne wyjaśnienia. Dodatkowo pan Stachurski chciał wymusić od Szamotulskiego i Mosóra oświadczenia, w których mieli napisać, że ja go obrażałem. Gdy Piotrek powiedział, że napisze co innego, że to Stachurski mnie obrażał, dyrektor powiedział Mosórowi, aby nikomu nie mówił o tej sytuacji. To najlepiej świadczy o tym, że chcieli osłabić drużynę, bo trener Białas nie wchodzi z nimi w żadne układy. Tu się odbywa prywatnie tych ludzi, którzy wymuszają haracze od zawodników, proponując im wysokie kontrakty w zamian za jakieś kilkuprocentowe wynagrodzenia [wiele lat później hukasz Mazur, prezes Górnika, opowiadał mi, że tego rodzaju układ – wysoki kontrakt w zamian za procent – zaproponował mu Paweł Strąk – przyp. Stan].*

*Zastraszają drużynę, co chwilę wywlekają jakieś afery, że sprzedaliśmy jakiś mecz, dają nam jakieś kary. To jest tragedia, co ci panowie wyprawiają.*

*Ale to nie służy klubowi. Chyba rywalom?*

*Zbliża się sezon transferowy, drużynie nie idzie, więc trzeba wymienić kilku zawodników. Przy tych transferach są jakieś podwójne umowy, jakieś łapówki. Na tym opiera się polska piłka i metody pracy tych ludzi.*

*Pewną pociechą może być dla pana to, że trener Białas uważa, iż kara jest zdecydowanie za wysoka.*

*Trener tak uważa, ale niestety nic nie może zrobić. Ci ludzie są takimi intrygantami, że spowodowali, iż nawet nasi koreańscy decydenci zawierzili im czy – nie wiem – boją się cokolwiek zrobić. Ci intrygantcy nie mają na myśli dobra klubu – Legii Warszawa. Oni mają na myśli dobro swoje, swoją kieszeń, swoje zyski. To nie służy na pewno rozwojowi Legii. W tym klubie jest tak, że jedni ciągną wózek w jedną stronę, a drudzy w drugą. Wszyscy o tym doskonale wiedzą, jest to tajemnica poliszynela, tylko nikt z klubu nie odważy się mówić tego głośno.*

W tym momencie rozmowa się urwała, Kucharski rozkleił się kompletnie, wsiadł do samochodu i odjechał. A ja zostałem na parkingu z rozdziawioną gębą. Materiał – bomba! Wielu dziennikarzy marzy, by raz w życiu coś podobnego napisać, a ja – nastolatek z meszkiem pod nosem – właśnie nagrałem rozmowę, która powinna zatrzęsnać opinią publiczną. Nie ukrywam, że odczuwałem spory niepokój. Miałem świadomość, jak mocny to materiał i waga słów wypowiedzianych przez zdegradowanego do rezerw piłkarza trochę mnie przytłaczała.

Dojechałem do redakcji „Przeglądu Sportowego”, która mieściła się wtedy przy ulicy Nowogrodzkiej – dokładnie tam, skąd teraz Polską zarządza Prawo i Sprawiedliwość. Oszołomiony usiadłem na krześle i zastanawiałem się, co zrobić z hitowym materiałem. Przeszła mi przez głowę myśl, aby... skasować go, w celu ochrony piłkarza (swoją drogą – tak właśnie zrobił reporter radia, w ogóle nie wyemitował tych mocnych zdań). Ale na szczęście szybko się jej pozbyłem. O wywiadzie poinformowałem Macieja Polkowskiego, szefa działu piłki nożnej, a w przeszłości redaktora naczelnego. Powiedziałem mu jednak, że chcę rozmowę z Kucharskim jeszcze autoryzować.

Po dwóch czy trzech godzinach wykręciłem numer i przeczytałem zapis rozmowy Cezaremu Kucharskiemu.

– Czy na pewno mogę to puścić? – spytałem się dla upewnienia.

– Tak, puszczaj – odparł.

– Ale wiesz, że możesz mieć z tego powodu kłopoty?

– Wiem, ale ktoś to musiał wreszcie powiedzieć – stwierdził.

Ten telefon był z dziennikarskiego punktu widzenia olbrzymim błędem. Miałem przecież nagrany rozmowę, a piłkarz nie zażądał autoryzacji. Dzwoniąc do niego, ryzykowałem, że odwoła wszystko, co powiedział, wykreśli się żartem albo po prostu zacznie błagać, by wywiadu nie drukować i postawi mnie w niezręcznej sytuacji.

Wszystko potoczyło się jednak w wymarzonym kierunku – Kucharski zapoznał się z treścią rozmowy i raz jeszcze dał przyzwolenie, by zamieścić ją bez jakichkolwiek zmian w gazecie. Tak też się stało.

Była to ostatnia rozmowa, jaką w życiu przeprowadziłem z tym piłkarzem, a później posłem i menedżerem. Na więcej zdecydowanie nie miałem ochoty. Otóż gdy spadły na niego oczywiste konsekwencje, w akcie rozpaczony postanowił zrzucić



całą odpowiedzialność na mnie. Wystosował oświadczenie, w którym wyparł się najostrzejszych fragmentów oraz dodał, że wywiad nie był autoryzowany, a nawet został zamieszczony bez jego wiedzy. Dwa ostatnie punkty były idiotyczne – nawet gdyby wywiad nie był autoryzowany (a był) i nawet gdyby został zamieszczony bez jego wiedzy (piłkarz taką wiedzę miał), to jakie miałyby to mieć znaczenie? Liczyło się tylko to, co Kucharski powiedział.

Ale zarzut numer jeden – że nie powiedział tego, co napisałem... Oj, to już zabolalo. Potrafię sobie wyobrazić sytuację, w której zgubiłbym kasetę z wywiadem albo nagrałbym już na nią kolejny wywiad (to nie były czasy dyktafonów cyfrowych). Generalnie – nie dysponowałbym mocnym dowodem w tej sprawie. Gwiazdor polskiego futbolu mógłby w tym momencie skończyć karierę młodego dziennikarza, publicznie zrobić z niego kłamcę, wystawić na odstrzał kibicom. Przez pewien czas musiałem nawet chodzić z kopią wywiadu i puszczać niektóre fragmenty osobom, które początkowo dały wiarę Kucharskiemu, a nie mnie. Bo kibice już tak mają, że idealizują piłkarzy i wierzą im na słowo znacznie częściej niż innym ludziom.

Wściekły był na przykład Wiktor Bołba, jeden z ważniejszych kibiców Legii, dzisiaj pracownik klubu (odpowiedzialny za muzeum). Uważał, że podkreśliłem wywiad dla własnego interesu i zaszkodziłem drużynie. Dopiero gdy odtworzyłem mu nagranie, zmienił zdanie o 180 stopni. Takich osób było znacznie więcej. Całe szczęście, że dysponowałem kasetą, a nie notatkami, bo nie tylko moja dziennikarska kariera mogła się zakończyć, zanim się zaczęła, ale także wizyty na stadionie Legii mogły okazać się ryzykowne.

Tak, to był dzień, w którym nieodwracalnie straciłem cały szacunek dla Cezarego Kucharskiego. W konflikcie z działaczami stałem po jego stronie, podskórnie przeczuwałem, że w

gabinetach Legii nie dzieją się rzeczy dobre, a awantura o koszulkę wydawała mi się czymś skrajnie głupim. Nos mi podpowiadał, że z haraczami, podwójnymi umowami i całym tym syfem, o którym wspomniał w wywiadzie, mógł mieć rację. Ale być może działał po prostu mechanizm, o którym wspomniałem w poprzednim akapicie – idealizowania piłkarzy. Sam byłem jeszcze wtedy kibicem i słowa wypowiedane przez zawodników często wydawały mi się krynicą mądrości. Dopiero później dotarło do mnie, że wielu z nich to imbecyle, a jeszcze inni – oszuści.

O!

W tym momencie zmienię na moment temat, bo przypomniał mi się taki jeden gagatek. Jakoś mniej więcej w tamtym okresie albo troszeczkę później trafił do Legii Maciej Wojtaś. Nigdy nie okazał się na tyle dobry, by zaistnieć w pierwszej drużynie, chociaż wiele sobie po nim obiecywano. Być może... nie nadażył intelektualnie.

Siedzieliśmy któregoś słonecznego dnia na pustych trybunach. Pierwszy wywiad Wojtasia w życiu. Wyciągnąłem dyktafon, on aż podskoczył.

– A co to?

– Dyktafon.

– Aha...

Już mamy zaczynać, ale on – wyraźnie zaniepokojony – uderza ponownie.

– A do czego to służy?

– Do nagrywania.

– Aha...

Znowu chwila ciszy.

– I mnie nagrasz, tak?

– Tak.

– Aha...

Czułem się już lekko zakłopotany i wiedziałem, że nie będzie to najciekawsza rozmowa, jaką w życiu przeprowadziłem. Wojtas natomiast sprawiał wrażenie przerażonego.

– A jak już mnie nagrasz, to co dalej?

– Spiszę to, co powiedziałeś.

Spodziewałem się kolejnego pustego „aha...”, ale tym razem zawodnik cały się aż rozpromienił i z uśmiechem na twarzy podsumował: – Sprytne!

No, sprytne. Tacy „spryciarze” też się trafiali. Niewątpliwie Kucharski był inny. Wprawdzie się jąkał, ale zazwyczaj mówił z sensem. Wiadomo było, kiedy zaczyna zdanie, a kiedy trzeba wstawić kropkę. Wysoka, ligowa półka. Skutkiem słynnego wywiadu było to, że musiał odejść z Legii. Marek Pietruszka, prezes klubu, przysłał do redakcji „PS” faks z komunikatem:

*Dnia 20.04.1999 miał miejsce incydent, podczas którego zawodnik klubu Cezary Kucharski obraził czynnie Dyrektora Sportowego pana Władysława Stachurskiego. Wszelkie próby nawiązania kontaktu z Cezarym Kucharskim celem wyjaśnienia sprawy i poinformowania go o grożących konsekwencjach spotkały się z lekceważącą odmową ze strony zawodnika.*

*Wobec powyższej sytuacji w dniu 24.04.1999 Zarząd Spółki podjął decyzję o dyscyplinarnym ukaraniu zawodnika:*

*– odsunięciem od kadry pierwszego zespołu na okres 2 tygodni z jednoczesnym przesunięciem do czwartoligowe go zespołu Legii Daewoo i nakazem podjęcia gry i treningów w tym zespole,*

*– kary finansowej,*

*– zobligowania zawodnika do przeproszenia dyrektora Władysława Stachurskiego w obecności świadków zajścia z dn. 20.04.1999.*

*Jednocześnie zawodnik został poinformowany, że w przypadku komentowania, kwestionowania, manifestowania niezadowolenia z nałożonej kary podczas jej trwania, Zarząd Spółki będzie miał prawo do rozwiązania kontraktu zawodnika. Zawodnik Cezary Kucharski przeprosił działacza na piśmie bez obecności świadków zajścia. Jednak jego wypowiedzi udzielane mediom godziły w dobre imię klubu oraz jego pracowników.*

*W świetle oświadczeń zawodnika Cezarego Kucharskiego udzielonych w prasie, radio i telewizji w dniach 23/24/25.04.1999 Zarząd Spółki postanowił w dniu dzisiejszym rozwiązać umowę kontraktową z zawodnikiem Cezarym Kucharskim.*

I to jest właśnie Cezary Kucharski w pełnej krasie! Kozak za pięć złotych. Pokłócić się o bzdurę – oczywiście. A że jeszcze bzdura polegała na tym, że miałby zapłacić za koszulkę – tym bardziej, to znany centuś. Pożreć się twarzą w twarz, a potem potulnie przeprosić na piśmie dyrektora – jasne. Jednocześnie w kolejnym piśmie zrzucić z siebie odpowiedzialność i insynuować nieuczciwość dziennikarza – stały numer.

Kucharski po prostu zorientował się, jak dużo nagadał i co mu może grozić. Wpadł w panikę i zaczął wykonywać rozpaczliwe ruchy topielca. Nawet jestem w stanie to zrozumieć, najłatwiej było wydobyć się na powierzchnię, pociągnąć na dno mnie. Jednak już nigdy nie byłem w stanie spojrzeć na tego człowieka jak na kogoś, kto ma zasady i kręgosłup moralny. Było to tym bardziej rozczarowujące, że wcześniej ten właśnie zawodnik jawił się jako prawdziwy charakterniak, ktoś, kto na boisku nie odstawia nogi, a poza nim walczy o swoje równie zajadle. Wtedy przekonałem się, że to tylko poza i że w praktyce nie jest to osoba godna zaufania, lecz krzykacz niegodny uwagi.

Ale heca była nie z tej ziemi, przez kolejne dni temat dalej mielono. Tak w rozmowie z „PS” wypowiedział się Janusz

Ołędzki, prominentny działacz Legii, który raczej nie darzył mnie sympatią i który przez dziesięć lat opowiadał o tym, że odkrył Wojciecha Kowalczyka w Poloniezie Warszawa...

*Kucharski powiedział wprost, że pobieracie panowie haracze od piłkarzy. Może pan powiedzieć, którzy zawodnicy muszą się z panem dzielić pieniędzmi?*

*Czy pan jest przy zdrowych zmysłach? Podobnie postawione pytanie ubliża mi, jest zdecydowanie poniżej jakiegokolwiek poziomu. Proszę zapytać któregoś z pozostałych piłkarzy Legii, czy potwierdza te brednie. Rozmawiałem w poniedziałek z zawodnikami i wiem, że większość jest oburzona insynuacjami Kucharskiego.*

*Przygoda napastnika Legii wypożyczonego ze Spor tingu Gijón dobiegła końca. Czy ma pan młodych kandydatów, którzy za dwa, trzy lata będą w stanie osiągnąć poziom „Kucharza“?*

*Moim zdaniem podobny poziom sportowy prezentuje obecnie kilkunastu napastników z III ligi. A ja od dłuższego czasu obserwuję graczy pierwszej linii, których potencjał jest znacznie wyższy. I właśnie na takich zawodników będziemy stawiać – ambitnych, utalentowanych, którym nie brakuje elementarnych zasad kultury.*

\* \* \*

Kiedy piszę coś o Cezarym Kucharskim, wiele osób zarzuca mi brak obiektywizmu. Być może mają rację – ja go szczerze nie lubię, a on nie lubi mnie. Od 1999 roku moja niechęć wobec niego jeszcze bardziej się nasiliła.

Uważam, że to niezwykle negatywny człowiek, dekonstruktor. Posługuje się sianiem zamętu, podjudzaniem,

jątrzeniem, napuszczaniem jednych na drugich. Mściwy, zajadły, zakompleksiony. Jednocześnie nie aż tak inteligentny, jak sam o sobie sądzi. Trochę chłopek-roztropek, który myli inteligencję z cwaniactwem. Być może dlatego tak świetnie wpasował się w Platformę Obywatelską i poległ wraz z nią. Cwaniakiem jest na sto procent i mógłby się z cwaniactwa doktoryzować.

Na pewno cenię go za niezłomność, a skąpstwo, z którym jest w środowisku kojarzony, pozwoliło mu osiągnąć rzadką dla piłkarzy stabilizację finansową. Po zakończeniu kariery dysponował siedemnastoma mieszkaniami na wynajem, czyli zabezpieczył się w znakomity sposób. Nie zmienia to jednak faktu, że często słyhać opinie, iż na punkcie pieniędzy ma obsesję. – Nie spotkałem nigdy takiego człowieka. Jest majątny, na wszystko go stać. Ale jak zobaczy pięć złotych, to przestawia mu się jakaś klapka w mózgu. Nie można z nim opracować jakiegoś długofalowego planu, z którego wszyscy skorzystają. Jak on zobaczy pięć złotych, to po prostu wyłącza myślenie. To nieprawdopodobne. Byle tylko dostać tego piątaka natychmiast – powiedział mi kiedyś Bogusław Leśno dorski, prezes i współwłaściciel Legii Warszawa. Obecnie chyba obaj są na wojennej ścieżce na skutek transferu Michała Żyro do Wolverhampton. Leśnodorski podejrzewa, że – łagodnie mówiąc – nie wszystko przebiegło zgodnie z przepisami.

To znamienne, że naprawdę trudno jest znaleźć w środowisku osobę, która miała styczność z Kucharskim trochę dłużej i... go lubi. Spośród piłkarzy, którzy z nim grali w jednym zespole, kojarzę zaledwie dwóch, którzy w rozmowach prywatnych wypowiadają się o nim ciepło. Nie wykluczam, że pozostali są po prostu dwulicowi i kiedy rozmawiają z nim, to obgadują mnie, a kiedy ze mną – to jego. Ale nie sądzę, bo naprawdę trudno znaleźć w środowisku postać z równie małym kręgiem przyjaciół. Jako menedżer pokłócił się na dzień dobry z

Lechem Poznań, z Cracovią, później z Legią, jest w stanie permanentnej wojny z prezesem PZPN Zbigniewem Bońkiem, oczywiście nie lubi się ze wszystkimi innymi menedżerami, chociaż akurat menedżerowie często przy różnych dealach ze sobą współpracują (jeden ma umowę z piłkarzem, drugi kontakty w odpowiednim klubie). Z jednym ze swoich konkurentów – Jarosławem Kołakowskim – przegrał proces o dużą sumę. Było tak: Kołakowski załatwił piłkarzowi Kucharskiemu kontrakt w Iraklisie Saloniki, Iraklis zapłacił „Kucharzowi” dopiero po latach, ale on z kolei nie kwapił się z wypłaceniem prowizji agentowi. Można być pewnym, że sam Kucharski nie odpuściłby zawodnikowi, który nie rozliczyłby się z nim jako menedżerem. Sam jednak unikał płacenia jak ognia i Kołakowski musiał iść do sądu.

Dzisiaj Kucharski jest znany właśnie jako menedżer, de facto przedstawia się go jako osobę, która stworzyła Roberta Lewandowskiego. Jest to piramidalna bzdura, bo moim zdaniem było zupełnie odwrotnie – to Robert Lewandowski stworzył Cezarego Kucharskiego jako menedżera. Przyjaźni „Kucharzowi” dziennikarze (o których będzie dalej) lubią opowiadać bzdury, jak to swoimi decyzjami modelowo poprowadził najlepszego polskiego piłkarza XXI wieku. To piękna bajeczka. Tymczasem gdybyśmy przeanalizowali kolejne posunięcia, to...

## 1.

Lewandowski wybija się w Zniczu Pruszków. Ma oferty ze wszystkich polskich klubów. W Legii już jednak był i tam kopnięto go w tyłek, więc naturalnie ta opcja odpada. Numerem dwa jest Lech Poznań, który dysponuje dużymi pieniędzmi i który dynamicznie się rozwija. Każdy menedżer – nawet niepiśmienny – wybrałby właśnie Kolejorza, zamiast

pograżającej się w wegetacji Wisły Kraków czy np. Zagłębia Lubin.

Lech był na Lewandowskiego totalnie nakręcony. Andrzej Czyżniewski, odpowiedzialny za tworzenie scoutingu w tym klubie, upierał się, że trzeba za wszelką cenę wyrwać go z Pruszkowa. Sceptyczny był tylko trener Franciszek Smuda, który po pierwszej obserwacji „Lewego” miał zadzwonić do Czyżniewskiego i – jak opowiadał mi sam Czyżniewski – krzyknąć: – Musisz oddać mi za benzynę, że kazałeś mi takie drewno oglądać!

Później w klubie doszło do głosowania. Smuda upierał się, żeby zakontraktować leciwego Tomasza Frankowskiego, a Czyżniewski i inni scouci – aby brać młodziutkiego Lewandowskiego. Właściciel klubu Jacek Rutkowski przychylił się do ich opinii.

Kucharski po prostu pośredniczył przy prostej transakcji, w której obie strony chcą się związać kontraktem. Oczywiście, jak to z „Kucharzem” bywa, wszystko skończyło się awanturą, publicznym praniem brudów i sprawą w sądzie.

Co ciekawe, hiszpańskie media twierdzą, że w tamtym czasie menedżer z Łukowa proponował Lewandowskiego co najmniej dwóm klubom – Sportingowi Gijón oraz Realowi Saragossa. Jak twierdził dziennikarz radia Cadena Ser: „Z powodu kiepskich relacji Kucharskiego z klubem albo po prostu braku zainteresowania, dyrektor generalny Alfredo García Amado nie dał Kucharskiemu odpowiedzi. Ponadto Sporting chciał wtedy ściągać piłkarzy bezkosztowo. Tego samego lata możliwość ściągnięcia Lewandowskiego odrzucił Real Saragossa”.

Często w takich wypadkach dorabia się teorię do faktów. Wyobraźmy sobie, że Kucharskiemu udałooby się wytransferować Lewandowskiego ze Znicza do Sportingu Gijón, a później „Lewy” zrobiłby karierę mniej więcej taką, jaką zrobił



w Niemczech. Wówczas by się mówiło, że najlepiej, jeśli piłkarz jak najszybciej wyjedzie z Polski i trafi pod opiekę zagranicznych fachowców. I w ogóle wielkie brawa dla Kucharskiego, że szybko wywiózł zdolnego chłopaka z kraju. Skoro jednak zawodnik przeniósł się „tylko” do Poznania, włączono PR-ową opcję numer dwa: najlepiej, jeśli piłkarz jak najszybciej trafi do mocnego klubu w Polsce, otrzaska się, nabierze doświadczenia i dopiero ruszy w świat. Oby tylko nie wyjeżdżał za wcześnie!

W rzeczywistości jednej dobrej drogi nie ma, a o takim czy innym transferze często decyduje przypadek. Nigdy też nie zweryfikujemy, czy jakikolwiek piłkarz zrobiłby większą lub mniejszą karierę, gdyby w odpowiednim czasie wyjechał z Polski, zamiast w niej zostać – lub został zamiast wyjechać. Po prostu nie da się cofnąć czasu i kazać Lewandowskiemu podążać inną drogą, dla sprawdzenia, która będzie lepsza i czy ewentualnie obie – dzięki talentowi zawodnika – nie kończą się tak samo: na samym szczycie.

## 2.

Jako młody król strzelców polskiej ekstraklasy Lewandowski wzbudzał wielkie zainteresowanie na rynku. Do dzisiaj angielskie media piszą o transferze, który nie doszedł do skutku z przyczyn niezwykle niecodziennych. Roberta chciało ściągnąć Blackburn Rovers, a piłkarz miał polecieć do Anglii obejrzeć klub z bliska. Ostatecznie jednak został w Polsce, ponieważ podróż na Wyspy okazała się niemożliwa: na Islandii wybuchł wulkan i sparaliżował ruch lotniczy w Europie.

Teraz, drogi czytelniku, wyobraź sobie, że jesteś menedżerem króla strzelców polskiej ekstraklasy. Codziennie odbierasz telefony. Chcą go kluby z Ukrainy, z Turcji, chcą go Włosi z Genui, Anglicy z jakichś klubów typu Blackburn Rovers, no i do tego Borussia Dortmund. OK, ktoś mógłby uznać, że we

Włoszech albo w Anglii będzie całkiem w porządku, ale Borussia – klub z pięknym stadionem i jedną z najwyższych frekwencji w Europie, stabilny, w dodatku z trenerem, który lubi Polaków i który dwóch Polaków już w zespole ma (Błaszczykowski, Piszczek), to jednak opcja idealna. Nie wiem, na czym miałyby polegać to wzorcowe prowadzenie kariery. Że Kucharski nie wybrał Szachtara Donieck zamiast Borussii? Pokażcie mi menedżera, który by to zrobił. Ja takiego nie znam.

### 3.

I wreszcie transfer z Borussii Dortmund (z którą Kucharski też się oczywiście pokłócił) – dziwny, pełny niedomówień i plotek o tym, że w rzeczywistości otoczenie Lewandowskiego zobowiązało się dopiąć transakcję z Bayernem, zanim to w ogóle było wedle przepisów możliwe. Nie brakuje osób, które twierdzą, że to właśnie z tego powodu – podpisanej promesy, z której nie szło się wypłacać – reprezentant Polski nie trafił na przykład do Realu Madryt. Oczywiście nie twierdzę, że w Realu byłoby mu lepiej niż w Monachium, chociaż zapewne w hierarchii światowego futbolu byłby szczebelek wyżej i możliwe, że zarabiałby jeszcze więcej. Nie mam też żadnego dowodu, że taka promesa istniała – nikt jej przecież nigdy nie opublikuje – natomiast logika zdarzeń na to właśnie by wskazywała.

W efekcie – jeśli promesa faktycznie istniała – cztery bramki zdobyte przez Lewandowskiego w meczu Borussii z Realem w półfinale Ligi Mistrzów nie zostały wykorzystane jako karta przetargowa, ponieważ gdy polski snajper trafił do siatki, jego przyszłość była już znana. A taką kartą można byłoby ugrać wiele. Ktoś się jednak pospieszył?

Gdybym miał jednak cały ten temat podsumować, to napisałbym tak: Cezary Kucharski na pewno nie zrobił Lewandowskiemu krzywdy jako menedżer, nie oszukał go, ale też nie zrobił niczego, co miałoby wzbudzić mój zachwyt. Nie widzę tu żadnego modelowego prowadzenia kariery, tylko dość oczywiste posunięcia. Mogę nawet postawić tezę, że gdyby menedżerem Lewandowskiego był Pies Pluto, piłkarz zaszedłby dokładnie w to samo miejsce.

Aby przekonać mnie, że Kucharski to konstruktor karier, musielibyście pokazać mi pewną prawidłowość. Udowodnić, że nie mówimy o jednorazowym wystrzale, lecz o trendzie. Że Kucharski to ktoś, kto ma jasno sprecyzowane poglądy i kto z wielką starannością przygotowuje każdy kolejny ruch swoich piłkarzy. Tymczasem poza Lewandowskim nie widzę żadnej naprawdę dobrze poprowadzonej kariery. Za to widzę kilka zmarnowanych – jak choćby Rafała Wolskiego, dwa razy z rzędu umieszczanego w klubach, które nie były dla niego wskazane, i w efekcie marnującego najlepsze lata życia. Słyszę, że modelowo poprowadzony Lewandowski musiał okrzepnąć w polskiej lidze, zdobyć tu mistrzostwo i stać się wielką gwiazdą, a po chwili ten sam Kucharski z pomocą tych samych dziennikarzy przekonuje, że młodziutki Bartosz Kapustka powinien wyjechać jak najszybciej, najlepiej jutro, ponieważ przechodząc do większego polskiego klubu lub zostając w Cracovii, tylko zmarnuje czas. Gdzie konsekwencja?

O ile Lewandowski po prostu zaszedł tam, gdzie zaszedł, bo jest dobry i żaden menedżer by tego nie spieprzył, o tyle inaczej rzecz ma się w drugą stronę – sam Kucharski na współpracy z Lewandowskim niezwykle zyskał, nie tylko finansowo (tu szczegółów nie znamy, bo na koniec poselskiej kadencji wbrew przepisom nie złożył zeznania majątkowego). W zasadzie nakręciła mu ona biznes na całe kolejne lata. Stał się rozpoznawalny w branży menedżerskiej, cytowany w mediach,

zapraszany do telewizji. Nagle miał coś do zaoferowania innym piłkarzom: – Podpisz ze mną kontrakt, jestem przecież menedżerem Lewandowskiego. Zobacz, gdzie zaszedł!

– On, jak jedzie podpisać umowę z młodym graczem, to zawsze mówi rodzicom: – Chcecie, by wasz syn był jak Lewandowski? Niesamowite. Non stop to samo! – opowiadał mi niedawno działacz jednego z klubów. Problem w tym, że... Lewandowski jest jeden. A Kucharski, jak to Kucharski, z kolejnymi osobami popada w konflikt i w efekcie rzadko kiedy piłkarze trzymają się go przez długie lata. Zbajerować kogoś na dzień dobry jest łatwo, ale utrzymać przy sobie ciągłą dobrą pracą i dobrymi pomysłami – już trudniej.

– Bajer na Lewandowskiego? Jest jeszcze drugi bajer. Bajer na Legię – denerwował się swego czasu Bogusław Leśnodorski. – Rodzicom Krystiana Bielika powiedział, żeby syn podpisał z nim umowę, bo on reprezentuje Legię i dopnie transfer. A potem nam powiedział, że reprezentuje Bielika. Podobnie było z Kapustką, chłopak połknął ten sam haczyk – mówił.

Ot, cwaniactwo, na pewno w tej akurat branży potrzebne. Problem w tym, że menedżer to jednak musi być człowiek, który z łatwością otwiera wszystkie drzwi, godzi zwaśnione strony, wymyśla projekty, a potem przekonuje innych do realizacji. Jednoczy. Kucharski lubi się zreć z całym światem i zamiast drzwi otwierać, często je zatrzaskuje na amen.

Znamienna jest historia o jego początkach. Pierwszą albo jedną z pierwszych transakcji, jakie przeprowadził, było umieszczenie Marcina Kowalczyka w Dinamie Moskwa.

– Marcin Kowalczyk to był mój piłkarz, mieliśmy podpisaną umowę – zaczyna opowiadać Mariusz Piekarski, menedżer. – Tomek Strejlau nagrał płytę Marcina i za pośrednictwem litewskiego agenta przekazał ją trenerowi Dinama. Płyta była naprawdę efektowna. Później doszło do sparingu GKS-u Bełchatów z Dinamem, w trakcie którego

Rosjanie zdecydowali, że Marcina biorą. Problem w tym, że Tomek Strelau wyjechał do Turcji, nie było z nim żadnego kontaktu. A wieści już się rozeszły i rozdzwoniły się telefony. Między innymi Robert Kiłdanowicz i Czarek Kucharski twierdzili, że znają w Rosji odpowiednich ludzi i mogą pomóc przy transferze. Pomyślałem, że wybiorę do pomocy Czarka, bo graliśmy razem w Legii, no i on dopiero zaczynał w menedżerze. Uznałem, że to będzie z mojej strony miły gest – bo gdybym się uparł, to sprawę załatwiłbym sam – i że jak ułatwię mu wejście do zawodu, to później będziemy mogli współpracować przy innych dealach. Ale z dnia na dzień robiło się coraz dziwniej. Najpierw powiedział, że poleci do Rosji sam, bo tak to będzie lepiej wyglądało. OK, poszedłem na to. Później zaczął Marcinowi delikatnie sugerować, że tak naprawdę powinien rozstać się ze mną i podpisać umowę z nim, co już uznałem za świństwo. Następnie jakieś telefony, w trakcie których mnie wypuszczał w sprawach finansowych, dając mnie na głośnik, żeby Marcin się przysłuchiwał. Była to pierwsza i ostatnia transakcja, w czasie której mieliśmy ze sobą cokolwiek wspólnego.

Zdziwieni? Ja w ogóle. Jak to kiedyś napisał śp. Janusz Atlas w jednym z felietonów: „Kucharski podobno jest z Lukowa. Ale to chyba nie z samego”.

\* \* \*

Niezmiernie mnie śmieszy obsesja, jaką Kucharski ma na moim punkcie. Gdybym ja był nim – menedżerem jednego z najlepszych napastników w Europie, bardzo majątnym i tu i ówdzie poważanym – to zdecydowanie nie zawracałbym sobie głowy jakimkolwiek pismakiem. Tymczasem on przynajmniej raz w miesiącu musi wysmażyć coś o Stanowskim, w przeciwnym razie byłby chory.

Jednak już nie obsesję, ale prawdziwego pierdolca ma na punkcie Zbigniewa Bońka. Jest wręcz chory z nienawiści i moim zdaniem kwalifikuje się co najmniej do konsultacji medycznych w tym zakresie. Zaczęło się od błahostki. „Kucharz” opowiadał w mediach, że Rafał Wolski może trafić do Romy. A tak się składa, że Boniek w Romie zna każdego. Zadzwoił do dyrektora sportowego, ten mu powiedział, że absolutnie temat Wolskiego nie istnieje, co „Zibi” upublicznił i dodał: – To chyba tylko jakaś gierka jego menedżera.

Cezary K. obraził się na amen.

Chłodne relacje obu panów nie są jakąkolwiek tajemnicą, przy czym jednak scenariusz zawsze jest ten sam: Kucharski próbuje gryźć w kostkę, a Boniek odtrąca go niczym upierdliwego ratlerka. Sądzę, że gdyby nie osoba „Zibiego”, szanowny pan Cezary nigdy nie wpadłby na pomysł startowania w wyborach na prezesa PZPN. Ponieważ jednak jest owładnięty myślą, jak dokuczyć Bońkowi, taka idea przeszła mu przez głowę. Mam nadzieję, że faktycznie wkrótce wystartuje, bo to będzie bardzo wesołe przedstawienie – moim zdaniem Kucharski ma szansę na rekordowo mało głosów, może nawet trafi do Księgi Guinnessa. Pewnie poprze go mniej osób niż Romana Koseckiego, którym sterował z tylnego siedzenia.

Z rozbawieniem obserwuję zawierane sojusze i koalicje. W myśl zasady „wróg mojego wroga jest moim przyjacielem” Kucharski jest w stanie ułożyć się z każdym dziennikarzem, który nie lubi Bońka. Niezmiernie śmieszy mnie zwłaszcza jego współpraca z redaktorem Jackiem Kmiecikiem. Śmieszy mnie dlatego, że pamiętam jedną scenkę ze wspólnej pracy z Kmiecikiem w „Przeglądzie Sportowym”.

A było tak... Marcin Harasimowicz polecił do Grecji, gdzie spotkał się z wieloma zawodnikami, ale akurat Kucharski nie chciał zgodzić się na wywiad. Harasimowicz nie dawał za wygraną, chodził, prosił i błagał, a po trzech dniach „Kucharz” w

końcu przystał na rozmowę. Wieczorem oglądamy przygotowane do druku strony. Najednej z nich właśnie korespondencja z Salonik, a obok komentarz Jacka Kmiecika. Mniej więcej taki: „Trzy dni Cezary Kucharski łąził za naszym dziennikarzem i błagał go o wywiad. Zamieszczamy, chociaż i tak wiadomo, że ten piłkarz – jak ma w zwyczaju – wyprze się wszystkiego, co powiedział”.

Z Grecji zadzwonił spanikowany Marcin: – Jacek, co ty tam napisałeś? Przecież to nie on za mną chodził trzy dni, tylko ja za nim!

– A widzisz, co tam jest napisane?

– No widzę właśnie, kłamstwo.

– Nie, osiem linijek niżej.

– No... Jacek Kmiecik.

– No właśnie, to ja jestem podpisany pod tekstem. To mój tekst, a nie twój. Więc spierdalaj!

Łagodnie mówiąc, Kmiecik za Kucharskim nie przepadał, ale po latach połączyło ich wspólne uczucie wobec Bońka i Jacek stał się pistoletem, z którego zza zasłony strzelał CK. Zgaduję, że sojusz zawarto w kancelarii mecenas Broniszewskiego, z którym niezależnie od siebie obaj mieli dobre kontakty. To właśnie tam umiejscawiam centrum zarządzania antybońkowego podczas wyborów na szefa PZPN w 2012 roku. To tam wymyślano nieskuteczne próby zablokowania kandydatury „Zibiego”.

Kiedy dokładnie zna się powiązania – kto z kim i dlaczego – obserwowanie naszego środowiska piłkarskiego jest bardzo zabawne. Kucharski w zakulisowych gierkach jest niezły, więc cynicznie przyciąga wszystkich tych, których później będzie mógł wykorzystać do walki z prezesem związku. Jednemu da newsa, innemu zorganizuje wywiad z Lewandowskim albo w ogóle całą grupę zaprosi do Monachium. Odbierze telefon, wypowie się, skomentuje tekst. Ale często też coś szepnie do

ucha – że Boniek zły i że trzeba go obalić. Te wszystkie Tuzimki, Kołodziejczyki czekają w pogotowiu.

Cała ta frakcja jest dość komiczna, bo całkowicie – no, poza Tuzimkiem (o nim będzie dalej) – wyzbyta talentu, więc te ich partyzanckie ataki nie tylko są nieskuteczne, ale w dodatku zwyczajnie nudne. Jednak czego się spodziewać po frakcji, w której za sznurki pociąga tak prosty chłop? Ciekawe tylko, czy Lewandowski zdaje sobie sprawę, że niechcący jest narzędziem w zupełnie niedorzecznej wojence.





**Dlaczego uważam Kazimierza Grenia za wariata?**



**W** poprzednim rozdziale napisałem o różnych zgniłych koalicjach zawiązywanych w celu doprowadzenia do przewrotu w PZPN. Jak bardzo są zgniłe, niech świadczy fakt, że zazwyczaj zapraszany jest do nich Kazimierz Greń – spełniający rolę spuszczonego ze smyczy agresywnego pitbulla.

Greń stał się jednym z najbardziej rozpoznawalnych działaczy PZPN. Zapracował na to głównie aktywnością w mediach, a nie działalnością piłkarską. Przez długi czas na jego barwne wywiady dawali się nabierać dziennikarze, sądząc, że naprawdę Greń posiadał jakąś tajemną wiedzę, którą w odpowiednim momencie ujawni i doprowadzi do futbolowej rewolucji. Lata mijają, a niczego nie ujawnił i teraz tkwią przy nim tylko dziennikarscy desperaci. O tym, że nie jest to człowiek słowny, najlepiej świadczy fakt, że... żyje. Wszak swego czasu publicznie zapowiedział samobójstwo. No przepraszam, wiem, że to niesmaczne. Ale taka prawda.

Tytułowe pytanie nie jest do końca precyzyjne, ponieważ nie tyle ja mam podejrzenia, że z Kazimierzem Greniem nie wszystko jest w porządku, ile całkiem sporo osób uważa, że Greniów jest dwóch – jeden dość spokojny, szukający pojednania, próbujący po prostu zaistnieć w sporcie, a drugi szalony, impulsywny, oskarżycielski, skrajnie kłótlivy, niewytrzymujący ciśnienia i przynoszący sobie wstyd przy byle okazji.

Dla zobrazowania, o czym mówię, przytoczę dwa pisma, które wystosowałem do PZPN w odstępie kilku dni. Pierwsze było związane z meczem reprezentacji Polski w Gdańsku. Sytuacja kuriozalna – nie wszyscy działacze mogli nocować w pokojach o

jednakowym standardzie, więc zdecydowano, że Greń zostanie umieszczony w lepszym. Po to, aby się nie obrażał, nie krzyczał, że go zlekceważono i że ktokolwiek został zakwaterowany w bardziej komfortowych warunkach. Oczywiście i tak zakończyło się to awanturą. Cytat z 17 czerwca 2015 r. (pisownia oryginalna). Najpierw przeczytajcie, a potem was zapoznam ze szczegółami.

*Szanowny Panie Prezesie!*

*Kolejny raz, wydawałoby się inteligentny człowiek, a wykazał się Pan przyziemną małostkowością, myśląc, że jest Pan w stanie dokuczyć osobom myślącym inaczej, poprzez demonstrowanie swojej pozornej władzy. Takie postępowanie, wynikające z infantylnego sposobu myślenia, unaocznia tylko Pańską słabość i zwyczajną ludzką niemoc.*

*Ja wbrew wszystkiemu pragnę Panu podziękować za pokój hotelowy, w którym przyszło mi przebywać w trakcie pobytu w Sopocie, i zapewniam, że przeznaczenie tej kwatery dla osób niepełnosprawnych nie zrobiło na mnie większego wrażenia, a wręcz przeciwnie.*

*Od kilkadziesiątu lat kierując się zwyczajną ludzką empatią, które to uczucie jest Panu obce, podejmowałem dziesiątki inicjatyw na rzecz osób poszkodowanych przez los. Tytuł Ambasadora Olimpiad Specjalnych, który otrzymałem kilka lat temu, traktuję jako jedno z najważniejszych wyróżnień w moim życiu.*

*Na czym polega małość Pańskiego działania? Bo Pan uważa, że przydzielenie pokoju dla niepełnosprawnych członkowi Zarządu, członkowi Komisji Finansowej, przewodniczącemu Komisji Futsalu PZPN jest uwłaczające. Takie myślenie i postępowanie dyskwalifikuje Pana nie tylko jako prezesa, ale przede wszystkim*

*jako człowieka, gdyż niepełnosprawni, wbrew Pańskim wyobrażeniom, nie przynależą do osób drugiej kategorii.*

*Tak przy okazji, dziękuję także za wejściówki typu „Gold”, o które prosiłem dla działaczy z Podkarpackiego ZPN. Ponieważ spotkałem się z odmową, wyciągam wniossek, że oni zapewne w Pana mniemaniu także są gorsi od rodziny, przyjaciół i innych bliskich Pana Prezesa i jego zauszniaków. Od osób, które z futbolem mają tyle wspólnego, co Pan Prezes z legalną bukmacherką w Polsce, czyli nic.*

*Pragnę także przypomnieć, że Pan Prezes decydując o miejscach na stadionie oraz wartościach przekazywanych biletów, dysponuje majątkiem stowarzyszenia, nie prywatnymi środkami finansowymi.*

*W pewnym sensie, jako człowiek dobroduszny, staram się zrozumieć nerwowe ruchy Pana Prezesa, które zapewne są związane z ostatnim Zgromadzeniem PZPN. Siła bijąca od delegatów „myślących inaczej” jest chyba zbyt porażająca. Widzę, że widmo przyszłorocznej porażki już dziś doprowadza Pana do podejmowania nerwowych ruchów.*

*Życzę dobrego samopoczucia.  
Z wątpliwym poważaniem  
Kazimierz Greń*

Wystarczy zapoznać się z ortografią Grenia na Twitterze, by zorientować się, że powyższego listu nie pisał sam, tylko ma od tego człowieka. W każdym razie w całej korespondencji zapewnia, jak to bardzo szanuje osoby niepełnosprawne, a jednocześnie obraża się, że w luksusowym pięciogwiazdkowym hotelu Mera został zakwaterowany w pokoju przeznaczonym – jak uważa – dla osób niepełnosprawnych („wcale mi to nie uwłacza, tylko się zdenerwowałem”). To oczywista bzdura, bo

żaden hotel na świecie nie posiada pokojów przeznaczonych wyłącznie dla osób niepełnosprawnych, ponieważ zwyczajnie by się to nie opłacało (przez większość roku taki pokój stałby pusty). W rzeczywistości Greń otrzymał większy pokój niż inni, tylko po prostu w łazience były dodatkowo udogodnienia dla osoby poruszającej się na wózku (czyli np. barierka koło sedesu). Taki pokój jest więc przeznaczony zarówno dla osób całkowicie zdrowych, jak i tych pokrzywdzonych przez los.

To jedyny mi znany człowiek, który mógłby uznać, że poprzez takie przydzielenie pokoju chciano mu dogryźć (w rzeczywistości intencje były dokładnie odwrotne). Szukanie drugiego dna jest jego obsesją i znakiem rozpoznawczym zarazem.

Jak wspomniałem, mamy jednak dwóch Greniów. 17 czerwca był w stanie napisać do prezesa PZPN list „z wątpliwym poważaniem”, a 23 czerwca do sekretarza generalnego wysłał już korespondencję grzeczniejszą:

*Zwracam się do Pana z prośbą jako Członek Zarządu Polskiego Związku Piłki Nożnej o możliwość uszycia nowego garnituru, a także przydzielenie koszul oraz małej walizki.*

*Proszę o pilne rozpatrzenie prośby.*

Najpierw tupanie i krzyki, potem prośba o ciuchy i walizkę. Ten drugi list jednoznacznie też pokazuje, ile jest prawdy w opowieściach, jakim to majątnym człowiekiem jest Greń. Gdyby faktycznie dysponował jakimikolwiek większymi środkami, uniósłby się honorem i nie prosił o żadne koszule czy walizkę. Normalni ludzie w takiej sytuacji idą do sklepu i kupują potrzebne rzeczy.

I wreszcie trzeci list, jego końcówka:

*PZPN to nie jest Pana prywatny folwark. Czekam łaskawie na Pana odpowiedź, patrząc w okno na nadejście listonosza z korespondencją, na rezerwację hotelu z Pana strony – tylko nie tak jak ostatnio w Sopocie pokoju dla niepełnosprawnych (z wielkim szacunkiem dla tych osób), ponieważ zostałem pozbawiony wszelkich środków finansowych przez Pana, jak również przelot samolotem, gdyż nie mogę podróżować transportem lądowym na taką odległość, bo chciałbym się dobrze przygotować do Zjazdu i być co najmniej dwa dni wcześniej i z walizką w ręce. Czekam na pilną odpowiedź.*

Tak, tak, dobrze widzicie – zdyskwalifikowany na cztery lata działacz, wyrzucony na śmietnik historii, zwraca się do prezesa PZPN z żądaniem zapewnienia hotelu i biletu lotniczego, ponieważ – nie wiedzieć z jakiej paki – chciałby stawić się na związkowym zjeździe. I jemu się naprawdę wydaje, że tego rodzaju prośby zostaną przyjęte inaczej niż rechotem.

Nie będzie chyba przesadą napisać, że mamy do czynienia z niezwykle ananasm. W całym środowisku piłkarskim nie pokłócił się on chyba tylko ze sobą samym, no i może z Cezarym Kucharskim, z którym w 2015 roku połączył go antybońkowy sojusz (jak nie lubię Kucharskiego, tak uważam, że konszachty ze skompromitowanym Greniem są dla niego prawdziwą hańbą, bo to jednak ludzie z dwóch różnych lig). Wokół obu tych panów krąży kilku dziennikarzy frustratów, którzy mają nadzieję, że obalą obecne władze i pójdą zawodowo do góry wraz z nowymi. W rzeczywistości mogą tylko obalić flaszkę podczas swoich konspiracyjnych spotkań.

Pewne jest, że gdy zbliżać się będą wybory na prezesa PZPN, to Kazimierz Greń znowu się uaktywni, mimo ciąży na nim dyskwalifikacji (kara za handel biletami w Irlandii). Jego „kariera” toczy się właśnie od wyborów do wyborów. W 2008

roku faktycznie pomógł w triumfie Grzegorzowi Lacie, koledze z okręgu. Razem przejechali Polskę wzdłuż i wszerz, przekonując do siebie działaczy – jak twierdzą niektórzy, często rozdając jakieś garnki czy inną zastawę stołową. To wtedy tak naprawdę wszyscy usłyszeliśmy o Greniu. Później – jak to zwykle bywa – nie otrzymał żadnych funkcji, na jakie liczył, w związku z czym przeszedł do opozycji, stał się zajadłym wrogiem Laty i rozpoczął nieprzerwany do dziś serial pt. „Za tydzień ujawnię całą prawdę”. To niczym „Moda na sukces”, w której od dwudziestu lat spodziewasz się przełomu, a tymczasem w rodzinie Forresterów ciągle nic się nie dzieje – co najwyżej ktoś ugotuje obiad.

W 2012 roku Greń w ogóle nie uczestniczył w kampanii Zbigniewa Bońka, co łatwo sprawdzić, ponieważ na około dziesięć dni przed wyborami udzielił wywiadu, w którym przyznał, że jeszcze nie wie, na kogo będzie głosował. Bliżej mu było do Romana Koseckiego. Dopiero gdy zorientował się w faktycznym układzie sił, postanowił dołączyć do zwycięskiego obozu. Bez cienia żenady sugerował później, że w rzeczywistości to on stał za sukcesem Bońka i kreował się na tego, który „wybiera prezesów związku”. Trafiał na podatny grunt, bo media często szukają takich bohaterów drugiego planu. Jednocześnie stworzona legenda pozwoliła mu sprawować rządy silnej ręki na Podkarpaciu. Tam naprawdę ludzie wierzyli, że kiedy Greń melduje się w Warszawie, to wszyscy stają na baczność. Także z tego względu nikt mu nie podskakiwał.

Kim jest Kazimierz Greń? Dziennikarz Weszlo.com w tekście pt. „Degreńgolada” na samym wstępie kreślił taki portret:

*Cięty język, nonszalancja, krzykliwość na każdym zjeździe czy posiedzeniu, wreszcie niesamowite parcie na media, w których czuje się jak ryba w wodzie – to Kazimierz Greń w pigułce. Zna*

*każdego dziennikarza. Wydzwania, skrupulatnie prostuje wszystkie krzywdzące informacje, uprzejmie informuje czy też życzliwie rzuca światło na poczynania swoich przeciwników. Świąteczne życzenia wysyła zawsze jako pierwszy, jeszcze w Wielki Piątek.*

*Sam od lat ma się za tropiciela układów zżerających polską piłkę, człowieka gnębionego za prawdę. Nie toleruje sprzeciwu. Każdy negatywny artykuł odbiera jako złośliwość tych, którzy „mają brudne ręce”. Albo takich, którzy chcą się mu odplacić, bo „kiedyś na bruk wywalił ich wujków”. Twierdzi, że był bohaterem licznych donosów do służb i prokuratur, że do jego siedziby wpadali uzbrojeni komandosi, po czym zabierali tylko statut. Uważa, że był podsłuchiwany, a za jego głowę wyznaczono cenę. Ale on się nie dał, bo prawda zawsze wyjdzie na jaw.*

„Prawda wyjdzie na jaw” – ileż razy słyszałem to ostrzeżenie, gdy pisałem niepocholebnie o Greniu. Kim w ogóle jest ten człowiek? Skończył Ochotniczy Hufiec Pracy, czyli – mówiąc najłagodniej, jak się tylko da – niespecjalnie prestiżową uczelnię, która nie gwarantuje chociażby wykształcenia średniego (za to nauczył się obsługi frezarki). Dopiero wiele lat później zdał maturę w Centrum Kształcenia Ustawicznego, a chwilę potem w niesamowicie szybkim tempie ukończył... politologię w Wyższej Szkole Społeczno-Gospodarczej w Tyczynie. Chwali się więc teraz, że ma wykształcenie wyższe, co w teorii jest prawdą. W praktyce gdyby przedstawił takie CV potencjalnemu pracodawcy, ten udusiłby się ze śmiechu.

Prezesem mógł zostać tylko na Podkarpaciu, czyli w regionie całkowicie zapomnianym przez futbol. Wbił się w zaśmierdłe środowisko tamtejszych działaczy i imponował energią – bo faktycznie jest to człowiek, który może pracować 24 godziny na dobę, jeśli ma w tym cel. Celem jest zazwyczaj własny interes. Kiedy już przekonał ludzi, że powinni mu



powierzyć władzę w związku, złapał cały region za mordę i mocno trzymał. Niepokorne kluby zawieszał, dyskwalifikował, zastraszał, karał finansowo. W sprawach sędziowskich poczynął sobie z niezwykłą swobodą, głównie dlatego, że sędzią próbuje być jego syn. Gdy niezadowoleni z poczynąń prezesa arbitrzy skierowali sprawę do Trybunału Piłkarskiego, ten orzekł, że „w trakcie rozpoznania sprawy stwierdził wielokrotne, rażące naruszenia przepisów prawa związkowego. Z podobnymi przypadkami naruszenia, a wręcz z działaniem poza granicami związkowego prawa, nie spotkał się w dotychczasowej praktyce”.

Gdyby szukać analogii, Greń na Podkarpaciu stworzył sobie państwo autorytarne na wzór ZSRR. Wybory wygrywał albo do zera, albo prawie do zera. Opozycję nie tyle zwalczał, co gnoił. Były prezes Crasnovii Krasne, Benedykt Czajkowski, opowiadał: – *Jeździł po klubach, zastraszał. Brał czyste bloczki, z samą pieczęcią klubu i podpisem, a później na czystym mandacie wyborczym wpisywał sobie, kogo potrzebował. Wszyscy o tym mówią, ale jak przychodzi co do czego, to każdy się boi.*

Były wiceprezes podkarpackiego związku Wincenty Morycz dodawał: – *Sam przywoził ludzi, których potrzebował. Miał puste dokumenty z klubów, uprawniające do głosowania. Statut zmienił w ten sposób, że wszyscy członkowie Komisji Rewizyjnej i Wydziału Dyscypliny automatycznie zostali delegatami na zjazd wyborczy, więc na 120 głosujących, on miał już 50 swoich. Tych, których sam powołał na stanowiska. Kiedyś podczas posiedzenia, na którym Greń przez godzinę puszczał swoje slajdy, podniosłem się i mówię: – Ludzie, zajmujecie się głupotami, a nic nie jest rozliczone przez Komisję Rewizyjną. Pieniądze na to, na tamto – wyliczam. Na co Greń podchodzi do mikrofonu i pyta: „Chcecie go słuchać?”. A klakierzy Grenia: „Nie! Nie chcemy”. Nie chcecie, mówię, dobrze. Pierdolnąłem drzwiami i wyszedłem.*

Nie ma sensu wchodzić w szczegóły tych wszystkich żenujących gierk Grenia, w każdym razie doszło nawet do tego, że założono... Konfederację Małych Klubów, zrzeszającą postawionych pod ścianą działaczy. 40 osób pojechało do Warszawy protestować, z wielkim transparentem „Brońcie nas przed Greniem”. Jak to w państewku autorytarnym, spotkały ich srogie konsekwencje. Ale w związkowej gazetce o tym nie przeczytacie – tam na 18 stronach 11 zdjęć „pierwszego towarzysza”. Wizytuje, odznacza, nagradza.

Greń to wichrzyciel. Idealny kompan na czas wojny, będzie walczył zajadle w pierwszym szeregu i rzucał się twoim przeciwnikom do gardeł, by przegryźć im krtań. Niestety, w czasie pokoju nie potrafi się uspokoić i kiedy nie ma już kogo zaatakować – zaatakujecie was. Chociaż wlepiono mu czteroletni zakaz działalności w futbolu, będzie ciskał śnieżkami zza węgła, byle tylko komuś uprzykrzyć życie. Tak naprawdę stał się dość osobliwą ciekawostką.

Całe szczęście, że wydurnił się tym słynnym handlem biletami w Irlandii i że dał pretekst, by odsunąć go od piłki. Został zatrzymany przed stadionem jako konik, wraz z uroczą blond towarzyszką. Jak twierdzi świadek rozprawy, irlandzki dziennikarz, Greń przyznał się przed sądem do zarzutów i został wypuszczony ze względu na niską szkodliwość czynu. Później oczywiście utrzymywał, że się wcale nie przyznał i że jest całkowicie niewinny, ale dziwnym trafem nie zgodził się na ujawnienie akt rozprawy, o co zabiegał związek. Tym samym pogrzyżył się dokumentnie. Trzeba przyznać, że postępowanie dyscyplinarne przeprowadzono niezwykle starannie – przesłuchano nawet wspomnianego dziennikarza oraz kibica, który od Grenia kupił bilet – byle tylko podkarpacki baron nie mógł się do czegokolwiek przyczepić. Oczywiście on wciąż uważa, że miały miejsce hucpa, prowokacja i sąd kapturowy.

Podkarpacie odetchnęło z ulgą, chociaż tamtejszy związek wypłatać się jeszcze musi z umowy, jaką dwaj namaszczeni przez Grenia wiceprezesi podpisali z samym Greniem. Umowy całkowicie dla związku niekorzystnej, nielogicznej, gwarantującej nie tylko pensję, ale też wysokie odszkodowania (pół miliona złotych), bez względu na okoliczności rozstania atrakcyjnego Kazimierza ze związkiem. Ale jeśli to ma być cena przegonienia go raz na zawsze – niech i tak będzie.

Ulgę słyhać też w środowisku futsalu. To działka, którą w PZPN Kazimierz Greń postanowił sobie przywłaszczyć ku rozpaczy ludzi, którzy tę dyscyplinę kochają. Cóż on tam wyprawiał! Kiedy rozmawiałem z byłym selekcjonerem kadry futsalu Klaudiuszem Hirschem, włos się jeżył na głowie. Co chwilę tylko słyzałem, że „proszę pana, to jest chory człowiek”. Trener kadry narodowej opowiadał, jak za jego plecami Greń zwoływał spotkania z zespołem, w trakcie których obrażał sztab trenerski, powoływał do zespołu swoich zawodników, torpedował wszystkie działania szkoleniowców. Hirsch nie wytrzymał i opisał wszystko w liście do PZPN. W rewanżu – zero zaskoczenia – został przez Grenia w trybie pilnym zwolniony. A do trenera zadzwonił tylko magazynier z prośbą o oddanie sprzętu. W podobnych okolicznościach rozstał się z kadrą także inny trener Tomasz Aftański. Też napisał do PZPN list, w którym znajdujemy między innymi takie zdanie: „Sposób działania Kazimierza Grenia przypomina bardziej okres socrealizmu aniżeli standardy europejskie”.

Kiedy tylko poruszyłem temat futsalu, to jakbym nagle otworzył puszkę Pandory. Ludzie pisali i dzwonili. Donosili o tym, jak Greń walczy z klubami (Wisła Kraków) czy konkretnymi osobami. A także o tym, jak po prostu kompromituje się na każdym kroku. Tu fragment listu od działacza jednego z klubów ekstraklasy.

*Najbardziej jaskrawym i skandalicznym przejawem rządu Kazimierza Grenia (za I kadencji) było zgrupowanie kadry narodowej w Rzeszowie w 2007 roku przed meczami z Serbią. Trenerem był Leszek Latacz, który był marionetką Grenia. Zawodnik mojego klubu był wówczas na wspomnianym zgrupowaniu i opowiedział to, co się wydarzyło. Jest to wprost niepojęte. Pan Greń, niezadowolony z treningów (które zdarzało mu się prowadzić przy biernej postawie trenera) zawodników z klubów Polskiej Ligi Futsalu powołał do kadry kilku zawodników miejscowej trawiastej Resovii Rzeszów, niemających do tej pory żadnych doświadczeń z grą wfutsal w rozgrywkach ligowych. Mój zawodnik opowiadał, że ci piłkarze nie mieli żadnego pojęcia o przepisach, grali o bandy zamiast do linii, atakowali normalnymi wślizgami (ówczesne przepisy futsalu zabraniały wślizgów mających kontakt z przeciwnikiem), do dzisiaj jest to przedmiotem żartów w środowisku futsalowym. Co więcej, dwóch zawodników wystąpiło w oficjalnym meczu przeciwko Serbii! Wyobrażają sobie państwo, że do kadry narodowej futbolu zostają powołani amatorzy z ligi orlika, którzy nie znają przepisów o spalonym, a potem dwójka z nich wystąpi w meczu reprezentacji Polski? Jest to po prostu niemożliwe.*

*Ciekawie wypowiadał się też inny członek kadry narodowej. Prosił o anonimowość – jak wszyscy w zasadzie – bo mówił, że Greń jest mściwy. Bał się natychmiastowej zemsty.*

*– On rozwalił reprezentację Polski w futsalu po zaledwie kilku miesiącach działalności. Cały sztab – doktor, fizjoterapeuci, trenerzy, wszyscy – został zwolniony w sposób bardzo niedżentelmeński. Po prostu kierownik magazynu przysłał maila, że należy zdać sprzęt, ponieważ doszło do zwolnień. Ludzie zostali potraktowani jak kundle. A dlaczego? Ponieważ pan Greń przegrał ambicjonalne starcie z trenerem Hirschem. Hirsch miał dosyć tej toksycznej współpracy i podał się do dymisji, o jej powodach*

informując kierownictwo PZPN w specjalnym liście. Greń się wściekł, że nie zdażył Hirscha zwolnić i że w dodatku ten nasmarował na niego do związku. Dlatego zwolnił wszystkich innych.

I dalej: – To była chora sytuacja. Graliśmy turniej eliminacyjny, w grupie mieliśmy Portugalię, która jest gigantem w tym sporcie, Serbię, a więc ósmą drużynę w rankingu, i Grecję, zespół mniej więcej na naszym poziomie. Awans do mistrzostw wywalczyć mogła jedna drużyna, druga grała w barażach. W czasie zgrupowania działy się dziwne rzeczy. Trener Hirsch powołał kadrę, natomiast prezes Greń skreślił z niej dwóch zawodników, a wpisał dwóch od siebie. Od kilku dni trwało zgrupowanie, z którego dwaj zawodnicy niepasujący Greniowi mieli zostać wyrzuceni z hotelu, a ich miejsca zająć mieli ci nowi. To niesamowita ingerencja w kompetencje trenera. Zrobił się totalny bałagan. Hirsch powiedział, że jeśli dojdzie do zmiany, to on do Serbii nie poleci. Mimo to, Greń przebukował bilety lotnicze i dodał do listy swoich faworytów. Ostatecznie trener postawił na swoim, co już było początkiem wojny. W Serbii Greń kontaktował się z trenerem Hirschem tylko przez pośredników, o ile w ogóle można to nazwać kontaktem. Przekazywał, że Hirsch jest gnidą, małym człowiekiem, śmieciem itd. Ale to był początek. Później Greń zwoływał narady z zawodnikami, a nikt ze sztabu nie był na te narady wpuszczany. Zespół przed meczem eliminacyjnym musiał wysłuchiwać, że trenerzy są ignorantami. Uderzano w podstawy funkcjonowania każdej drużyny. Oczywiście, zawodnicy mieli gdzieś opinię Grenia, ponieważ z trenerem Hirschem współpracowało im się bardzo dobrze. To człowiek, który ma olbrzymią wiedzę merytoryczną, a dodatkowo zaraza pasją. Niemniej w trakcie zgrupowania dyskutowano tylko o konflikcie. Czy pan sobie wyobraża, że Boniek zwołuje naradę, w trakcie której obraża Nawalkę i próbuje buntować zawodników przeciwko niemu? Przecież to się w głowie

*nie mieści. Hirsch jeszcze przed końcem eliminacji podał się do dymisji. To było w marcu 2013 roku.*

*– Greń to choleryk, szuka rozwiązań na już, żeby się publicznie pochwalić, zrobić sobie zdjęcie. Najpierw przyjął do wiadomości słowa Hirscha, że potrzebujemy minimum 1,5 roku, aby cokolwiek zbudować, ale po pierwszych niepowodzeniach wezwał do siebie i kazał przedstawić plan naprawczy. Hirsch mu powiedział: – Możemy naturalizować ośmiu Brazylijczyków, jeśli pan chce wynik na już! Ta drużyna grała wtedy z europejską elitą, uczyła się. Ale to Grenia nie interesuje. On woli sytuację jak teraz – grę z amatorami i łatwe zwycięstwa, aby pochwalić się wynikami. A ponad wszystko kocha władzę absolutną, otacza się figurantami. Obecny trener musi godzić się na uwłaczające każdemu szkoleniowcowi ustępstwa.*

*– Wozila nas rzeszowska firma znajomego pana Grenia, Piotra Chorzepy. Wszędzie mieliśmy jeździć autokarem i nabijać licznik. Greń wpadł nawet na pomysł, byśmy do Portugalii jechali autokarem, ale na szczęście ktoś poszedł po rozum do głowy i PZPN kupił bilety lotnicze. Gdy byliśmy na Ukrainie, kierowca – czyli pan Chorzepa właśnie – prawie nas zabił. Wyprzedzał audi A6 na podwójnej ciągłej. Z lewej strony potrąciliśmy volkswagenu golfa, audi zepchnęliśmy na pobocze czy do rowu. Nawet gdy woził nas po Rzeszowie, nie było bezpiecznie. Napisano list do PZPN z prośbą o zmianę przewoźnika, bo z tym drużyna boi się jeździć. Greń wściekł się strasznie.*

Można byłoby tę opowieść tak ciągnąć w nieskończoność, dorzucając kolejne wypowiedzi kolejnych osób, ale nie ma to większego sensu, bo myślę, że już wiecie wszystko. Greń jest najgorszym typem działacza sportowego, mentalnie ciągle tkwiącym w głębokiej komunie. Gdybym miał określić go jednym słowem, napisałbym – szkodnik. Szkodnik, którego obecnie jedyną bronią jest insynuacja. – Smród jest mu

potrzebny jak rybie woda – mówi Zbigniew Przesmycki, szef sędziów PZPN. I ja się z tą diagnozą w stu procentach zgadzam.

Mam nadzieję, że polska piłka uwolniła się od niego na zawsze, tak jak zdołała uwolnić się od „Fryzjera”. Ale pewny tego nie jestem – tacy bezwzględni karierowicze bez innego pomysłu na życie często wypływają. Pewny jestem tylko, że... jak co roku przyśle mi życzenia na święta. Z kolejnego, nie wiem już którego numeru telefonu.

\* \* \*

Tacy jak Greń to choroba tocząca polską piłkę. Właśnie w okręgowych związkach pełno jest postaci z poprzedniego systemu, jednostek pasożytniczych. Ludzi, którzy nie mają futbolowi niczego do zaoferowania, za to od lat wygodnie z niego żyją. Problem polega na tym, że nie da się ich przepędzić. PZPN może zostać całkowicie odnowiony, ale nad okręgami nie ma najmniejszej kontroli. Tam rządzą lokalni baronowie (dumna nazwa, czasami bardziej pasuje słowo „barany”). Przez lata już tak zdołali pogmerać w statutach swoich minizwiązków, że podczas kolejnych wyborów i tak mają większość głosów. Niezatapialni, nieodwoływalni.

W sensie ścisłym – z czego chyba niewielu kibiców zdaje sobie sprawę – okręgi to organizacje całkowicie niezależne. Mają swoje regulaminy, swoje budżety. Młodzież powiedziała by, że PZPN może okręgom naskoczyć i nie byłoby to dalekie od prawdy. Tymczasem urzędujący w swoich zatechłych gabinetach baronowie mają sporą moc – kiedy połączą siły, znacząco wpływają na wybór prezesa związku, a także obsadzają zarząd PZPN swoimi ludźmi. Można powiedzieć, że ogon kręci psem, wszystko stoi na głowie. W normalnej firmie prezes nie musi łączyć się do swoich przedstawicieli

regionalnych, tylko wyznacza cele i odwołuje tych, którzy ich nie realizują.

W kilku związkach zawitała młodość, ale w wielu na spróchniałych stołkach siedzą ludzie, którzy pamiętają jeszcze Ernesta Wilimowskiego z boiska. I na nic apele, by ustąpili, dali szansę innym. Trzeba być naprawdę na bakier ze zdrowym rozsądkiem, by jako baron dać się wysadzić z siodła. Trzeba być Greniem.





**Dlaczego Tomaszewski przypomina  
kobietę w ciąży?**



Jednym z największych oryginałów w naszej piłce jest Jan Tomaszewski. Trochę greniowaty, ale jednak nieporównywalnie inteligentniejszy i z piękną piłkarską kartą. Lubię go, ale też mam do niego ogromny dystans.

Jest to człowiek bardzo sympatyczny, choć... z lekka opętany. Zawsze trochę niezręcznie czułem się z tym, że już dziesięć lat temu zaproponowałem, abym mówił mu na ty. No bo jakże to tak – on legenda dla starszego pokolenia, a ja taki chłystek? I mamy sobie tak gadać? Co tam, Janku? Co tam, Krzyśku? No ale się jakoś przełamałem, trudno. Ujmijmy to tak, że są w życiu większe problemy niż zwracanie się na ty do Jana Tomaszewskiego.

Ileż to razy dzwonił, żeby podzucić ten czy inny gorący temat – nie zliczę. Zawsze mówił, że to sprawa dla prokuratury, że będzie naprawdę duży wybuch i że teraz to już nikt się nie wywinie. Dzwonił rano, w południe, wieczorem. Nie chciałbym skłamać, ale obstawiam, że dokładnie wszystkie te zgłoszone przez niego gorące tematy zakończyły się w identyczny sposób: prokuratura umarzała śledztwo lub wręcz odmawiała wszczęcia.

Jako że Tomaszewski to najbardziej niezłomna postać w naszej piłce, nigdy nie dawał za wygraną i dalej węszył i węszył, nie mogąc przez te lata tak naprawdę niczego wywęszyć. Ile narobił zamieszania – to jego. Ale bilans końcowy – przy całej sympatii – jest dość żałosny. Chciał wsadzić za kratki pół świata, a nawet nikt nie dostał mandatu. Sam z kolei zaczął być postrzegany jako piniacz atakujący na chybił trafił.

Negatywna opinia, jaka się za nim ciągnie – błazen, wielka gęba, zawistnik – jest zdecydowanie przesadzona. Często mówi

rzeczy bardzo trafne, lecz znaczna część naszego społeczeństwa ma awersję do zbyt ostrych opinii i zbyt dosadnego języka. Wolą, gdy druga osoba zostanie określona jako „niezbyt mądra” niż jako „idiota”, wolą „niezbyt dobrego” piłkarza niż „kalekę i zakałę boisk”. Barwny, wybuchowy język Tomaszewskiego stanowi jego znak rozpoznawczy, ale wśród hipokrytów akceptujących w przekazie publicznym jedynie nudne jak flaki z olejem bla, bla, bla, jest nie do przyjęcia. Tacy jesteśmy: zamiast dmuchać i chuchać na wyrazistych i wyszczekanych ludzi, wolimy ich kolanem przygnieść do gleby i wymusić obrzydliwą polityczną poprawność. A potem mówimy: znowu nudy w gazetach.

Kilka lat temu gościliśmy w Polsce dziennikarza ze szkockiej wersji „The Sun”, poczciwy, chociaż lekko ciapowaty koleś i trzeba było go wszędzie prowadzić za rękę. Spotkanie z Tomaszewskim było dla niego wielkim przeżyciem. Wprawdzie Janek mylił wszystko – kluby, nazwiska, pozycje – to mówił o bramkarzach z tym charakterystycznym dla siebie przejęciem, nie pozostawiając złudzeń, że nawet jeśli nie ma racji, to ma rację. Po prostu. Nie można było mu przerwać, musiał wypluć wszystkie słowa, które przygotował. Szkot wyszedł ze spotkania zafascynowany i stwierdził: – Boże Świąty, gdyby ten człowiek urodził się w Anglii, byłby jednym z najlepiej opłacanych ekspertów piłkarskich na świecie. Zarabiałby milion funtów rocznie! Co za postać!

Anglicy kochają ekspertów, którzy nie boją się mówić tego, co myślą. Ofensywnych, pozbawionych hamulców, bawiących się słowami i wymyślających własne, charakterystyczne powiedzonka. Kiedy Tomaszewski nagle odpalił jedną ze swoich stu torped – że „Polska to jest boska drużyna, bo tylko Bóg wie, jak zagra” – przybysz z Wysp prawie spadł z krzesła. Co zdanie – to tytuł. Wszystko się nadaje!

W Polsce jednak media są biedne, a już z pewnością nie mają budżetów na opłacanie złotych myśli bohatera z Wembley. Zresztą po co opłacać, skoro i tak powie to samo za darmo?

Janek ma jedną wadę, o której nie sposób zapomnieć. Jest bardziej zmienny niż kobieta w ciąży. Niegdyś namówiłem go na prowadzenie bloga i zaproponowałem, że może mi dyktować, co ma do przekazania, a ja to wklepię na klawiaturze – żeby było szybciej i dla niego wygodniej. Jednego dnia podyktował mi wpis o tym, że najlepszym kandydatem na selekcjonera, w zasadzie jedynym akceptowalnym, jest Franciszek Smuda. Później Smuda zaczął serię swoich kompromitacji, więc Janek wskoczył na niego w swoim stylu i ujeżdżał jak starą chabetę. Pewnego dnia znowu dyktuje mi odcinek błoga – tym razem coś o tym, że z góry było wiadomo, że Smuda to niewypał i co za durnie w ogóle go popierali.

Powiedziałem: – Janek, ale ty go popierałeś!

– Ja? Gdzie? – wzburzył się.

– No, na blogu. Tutaj.

– Nie!

– Przeczytam ci.

– To nie są moje słowa! To jest sfałszowane! To jest skandal! Absolutnie niczego takiego nie mówiłem!

To jest właśnie on – z kwiatka na kwiatek potrafi przemieszczać się z gracją Pszczółki Mai.

I zdaje się, że na tym blog się skończył, bo jaki sens było go dalej ciągnąć? Tomaszewski jest w stanie wyprzeć się nawet tego, że był bramkarzem, jeśli zajdzie taka konieczność.

Gdybym miał go do kogoś porównać, to chyba do... Pawła Kukiza. Może nie przez przypadek obaj wylądowali w polityce, przy czym Tomaszewski – jak to on – z PiS-u powędrował do PO, zostając kolegą tych, których kilka miesięcy wcześniej obrażał z właściwym sobie wdziękiem. W każdym razie podczas kampanii prezydenckiej na Twitterze dostałem prywatną

wiadomość od Pawła Kukiza: „Zadzwoń”. Hm, jak by nie patrzeć – kandydat na prezydenta, dzwonię. Kukiz, chociaż sympatyczny, sprawiał wrażenie totalnie opętanego. Nie dało się z nim normalnie porozmawiać, niemal od razu przeszedł do miażdżącego szturmu, indoktrynował mnie, opowiadał o systemach politycznych w USA, o Rosji, o swoich córkach, wpadł w dziesięciominutowy słowotok, w trakcie którego nawijał szybciej niż Tomasz Zimoch podczas meczu Broendby – Widzew. Pomyślałem sobie: oho, niezdrowo pobudzony. I taki też jest Tomaszewski. Jeśli akurat ma na pieńku – strzelam – z Grajewskim, to nie rozmawiasz z nim o obiedzie. Zapytasz, jak smakuje kotlet, a on odpowie, że Grajewski to menda, i mógłby się tym kotлетem udławić. A potem odstawi talerz nietknięty i będzie przez pół godziny miał temat, nawet jeśli wczoraj już ci mówił dokładnie to samo (on zresztą często mówi to samo, chyba mu się myli, komu już coś zdążył powiedzieć, a komu jeszcze nie).

Z polityki zniknął, natomiast środowisko piłkarskie znalazło sposób, żeby go trwale spacyfikować. Wszyscy w zasadzie powtarzali trick zastosowany przez Amicę Wronki, co już zostało opisane w książce „Szamo”:

*Z Jankiem Tomaszewskim miałem styczność raz w życiu. Wtedy jako telewizyjny ekspert co tydzień bardzo krytykował Amicę. Działacze zastanawiali się, jak w końcu uciszyć tę wielką gębę, i wpadli na doskonały pomysł. Zaprosili go do Wronek, aby przeprowadził pokazowy trening, przy czym za ten jeden dzień zapłacili mu tyle, jakby „Tomek” pracował w klubie z pół roku. Wziął więc absolutnie niemądrą, gwiazdorską dolę i wrócił do siebie. Od tamtej pory Amica już stała się jednym z bardziej chwalonych w telewizji klubów.*

Tę samą metodę przyjął Michał Listkiewicz, gdy raz po raz Tomaszewski wrzucał mu do ogródka odbezpieczone granaty.

„Listek” zrobił adwersarza szefem komisji etyki. W tamtym czasie spotkałem się z Jankiem w Łodzi, w jego ulubionym hotelu przy ulicy Piotrkowskiej. Miał cały segregator „skandalicznych” i „w sam raz dla prokuratury” spraw. Z przejęciem wyjmował kolejne kartki i pokazywał: kto i kiedy beknie. Podejrzewam, że Listkiewicz – cwaniak nad cwaniakami – po prostu dał mu nowe zajęcie, wiedząc, że pochłonie ono Tomaszewskiego na tyle, że zapomni o całym bożym świecie (i o „Listku” również). Tak w istocie się stało.

A Boniek – chociaż kiedyś napażał się z Tomaszewskim na lewo i prawo, a „Przegląd Sportowy” chciał zorganizować im starcie w ringu – też jest starym wyjadaczem i wie, że wojenki z Jankiem-Tomkiem to jak kopanie się z koniem. Lepiej w uznaniu dla piłkarskich zasług zaprosić do łoży, ugościć podczas meczu wyjazdowego, oddać honory. I już, prosta sprawa. Poradnik, jak poskromić bestię, w tym wypadku nie byłby zbyt obszerny.



**Dlaczego Listkiewicz trzymał  
Beenhakkera za kolano?**



**W**spomniany w poprzednim rozdziale Michał Listkiewicz to niepodrabialna postać. W polskiej piłce prawie non stop każdy na każdego jest obrażony. Piłkarz na dziennikarza, dziennikarz na trenera, trener na działacza itd. Natomiast Listkiewicz nie dość, że nigdy nie jest obrażony na nikogo, to jeszcze... nie da się go do tego przymusić. Można próbować na sto sposobów, ale po prostu się nie da. Nie skutkują żadne szykany.

– Dzisiaj Listkiewicz przychodzi – powiedział mi pewnego razu kumpel w redakcji „Faktu”.

– O Jezu, pewnie będzie miał jakieś pretensje – wzdrygnąłem się, ale już wkrótce sam zrozumiałem, że moje stwierdzenie jest całkowicie nieuprawnione.

Po chwili się zjawił. Jak zawsze mocna opalenizna kontrastowała z siwymi włosami i zdradzała, że Listkiewicz wrócił z kolejnej z tysiąca wypraw (czasami mam wrażenie, że za mile z programu Miles & More mógłby wybudować osiedle mieszkaniowe). Oczywiście przyszedł z gadżetami. Nie dość, że pretensji nie miał, to jeszcze zaczął wręczać jakieś breloczki, długopisy, koszulki... A potem stwierdził: – Posłaliście za mną ostatnio paparazzi. Że nie sprzątam kup po psie.

– No – przytaknęliśmy, czekając na dalszy ciąg. Piotrek Czostkiewicz, wiecznie rozdygotany ówczesny szef działu sportowego, aż przykleił się plecami do szafki, na której wisiał fotomontaż: nagi „Listek” przyspawany do stołka.

– I bardzo dobrze! – skwitował Michał. – Bo kupy trzeba sprzątać. Teraz zawsze chodzę z torebką!

Nie minęła minuta, a jeszcze mu się coś przypomniało: – A w ogóle to moja żona kazała wam podziękować. Zrobiliście mi



tyle zdjęć, na których dłubię w nosie, i napisaliście tyle tekstów o tym, że wreszcie się oduczylem. Żona próbowała mnie dwadzieścia lat oduczyć, a wy to zrobiliście w tydzień. Jestem waszym dłużnikiem!

Taki jest. Gazety w niego wałą – on to wszystko przyjmuje z uśmiechem, nie strzela fochów, nie grozi pozwami, obraca w żart. Miał lekki żal, gdy przyprawiono mu świński ryj, ale i tę potwarz szybko przełknął.

Zdarzyło mi się zrobić wywiad z aktorem Tomaszem Kotem do „Magazynu Futbol”. To akurat było zlecenie reklamowe, Kot promował Netię i ta zapłaciła, żeby właśnie on pojawił się na okładce. Rozmówca naprawdę barwny, więc z efektu końcowego byłem zadowolony. Opowiedział, jak kiedyś miał nieprzyjemność jechać lotniskowym autobusem wraz z delegacją PZPN. Mówił, że pijani, upodleni, dzicz i bydło. Przeklinali, charczeli, świnię w garniturach. I że poznał tylko jednego – Listkiewicza.

Pismo trafiło do kiosków. Ósma rano – dzwoni telefon. Patrę, jaki numer się wyświetla: Michał Listkiewicz. Pierwsza myśl: będzie zaraz żądał przeprosin, sprostowań, stwierdzi, że wcale go tam nie było, generalnie lepiej nie odbierać. Ale odebrałem.

- Dzień dobry, tu Michał Listkiewicz.
- Dzień dobry.
- Przeczytałem wywiad z Tomaszem Kotem.
- Tak...
- Chciałem powiedzieć, że wszystko, co tam jest napisane...

W tym momencie miałem pewność: lepiej było nie odbierać, tylko wyciszyć i obrócić się na drugi bok.

- ...że wszystko, co tam jest napisane, to szczerą prawdą i tak naprawdę było. Jest mi naprawdę wstyd za tamto zdarzenie i za zachowanie wszystkich działaczy. To nigdy nie powinno mieć

miejsca. Panie redaktorze, jak pan wie, ja sam pochodzę z aktorskiej rodziny, zawsze byłem człowiekiem niezwykle otwartym wobec artystów, a już pana Tomasza Kota szczególnie podziwiam. Dlatego mam do pana wielką prośbę – czy byłby pan tak miły i zadzwonił do niego, aby przeprosić go w moim imieniu?

Po prostu – Listkiewicz.

Napiszesz, że w telewizji dobrze prezentował się w garniturze, przyśle ci SMS-a: „Polski, z Vistuli”. Poruszyć bliski mu temat w felietonie, przyśle gratulacje, zawsze z innego zakątka Ziemi („Pozdrawiam z Nowej Zelandii”, „Wszystkiego dobrego z Fidżi”, „Ja jeszcze na mistrzostwach kobiet do lat 19 w Chorwacji”).

Oczywiście jest to spryciarz, gracz. Jako dziennikarz masz świadomość, że on cię na swój sposób rozgrywa, ale robi to urokliwie, nienachalnie. Myślę, że w dużej mierze ta postawa pozwoliła mu przejść przez afery w polskiej piłce suchą stopą. Bo kto chce myśleć, że Listkiewicz naprawdę wierzył w jedną skorumpowaną, czarną owcę w naszej lidze, podczas gdy prokuratorzy zwozili podejrzanych autokarami, niech tak myśli. Ja – łagodnie mówiąc – jestem w tej kwestii sceptyczny. A argument, że gdy był prezesem, to mniej czasu spędzał w związku niż poza nim i dlatego był odrealniony, zupełnie mnie nie przekonuje.

Wizyty Listkiewicza w redakcjach to stały punkt sezonu. Może lubił je, ponieważ sam zaczynał jako dziennikarz sportowy. Szczególnie jedna była zabawna – w „Dzienniku Polska Europa Świat”. „Listek” spełnił prośbę i przyprowadził na wywiad Leo Beenhakkera. Zjechaliśmy windą jedno piętro i udaliśmy się do gabinetu redaktora naczelnego Roberta Krasowskiego.

Siadamy na miękkich kanapach, przy stoliku. Trzech dziennikarzy (ja, Paweł Zarzeczny, Przemysław Rudzki) oraz

oczywiście duet Listkiewicz – Beenhakker. Naczelny, chcąc przywitać gościa z honorami, proponuje szklaneczkę whisky, ale holenderski trener grzecznie dziękuje. Wtedy Krasowski uznaje, że na niego już pora i nie będzie przeszkadzał w rozmowie.

Nie minęło trzydzieści sekund, gdy Pawłowi zaświeciły się oczka i stwierdził: – Skoro wy nie pijecie, to ja skorzystam.

Nie minęło trzydzieści minut, a cała butelka była opróżniona.

Nie minęła godzina, a wściekłemu Beenhakkerowi już dym szedł z uszu.

Ujmijmy to tak: Paweł Zarzeczny raczej nigdy nie przeczytał Szekspira w oryginale, natomiast degustacja chivasa sprawiła, iż nic sobie z niezajomości języka nie robił i postanowił zdominować rozmowę.

– You are old. Very, very, very old – mówił do Beenhakker, któremu oczy wychodziły z orbit, a na skroniach uwidoczniły się ukryte wcześniej żyły. Listkiewicz przytrzymał Holendra za kolano, żeby ten nie wyszedł obrażony. A Paweł, kręcąc głową, kontynuował: – Very, very old. Very, very.

I wreszcie przeszedł do pytania, które zawierało się w jednym słowie: – Retire?

Beenhakker szykuje się do wyjazdu na Euro, media robią z niego człowieka roku, otrzymuje order, ludzie kłaniają mu się w pas i traktują jak monarchę, asystenci całują w pierścień. Tymczasem Paweł Zarzeczny w gabinecie redaktora naczelnego mówi mu, że jest bardzo stary i pyta, czy przejdzie na emeryturę.

Rozmowa toczyła się dalej, wraz z Przemkiem zadawaliśmy normalne pytania, wiedząc przecież, że efektem spotkania ma być drukowany przez trzy dni wywiad, a nie podbite limo kolegi czy też roztrzaskane drzwi. Beenhakker starał się nie eksplodować, Listkiewicz dalej trzymał go za kolano, a Zarzeczny co jakiś czas wtrącał swoje spostrzeżenia

(„Żurawski nooooo, Żurawski disco, good dance floor”), co tylko wyprowadzało selekcjonera z równowagi. Żeby dopełnić groteski, Paweł na koniec – niczym dobry gospodarz – odprowadził gości do samochodu, ani przez moment nie wyczuwając, że troszeczkę mają go dość.

Jeszcze wtedy nie wiedział, że wraca z parkingu tylko po wymówienie.



**Dlaczego nie warto zostać  
dziennikarzem sportowym?**



**N**a pozór jest to jeden z najlepszych zawodów świata. Nie przemęczasz się, zależnie od talentu zarabiasz nieźle, dobrze albo bardzo dobrze. Zwiedzasz świat, przy czym nie jest to zwiedzanie na zasadzie „ciekawe, jak się mają nasi żołnierze w Afganistanie i czy nikomu nie urwało nogi”, tylko lecisz na mecz piłki nożnej do Japonii, gdzie nikt do ciebie nie strzela, za to możesz się spokojnie napić, zjeść hot doga i pospać do jedenastej. Rzecz jasna mam na myśli tych najlepszych dziennikarzy, a nie mrówki, które dzień w dzień tłumaczą zagraniczne depesze i palą fajki przed budynkiem redakcji – lecz trzeba mierzyć wysoko. Ale i te mrówki nie ryzykują życia gdzieś na Bliskim Wschodzie, tylko w najgorszym razie biorą raz w miesiącu delegację na mecz koszykówki w Inowrocławiu i wcinają darmowe kanapki.

Jakiś czas temu prowadziłem krótkie wykłady na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu – miałem opowiadać o dziennikarstwie sportowym, w szczególności internetowym. Sala pękała w szwach, chociaż uczciwie przyznam, że nie trzeba było jej wiele, by pęknąć. Rok w rok setki albo i tysiące osób marzą o tym, by zostać dziennikarzami sportowymi. Na dzień dobry powiedziałem wszystkim, że wybrali raczej niewłaściwy kierunek – i nie tylko dlatego, że dziennikarstwa trudno się nauczyć, a już zwłaszcza na wyższej uczelni... Że trzeba mieć wrodzonego bigla, wypracowaną przez długie lata – niektórzy twierdzą, że wrodzoną – lekkość pisania i konstruowania myśli. Przede wszystkim wybrali niewłaściwy kierunek, ponieważ z dziennikarstwa sportowego naprawdę godnie żyje może trzydzieści, a może pięćdziesiąt osób w Polsce, co oznacza, że wszystkie te osoby zmieściłyby się do jednego

autokaru. Patrząc w ten sposób, czysto statystycznie, a nie pod względem wysiłku, znacznie łatwiej zostać piłkarzem na poziomie ekstraklasy niż poważnym dziennikarzem sportowym. Rynek jest tak mizerny (a wciąż się kurczy!), że mówimy prawdopodobnie o jednym z najbardziej zamkniętych zawodów w kraju.

Ale nie, nie dlatego nie warto zostać dziennikarzem sportowym. Przy wszystkich niewątpliwych zaletach, jakie ma ta profesja – a jest ich naprawdę sporo, jeśli wykonujesz go dobrze – jest jedna, nieprzeliczalna na jakiekolwiek pieniądze negatywna kwestia: zamiana pasji w zawód. Zamiana, a nie połączenie jednego z drugim, przynajmniej nie na zawsze. Bardzo często ludzie twierdzą – rób to, co kochasz, a jeśli ci za to płacą, to wspaniale! Tak, na pozór trudno polemizować z takim stwierdzeniem. Jednak sam po sobie wiem, że wielokrotnie zazdrościłem ludziom, którzy nie podeszli do futbolu na tak niebezpiecznie bliską odległość. Pracują od poniedziałku do piątku, na przykład w banku, jest to – nie ukrywajmy – dość nudne, za to weekendy... Weekendy mają dla siebie i dla piłki. Wciąż naprawdę się przejmują, czy Legia, Wisła, Widzew, Lech albo Górnik strzelą gola. Wciąż się smuca, gdy Lechia, Cracovia, Arka czy Pogoń stracą bramkę. Kupują gazety i rwą sobie włosy z głowy, gdy czytają, że ulubiony piłkarz ma odejść albo akurat odniósł kontuzję. Umawiają się ze znajomymi, aby wspólnie przeżywać mecze wyjazdowe lub nawet na nie jadą gdzieś do innego miasta, gdzie miejscowi wykrzykują złowrogie hasła. I nawet jeśli od poniedziałku do piątku siedzą za biurkiem i przerzucają papiery z lewej strony na prawą, to jednak mają ten swój świat, bardzo kolorowy, bardzo intensywny. Przed meczami latają im motyle w brzuchu jak u zakochanej po raz pierwszy nastolatki.

Też taki byłem. Ale ten kolorowy, intensywny świat odszedł w niepamięć. Motyle zdechły.

Kiedy zapewniam, że nikomu nie kibicuję, ludzie mi nie wierzą. Rozumiem ich. Każdy ma manierę, by oceniać innych po sobie, a to przecież w głowie się nie mieści, aby ktoś, kto niegdyś przejeżdżał za drużyną Polskę wzdłuż i wszerz, ktoś, kto miał cały pokój w piłkarskich plakatach i kto podczas obozów harcerskich wymykał się z radiem gdzieś w las, aby posłuchać studia S-13... No po prostu niemożliwe, by taki osobnik nagle po latach powiedział: wszystko mi jedno, kto będzie mistrzem Polski. No, powiedzieć to jeszcze może, ale wykluczone, aby mówił szczerze. Kłamie, żeby udawać obiektywnego.

Bardzo chciałbym przejmować się tym, kto będzie mistrzem, naprawdę. Uważam nawet, że znacznie łatwiej by mi się pracowało, gdybym mógł z czystym sumieniem powiedzieć: „Kibicuję Legii”. Przecież kiedy mówię, że już nie kibicuję, to fani Legii odbierają to niemal jak zdradę, a pozostali i tak mi nie wierzą. Jaki więc sens miałoby udawanie? Ale prawda jest taka, że gdybym powiedział, że kibicuję, to skłamałbym, a tego nie lubię. Po prostu czułbym się podle. Moja największa młodzieńcza pasja dawno wygasła i gdy dziś Legia strzela gola, nawet nie podnoszę się z kanapy, nie mówiąc o jakimkolwiek świętowaniu. Takie gole interesują mnie zupełnie tak samo jak trafienia Piasta Gliwice czy Podbeskidzia. Owszem, o Legii często piszę, bo to wielki klub z miasta, w którym mieszkam, co jakiś czas ten czy inny piłkarz jest moim sąsiadem (Rzeźniczak, Broż, Vrdoljak), ale... to już nie to. Z przykrością stwierdzam, że Legia nie wywołuje u mnie emocji i czy zajmie pierwsze miejsce, czy ósme, mój nastrój będzie identyczny. Mało tego, ewentualne jej porażki często wydają mi się z zawodowego punktu interesujące, więc z łatwością dostrzegam w nich plusy.

A wszystko przez to pieprzone dziennikarstwo.

Są dziennikarze, którzy kibicują przez długie, długie lata. Jakimś cudem – nie wyrastają z tego. Niektórzy nawet potrafią przy tym pozostać profesjonalistami (choć większość nie



potrafi) i patrzą na swoje kluby z odpowiedniej perspektywy. Czasami zastanawiam się, co było u mnie punktem przełomowym. Mam przed oczami mecz w Olsztynie, w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych, Stomil – Legia. Gdy warszawski zespół strzelił gola, wydarłem się na środku trybuny honorowej na cały głos, a fotoreporter „Przeglądu Sportowego” Włodek Sierakowski mówił mi: – Na przyszłość się opanuj, bo to wstyd dla gazety... Czerwieniłem się, bo miał rację. Kiedy dzisiaj widzę dziennikarzy szalejących po golach, z niedowierzaniem i zażenowaniem kręcę głową.

Teraz – przesada w drugą stronę. Muszę się aż przyznać, że... często oszukuję, gram. Oto idę na mecz na Legię – a chodzę głównie dla towarzystwa, zazwyczaj do łóży wynajmowanej przez kolegę – i kiedy pada gol, to dręczy mnie myśl: „Chociaż wstań i bij brawo, bo inaczej będzie to głupio wyglądało”. Więc gdy pada gol i wszyscy wokół skaczą jak poparzeni, to wstaję i niespiesznie biję brawo, dla zachowania pozorów, by nie wyjść na gbura i dziwaka. Ale prawda jest taka, że to tylko na pokaz. Że tak naprawdę mnie to w ogóle nie obchodzi. Albo inaczej: obchodzi mnie, bo obchodzi mnie liga, cały ten biznes, ludzie, ale nie ma dla mnie znaczenia, jakie drużyny grają i która akurat wygrywa. Te same emocje towarzyszyłyby mi podczas starcia Górnika z Ruchem.

Jak to się stało? Myślę, że mój kręgosłup legionisty pękał, kruszył się, aż w końcu całkiem się złamał na skutek zbyt dobrego poznania zbyt wielu ludzi. Macie już za sobą rozdział o Kucharskim, więc mechanizm rozumiecie – podchodzicie tak blisko, że nagle się okazuje, iż ten niesympatyczny, tamten kłamie, ten spoko, ale śmierdzi mu z ust, a jeszcze inny nałogowo zdradza całkiem miłą żonę. Jednocześnie jeździcie po Polsce i rozmawiacie z ludźmi z wrogich klubów, z piłkarzami, których jeszcze dwa lata wcześniej jako kibice nienawidziliście. I okazuje się, że to sympatyczni ludzie. Że ten obrońca Widzewa

jest w sumie bardziej w porządku niż ten z Legii. Tak po ludzku. W tym momencie w kręgosłupie wypada pierwszy dysk...

I wreszcie moment krytyczny. Pierwszym piłkarzem Legii, z którym robiłem wywiad, był Grzegorz Szamotulski. Krnąbrny, z niewyparzoną mordą, na przemian albo on z nikim nie chciał gadać, albo nikt z nim. Do redaktora Leszka Świdra z „Życia Warszawy” – starszego, siwego pana – potrafił powiedzieć: „Może mi jeszcze, kurwa, ten dyktafon do gęby wsadzisz, baranie?”. A to tylko dlatego, że red. Świder zbliżył się o pięć centymetrów za blisko.

Ale trybuny Grześka kochały, pewnie to było powodem jego ówczesnej sodówki. Kiedy poszedłem z nim porozmawiać dla „Przeglądu Sportowego”, z duszą na ramieniu, skorzystałem z pomocy Wojtka Hadaja – miał nas umówić. „Szamo” wyszedł z szatni, spojrzał, zrobił zdziwioną minę, a potem wypalił: – Kurwa, wiedziałem, że masz być młody. Ale ty jesteś... Kurwa, ty jesteś młodszy niż ja!

Miałem 14 lat.

A potem pogadaliśmy. Raz, drugi. Za bluzgającym na lewo i prawo skurwielem krył się facet o gołębiu sercu. Zaprzyjaźniliśmy się, minęły lata, w końcu zostałem ojcem chrzestnym jego dziecka, a on świadkiem na moim ślubie.

I teraz postawcie się w mojej sytuacji. Jest mecz Legia – Amica. W Legii kilka osób cię coraz bardziej wkurza, irytują cię zwłaszcza działacze, bo widzisz, że mogą kręcić lody. Ogólnie z bliska klub nie wygląda wcale tak fajnie jak z daleka, a piłkarze nie prezentują się jak na plakatach. Nie są żadnymi herosami. W drugim zespole gra Szamotulski, który w zasadzie jest już dla ciebie jak rodzina. Możesz kibicować napastnikowi, którego prywatnie wcale nie lubisz, żeby strzelił gola bramkarzowi, którego bardzo lubisz. Dla wielu byłoby to normalne (bo Legia!), a dla wielu nienormalne. Dla mnie nienormalne. Myślę, że ten mecz, kiedy po raz pierwszy cieszyłem się, że Legia przegrała (bo

przegrała 1:2), był przełomem. W kręgosłupie chrupnęło na poważnie.

Zmierzam do tego, że jeśli podejdziesz dostatecznie blisko, kluby piłkarskie przestają być dumnie brzmiącymi nazwami, a zaczynają stanowić zlepek nazwisk. Zaczynasz kibicować ludziom, śledzić ich losy, historie. Dzisiaj bardzo często kibicuję, ale nie klubom, tylko właśnie ludziom – a to znajomym, a to osobom, których jeszcze nie znam lub znam słabo, ale o których mam dobre zdanie i którym życzę powodzenia, bo mam wrażenie, że na to zasługują. To jest przejście na drugą stronę lustra, doznanie, którego kibice nie doświadcniają, dlatego go nie rozumieją. Dla nich sprawą nadrzędną są barwy – zazdroszczę, to wspaniałe, chciałbym się cofnąć do tych lat, lecz już nie mogę.

Przypomniał mi się inny mecz na stadionie Legii. Ostatnia kolejka sezonu 2006/2007. Zagłębie Lubin musi wygrać na Łazienkowskiej, żeby być mistrzem kraju. Trenerem tej drużyny jest mój serdeczny przyjaciel Czesław Michniewicz. Poznałem go, zanim został trenerem i zanim w ogóle pomyślał, że poprowadzi klub w ekstraklasie. Znam jego, jego żonę Grażynę, synów Mateusza i Kubę. Jest gorący, majowy dzień. Bardzo chcę, żeby Michniewicz osiągnął ten wymarzony sukces. Obok mnie siedzi moja ówczesna narzeczona, a dziś żona – Marta – która jest świetnym dietetykiem i która dla piłkarzy Zagłębia układała wtedy diety indywidualne. Z drugiej strony – Michał Chałbiński, napastnik lubinian, akurat kontuzjowany. Ciągłe dopytuje mnie, jaki wynik jest w równoległym rozgrywanym spotkaniu Pogoń – GKS Bełchatów, i gdy mówię mu, że wygrywają goście, to strasznie się martwi i mamrocze, że „już po mistrzostwie” – kompletnie nie rozumie, że przecież jeśli Zagłębie wygra (a wygrywało), to wynik tamtego spotkania nie będzie miał znaczenia.

Siedzimy tak sobie i w duchu kibicujemy Zagłębiu, a Marta nawet odmawia zdrowaśki. To są takie momenty, które na

zawsze niszczą twoją duszę kibica, a raczej depczą jej nikłe resztki. Nie można być trochę w ciąży, a trochę nie. I nie można kibicować klubowi w jednym miesiącu, a w następnym już innemu, zależnie od sytuacji w tabeli. Albo kibicujesz zawsze, albo nigdy. I ja niestety już od wielu, wielu lat nigdy. Boleję nad tym. Tęsknię. Czasami myślę, że chciałbym mieć normalną pracę, ale i to dawne nienormalne hobby. Cóż jednak poradzę, czasu nie cofnę. Dziennikarstwo sportowe to pakt z diabłem. Coś dostajesz i coś tracisz.

Moi dawni koledzy z trybun to rozumieją. Koledzy kolegów – już nie wszyscy. Dla niektórych pewnie jestem kimś, kto się wyrzekł klubu lub też potraktował go jako prywatną trampolinę (choć jeśli takie opinie do mnie docierają, to tylko okreśną drogą, na żywo spotykam się wyłącznie z sympatią kibiców). Nie mogę mieć pretensji o takie stwierdzenia – ich autorzy po prostu nie mieli żadnych szans znaleźć się w mojej sytuacji, przeżyć tego, co ja przeżyłem, wsiąknąć w środowisko, jak ja wsiąknę. Wierzcie mi, to nieodwracalnie zmienia optykę.

I dlatego właśnie przestrzegam przed dziennikarstwem – skradnie wam to, co w piłce najpiękniejsze. Amok po golach, ręce wyrzucone w górę w geście triumfu, łzy wzruszenia.

Poniekąd wszystko, co napisałem powyżej, jest odpowiedzią na pytanie, dlaczego książkę „Stan futbolu” napisałem w Barcelonie. Dlaczego w ostatnich latach przylatuję do tego miasta raz na dwa miesiące albo w ogóle w nim pomieszkuję. Tak, jest to prawdopodobnie najprzyjemniejsze miejsce do życia w Europie. Spokojne, ciepłe, przyjazne, nie za duże i nie za małe, takie akuratne pod każdym względem. Piękne, nadmorskie, słoneczne, niezakorkowane, z fantastycznym transportem miejskim, szerokimi deptakami, gwarnymi kafejkami... Tak, to wszystko też ma znaczenie. Jednak pewnego dnia uświadomiłem sobie, czego ja tutaj tak naprawdę szukam, a z czego być może przez jakiś czas nawet nie

zdawałem sobie sprawy – otóż szukam tej młodszej pasji, dzieciństwa. Przyjeżdżam do piłkarskiego miasta, gdzie nie tylko mogę oglądać na żywo najlepszych piłkarzy świata, ale przede wszystkim, gdzie znów mogę być zwykłym kibicem. Musiałem jechać tak daleko, by jeszcze raz to poczuć. Znowu – jak na początku lat dziewięćdziesiątych w Warszawie – widzę postaci z plakatów, ludzi z pierwszych stron gazet. Niedostępnych bohaterów. Mogę ich sobie idealizować, jak kiedyś idealizowałem Leszka Piszę, Wojciecha Kowalczyka, Adama Fedoruka... I znowu kusi, by podejść bliżej, by przeniknąć w ten świat, ale drugi raz tego samego błędu nie popełnię. Kusi i nęci, ale potem sobie mówię: „Stano, nie rób tego, przecież już znasz zakończenie”.

Co tydzień – albo i dwa razy w tygodniu – kupowałem bilety na mecze, drogie jak jasna cholera. Mógłbym wystąpić o akredytację prasową i bym ją dostał, wszedłbym za darmo, może poszedł do strefy mieszanej, do zawodników... Kiedyś mój kumpel, instruktor z siłowni, poprosił mnie o załatwienie biletu na Barcelonę. Było to dawno, ponad dziesięć lat temu. Powiedziałem mu szczerze: – Jak ja ci mam niby załatwić bilet na Barcelonę, skoro mieszkam na Ursynowie? Ale w końcu wpadłem na pomysł, że z redakcji „PS” wyślę faks: pan Marcin Zakępski jest naszym dziennikarzem i prosimy o akredytację na mecz – to tak w skrócie.

– I co, wszedłeś? – zapytałem go potem.

– Nie dość, że wszedłem, to jeszcze zrobiłem sobie zdjęcie z Ronaldinho! – odparł uradowany.

Nie byłby to więc problem, by znowu rozpocząć tę samą drogę, którą rozpocząłem w Warszawie. Krok po kroku zbliżać się do klubu, do drużyny, wiadomo, że już nie na tak bliski dystans, bo to inne realia, ale dałoby się wetknąć stopę między drzwi a framugę. Ale za nic w świecie nie chcę tego zrobić. Bo co mogłoby mnie czekać po tej drugiej stronie? Znowu to samo. Po

co mam wiedzieć, że ten piłkarz jest opryskliwy, tamten chamski, jeszcze inny po prostu irytujący? Na co mi ta wiedza? Wolę, by pozostali dla mnie ludźmi z innego świata. Postaciami z komiksu. W jakim celu miałbym się przekonywać, że ci piłkarze są zwykłymi ludźmi – którymi przecież niewątpliwie są? Kazik Staszewski opowiadał mi kiedyś: „Poszedłem pod szatnię Legii, czekałem na mrozie. Wreszcie wyszedł – mój idol. Kazimierz Deyna. I wiesz co? Nie dał mi autografu, zachował się opryskliwie. Pomyślałem sobie wtedy: o ty chuju, to ja tu marznę... Nie brałem pod uwagę, że mógł mieć po prostu koszmarny dzień”. Między innymi dlatego wolę oglądać Lionela Messiego z daleka, rozkoszować się jego piłkarskim geniuszem. Żeby kiedyś nie znaleźć się w złym czasie i w złym miejscu i nie pomyśleć: o ty chuju...

Barcelona ma tę wielką zaletę, że nie grał w niej żaden Polak. Pod tym względem nie została rozdzielona. Jezus, jak ja bardzo chciałbym, żeby tak pozostało. Gdyby tylko trafił tu Polak, to zaraz miałbym wysyp tekstów na ten temat, chcąc nie chcąc, posiadłbym wiedzę zakulisową, jak w przypadku Manchesteru United po transferze Kuszczaka. Środowisko piłkarskie jest małe. Powiesz jednej osobie, zaraz wie sto. Więc od razu bym wiedział, który piłkarz przyjeżdża do klubu śmierzący, bo się nie myje przed treningami, kto i kiedy dał w palnik, a kto ma cztery kochanki.

Nie, do niczego nie jest mi to potrzebne. Ja potrzebuję jedynie dawnej Legii – potrzebuję stadionu, na którym jestem zwykłym kibicem i gdzie mogę się cieszyć albo smucić tak po prostu, nie dźwigając bagażu niepotrzebnej wiedzy. Potrzebuję piłkarzy, których lubię za to, jak grają, a nie – jak się zachowują po meczach. Potrzebuję goli, które mnie cieszą, a nie takich, które stanowią statystyczną ciekawostkę. Po prostu tutaj odnalazłem ten piłkarski raj utracony.

Odzyskałem to, co zabrało mi dziennikarstwo sportowe.

Wiele osób twierdzi, że „Barcelonie kibicuje się łatwo”. To ciekawe zagadnienie, które przy okazji można poruszyć. Wiadome jest, że kibicuje się jej przyjemniej niż Stomilowi Olsztyn albo Radomiakowi Radom, chociażby z tego powodu, że w Radomiu nie ma ani morza, ani Messiego. Z jakichś jednak przyczyn wiele osób w Polsce utożsamia prawdziwe kibicowanie z cierpieniem. Że prawdziwym kibicem jest ten, który ogląda tych wszystkich szkaradnych piłkarzy niepotrafiących podać na 20 metrów, świetnie, jeśli do tego pada deszcz, jeszcze lepiej, jeśli ten deszcz po chwili zamarza, a najlepiej, jeśli krzesółko jest całe wymazane błotem, ewentualnie krowim gównem. Wtedy – jeśli potrafisz zaakceptować te niedogodności – jesteś prawdziwym kibicem. Są jednak kraje, w których oglądanie futbolu w pierwszej kolejności ma być przyjemnością, a nie udręką – i właśnie do takich krajów należy Hiszpania.

Barcelonie kibicuje się łatwiej, ale... tylko trochę łatwiej. Troszeczkę. Ciupeńkę. „Przecież ona ciągle wygrywa!” – mówią ludzie. To prawda, obecnie zazwyczaj wygrywa. Dopiero jednak tutaj, będąc kibicem Barcelony (uważam się za niego, skoro w ostatnich dwóch sezonach na żywo obejrzałem jakieś 30 meczów, a łącznie to już znacznie więcej i nie mam zamiaru na tym poprzestać), zauważyłem prawdziwą specyfikę futbolu wspólną dla wszystkich klubów, od najgorszych do najlepszych. Otóż futbol na każdym poziomie to ciągła, nieprzerwana frustracja, udręka, lęk i strach. Paskudny nałóg, który cię zżera, a chwile radości są tak krótkie, że niemal bez znaczenia. Byłem w Berlinie na finale Ligi Mistrzów i cieszyłem się, gdy Barcelona pokonała Juventus 3:1. Wielka sprawa, prawda? Ale ile ta radość trwała? Dwa dni? Potem przemieniła się w satysfakcję, nieprzerwaną aż do startu nowego sezonu. A później? Ruszają mecze na nowo i na nowo się stresujesz. Berlin to prehistoria, teraz ważniejsze jest Levante, Rayo, Celta albo Ajax. Kiedy

oglądasz mecz z przykładowym Levante, nie rozmyślasz o finale LM, tylko o tym konkretnym spotkaniu.

Tak, i te mecze Barcelona zazwyczaj wygrywa wysoko. Jednak słowo „zazwyczaj” w przypadku ligi hiszpańskiej ma olbrzymie znaczenie. To nie Anglia, gdzie raz wygrasz, raz przegrasz i dalej liczysz się w walce o tytuł. Tutaj wymogi są inne. Po pierwsze – musisz bezsprzecznie wygrać, bo jeśli chociażby zremisujesz, to może być to remis na wagę utraty mistrzostwa. Denerwujesz się więc nawet jakimś w teorii byle jakim meczem, w którym twoja drużyna przez 70 minut nie potrafi strzelić gola i z przerażeniem obserwujesz, jak niewiele czasu zostało do końca. Jeśli nawet uda się wcisnąć na 1:0, to później oglądasz mecz Realu Madryt i czekasz, czy straci punkty. Ale on punktów nie traci, więc twoje zwycięstwo nie miało żadnego znaczenia. Nie cieszysz się z niego jakoś specjalnie, bo i z czego? W tabeli bez zmian. Za tydzień znowu powtórzysz całą ceremoniał: będziesz denerwował się swoim meczem i denerwował meczem rywala. I tak 38 razy w sezonie. Nerwy, ciągle nerwy. Znacznie więcej nerwów niż uśmiechu.

Bez względu na to, komu kibicujesz – będziesz się denerwował jak jasna cholera. I bez względu na to, komu kibicujesz – prędzej czy później dopadnie cię pieprzona porażka, jakiś blamaż, totalna klęska. Pod tym względem wszyscy kibice są sobie równi.

Stres jest permanentny. O wynik, nawet jeśli później okaże się, że nie trzeba było się stresować, ale też o zdrowie piłkarzy – co jest trochę czymś innym niż w Polsce. Kibice nad Wisłą nie są specjalnie rozpieszczani i piłkarze, których oglądają, to głównie ci, którzy okazali się zbyt słabi, żeby wyjechać do poważniejszej ligi. Prawdziwi idole wymarli, od dawna brak indywidualności, od których coś naprawdę by zależało. Kiedy więc na murawę w polskiej ekstraklasie pada piłkarz i wbiegają noszowi, nikt się tym specjalnie nie przejmuje. Nawet jeśli okaże się, że to



poważny uraz, to cóż z tego? Po prostu na boisku przez jakiś czas będzie pojawiał się inny zawodnik, który też nie potrafi grać.

W Barcelonie trzy razy byłem na meczach, w których kontuzję odnosił Lionel Messi. Szczególnie pamiętam jedno z tych spotkań: z Benficą Lizbona. Ostatnia kolejka fazy grupowej Ligi Mistrzów, Barca w rezerwowym składzie. Jest tak zimno, że kostnieją palce u rąk i nóg, trudno zapanować nawet nad szczęką. W drugiej połowie na boisko wchodzi Argentyńczyk i wkrótce potem wikła się w starcie, po którym upada na ziemię. Siedzący obok mnie Czesław Michniewicz mówi: – Widziałeś, co się stało z jego nogą? Zerwane więzadła. Sto procent.

Messiego z boiska zabiera karetka, a stadion cichnie na długie, długie minuty. Po końcowym gwizdku niemy tłum powoli człapie w stronę metra. Panuje cisza jak makiem zasiał. W metrze byłoby słychać latającą muchę. Wszyscy rozmyślają: czy naprawdę zerwał więzadła? Co dalej? Pół roku przerwy? Czy wróci równie dobry? Czy w ogóle wróci?

Docieramy do mieszkania. Włączamy telewizor. Do trzeciej nad ranem reporterzy prowadzą relację sprzed szpitala, aż w końcu koło trzeciej mówią: nic mu nie jest, kontuzja niegroźna.

Zmierzam do tego, że to jeszcze jeden, może nie najważniejszy, ale jednak dodatkowy czynnik stresogenny. Im lepszej drużynie kibicujesz, im lepszych ma ona piłkarzy, tym więcej masz do stracenia. Zamierasz, gdy ktoś przewraca się i długo nie wstaje, podczas gdy w polskiej lidze wykorzystujesz tę przerwę na łyk wody.

W Barcelonie mecze ogląda się inaczej niż w Polsce. Nie sędzę, by jedna wizyta wystarczyła, by to w pełni poczuć. Sporo osób – zwłaszcza te znające Camp Nou z telewizji – mówi, że atmosfera jest kiepska, piknikowa. A moim zdaniem atmosfera zawsze musi być dopasowana do miejsca – i ta taka jest. Skrojona na miarę. Osobiście bardzo lubię ten klimat –

nazywam go wimbledońskim. Na trybunach otaczających kort, podczas meczu Djokovicia z Federerem, nikt nie krzyczy „zaserwuj kurwie asa!”, nikt nie skanduje w stronę przeciwnika „chuj ci na imię!”. Umówmy się – byłoby to skandaliczne, komentowane na całym świecie pogwałcenie tenisowej etykiety. Nawet najbardziej zagorzali kibice piłkarscy wiedzieliby, że gdy zawodnik przygotowuje się do serwisu, należy zachować ciszę, a nie odpalać petardę hukową. To się po prostu czuje.

Camp Nou też ma swój klimat. Wimbledoński nie dlatego, że jest cicho (bywa cicho, ale czasami jest bardzo głośno), lecz dlatego, że publika jest niezwykle wyedukowana. To żaden prztyczek w kierunku polskich kibiców, absolutnie. Po prostu każde miejsce ma swoją specyfikę, historię... W Barcelonie na trybunach zasiada niezwykle dużo starszych osób zajmujących od lat te same miejsca. Przychodzą w ostatniej chwili, witają się z sąsiadami z sektora, z którymi poznali się dziesięć czy dwadzieścia, często i trzydzieści lat wcześniej. Później z wielkim znanstwem oglądają mecz. Nauczyli się futbolu przez te lata, bo mieli najlepszych profesorów – naprawdę można przyzwyczać się do wlepiania wzroku w boisko, jeśli widziałeś na nim Cruyffa, Maradonę, Romário, Stoiczkowa, Rivaldo, Ronaldinho, Messiego... Wszyscy najwięksi grali na twoich oczach i edukowali cię z zakresu podań, strzałów, dryblingów, tempa, taktyki. A i u przeciwników w tym czasie nie grali Berensztajn czy Holc. Z pewnością ci ludzie też mogliby machać szalikami, skakać, nakrywać się wielkimi flagami, ale jest jeden problem: wtedy gorzej widać. Nawet nieprzerwane darcie japy po prostu przeszkadza w oglądaniu meczu.

Polski kibic nie ma tego problemu – śpiewa, skacze, macha. Brawo, jest to efektowne, ale moim zdaniem wynika przede wszystkim z niskiego poziomu sportowego. Z tego, że nie ogląda zdobywców Złotej Piłki, tylko podrzędnych, europejskich

piłkarzy drugiego czy trzeciego sortu. Nie ma więc fanów lepszych i gorszych – są inni, tak jak inne są warunki, w których dorastali, i inne mecze, które przychodzi im oglądać. Dla mnie spotkanie na Camp Nou to wielka partia szachów. Kibice wbijają wzrok w murawę, analizują przesuwanie się formacji, szukają luk. Podpowiadają w stylu: zaatakuj gońcem, rusz koniem, hetmanem w środek, piony do przodu. Piłka krąży, kilkadziesiąt tysięcy ludzi zastanawia się, co dalej, i próbuje podsuwać rozwiązania. To naprawdę nie jest moment, aby krzyknąć „strzelcie kurwom gola!” albo zasnuć boisko dymem z rac. Koncentracja jest zbyt wielka, by zawracać sobie głowę duperelami.

Więc jeśli zdarłeś gardło na meczu polskiej ligi – cóż, masz prawo czuć satysfakcję, współtworzyłeś widowisko. Ale miej świadomość, że i z Camp Nou wiele osób wraca zachrypniętych. Nie dlatego, że śpiewali w rytm zapodany przez zapiewajkę, ale dlatego, że wrzeszczeli: wycofaj, podaj, na lewo, uważaj.

I uwierz mi na słowo – byłbyś dokładnie taki sam, gdyby przyszło ci oglądać dokładnie takich samych piłkarzy i takie same drużyny.



# **Dlaczego warto być dziennikarzem sportowym?**



**Z**anim odpowiem na pytanie zawarte w tytule tego rozdziału – chociaż tej odpowiedzi będziecie się coraz bardziej domyślać – postanowiłem opisać swoje początki, a przede wszystkim ludzi, których spotkałem, a którzy mają lub mieli wielki wpływ na kreowanie opinii publicznej. Nie każdego kojarzycie z twarzy, ale wierzcie mi – są to ludzie, którzy wielokrotnie sprawiali, iż o piłce i piłkarzach myśleliście w konkretny sposób.

\* \* \*

Często mówi się, że dziennikarze sportowi to ludzie, którym nie wyszło – chcieli zostać piłkarzami, ale zabrakło im talentu, cierpliwości albo zdrowia. Teraz, zgorzkniali, odarci ze złudzeń, krytykują piłkarzy. To zupełna nieprawda. Dla przykładu ja przez ani jeden dzień nie marzyłem o tym, by grać w piłkę, za to miałem jasny cel: pisać o piłce. I zacząłem to robić na początku 1997 roku, jako uczeń ósmej klasy szkoły podstawowej. Wtedy „Przegląd Sportowy” opublikował mój pierwszy – no, nazwijmy to szumnie – artykuł.

Trzeba wiedzieć, że „Przegląd” był wtedy – tak mi się przynajmniej zdaje – firmą trochę inną, było tam mnóstwo ludzi, którzy pracowali przez 15, 20 czy 25 lat, a pani Grażynka wspominała jeszcze, jak w czasie mistrzostw świata w 1978 roku przez pięć godzin czekała na połączenie z Argentyną, by odebrać tekst od śp. Mirosława Skórzewskiego (miał piękny pogrzeb, z głośników płynął śpiew Franka Sinatry). I jak po pięciu godzinach czekania na linii nagle ją połączyło, to Miruś

odebrał i powiedział jedynie: – Grażyna, zadzwoń za kwadrans, bo idę się kąpać!

Teraźniejszość – czasy komputerów, internetu, skanerów, szybkich łącz, telefonów komórkowych – mieszała się z uroczą przeszłością, tekstami pisanymi ręcznie i przesyłanymi faksem albo dyktowanymi przez telefon. Jak miałeś pecha, to trafiałeś na tę jedyną maszynistkę, która skończyła polonistykę i ona ciągle cię strofowała: – Zły szyk, nie po polsku, co to jest? Idź gdzieś indziej, bo nic nie słyhać! Jak ja mam notować?!

– Nie mogę nigdzie iść, jestem za bramką, na boisku w Płocku. To kibice krzyczą, przepraszam.

W rzadko której firmie hierarchia ustawiona jest prawidłowo. Wtedy w „PS” najbardziej należało się liczyć z maszynistkami oraz kierowcą, przy czym kierowca był bezsprzecznie pierwszy po Bogu. Teoretycznie po dyżurze miał obowiązek zawieźć cię do domu, ale trzeba było mieć wielkie szczęście, by akurat jechał w tym samym kierunku.

Technika dopiero wkraczała do dziennikarstwa, w zasadzie próbuję sobie przypomnieć, jak myśmy tę gazetę robili bez tych wszystkich dzisiejszych zabiegów kopiuj/wklej, bez zatręśienia depesz zamieszczanych w internecie, bez zagranicznych tekstów, które wystarczy przetłumaczyć i słowo w słowo przepisać. Edytor tekstu, z którego korzystaliśmy, nie miał nawet licznika znaków, więc objętość liczyło się w ekranach. Jeśli tekst zajmował cały ekran, to miał około 1400 znaków. „Napisz tekst na trzy ekrany” – to był standardowy komunikat. Ja – wcześniej zafascynowany informatyką – czułem się jak ryba w wodzie, podczas gdy wielu starszych dziennikarzy nie rozumiało tej technologicznej ofensywy. Janusz Atlas mnie wołał: – Ratuj, Krzysiu, ratuj, coś wcisnąłem i zginął cały tekst!

Atlas, genialny felietonista, momentami (ale tylko momentami) bufonowaty i nieprzyjemny akurat proporcjonalnie do skali talentu i sławy, w starciu z

komputerem okazywał się bezbronny jak dziecko. Ale za to żaden inny dziennikarz nie był tak zorganizowany logistycznie. Janusz codziennie miał przygotowaną rozpiskę konferencji prasowych w Warszawie i mówił: – Polski Związek Biathlonu o 13.00, ale tam nie będzie nic na ciepło, więc lepiej na 13.30 do Polskiego Związku Piłki Siatkowej, bo tam karmią dwudaniowo, a potem o 17.00 do PZMot-u. Gdyby wystartował w zawodach, jak przeżyć miesiąc za 100 złotych, nie tylko by wygrał. On by ten miesiąc przeżył jak król.

Była ówczesna redakcja czymś, co wspominam z sentymentem, trochę jak rodzinę zastępczą, pewnie też dlatego, że wszyscy byli mi bardzo pomocni. Raz pytam: – Przepraszam, czy mogę na pół godziny wyjść?

– A gdzie idziesz? – spytał Maciej Polkowski, wtedy szef działu piłki nożnej, wcześniej naczelny.

– Muszę sprawdzić, czy dostałem się do liceum.

Kiedy tak wracałem ulicą Nowogrodzką do redakcji dumny, bo oczywiście się dostałem, to uśmiechałem się w duchu. A w redakcji otrzymałem oklaski. Ha, fajne czasy. Ktoś spyta: – Jak to możliwe, by taki gówniarz pisał teksty? To bardzo proste. Poza tym, że trzeba jakoś pisać, czyli wiedzieć, że zdanie zaczyna się wielką literą, to pomaga upierdliwość. Byłem więc skrajnie upierdliwy. Widziałem, że tabela ekstraklasy nie jest zrobiona i że nikomu nie chce się jej robić.

– Przepraszam, czy mogę pomóc przy tabeli ekstraklasy?

– A niczego nie pomylisz?

– Nie.

– No to rób.

Wyszukiwałem słabe punkty, zastanawiałem się, jak można odciążyć dziennikarzy od najbardziej niewdzięcznej roboty. I wtedy wkraczałem: – Może pomóc? Zdjęcia wyszukiwało się ręcznie, z normalnych odbitek gromadzonych gdzieś w kopertach, co zajmowało mnóstwo czasu. Kto znajdzie

Marka Leśniaka z meczu z Anglią? Oczywiście ja. Potrzebna fotka, jak ktoś z Legii walczy z kimś z Górnika? Zaraz wyszukam. Kto zanieś korektorkom strony z poprawkami? Ja. Zaraz po piętnastych urodzinach pierwszy raz opisałem mecz ekstraklasy: Stomil podejmował Widzew, do Olsztyna zawiozła mnie mama i dwie godziny czekała przed stadionem. To musiała być podobna sytuacja: kto pojedzie do Olsztyna? Ten nie może, ten nie chce – ja w głowie oczywiście przeprowadziłem analizę, z której wynikało, że na ten mecz nie będzie chętnego, bo to był dodatkowo okres urlopowy. No i udało się – pojechałem.

Myślę, że wtedy starsi dziennikarze mieli ze mną dobrze. Jeśli tylko nie chciało im się czegoś robić – robiłem to ja. Jeśli mieli gorszy dzień – czekałem. Chcieli wyjść do domu – oczywiście byłem chętny, by wszystkiego dopilnować. Wydaje mi się, że od 14. roku życia przez wiele kolejnych lat mieszkałem w redakcji. Wychodziłem rano do szkoły – z podstawówki był kawałek drogi, ale już liceum miałem w centrum Warszawy, niedaleko, przy ulicy Emilii Plater (im. Klementyny Hoffmanowej) – a po szkole szedłem do redakcji. I zostawałem nawet do północy, czyli do zamknięcia ostatniego wydania. Lekcje odrabiałem na przerwie albo wcale, uczyłem się w nocy (albo wcale – kto by się uczył chemii). Jeśli nie byłem w redakcji, to byłem na Legii, gdzie znałem każdy kąt. Już wtedy odzywał się ten mój wredny charakter. Kiedyś Władysław Stachurski, kulturalny, starszy pan, którego jednak jakoś podświadomie nie lubiłem, zawołał mnie na moment. Usiedliśmy sobie na ławce, a on mówi: – Widzi pan (pan!) tę piękną topolę?

– Widzę – odparłem, bo przecież topola rosła dziesięć metrów przed nami.

– Redaktor Stanowski napisałby: Piękna topola, ale dlaczego nie mogły tu rosnąć dwie?

Trafnie mnie scharakteryzował, jako pierwszy.



Robiłem te kolejne kroki, kroczyki, skoki. Pierwsza relacja z ekstraklasy, pierwszy wywiad z piłkarzem ekstraklasy, pierwszy wyjazd w delegację, pierwszy dyżur. Widziałem w życiu kilkudziesięciu młodych chłopaków, którzy chcieli być dziennikarzami. Większości brakowało talentu, bezsprzecznie, ale praktycznie wszystkim pracowitości i cierpliwości – żadnemu do głowy nie przyszło, by zaproponować pomoc w robieniu tabelk, a większość nawet robiła obrażoną minę, gdy im się to zleciło. Nie chcieli babrać się w tym przez tydzień czy miesiąc, a co dopiero przez rok albo i dwa lata!

Różne rzeczy ludzie o mnie mówią, ale z ręką na sercu mogę przyznać – byłem tytanem pracy. Kiedyś Jacek Kmiecik zadzwonił do mnie o 23.00: – Może pojechałbyś jutro o 6 rano do Cieszyna?

– Do Cieszyna? A po co?

– Pogoń jest tam na zgrupowaniu. Zrobiłbyś wywiad z trenerem.

– A przez telefon nie mogę?

– Na żywo wyjdzie lepszy.

I pojechałem, chociaż dobrze wiem, że to było bez sensu, stanowiło jedynie element testowania mojego charakteru. Czy znowu bez zająknięcia wykonam zadanie, czy może znajdę wymówkę? Nie, nie szukałem wymówek.

Przyznać jednak muszę, że wszystko przychodziło mi dość łatwo. Pisałem dużo, regularnie wypełniając też strony „Naszej Legii” (gdzie szansę mi dał śp. Wiesław Giler, ale też red. Robert Piątek). Nie jeździłem na wakacje, rzadko imprezowałem, nie miałem czasu na spotkania klasowe – praca, praca, praca. Za pierwszą pensję kupiłem zegarek, ale jak tylko wiek uprawniał mnie do zdania egzaminu na prawo jazdy, kupiłem sobie nowiutkiego volkswagena golfa IV – podjeżdżając nim na parking dla nauczycieli i beczelnie parkując między nimi wzbudzałem u niektórych irytację. Szczęście, że miałem

wspaniałą wychowawczynię, Annę Cioch, z którą zawsze byłem brutalnie szczery i która zawsze mnie broniła. Kiedy pytała, dlaczego nie było mnie na pierwszej lekcji (prawie zawsze mnie nie było – warszawskie korki!), to mówiłem, że mi się nie chciało.

– Chcesz, żebym usprawiedliwiła ci nieobecność, a mówisz mi, że ci się nie chciało wcześniej wstać?

– Zbyt panią szanuję, by panią okłamać. Mógłbym powiedzieć, że byłem u lekarza, ale prawda jest taka, że mi się nie chciało wstać.

I była w kropce. Potem wołała chyba nie pytać, tylko usprawiedliwiała wszystko z automatu. Świetna babka, a w zasadzie dziewczyna, bo przejęła naszą klasę zaraz po studiach. Mówiłem jej: – Jadę w delegację na dwa tygodnie! Do zobaczenia! Ciao!

A ona wiedziała, że naprawdę pojechałem w delegację i że to jest znacznie lepsze usprawiedliwienie nieobecności niż jakaś tam grypa. Wiedziała, że chociaż jeszcze jestem uczniem liceum, to już mam zawód, który muszę wykonywać.

\* \* \*

Kiedy miałem 19 lat, zostałem wysłany na finały mistrzostw świata do Korei i Japonii, co było decyzją Piotra Górskiego (naczelnym) i Pawła Zarzecznego (zastępcą), przy czym na pewno inspiracja musiała wyjść od Pawła, który w głębokim poważaniu miał uznaniowe hierarchie, staż pracy i inne takie bzdury, chciał jedynie dobrych tekstów i zapieprzania z wywieszonym jęzorem, a wiedział, że ja mu to gwarantuję. Paweł zjawił się w „PS” ze dwa albo trzy lata po mnie i szybko doszedł do wniosku, że im więcej zrzuci na moje barki, tym sam będzie miał większy spokój. Bo ja nie pójde na piwo, nie powiem, że mam chore dziecko albo rocznicę ślubu. Będę siedział i

sprawdzał przecinki. Raz nawet – gdy, jak to u niego, obiad przemienił się w biesiadę – zadzwonił, bym napisał za niego felieton (i podpisał się jako on). Jako wielki komplement traktuję fakt, że nikt się nie zorientował.

Sama delegacja zagraniczna nie była niczym nowym, bo już wcześniej zaliczyłem sporo wyjazdów – np. do Portugalii, żeby porozmawiać z Luisem Figo – ale niewątpliwie wysłanie akurat mnie na mistrzostwa świata do Azji musiało wzbudzić wewnątrz redakcji pewne kontrowersje (zgaduję, bo przy mnie nikt się nie ujawnił). W połowie mundialu Adama Godlewskiego zawrócono do Polski, a ja zostałem na pełne 40 czy 50 dni, już dokładnie nie pamiętam, będąc jedynym wysłannikiem największej polskiej gazety sportowej. Hm, fajna sprawa. Napisałem stamtąd mnóstwo znośnych materiałów i chyba nawet red. Kmiecik był zadowolony, mimo że jak zwykle presję wywierał niesamowitą. Pamiętam, że ledwie wylądowałem w Seulu, czekałem przy taśmie na bagaż, a tu telefon: – Dlaczego nic jeszcze nie dałeś?!

– Jacek, dopiero wylądowałem!

– Po co ja w ogóle cię tam wysłałem... Za godzinę muszę mieć tekst! A jak nie, to w ogóle z tego lotniska się nie ruszaj, tylko kup bilet do Polski i wracaj.

I zakończył w swoim stylu: – Kupę zrobiłeś i jeszcze kupę masz do zrobienia.

Napisałem migusiem coś o cenach w sklepach, taki poradnik dla polskich kibiców. Że jabłka są drogie i inne takie duperele. Tyle, co mogłem zauważyć na lotnisku. Nie mając jeszcze 20 lat, opisałem dla „PS” finał mistrzostw świata w piłce nożnej, wkrótce po powrocie zostałem najpierw zastępcą szefa działu piłki nożnej, a jakiś czas potem (nie pamiętam dokładnie, kiedy) szefem. To było trochę dziwne, bo nie dość, że wciąż byłem najmłodszą osobą w redakcji, to miałem pod sobą

doświadczonych i dużo starszych dziennikarzy: Zaranka (mój zastępca), Nahornego, Kołtonia, Czerniaka itd.

Tym szefem byłem przez dłuższy czas. Co oznacza – szef działu piłki nożnej? Mówiąc krótko, taka osoba odpowiada za wszystko, co ukazuje się na temat piłki, decyduje o zawartości każdej strony i ma wpływ na treść każdego artykułu. „Przegląd Sportowy” dzielony był na dwa działy: piłka nożna i inne sporty, przy czym piłka zawsze była ważniejsza i brała tyle stron, ile chciała. Gdzieś czuwał nad tym wszystkim redaktor naczelny, ale w sumie wtrącał się rzadko, a gazeta tworzyła się w oparciu o szefów tych dwóch działów. Czy tak jest nadal – nie wiem, ale zgaduję, że podobnie.

Ostatnie 3–4 lata w „PS” (odszedłem wiosną 2005 roku) wspominam świetnie, ze względu na atmosferę, jaką udało się wytworzyć w dziale. Codziennie – chyba nie przesadzam, naprawdę codziennie – chodziliśmy wtedy z większością działu na imprezy, a śmiechu było tyle, że nawet udało się czasami wyciągnąć nobliwego Rafała Nahornego, bywało, że rozchodziliśmy się o siódmej rano, co było o tyle możliwe, że w pracy należało zjawić się o jedenastej. Do roboty przychodziło się z radością, a Przemek Rudzki przyjeżdżał nawet, kiedy miał dzień wolny, bo nie chciał, żeby cokolwiek go ominęło. Rudzki to był duży talent, świetnie się rozwinął, a zaczynał podobnie jak ja – też od listu. Jego list przeczytał Zarzeczny. Rudzki coś tam przynudzał, że mieszka w Anglii i nosi meble albo zbiera psie kupy, nie pamiętam, a Zarzeczny mu na to: – Dobra, dobra, panie Przemku, też będę w Londynie, może się przypadkiem spotkamy w metrze, wszystko możliwe. Proszę mi napisać, jaka tam jest pogoda.

W końcu Przemek postawił wszystko na jedną kartę, wrócił z Anglii, po raz pierwszy w życiu zamieszkał w Warszawie i zawziął się, że będzie dziennikarzem. I został! I to

jakim! A ja mam tę satysfakcję, że mu trochę pomogłem, tak jak i mnie ktoś kiedyś pomógł.

Odejście z „PS” było dziwne, ale jak się okazało – nic lepszego nie mogło się zdarzyć. Problemy zaczęły się w momencie, gdy w redakcji zjawił się Martin Gielnik, wysłannik z Niemiec, który miał unowocześnić gazetę. Wysoki mężczyzna po czterdziestce, w kanciastych okularach, wynajęty przez wydawcę, by namierzył słabe punkty i usprawnił funkcjonowanie redakcji. Szef wszystkich szefów, chociaż formalnie bez przydziału. Być może był to naprawdę świetny fachowiec, ale wtedy – w polskich, a nie niemieckich warunkach, przy takim, a nie innym rynku – nic na to nie wskazywało. Nie owijając w bawełnę – trudno było nie odnieść wrażenia, że kompletnie się na robieniu gazety w Polsce nie znał, dodatkowo powstawała bariera językowa, więc kontakt z nim miał tylko Roman Kołtoń. Gielnik kazał robić pierwszą stronę z Formuły 1, mimo że Roberta Kubicy jeszcze wtedy nie było i całą tę ścigankę Polacy mieli w poważaniu (Niemiec jednak, jak to Niemiec, sądził, że pod kioskami ustawią się kolejki, by przeczytać, co tam u Schumachera). Albo żądał, by poświęcać całe kolumny na transfer Macieja Korzysa do Chelsea i nie udało mu się przetłumaczyć, że żadnego transferu nie będzie i że to tylko junior na testach w akademii. A kiedy już zrobiłem naprawdę dobry wywiad z Sebastianem Miłą, to – nie znając języka polskiego! – ocenił, że jednak nie tego oczekuje czytelnik. Im bardziej niekompetencja tego człowieka się ujawniała, im bardziej sypał nam piasek w tryby, jakby złośliwie, tym częściej nie respektowano jego poleceń, a jak to się zakończy – było wiadomo. Kiedy Paweł Zarzeczny (zastępca naczelnego) już wiedział, że dzień później zostanie zwolniony, to na złość Gielnikowi dał na pierwszej stronie „PS” wielki czołg i tytuł: „Na Berlin!” Akurat Groclin grał z Herthą. No, Pawełek odszedł z przytupem. Zwolniono też Piotra Górskiego (świetny

naczelnym), a stery wziął Kołtoń, chyba głównie dzięki znajomości niemieckiego, chociaż dorobek dziennikarski też oczywiście był jego jakimś tam atutem.

Wydawało mi się to dobrym posunięciem, z Romanem bardzo się lubiliśmy, nawet wciągnął się na moment w słuchanie rapu, który ciągle leciał w moim samochodzie. Potem jednak zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Kołtoń zdziwaczał, zwariował, zwalniał i zwalniał, szybko zdobywając ksywkę „Krwawy Roman”. Ciął równo, jak leci. Jednego dnia szliśmy na obiad i mówił mi, że w dziale inne sporty najlepszy jest Marek Serafin, a następnego dnia wręczał mu wypowiedzenie. Z Nahornym – a to były papużki nierozłączki, wszędzie razem, każdy obiad wspólny – od momentu awansu przestał utrzymywać kontakt, nawet się nie witał. Widziałem wielu ludzi, którzy odnosili w życiu sukces, ale kogoś, komu szajba odbiłaby aż tak bardzo i w sumie bez powodu – nigdy. Kiedyś do redakcji przyszedł w odwiedziny Zbigniew Boniek. Roman – do niedawna jeden z nas, kolega, kumpel, przypominam sobie, że w 1998 roku przywiózł mi nawet jakieś pamiątki z mundialu, potem zjechaliśmy razem tysiące kilometrów i przegadaliśmy pewnie z tysiąc godzin – stanął tak obok Bońka i pogardliwym tonem wysyczał: – Patrz, „Zibi”, to są moi gamonie. Ja im płacę.

Wśród tych „gamonów” byli tacy, którzy młodemu Romanowi – bo i on był kiedyś młody – pomogli. A on: – Patrz, „Zibi”, to są moi gamonie.

Popatrzyliśmy wszyscy po sobie: – Co za śmieć. Gdyby wtedy Kołtoń się nie zmienił, lecz został taką osobą, jaką był przed kopem w górę, miałby szansę być niezłym naczelnym. On jednak stał się kimś innym i większej metamorfozy nie widziałem, jak żyję. Obowiązywała w „PS” zasada, że byli naczelnicy nie zostają zwalniani. Jeśli już przestają być odpowiedni do tej najwyższej funkcji, przesuwani są niżej, na mniej eksponowane miejsce. Myślę, że to było mądre i w pewien

sposób budowało podstawy życia redakcji. Potrzebni byli też starsi dziennikarze. Jedni stanowili żywy przykład, jak pisać, inni – jak nie pisać, ale było czuć tę tradycję, był szacunek dla osób z długim stażem. Na dzień dobry Roman tę zasadę złamał, wyrzucając red. Polkowskiego, pod którego skrzydłami sam pracował przez lata. A potem już strzelał do ludzi non stop, a jak strzelił i do mnie, to Paweł Zarzeczny napisał gdzieś tekst, że Kołtoń zwalnia wszystkich zdolniejszych od siebie, więc wkrótce zwolni sprzątaczkę. Dla mnie symbolem przeobrażenia się Kołtonia było zwolnienie Adama Junga, który był – hm, tak to się nazywało – gońcem. A tak naprawdę był niezwykle serdecznym, starszym panem, który pracował w „PS” kilkadziesiąt lat i miałem wrażenie, że w ogóle w redakcji to nawet spał: jak przychodziłem, to już był, a jak wychodziłem, to też był. Pomagał wszystkim we wszystkim – zwykłe sprawy, zacięty papier w drukarce, listy do wysłania, liczenie głosów w plebiscycie na sportowca roku (wiecie, ile to roboty?), trochę „przynieś, podaj”, ale w jego przypadku te dwa słowa należało wymawiać z wielkim szacunkiem. Oczywiście, Adaś czasami lubił się napić, może raz na dwa tygodnie, co mu jednak w pracy nie przeszkadzało, bo przecież nie była ona specjalnie wymagająca, a wymagała tak naprawdę przede wszystkim chęci. Lubili go wszyscy. I poważali. Nie miał dużo pieniędzy. Kiedyś na gwiazdkę chciał sprezentować wnukowi... autograf piłkarza Legii, najlepiej – szczęśliwie się składało – Szamotulskiego. Bardzo mnie prosił o pomoc. Kiedy przyniosłem mu oryginalne, meczowe rękawice Grzeška z wpisaną dedykacją dla wnuka, rozplakał się ze szczęścia. Zarabiał grosze. I też został zwolniony. A że „PS” był całym jego życiem... Nie wiem, co się stało z nim później. Nawet nie wiedzieliśmy, gdzie mieszkał i czy w ogóle gdzieś, czy tylko w redakcji.

W tamtym czasie redakcja zapełniała się dziwnymi, przypadkowymi osobami, bumelantami, ludźmi bez talentu, niemającymi pojęcia, kto to jest Gorgoń, Frankowski czy Bulzacki. Zaciąg Kołtonia – chciał wymienić wszystkich, chyba cel był taki, by ten nowy zespół kojarzył go tylko jako naczelnego, a nie jako dziennikarza, który stał się naczelnym (ma to pewien sens i może stanowić ułatwienie – przyznaję). Z kolei ci lepsi mieli pod górkę. Pamiętam taką sytuację... Roman gdzieś tam pojechał – bo on ciągle gdzieś jeździł, a w pracy był gościem – a młody chłopak, praktykant, który wychował się w Niemczech, zadzwonił do Klausa Augenthalera, trenera Bayeru Leverkusen. Augenthaler udzielił świetnego wywiadu, w którym przejechał się po Radosławie Kałużnym, nazywając go skończonym leniem. Wraz z „Kmieciem” postanowiliśmy dać na okładce leżącego na boku – mówiąc krótko, rozwalonego jak Wanda na kwiatach – Kałużnego i tytuł: „Kałużny to leń!”. Chłopak, który ten materiał zrobił, powinien dostać premię, bo przecież dotarł do wielkiej postaci, która pod nazwiskiem wszystko to powiedziała. Ale następnego dnia od Romana zamiast premii dostał wymówienie (tzn. dostałby, gdyby pracował na etacie, tak to po prostu został pogoniony). A wszystko dlatego, że Kałużny był kolegą Kołtonia, tak się przynajmniej Kołtoniowi zdawało, bo mnie się zdaje, że to koleżeństwo nie przetrwało próby czasu i w sumie było kitem. Nie jestem pewny, jak tamten młody dziennikarz się nazywał, chyba Cieślak. W każdym razie przepadł jak kamień w wodę.

Jakoś się w „PS” jeszcze za czasów Kołtonia utrzymywałem, bo mówiąc krótko byłem bardzo potrzebny – robiąc tę gazetę dzień w dzień i sporadycznie odbierając telefony od Romana, który informował, gdzie obecnie przebywa (Rzym, Paryż, Londyn, Kraków, Poznań) i że chciałby, by dać jego zdjęcie z kimś tam na pierwszą stronę, co ja oczywiście ignorowałem, mając zbyt wiele szacunku do tej gazety i wiedząc, że zdjęcia



naczelnych na okładce to zagrania rodem z Koziej Wólki, ewentualnie Korei Północnej. Na zastępcę Roman wziął sobie Darka Tuzimka, o dziwo – człowieka zdolniejszego od siebie, ale z drugiej strony jeszcze bardziej leniwego, który z „PS” zrobił sobie biuro podróży i klub piłkarski w jednym. Widywaliśmy go raz na dwa tygodnie, jak wkraczał do redakcji z jakimś głupim pucharem i oznajmiał, że „wygraliśmy turniej”, chociaż niczego nie wygraliśmy – on może zakładał krótkie spodenki i kopał, ale my w tym czasie byliśmy w pracy. Latał tak dużo, że Marcin Harasimowicz mówił:

- A wiecie, że życie Tuzimka jest zagrożone?
  - Jak to?! – pytaliśmy.
  - Przeczytałem, że co milionowy samolot spada.
- Powtarzał to codziennie i codziennie nas to śmieszyło.

\* \* \*

Dariusz Tuzimek był jednym z ulubionych ofiar naszej szydery. Z tym milionowym lotem, to wiadomo – „Tuzim” był wiecznie w trasie i chyba myślał, że „Przegląd Sportowy” to darmowe biuro podróży, a nie redakcja. Niby pracowaliśmy razem dość długo, ale nie dam głowy, czy – tak czysto statystycznie – częściej w robocie był, czy nie.

Co mnie w nim drażni, i to strasznie, to ta pozorowana dobroć. Darek ma porządne pióro, jeśli pisze o sporcie, i fatalne, gdy stara się zostać literatem. Nabrał irytującej maniery, by emanować dobrocią. Wiecie – a to opisuje, jak mruczał synkowi do ucha coś o złych ludziach, a to pyta Jezusa z Rio, jak żyć, a to kreuje się na pierwszego samarytanina. Hm... Ja mam w życiu kilka zasad, którymi się kieruję – nie zdradzam przyjaciół, jestem lojalny, cenię brutalną szczerłość (w obie strony). Ale jak ktoś o mnie powie, że jestem cynicznym skurwysynem, to w sumie nawet nie polemizuję. Może i jestem. Jakaś wrażliwość

mam, ale na pewno kiepski ze mnie materiał na wyrozumiałego pocieszyciela. Myślę, że to mniej więcej widać w tekstach. Mogę się w nich mylić i mylę się, ale nie pozuję na kogoś, kim nie jestem. Wszystkie słowa wypływają ze mnie naturalnie, razem z tym całym jadem, który też oczywiście w sobie mam. Potrafię być nieprzyjemny – tak w życiu, jak i w artykułach. No i klnę na co dzień, więc klnę też w tekstach, chociaż bardziej się ograniczam.

Wydaje mi się to istotne – by pisać zgodnie z własnym charakterem. Mieć i charakter, i charakter pisma. Paweł Zarzeczny jest przekornym lekkoduchem, żartownisiem i bawidamkiem, żyjącym jak chce, z kim chce i gdzie chce, często będąc na bakier z jakimikolwiek normami, co jednak potrafi genialnie oddać w swoich tekstach. W głowie Rafała Steca cały czas zachodzi skomplikowany proces myślowy – za którym często nie nadążam – i da się to wyczuć w jego tekstach. Janusz Basałaj ma w sobie więcej dystansu i wyrozumiałości, ale czasami bywa stanowczy – tak też pisze. Antoni Bugajski w życiu nie opowiedział żadnego dobrego dowcipu, to i w tekstach nie błysnie ironią. To są wszystko oczywistości. Artykuły w dużej mierze oddają charakter autora, zwłaszcza felietony, w których można sobie pozwolić na więcej swobody.

Tymczasem Darek w swoich felietonach pozuje na świętego. Jest sumieniem branży. Sumieniem pokolenia. Gdybym miał oceniać ludzi na podstawie ich tekstów, powierzyłbym mu wszystkie oszczędności i podziękował za to, że jest. Po prostu.

Jednak nie wydaje mi się, by Tuzimek był faktycznie najbardziej przyzwoitą osobą, jaką w życiu spotkałem. Przypomina mi się sprawa Nepalu – to nie jest żadna ostra amunicja, bo ostrej amunicji na Darka nie mam, ale zdarzenie, które w dużej części oddaje jego charakter, a przynajmniej to, jak go postrzegam ja sam. Nie pamiętam, który to był rok, może

2004, może 2005 – coś w tych okolicach. W TVP emitowano program pod tytułem „Zdobywcy”, a „Przegląd Sportowy” jakoś z tym współpracował. Oczywiście nikt z dziennikarzy nie był szczególnie zainteresowany tą współpracą, bo oznaczała robotę w dni wolne, ale kogoś należało wyznaczyć: padło na Sebastiana Szczęsnego zajmującego się skokami narciarskimi i boksem (dziś pracuje w TVP). Sebastian pojechał na nagranie programu w jakąś sobotę do Kłodzka. Z Warszawy do Kłodzka – koszmarnie 450 kilometrów. A start o piątej albo szóstej rano, więc ogólnie przesrane i lepiej od razu palnąć sobie w łeb.

Ale jak trzeba, to trzeba.

Sebastian odpowiadał za obsługę „Zdobywców” ze strony „PS” i producenci poinformowali go, by zarezerwował sobie też czas na podróż do Nepalu, bo tam kręcony będzie finałowy odcinek. No to wszyscy zaczęliśmy w redakcji mu zazdrościć: – No, chłopie, opłacało się zapierdalać do Kłodzka czy gdzieś tam indziej, przynajmniej będziesz miał nagrodę w finale.

Dla nas wszystkich było to oczywiste i naturalne, że poleci właśnie on. I cieszyliśmy się, że poleci. Niech ma. Zasłużył.

Niestety, nie poleciał. Nagle okazało się, że „PS” zmienia osobę odpowiedzialną za „Zdobywców” i w czasie finału w Nepalu będzie nią Dariusz Tuzimek. A żeby było jeszcze ciekawiej, to fotoreporterem na Nepal zostanie na chwilę szef działu marketingu (mam nadzieję, że na tę okoliczność chociaż kupił aparat).

Cóż, dla jednych szczegół, dla innych świństwo. Moim zdaniem świństwo – wykorzystanie swojej pozycji zawodowej w sposób najbardziej perfidny. Ale w sumie nikt się nie dziwił. W inną dość atrakcyjną delegację miał lecieć mój kolega z działu plus fotoreporter, ale też nagle wniosek akredytacyjny sam się zmienił. Na: Dariusz Tuzimek, Dorota Górka (fotoreporter). Dorota była partnerką życiową Darka, zakładam, że jest nią nadal, nie za bardzo mnie to interesuje. W każdym razie –

fotoreporterów mieliśmy lepszych, ale ci lepsi na tuzimkowe wyprawy raczej nie mogli się załapać.

Tak, sposób sprawowania władzy w „PS” w tamtych czasach był zabawny.

Tuzimka najpierw poznałem w Korei, w 2002 roku, ale pamiętam tylko to, że ze swojej redakcji nie dostał prawie żadnych diet i strasznie biedował. Później, jak Roman Kołtoń został naczelnym, zrobił z tej okazji niewielką imprezę w jakiejś knajpie. Oprócz kilku osób z redakcji zjawił się tam również Tuzimek, a Roman poinformował wszystkich swoich „przyjaciół”, że „Tuzim” – patrzcie, jaki zbieg okoliczności – tylko przypadkiem przechodził obok. Kilka dni później był już zastępcą naczelnego, też pewnie akurat przechodził obok i podpisał umowę.

No i się zaczęło.

Miał odpowiadać za piątkowy „Magazyn Sportowy”, ale ku naszemu zdziwieniu nic nie robił. Pytam Romana: – A Tuzimek co robi? Odpowiada: – Darek się przygląda.

Przygląda się.

Przyglądał się więc niezbyt intensywnie przez dwa miesiące, często przyglądał się z domu, na odległość – więc musiał być w przyglądaniu się naprawdę wykwalifikowany. Ja takie przyglądanie się nazywam opierdaleniem, ale może się nie znam. Jak już przestał się przyglądać, to najwidoczniej uznał, że sporo musi być przy tym magazynie roboty, więc ściągnął Marka Halberdę – szalenie inteligentny starszy facet, ale nie zainteresowany sportem, niestety (co jest pewnym minusem, gdy chodzi o pracę w gazecie sportowej). Sam Tuzimek skupił się na dalszym przyglądaniu i oczywiście na wyjazdach. Nie wiem, czy czegoś teraz nie przekręcę, ale raz pojechał bodajże do Norwegii oglądać sztuczne boiska, co wydało mi się już szczytem absurdu. O wyjazdach piłkarskich nie wspominał – Darek zachowywał się, jakby miał 15 lat i chciał zostać

zawodnikiem ekstraklasy. Z czasem założono nawet reprezentację Polski dziennikarzy, która latała po świecie na mecze – poważni dziennikarze w tym czasie pisali teksty, zamiast udawać sportowców.

Dziennikarz oczywiście musi bywać, nawet na drugim końcu świata. Jednak zastępca redaktora naczelnego jest od nadzorowania pracy wewnątrz redakcji, a nie od podróżowania. Dobry zastępca naczelnego do Nepalu wysyła odpowiedniego reportera, który przywiezie mu fajny tekst, zamiast samemu pakować swoje dupsko do samolotu. Po prostu kierownictwo redakcji ma kierować, zamiast szukać możliwości zwiedzenia świata za darmo. Coś za coś.

A co my mieliśmy wtedy? Romana nastawionego na lanserkę i podróżnika Tuzimka. Roman nawet sam siebie umieścił w telewizyjnej reklamie, z czego się wszyscy śmiali („Codziennie nowy Przegląd Sportowy”). Organizowałem kilka kampanii w życiu, ale jak miałem promować firmę bukmacherską w 2006 roku, to podpisałem kontrakt z Maciejem Żurawskim, kapitanem reprezentacji Polski, zamiast wpychać gdzieś samego siebie – wiadomo, nie przyniosłoby to żadnego skutku, bo nikt by nie wiedział, kim jestem. Kołtoń jednak do kampanii wizerunkowej zamiast takiego „Żurawia” czy jakiejś innej Otylii Jędrzejczak zaangażował samego siebie, co nie mogło się skończyć dobrze. Może jestem w błędzie, ale wydaje mi się, że gazetę sportową w lepszym stopniu wypromować może gwiazda sportu, a nie jakiś obcy facet, który przed kamerą łapie piłeczkę tenisową.

To oczywiście mój subiektywny pogląd, a skoro subiektywny, to może niesprawiedliwy, ale Dariusz Tuzimek wydaje mi się największym leniem, z jakim przyszło mi pracować, jednocześnie nie sprawiał nigdy wrażenia człowieka o gołębim sercu ani też kogoś nastawionego na pracę zespołową czy kogoś przejmującego się racjonalnym wydawaniem

redakcyjnych pieniędzy (stare nawyki mu chyba zostały, bo słyszałem, że w kolejnej redakcji niektórzy nazywali go „Tuzim Travel”). I to mnie w nim wnerwia – że gdy pisze teksty, to mam wrażenie, że z nieba zlatuje gołębek pokoju. Gdyby pisał szczerze i naturalnie – jestem leniem, lubię sobie polatać, byłem tu, tam, bla, bla, bla, pocałujcie mnie gdzieś – to zapewne czytałoby się to z przyjemnością, tak jak Zarzecznego, który napisał niedawno, że podobnie jak legioniści chodził do agencji towarzyskiej na Wiertniczą i że przekręcili go tam na drinkach na sześć tysięcy. Kiedy jednak odzywa się do mnie Pan Przyzwoity, to mam odruch wymiotny. Niewiele osób tak na mnie działa, jeszcze chyba tylko Jerzy Engel – co piszę po to, byście odnaleźli pewien wspólny mianownik.

Dla mnie to więc leń, ale też mąciciel, intrygant, w dodatku dzisiaj zgorzkniały, z żalem do świata, że jego głos nie jest tak słyszalny, jak niby być powinien. Ale ja już wolę takich intrygantów jak Jerzy Urban, grających w otwarte karty, jawnie bezczelnych, a nie zakładających koloratkę i głoszących kazania. Diabeł się w ornat ubrał i ogonem na mszę dzwoni.

\* \* \*

W trójkącie Roman – Darek – ja w pewnym momencie przestaliśmy się dogadywać. Może to z mojej strony zarozumiałstwo, ale moim zdaniem wszystkie ich pomysły na gazetę (no dobra, większość) były złe i zbyt często nastawione tylko na autoreklamę, do tego raz po raz wikłali się w jakieś układy personalne, a mnie z coraz większym trudem przychodziło akceptowanie ich decyzji. Było wiadomo, że rozstanie jest kwestią czasu. Roman wykorzystał jakiś głupi pretekst, czyli zachował się bez klasy, zwłaszcza że wcześniej naprawdę mieliśmy świetny kontakt i chyba przez moment

traktowałem go jak przyjaciela. Mógł powiedzieć: – Stan, dajmy spokój, nie możemy się porozumieć ostatecznie.

I ja bym to zrozumiał. On jednak ściągnął sobie ludzi z Wrocławia. Między innymi grafika, który myślał, że Marsylia jest w Hiszpanii, i nigdy nie mógł znaleźć herbu Olympique do tekstu („przeszukałem już całą ligę hiszpańską, jest Valencia, jest Barcelona, ale Marsylii nie ma!”) i szefową od składania gazety, która była jednocześnie najbardziej niekompetentną i złośliwą osobą, jaką w tej branży spotkałem. Myślała, że jest ważna, ja oczywiście uważałem, że jest zupełnie nieważna, więc żarliśmy się dość często o to, kto komu ma wydawać polecenia i dlaczego ja jej (ona miała argument, że poskarży się Romkowi, brr). W skrócie – każdy jej pracownik wiedział o tej robocie więcej niż ona, co nie jest zdrowym układem. Jednego dnia, w sobotę, czyli normalnie w dzień wolny, robiliśmy gazetę na ścianę, czyli próbne wydanie, by przetestować nowy layout. W pewnym momencie zobaczyłem, że jeden chłopak od godziny coś wylicza.

– Co ty robisz?

– Mam przygotować dane do infografiki, porównanie wydatków Liverpoolu i Manchesteru United.

– Jezu, no to notuj. Przychody: 100 i 120 milionów. Wydatki: 110 i 90 milionów. Wydane na transfery latem...

I tak dalej. Wszystko zmyślane, bo po co tracić kilka godzin na wyszukiwanie danych do infografiki, której nie zobaczy nikt, poza członkami redakcji? Testowaliśmy layout, a nie zdolności dziennikarzy. To babsko doniosło jednak, że sabotuję pracę redakcji i kpię sobie z projektu. A że babsko było z Wrocławia i że opcja wrocławska w ogóle zaczęła rządzić w „Przeglądzie Sportowym”, to Roman chętnie słuchał. No i odszedłem. Może i z ulgą. Dopiero co Kołtoń wstrzymał najlepszy tekst, jaki w życiu napisałem, twierdząc, że nadaje się na konkurs literacki, a nie do gazety (tekst był o „Lulusiu” – milionerze z Poznania, który sponsorował klub, a potem

zbankrutował i żebrał pod stadionem, wspominałem o nim wcześniej). Ja twierdzę, że nadawał się do każdej gazety na świecie, a na konkursy literackie jest za dobry – trzeba dać szansę innym...

Na pożegnanie przygotowałem kolorowe, profesjonalne ulotki pod hasłem „Osiem lat i wystarczy!” i rozdałem je wszystkim ludziom z „PS”. Wynająłem górne pięterko w klubie Organza w Warszawie, przyszło ponad 40 osób i było to chyba najlepsze pożegnanie, jakie ktokolwiek kiedykolwiek wyprawił w „PS”. Wydałem dobre kilka tysięcy złotych, a bawili się wszyscy – panie od łamania, sekretariat, dziennikarze, naprawdę wszyscy. Z całej redakcji zabrakło jedynie trzech osób: Romana, Darka i Marcina Kality (drugi zastępca naczelnego, później naczelny), który pewnie chciał przyjść, ale mu było głupio.

\* \* \*

Napisałem tak dużo o latach w „Przeglądzie Sportowym”, bo to były lata kluczowe – ukształtowały mnie jako człowieka i jako dziennikarza. Nauczyły ciężkiej pracy. Obecnie raz po raz spotykam młodych dziennikarzy. Każdy z nich chce pisać o Manchesterze United, Arsenalu, Barcelonie, Realu. Już, natychmiast. I oczywiście – nie ruszając się z za komputera, a jedynie odpalając zagraniczne strony, gdzie już czeka gotowiec do przepisania. Tracą zapał po dwóch dniach, a jak nie po dwóch dniach, to po dwóch tygodniach. Przez myśl im nie przejdzie, by czekać na publikację pierwszego tekstu pięć miesięcy, a wcześniej odwalać czarną robotę. Chcą wszystko tu i teraz. Nie akceptują krytyki, czują się nią dotknięci, urażeni każdą nieprzychylną opinią. Praca – którą szumnie nazywają życiową pasją – ma im nie przeszkadzać w życiu. Jeśli znajomy wyprawia imprezę, mówią: – Przepraszam, dzisiaj niczego nie napiszę...



Latem bywają nieosiągalni, bo Sopot wzywa. Pokolenie ludzi, którzy myślą, że redaktorzy naczelni będą za nimi chodzić i prosić: – Może byś został dziennikarzem?

Kiedy o coś prosisz, pamiętają przez godzinę, nie dłużej. Nie zapominają tylko o gwarantowanych dniach wolnych. Nie pojedą 20 kilometrów za miasto, bo mówią, że nie mają samochodu – jakby nie kursowały autobusy. Nie wsiądą do pociągu, bo szkoda czasu. Tematów szukają na stronie BBC, w zakładce „Premier League”, a nie za rogiem, na ulicy. Nie dążą do poznania żywych ludzi, którzy mogą opowiedzieć im interesujące historie – bezpośrednio rozmowy ich krępują, w przeciwieństwie do internetu, w którym czują się bezpiecznie i błogo. Przeróżające wygodnictwo. Dziś zanim znajdzie się jednego dobrego dziennikarza z młodego pokolenia, trzeba się użerać z setką takich, którzy nie mają pomysłu na życie i myślą sobie, że w sumie fajnie byłoby pooglądać mecze za darmo.

Jeśli chcesz zostać dobrym dziennikarzem sportowym, to wbij sobie do głowy, że to harówka. Niezwykle przyjemna, ale ciągle harówka. Że w tydzień powinieneś przejechać tysiąc kilometrów, czasami tylko po to, by na miejscu usłyszeć: – Nie udzielam wywiadów! Kiedyś pojechałem do Igora Sypniewskiego do Halmstad, a musicie wiedzieć, że Halmstad to jest zupełnie nic, zabita dechami dziura, której dzisiaj nawet nie zlokalizowałbym na mapie Szwecji. I gdy wreszcie dotarłem do celu, „Sypek” stwierdził: – Aleja teraz nie udzielam wywiadów.

Był bardzo sympatyczny, tak sympatyczny, że nawet nie zdołałem się na niego zezłościć. Ot, życie. Czasami trzeba przejechać i pół świata, by na koniec pocałować klamkę.

Ale dzisiaj młodzi dziennikarze nie chcą całować klamki. Chcą mieć drzwi otwarte na oścież i czerwony dywan rozwinięty pod same stopy. Mierzi ich, gdy proponujesz im temat niegodny ich talentu. Jaka tam trzecia liga? Tymczasem

tematy – naprawdę dobre tematy – są wszędzie. Zaraz po tym, jak zacząłem współpracę z „PS”, miałem opisać mecz Gwardii Warszawa z rezerwami Legii. Wyszedłem ze stadionu i spostrzegłem, że dwadzieścia metrów przede mną idzie pomocnik Legii II. Wybaczcie, nazwiska nie pamiętam, mniejsza z tym. Szliśmy razem w kierunku przystanku, a że przed nami był spory kawałek, zaczęliśmy szczerze rozmawiać. I on mi nagle opowiedział, o „spółdzielni”, jaka funkcjonuje w trzeciej lidze, kto ma awansować, a kto spaść i dlaczego tak trudno gra się tu czy tam. Poszedłem na zwykły mecz, a wróciłem z niezwykłym artykułem.

Zarówno praca w „Przeglądzie Sportowym”, jak i odejście z niego to były w moim życiu fantastyczne wydarzenia. Najgorzej to się jednak zasiedzieć, zgnuśnić, przekształcić w człowieka, który wykonuje te same czynności każdego dnia, z coraz mniejszym zapałem. Jeszcze wtedy taki nie byłem, jeszcze mi zależało, jeszcze co rano z wypiekami na twarzy sprawdzałem, czy któraś z gazet ma danego dnia lepszy sport niż my – ale to byłaby tylko kwestia czasu. W końcu bym tam osiadł i wegetował. Natomiast kopniak od Kołtonia podziałał fantastycznie i po latach mogę mu nawet podziękować. Poznałem nowych ludzi w nowych redakcjach, na kilka lat zmieniłem branżę i zacząłem zarabiać pieniądze wręcz kosmiczne, stałem się całkowicie niezależny, robiłem dokładnie to, co chciałem i zupełnie nic więcej. A do „PS” po latach i tak wróciłem, ale już w roli felietonisty, który raz na tydzień pisze, co mu się żywnie podoba.

Myślę też, że poświęciłem tak wiele miejsca na ten właśnie rozdział mojego życia, ponieważ „Przegląd Sportowy” to nie było dla mnie miejsce pracy, lecz wielka miłość. Kochałem tę gazetę, tych ludzi, kochałem przychodzić i nienawidziłem wychodzić. Ale bardzo dobrze, że zostałem przez tę miłość porzucony, bo dzięki temu mogłem się sprofesjonalizować –

spojrzeć na ten zawód, ale też na piłkę i na życie w ogóle z odpowiednim dystansem. Gdyby nie tamto zwolnienie (w sensie formalnym: „rozwiązanie umowy za porozumieniem stron”), byłbym dzisiaj znacznie gorszym dziennikarzem.

Pewnie dlatego po latach złość mi na Kołtonia nawet przeszła, czego jeszcze nie tak dawno nie zakładałem, w zasadzie machnąłem ręką na wydarzenia z przeszłości i uznałem, że jak chcesz kogoś zwalniać – to zwalnij, twoje zbójeckie prawo, jeśli wybrano cię na szefa. Kilka ruchów nawet zrozumiałem, bo o ile z Jackiem Kmiecikiem trzymałem się blisko (swego czasu był szefem działu piłki nożnej w „PS”, a ja jego zastępcą, potem on został zastępcą redaktora naczelnego, a ja szefem działu), to doszło do mnie, że Roman miał prawo nie życzyć sobie przedłużania tej współpracy. Chyba zrozumiałem to, gdy pewnego słonecznego dnia – lata później – w gronie ja, Kmiecik i Rudzki jedliśmy obiad w jednej z mokotowskich restauracji. Wtedy Kmiecik, już bezrobotny, powiedział: – A wiecie, że Maciej Skorża sprzedał mecz Legii z Lechią?

Lechia pokonała warszawski zespół i w efekcie Legia nie zdobyła mistrzostwa Polski.

– Jak to? – spytaliśmy.

– Normalnie, Skorża to sprzedał. Wiedział, że odejdzie z klubu i nie chciał, żeby Legia była mistrzem.

– Ale Jacek... Jak on to zrobił?

– No zrobił!

– Ale jak? Kazał piłkarzom przegrać? Co im powiedział? Przegrajcie, bo ja odchodzę i nie chcę mistrzostwa? I oni się zgodzili? I nikt nie wygadał?

Było to tak niedorzeczne, a jednocześnie tak w stylu Jacka. Na oczekaniu wymyślał teorie spiskowe, które obalić mógł nawet pięciolatek. Jestem nawet przerażony, że przez wiele lat – będąc bardzo blisko – tego nie dostrzegąłem albo traktowałem jako niegroźne zboczenie, podczas gdy była to tak naprawdę

kpina z dziennikarstwa. Miewał „Jack” strzały w dziesiątkę, trafienia w samo serce oponenta, ale niestety na jedno takie trafienie przypadało dziesięć salw oddanych nie w tę stronę, co trzeba. Po latach to się jeszcze bardziej wyolbrzymiło, gdy Kmieciak – sfrustrowany długim bezrobociem – zaczął ciskać insynuacjami na lewo i prawo, zrzucając maskę dziennikarza, a pokazując oblicze kompletnego oszołoma. Być może Kołtoń to wszystko przewidział. Jeśli tak – to mimo wszystko gratuluję.

Jacek... Powinniście o nim wiedzieć, bo to postać, która przez lata była jedną z najważniejszych w polskich mediach sportowych. Człowiek chorobliwie pragnący mocnej czołówki w gazecie, uczulony na nudę, wręcz obsesyjnie myślący o tym, jak dzień w dzień zaskoczyć czytelników. Tyran. Wymagał stuprocentowej dyspozycyjności i całkowitego oddania. Miał dużo pozytywnych cech, sprawiających, że powierzenie mu redakcji stanowiło gwarancję, że wszyscy będą chodzić jak w zegarku. Żebyście mieli obraz, jak to mniej więcej wyglądało... Trafił się kiedyś młody dziennikarz, chyba po uszy zakochany. Na biurku postawił zdjęcie dziewczyny. Jacek podszedł, popatrzył z pogardą, wziął zdjęcie i wyrzucił do śmieci, a delikwentowi zakomunikował: – Jaka dziewczyna, jak ty nie masz dziewczyny. Skup się na pracy.

W pewnym sensie był terrorystą, ale dało się do tego przywyknąć. I ciągle, ciągle chciał mieć czołówkę lepszą niż wszyscy. Wpadał na pomysły wręcz nie z tej ziemi. Wołał Marcina Harasimowicza i mówił:

- Dzisiaj ląduje reprezentacja Szwecji.
- No tak.
- No i tam jest taki piłkarz, Ibrahimović.
- Jest.
- No i on jest rozrywkowy. Ostatnio w wywiadzie powiedział, że podobają mu się polskie dziewczyny.
- Tak.

– No więc, „Harry”, pójdz do niego i namów go, że razem pójdziecie do burdelu.

– Ale jak?!

– Normalnie, powiedz mu: cześć Zlatan, chodź na dupy.

– I co dalej?

– Jezu... Co dalej... Co dalej... Później to opiszesz. Że Ibrahimović to kurwiarz. Aha, weź fakturę.

Co jednak najśmieszniejsze, co jakiś czas takie niedorzeczne pomysły przynosiły efekty, co tylko utwierdzało Jacka, że nie istnieją żadne bariery, których nie można przekraczać. Energicznemu reporterowi Jarkowi Czerniakowi nakazał, aby przez całą noc koczował w ukryciu i obserwował pałac w Świerklańcu, w którym nocowała reprezentacja Polski.

– Ale po co? – pytał Jarek.

– Oni na pewno zamówią kurwy.

– Dlaczego?

– Dlaczego... Dlaczego... Bo zawsze zamawiają.

Jarek był taki, że nawet jeśli polecenie uważał za głupie, to wypełniał je w stu procentach. Jakież było jego zdziwienie, gdy po kilku godzinach pod siedzibę kadry faktycznie przyjechał busik z kilkoma prostytutkami. Oczywiście zdarzenie zostało obfotografowane, o czym dzień później dowiedzieli się zawodnicy. Wpadli w panikę, że zdjęcia ukażą się w „Przeglądzie Sportowym” i mieli rację: ukazałyby się, gdyby nie jeden szczegół. Wyszły całkowicie nieostre, głównie z uwagi na znaczną odległość i kiepskie światło. Nie dało się nawet zorientować, czy na fotografiach są mężczyźni, czy kobiety.

Ale piłkarze o jakości zdjęć nie wiedzieli. Do Jarka wydzwaniał Jerzy Dudek i prosił o wstrzymanie publikacji. W zasadzie doszło do ubicia interesu – zdjęcia nie pójdą (i tak by nie poszły!), za to Dudek, wówczas bramkarz Liverpoolu, od tego momentu był w zasadzie na każde skinienie palcem. Jarek robił z nim wywiady, kiedy chciał i o czym chciał, Dudek odbierał albo

oddzwaniał zawsze. A to wcale w jego przypadku nie była norma. Sam się raz odbiłem od ściany, gdy na tydzień poleciałem do Anglii, ale szanowny pan Jerzy był obrażony za tekst, w którym podsumowałem wszystkie jego mecze w kadrze wraz z wykazem, jak padały gole (i wyszło na to, że w mniej lub bardziej spektakularny sposób zawalił chyba przy 31, co było koszmarną statystyką). Nawet dobrze, że wtedy nie porozmawialiśmy, bo dzięki temu mogłem napisać mocny, zgryźliwy, za to naprawdę dobry tekst pt. „W królestwie pana Jerzego”.

Jacek Kmieciak w pogoni za sensacją był zdolny do wszystkiego, niestety prawda nie była kluczowym argumentem, a odpowiedzialność za słowo to pojęcie dla niego obce. Dodatkowo należało cały czas gryźć się w język, bo u niego jak w amerykańskim filmie: „Wszystko, co powiesz, może być wykorzystane przeciwko tobie”. Gdy więc powiedziałem w tajemnicy chłopakom z redakcji (to już czasy „Futbol News”, całkowicie nieudanego projektu), że jeden ze znanych piłkarzy uprawia seks z narzeczoną kolegi z drużyny i gdy przypadkowo usłyszał to Jacek – dzień później czytali już o tym kibice. Jeszcze bardziej ekstremalna była sytuacja, gdy Marcin Harasimowicz wrócił z Włocławka, gdzie pojechał napisać reportaż o amerykańskim koszykarzu. Jacek czytał go i w charakterystyczny sposób okazywał niezadowolenie. Stękał, prychał, mlaskał z niesmakiem.

A Marcin – jak zawsze z siebie zadowolony aż do przesady – już opowiadał poboczne anegdotki, zazwyczaj albo zmyślane, albo bardzo podkreślane.

– A wiecie, że ten koszykarz ma wielkie okna, nie używa zasłon... No i wieczorami on się masturbuje, a sąsiedzi piszą do klubu, że to obrzydliwe?

Siedzący kilka metrów dalej Kmieciak niby skoncentrowany był na czytaniu tekstu, ale wszystko usłyszał.

Najzupełniej poważnie stwierdził: – O, to świetnie, wreszcie coś. „Harry”, trzeba było tak od razu. Damy to w leadzie. Czeka, czekaj... „Wieczorami ogląda porno i masturbuje się, co zmuszeni są oglądać jego sąsiedzi”.

– Nie, Jacek, nie, proszę, nie...

„Harry” jakimś cudem wyblagał, by jednak pominięto tę opowieść. Rzadko komu się to udawało...

Kmiecik posiada pakiet zalet, dzięki którym mógłby być kluczowym pracownikiem w każdej redakcji. Posiada jednak też wspomniane wady, które sprawiają, że od wielu lat nie ma pracy. Jako dziennikarz wszędzie szukał spisków, drugiego dna, tajemniczych powiązań, które we własnej głowie tworzył i rozwikływał. Odkąd pamiętam, ma fioła na punkcie Zbigniewa Bońka. Nawet jak Paweł Zarzeczny – zastępca naczelnego – wyjeżdżał na urlop, to mówił Jackowi przy całej redakcji: – Jacek, wiem, że jak tylko wyjadę, to będziesz napierdalał w Bońka. Więc mam prośbę. W poniedziałek przypierdol, we wtorek pochwal, w środę przypierdol, w czwartek pochwal. Na przemian, żeby sam „Zibi” nie wiedział, o co chodzi.

– W porządku – wysyczał Jacek, ale każdy wiedział, że nie ma możliwości, by zastosował się do tych wskazówek. W efekcie Boniek oberwał w poniedziałek, wtorek, środę, czwartek i piątek, a cała seria nienawistnych artykułów zakończyła się dopiero w momencie, gdy Paweł Zarzeczny wrócił z urlopu.

Obecnie Kmiecik jest na aucie, na co ma odpowiednią teorię: to przez Bońka. Wydaje mu się, że Boniek nie ma nic lepszego do roboty, niż tylko dzwonić do kolejnych firm i mówić: „Nie zatrudniajcie Kmiecika”. W rewanżu za tę wyimaginowaną podłość „Zibie go” Kmiecik na potęgę produkuje paszkwile na jego temat, co raz po raz kończy się pozwami o zniesławienie. Rykoszetem obrywają od Jacka wszystkie osoby, które śmiały utrzymywać z Bońkiem dobre relacje, w tym ja.

\* \* \*

Z tamtych czasów, gdy Roman Kołtoń wszystkich zwalniał i kiedy nie było dnia, żeby w redakcji ktoś się nie pakował i po chwili nie wychodził ze łzami w oczach, przypomniła mi się jedna zabawna historia (nie dla każdego zabawna, ale dla mnie tak). Wraz z kumplem pojechaliśmy w jakąś delegację i ciągle rozmawialiśmy o zdarzeniach z życia „Przeglądu Sportowego”. Opowiadałem mu o pewnym nocnym zebraniu. Najważniejsze osoby w redakcji miały zaznaczyć tych, którzy są naprawdę potrzebni, i skreślić tych, których bez żalu można zwolnić. Wszystkich dziennikarzy piszących o piłce zaznaczyłem jako niezbędnych i nie skreśliłem ani jednego nazwiska. Po chwili przysłała kolej Marcina Kardya odpowiadającego za dział inne sporty. Oczy wychodziły mi z orbit, gdy wycinał jedną osobę po drugiej, z reguły byli to ludzie, którzy wprowadzali go do zawodu i z którymi na co dzień utrzymywał bardzo koleżeńskie stosunki.

– Marcin, jak się za bardzo rozpędzisz, to będziesz musiał pół gazety sam napisać – żartowaliśmy z niego. Ale on w amoku skreślał dalej.

No dobra, to jeszcze nie było zabawne.

Podczas wspomnianej delegacji siedzieliśmy i plotkowaliśmy. Mówię: – Słuchaj, znalazłem taką stronę w internecie. Wyobraź sobie, że można napisać e-maila do innej osoby i podać e-maila adresata. Że pokaże się, iż to nie jest e-mail od ciebie, tylko od kogo chcesz!

Działało to także SMS-owo (dostawałeś SMS-a i wyświetlało się, że to SMS np. od mamy, a to po prostu ktoś wpisał jej numer jako numer nadawcy), więc robiliśmy różne numery. Pisałem np. SMS-a niby od Sebastiana Mili do Adama Ledwonias: „Udajesz twardziela, a jesteś zwykła cipa. Na boisku połamię ci nogi”. Sebek jest człowiekiem do rany przyłoż, żaden



z niego boiskowy bandzior, a śp. Ledwoń to był zakapior, który nawet bez takich prowokacji chciał bić się z każdym o byle co. Kiedy więc dostał taką wiadomość, a na telefonie wyświetlił mu się nadawca Sebastian Mila – zgłupiał kompletnie i aż go nosiło. Nawet do mnie zadzwonił i mówił, że Milę posrało doszczętnie i nie wie, z kim tańczy, a ja próbowałem nie parsknąć śmiechem.

W każdym razie tamtego dnia, podczas delegacji, wysłaliśmy e-maila. Niby od Marcina Kardy do Romana Kołtonia. I czekaliśmy.

Nie musieliśmy czekać długo. Telefon.

– Co robisz? – spytał Michał Zaranek, dziennikarz „PS”, pracujący od niepamiętnych czasów.

– A nic.

– Bo tu pożar.

– Pożar?

– Karda zwariował.

– Marcin Karda? – udawałem zdziwionego.

– Tak, zwariował całkowicie. Napisał e-maila do Kołtonia. Że nie może tak dalej dusić prawdy, w takim zakłamaniu żyć, że musi to z siebie wyrzucić, bo już nie wytrzymuje. I że e-mailem najłatwiej. Że Kołtonia nie poważa. Że uważa go za niekompetentnego i podłego. Że mu nie może wybaczyć jego decyzji personalnych, nawet zwolnienie Adama Junga wypomniał! Napisał, że Roman serca nie ma! I że prosi, żeby Roman przyjął jego słowa, bo nie mógł dłużej milczeć. I żeby teraz Roman zrobił, co chce, może go wyrzucić, może nie. No, zwariował! I teraz najlepsze!

– Co jeszcze?!

– Najlepsze jest to, że jemu się zebrało na odwagę, ale teraz się przestraszył, że go zwolnią! I mówi, że to nie on!

– Ale to on?

– Tak! Informatycy sprawdzali. On na bank! Wariat, kompletny wariat.

Marcin chciał wyciąć cały swój dział, ale niestety sam został wycięty. Jeszcze jakiś czas popracował, próbował walczyć o odbudowanie zaufania, udowodniać, że nie jest nadawcą, ale kiedy pojawiło się pierwsze pęknięcie... Teraz chyba pracuje w TVP.

Tak, to było spektakularne zagranie.

\* \* \*

Skoro wszyscy odchodzili z „Przeglądu Sportowego”, to odszedł też Włodzimierz Sierakowski – najlepszy sportowy fotoreporter w kraju, który zrobił zdjęcie absolutnie każdemu, kto chociaż na sekundę wyściubił nos z domu. Przejechaliśmy razem pół świata, mieszkaliśmy razem – gdyby to zsumować – na pewno ponad pół roku. Szczególnie wspominam mistrzostwa w Korei i Japonii, czyli pierwszy aż tak długi wspólny wyjazd.

Finał mundialu odbył się w Japonii i teoretycznie właśnie stamtąd mogliśmy wracać do Europy. Tak się jednak zdarzyło, że w Korei... zakochałem się w dziewczynie i wyprosiłem u Włodka, byśmy jeszcze raz skoczyli do Seulu, na jeden dzień. On nie widział przeszkód.

Byliśmy zawałeni tobołami, ale Włodzimierz Sierakowski trochę bardziej. Poprosił mnie, abym pomógł mu wtarabanić się do pociągu, którym mieliśmy dostać się na lotnisko, i wziął chociaż torbę z laptopem. Pomogłem. Gorzej, że gdy wysiedliśmy już na odpowiednim terminalu, Włodek zapytał: – A laptop gdzie?

W tym momencie za naszymi plecami zamykały się drzwi.

Nie chodziło o sam sprzęt, chociaż z pewnością był bardzo drogi. Znacznie większe znaczenie miał fakt, że na twardym dysku zapisane były wszystkie zdjęcia, które Włodziu zrobił

podczas ostatniego miesiąca i dzięki którym miał zarabiać przez kolejne lata. Tysiące, naprawdę tysiące doskonałych ujęć. I to właśnie odjeżdżało w niewiadomym kierunku.

Podbiegliśmy do niskiego faceta w mundurze, wytłumaczyliśmy, że komputer, że zdjęcia, że dziennikarze, że pociąg, pomachaliśmy akredytacjami (a akredytacje podczas MŚ otwierały wszystkie drzwi, nawet nie trzeba było stać w kolejkach), a on szybko wyszczerzył kilka słów do telefonu i po chwili przytaknął nam po angielsku: – Tak, w tym pociągu jest wasz komputer.

– No to trzeba go wydostać! – krzyknąłem.

– Ale ja nie wiem na pewno, czy to wasz komputer. Zrobimy tak, że pracownik kolei będzie stał koło tego komputera i czekał aż do ostatniej stacji, czy ktoś go weźmie, czy nie. Jeśli ktoś będzie chciał go wziąć, to zapyta, czy to naprawdę jego.

– Ale to nasz!

– Rozumiem, tak. Ale na razie nie mogę dotknąć bagażu, który może należeć do kogoś innego. To wbrew przepisom. Aby można było zwrócić wam tę torbę, musi ona dojechać aż do stacji końcowej. Tam będziecie mogli ją odebrać.

– A gdzie jest stacja końcowa? – spytałem, sądząc, że to tylko formalność, bo przecież mówimy o pociągu, którym przyjechaliśmy z centrum Tokio na pobliskie lotnisko. Nie może jechać daleko.

– W Osace.

– Zaraz, zaraz... A gdzie jest Osaka?

– 450 kilometrów dalej.

Sprawy potoczyły się komicznie. Włodek wściekły i przestraszony. Ja przestraszony jeszcze bardziej, bo przecież za moment lot do Seulu, a tam czeka dziewczyna. Nie no, nie mogłem jechać do Osaki po zgubiony komputer, nie w takich okolicznościach. Mnie wzywał Seul i nic innego nie miało znaczenia.

Co się więc stało? Sierakowski – nieznający żadnego języka obcego, co nie przeszkadzało mu w dogadaniu się z dowolną osobą na świecie – dostał od Japończyka karteczkę, na której ten tymi swoimi krzaczkami napisał: „Dzień dobry, nazywam się Włodek, jestem z Polski i przyjechałem po swojego laptopa”. Uzbrojony w taki dokument wsiadł w pociąg i – o dziwo – wszystko się udało. W Osace naprawdę wydano mu torbę z laptopem.

Epilog był interesujący. Ja czekałem w Seulu, a Włodek musiał lecieć dzień później. Jedyne wolne miejsce było w klasie biznes. A rząd wcześniej – Guus Hiddink z kochanką. Słynny holenderski szkoleniowiec był wówczas selekcjonerem Korei Południowej, która zajęła w turnieju czwarte miejsce (fakt, że dzięki sędziom, ale nikt się tym nie przejmował). Napisać, że Koreańczycy go kochali – to nic nie napisać. To był typowy dla Azjatów kult jednostki, podobizny Hiddinka wisiały w każdej witrynie, w każdym oknie, a w sklepach sprzedawano okolicznościowe koszulki. Bez cienia przesady – w tamtym gorącym okresie był kimś takim jak Jan Paweł II dla Polaków.

I nagle obok siebie: Hiddink i Włodek.

Włodek nie mógł przegapić takiej okazji, więc z ukrycia postanowił zrobić kilka zdjęć zakochanej pary. Pech polegał na tym, że zauważył to jeden z ochroniarzy, więc na wysokości kilku tysięcy kilometrów wybuchła awantura. Na jakiś czas aparat fotoreportera „PS” został skonfiskowany, a goryle rozpoczęły procedurę usuwania zdjęć.

Ale Włodziu nie byłby sobą, gdyby już po wyjściu z samolotu ostentacyjnie nie nacisnął spustu migawki – tam, gdzie już nikt nie mógł mu nic zrobić.

Tak – przyznajcie, że ciekawie – kończył się niesamowity czas w Azji, gdzie wstawaliśmy bladym świtem i bladym świtem wracaliśmy do hotelu, tylko po to, by wziąć szybki prysznic i dalej ruszyć w drogę. Czas, kiedy obejrzelismy tyle

meczów i tyle treningów, że Ronaldinho zlewał już się nam z Tottim, a Totti z Morientesem. Czas uganiania się za bufonowatym i nieprzyjemnym Miroslavem Klose, ale też czas, kiedy rozmawiałem po prostu z każdym, kto się akurat nawinał, i raz przez dziesięć minut maglowałem młodego zawodnika w dresie Holandii. Miałem już wszystkie pytania i wszystkie odpowiedzi. Wszystkie poza jednym. Na koniec musiałem zadać to najbardziej krępujące.

– Przepraszam, a możesz jeszcze powiedzieć, jak się nazywasz?

– Arjen Robben.

Oczywiście najmilej było – bo to już reguła – kiedy odpadli polscy piłkarze, jak zawsze sfrustrowani, szukający wymówek i uważający, że wszystko potoczyłoby się znacznie lepiej, gdyby nie ci wredni dziennikarze, którzy mieli śmiałość nie zachwycać się porażkami. Kiedy wyjechali, wreszcie nie trzeba już było słuchać, jak z okien autokaru – ale na wszelki wypadek zza zasłony, tacy odważni – krzyczeli w stronę reporterów obraźliwe hasła.

Na boisku, a potem poza nim pracowali na okładki w stylu: „Polska wystawiła w Korei...”, dalej zdjęcie zawodników w biało-czerwonych koszulkach, a na nim wielkie słowo: „DZIADY”.

Mistrzostwa stały się naprawdę przyjemną imprezą, gdy zniknęły aniołki Engela.

\* \* \*

Najdziwniejszą gazetą, z jaką współpracowałem, był „Fakt” (współpracowałem, a nie pracowałem, po prostu dział sportowe „Dziennika” i „Faktu” miały się wspierać i wszyscy siedzieliśmy obok siebie). To jedyne mi znane miejsce, w którym zwolniono z pracy redaktora uznanego za całkowicie zbędnego,

odpowiadającego za najmniej istotne strony lokalne, by po jakimś czasie... zatrudnić go ponownie w roli szefa działu, tylko dlatego, że akurat stołek szefa się zwolnił, a wszystkie inne były zajęte. To też jedyne znane mi miejsce, w którym zastępca redaktora naczelnego poczuł się tak urażony, iż Dariusz Szpakowski nazwał go grubasem, że... zrobił sobie nagie zdjęcie i zamieścił w gazecie (miał być to dowód na idealną sylwetkę).

Śmiechom nie było końca.

– Poszedłbym do Jacka Adamczyka do gabinetu, ale trochę się boję – mówił Piotrek Wołosik, największy żartowniś w całej branży.

– Czego?

– Nie wiem, czy goły nie siedzi!

Cały „Fakt” to był wtedy dom wariatów, z działem „tematy z dupy wzięte”, który opracowywał tematy naprawdę wzięte z dupy – że gdzieś w Polsce jest jezioro pełne wódki albo że kosmici podali mieszkańcowi Ursynowa złe numery lotto i on się teraz czuje oszukany, o kapuście, która zjada ludzi, albo o wielorybie w Wiśle. Trudno było nie czuć zażenowania, gdy gazeta tak znacząco odchodzi od swojej roli i przeistacza się w pismo nonsensowne, codziennie wyłudzające złotówkę od wyjątkowo przygłupiej klienteli. Ale sport to sport – funkcjonował niezależnie i nie zamieszczał aż takich dyrdymałów, pracowało tam kilku naprawdę dobrych, trzymających standardy dziennikarzy (niemniej i tak opinia o całej gazecie rzutowała także na reputację działu sport). Oczywiście format gazety wymuszał to, że czasami zadzwonił Marcin Najman i poinformował, że umówił się na obiad z Małgorzatą Foremniak i że można im zrobić zdjęcie. Zazwyczaj jednak ukazywały się trochę ambitniejsze materiały.

Szef sportu zmieniał się tam raz po raz, bo kolejno wszystkich wycinał redaktor naczelny Grzegorz Jankowski, wiecznie niezadowolony z faktu, że akurat na stadionie nie

wybuchła bomba albo że w czasie meczu nie spadł meteor, ewentualnie – że kapitan reprezentacji nie uprawiał seksu na środku boiska. Wszystko było dla niego nudne, banalne, zbędne. Domagał się takich bzdur, jakie produkowały inne działy. Gdyby zgłosić, że szalony chomik zjadł napastnika Legii, byłby wniebowzięty.

Ciekawą postacią był Piotr Czostkiewicz, dość inteligentny facet, ale niestety nazbyt lubiący zaglądać do kieliszka, przy czym stres związany ze współpracą z Jankowskim tylko nasilał potrzebę golnięcia. Piotrek zasłynął w środowisku dzięki dwóm zdarzeniom. Pierwsze było takie, że jeszcze w „Super Expressie” miał dyżur w dziale sportowym i akurat wtedy po długiej przerwie wracał do sportu słynny narciarz Alberto Tomba. W pierwszym przejeździe wypadł doskonale. Piotrek dał wielki tytuł „Tomba la bomba!”, zdjęcie na całą stronę i poszedł do domu (albo do knajpy), zapominając, że będzie jeszcze zjazd numer dwa, w którym niestety Tomba się wyróżnił i w ogóle nie ukończył konkurencji.

Ale znacznie częściej wspomiana była druga sytuacja. Kiedy jeszcze „Czostek” pracował w „Gazecie Wyborczej”, ta miała trzy wydania: na najodleglejsze części kraju (typu Suwałki), na resztę Polski oraz na Warszawę i Katowice. Wiadomo, że tylko to ostatnie warszawskie wydanie trafiało w ręce ludzi pracujących na ulicy Czerskiej. Szybko zorientował się w tym właśnie Piotrek i wymyślił chytry plan, jak na tym zarobić. Otóż kiedy miał dyżur, chował do szuflady teksty kolegów, natomiast absolutnie o wszystkim – przy czym mogło być to największe nudziarstwo na temat wyścigów kolarskich – pisał sam. W związku z tym cały sport na pierwsze wydanie składał się z jego artykułów, sport na drugie wydanie też, ale już z artykułów jeszcze innych, czyli oddzielnie liczonych. Dopiero warszawska wersja była normalna i można było przeczytać w

niej o najważniejszych zdarzeniach, oczami najważniejszych dziennikarzy.

Przez długi czas udawało się Czostkiewiczowi maskować, lecz niestety jednego dnia ktoś w księgowości złapał się za głowę: – Patrzcie, jakiś człowiek z działu sport zarobił w tym miesiącu więcej niż Adam Michnik!

A skoro już jestem przy „Gazecie Wyborczej”, to chętnie opowiem historię, którą mniej więcej pięć razy w roku opowiada Michał Pol i z której niezmiennie wszyscy się śmieją do łez. Niektórzy twierdzą, że ta opowieść przez lata uległa już takiej modyfikacji, że mało co się zgadza, ale przecież nie o to chodzi, by każdą anegdotę zabijać przesadną dokładnością.

Zdaniem Michała było tak...

Korespondentem „GW” z Francji był Ludwik Lewin, od 1967 roku mieszkający w Paryżu dziennikarz i poeta, przyjaciel Adama Michnika z młodości. Jako że lubił piłkę nożną, co jakiś czas wybierał się na mecze. Pewnego dnia przysłał korespondencję ze spotkania Pucharu UEFA albo Pucharu Francji, nevermind.

Dyżurny w „GW” zobaczył, o jaki klub chodzi, rzucił okiem, że bramkarz obronił dwie czy trzy jedenastki w konkursie karnych i że dzięki temu sensacja się dokonała. Dał więc zdjęcie leciwego golkipera Bruno Martiniego, tytuł „Martini jak wino”, a potem dopisał lead: „Fantastyczna forma 36-letniego Bruno Martiniego doprowadziła do sensacji”.

Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie fakt, że Bruno Martini w tym meczu wcale nie grał.

Następnego dnia do redakcji przyszedł Dariusz Wołowski i zrobił awanturę: – Co to ma być? To kompromitacja! Ten Lewin to jakiś idiota, przecież on nawet nie był na meczu! Jak mógł nie widzieć, że Martini nie grał? Przecież wystąpił jakiś nastolatek! Trzeba dać sprostowanie!



No i napisali, spontanicznie, w mniej więcej takim tonie: „Ja, Ludwik Lewin, przepraszam wszystkich za to, że okazałem się idiotą i nie spostrzegłem, że w bramce nie grał Bruno Martini, tylko zupełnie inny bramkarz. Jest mi z tego powodu bardzo wstyd”.

Nie było jeszcze wtedy internetu, więc w tym czasie w Paryżu Ludwik Lewin dopiero otwiera przesłaną mu gazetę z dnia poprzedniego. A tam: „Martini jak wino”. „Fantastyczna forma 36-letniego Bruno Martiniego doprowadziła do sensacji”. Wściekły sięgnął po telefon i zadzwonił do redakcji: – Jak to możliwe? Przecież wy zrobiliście ze mnie idiotę! Przecież napisałem w tekście, że Martini nie grał, byłem na meczu, widziałem! Jak to się mogło stać? Koniecznie musicie dać sprostowanie.

– Sprostowanie? Tak, tak, już jakieś poszło.

Nazajutrz Lewin w mieszkaniu we Francji otwiera kolejny numer „Wyborczej”, a tam: „Ja, Ludwik Lewin, przepraszam wszystkich za to, że okazałem się idiotą i nie spostrzegłem, że w bramce nie grał Bruno Martini, tylko zupełnie inny bramkarz. Jest mi z tego powodu bardzo wstyd”.

Podczas redakcyjnego kolegium Adam Michnik zapytał: – A o co chodzi temu Lewinowi? Wysyła jakieś obraźliwe wiadomości, co się dzieje?

– A, dajmy spokój. Napisał bzdurę i teraz nie chce się do tego przyznać.

I tak podobno zakończyła się wieloletnia przyjaźń Michnika z Lewinem.

\* \* \*

Ogromną zmianą w zawodzie dziennikarza sportowego było nie tyle wejście internetu, ile pojawienie się komentarzy internetowych. W dawnych czasach autor tekstu nie miał

jakiegokolwiek kontaktu z czytelnikami, co najwyżej raz na jakiś czas otrzymał list z polemiką lub z listą błędów. Zdarzało się też, że czytelnicy dzwoniли do redakcji, ale było to tak nieznaczące, że słyszałem tylko, jak starsi dziennikarze spławiali ich w minutę. – Co? Już nigdy pan nie kupi „Przeglądu Sportowego”? Ale naprawdę nigdy? I daje pan słowo, że to ostateczna decyzja? W takim razie spierdalaj pan – mówił Janusz Atlas i odkładał słuchawkę.

Nagle jednak – rewolucja. Pojawia się artykuł, a zaraz pod nim wpisy – że głupi, że nierzetelny, że merytorycznie do bani, że mija się z prawdą. Kiedyś stawiałeś ostatnią kropkę i miałeś fajrant, a internet sprawił, że czekasz na reakcje, a te pojawiają się jedna po drugiej, natychmiast. To naprawdę spora różnica – jak między kucharzem, który przygotowuje jedzenie na wynos dla zupełnie obcej osoby, a kucharzem, który osobiście przynosi potrawę do stolika i nerwowo czeka, jaką opinię wyda klient.

Kontakt z czytelnikiem odmienił dziennikarzy bardziej, niż wam się wydaje. Niegdyś kto autorowi opiniował teksty? Kto mu mówił: – Ale fajnie napisałeś, stary! Oczywiście nie czytelnicy, bo niby gdzie i kiedy? Recenzentami byli sami bohaterowie artykułów, piłkarze, działacze czy trenerzy. To byli jedyni odbiorcy, z którymi dziennikarz miał kontakt. Siłą rzeczy taki dziennikarz – może podświadomie, a może świadomie, pewnie to zależy od konkretnej osoby – zaczynał pisać w taki sposób, by przypodobać się tym, z którymi widywał się na co dzień. To jednak miłe usłyszeć, że piszesz bardzo mądre teksty, zamiast słuchać inwektyw.

Dopiero komentarze w internecie sprawiły, że przywrócona została normalność – czyli to, że pisze się teksty dla zwykłych ludzi, dla czytelników, którzy dzień w dzień kupują gazetę. Że tekst o Kowalskim nie jest pisany dla Kowalskiego (dlatego można napisać, że Kowalski jest tak słaby, iż powinien zająć się kręceniem waty na molo), tylko dla stu

tysięcy Nowaków. Nagle czytelnik, wpisując się pod artykułem, przypomniał o swoim istnieniu, zaczął też walczyć o swoje prawa: o teksty dobrze napisane, skrupulatnie przygotowane, dopieszczone. Przy tym – rzecz jasna – wylało się szambo, powstał tzw. hejt, z czym nie każdy dziennikarz sobie radzi, a wielu wręcz nie radzi sobie całkowicie, ale to już zupełnie inna historia. Najważniejsze, że udało się wyjść z zakłętą kręgą, w którym każdy robił dobrze każdemu, a czytelnik otrzymywał niezbyt strawną papkę.

Dzisiaj starsi, byli piłkarze mówią: – Za naszych czasów media nie były takie agresywne... No nie były, z wielu powodów, ale między innymi dlatego, że z autorami tekstów na własny temat siadaliście przy wódeczce i ustalaliście, co powinien zawierać naprawdę dobry materiał. A później – już po publikacji – dziękowaliście sobie wzajemnie. Pisano o was dla was. A dzisiaj pisze się o piłkarzach, ale coraz rzadziej dla piłkarzy. Coraz rzadziej, ponieważ tak do końca nigdy te dwa światy w pełni od siebie nie uniezależnią się. Czy nie z tego wynika popularność portalu Weszlo.com? Z tego, że autorzy w nosie mają samopoczucie opisywanych osób, a bardziej interesuje ich to, by czytelnik otrzymał maksymalnie szczery przekaz?

Skoro jednak wspomniałem o kontakcie z czytelnikami, to muszę wam opowiedzieć o jednym niezwykłym i nie w świecie wirtualnym, tylko jak najbardziej rzeczywistym. Chociaż prawie zawsze takie kontakty są przyjemne, to jednak słowo „prawie” znajduje zastosowanie. Pojechałem do Grodziska Wielkopolskiego na mecz Groclin – Widzew. Na nowej trybunie loża dziennikarska była połączona z lożą VIP. Jeszcze w czasie pierwszej połowy podszedł do mnie mężczyzna po trzydziestce, z lekkim zarostem, ubrany w skórzaną kurtkę. Nie był bardzo elegancki, ale wyglądał schludnie i czuć było od niego forszą.

– Napisałeś o mnie taką rzecz, że już po tobie – oznajmił na dzień dobry.

– Ja? Nawet nie wiem, kim jesteś – odpowiedziałem.

– Zamknij mordę, gówniarzu, i słuchaj. Gdyby nie było tu tylu ludzi, tylu świadków, to już tutaj byś dostał taki wpierdol, że nie wyszedłbyś o własnych siłach, rozumiesz? Napisałeś o mnie coś takiego, co nie będzie ci wybaczone.

– Jak mogłem coś napisać o tobie, skoro nie wiem, kim jesteś?

– Stul mordę, powiedziałem. Mam tylko jedną prośbę: zapamiętaj sobie dobrze moją twarz. Zapamiętaj.

Akurat tej prośby nie spełniłem i twarzy dobrze nie pamiętam. O dialogu, chociaż bardzo dziwnym, po kilkudziesięciu minutach przestałem myśleć, wychodząc z założenia, że zostałem po prostu z kimś pomyłony (zwłaszcza że w Grodzisku bywałem rzadko, a moją twarz znało znacznie mniej osób niż dziś). Wcześniej zadzwoniłem jeszcze do redakcji z prośbą, by sprawdzono moje teksty z ostatnich sześciu miesięcy i wynotowano nazwiska osób, które chociaż trochę obraziłem. Tak się złożyło, że miałem wtedy wyjątkowo jak na siebie spokojny okres, więc kumpel podał mi tylko jedno nazwisko – Jan Żurek.

Nie, to nie mógł być nikt od Jana Żurka, bo – jak wiadomo – Jan Żurek nie skrzywdziłby muchy.

Po meczu pojechałem do Poznania, gdzie mój serdeczny kolega Maciej Murzynowski prowadzi pub sportowy BSA. Wieczór i pół nocy miał nam zlecieć na gadaniu, ale jakoś koło 1.00 zadzwonił telefon. Wyszedłem na zewnątrz, aby lepiej słyszeć.

– Halo?

– Stanowski?

– Tak.

– No to, kurwa, uważaj, bo już jesteś zajebany – wykrzyczał ktoś dziwnym, zmutowanym głosem.

Zrobiło się nieprzyjemnie, a jeszcze bardziej nieprzyjemnie, gdy po kilkudziesięciu minutach, dzięki koledze mającemu różne nietypowe zdolności, ustaliłem, że dzwoniło do mnie z budki telefonicznej znajdującej się w Poznaniu. Uznałem, że jeśli ktoś jednego dnia straszy mnie na stadionie, potem zadaje sobie trud, by zdobyć mój numer i jeszcze większy trud, by iść do budki telefonicznej, to sytuacja przestała być zabawna.

„Murzyn” chwycił za słuchawkę i po chwili przed drzwiami pubu zjawili się dwóch drabów, którzy – jak mi wytłumaczono – mieli nas chronić, a kumpel powiedział, że i tak musi płacić miesięczny „abonament” i taka ochrona mu raz na jakiś czas przysługuje. Chociaż był środek nocy, dzwoniłem do wszystkich, którzy mogli coś wiedzieć. Do Piotra Reissa, który ma ogromne znajomości w Poznaniu. Do „Bosmana”, kibica Legii, który miał mi sprawdzić Warszawę. Do braci Grzeška Szamotulskiego, odpowiedzialnych za życie nocne Gdańska. I tak dalej. Wszyscy wracali do mnie z tym samym komunikatem: – To nikt od nas.

I – muszę was rozczarować – do dziś nie wiem, kim był ten człowiek na stadionie i kto do mnie dzwonił. Nic więcej się nie wydarzyło. Ale przez kilka dni – nie przeczę – bałem się jak jasna cholera. Dopiero z perspektywy czasu doceniam trafność słów Pawła Zarzeczego: – Spokojnie, jak ktoś będzie chciał ci coś zrobić, to ani nie będzie do ciebie dzwonił, ani nie pokaże swojej twarzy.

\* \* \*

Piłkarzem, który najbardziej lubił straszyć dziennikarzy, był Piotr Świerczewski, przy czym on nie tylko straszył, ale też czasami przylutował. Niepodrabialna postać. Wszyscy wiedzą, że zakapior, ale na co dzień: łagodny jak baranek. Mówi tym

swoim cienkim głosikiem, cichutko i spokojnie, uśmiecha się, aż trudno uwierzyć, że wystarczy jedna iskierka i nastąpi detonacja. W głowie się nie mieści, że ten aniołek notorycznie się z kimś bije (albo raczej kogoś bije, bo np. członek komisji antydopingowej nie miał szans chociażby przyjąć postawy obronnej), a jednego z przeciwników w czasie meczu towarzyskiego... złapał za uszy i podniósł nad ziemię.

Teraz muszę nakreślić tło... Bardzo często dzwonił do mnie Adam Ledwoń, zazwyczaj zupełnie po nic, ale czasami zależało mu, żeby coś napisać. Przy czym te prośby były zupełnie niespotykane – Adam uwielbiał ładować w tarapaty samego siebie, ale jeszcze bardziej uwielbiał ładować w tarapaty kolegów. Traktował to jako swego rodzaju psoty. Dzwonił więc na przykład z informacją, że Krzysztof Ratajczyk – jego bliski kumpel – został złapany w Austrii na jeździe po pijaku i bardzo prosił, by narobić wokół tego jak najwięcej szumu, a potem szedł do „Rataja” i próbując zachować kamienną twarz, obserwował reakcję.

Pewnego dnia zadzwonił, żeby dopiec Tomaszowi Iwanowi – też swojemu wielkiemu kumplowi. Iwan udzielił wywiadu, że dostał propozycję kontraktu ze Sturm Graz, Ledwoń – piłkarz Sturm – to całkowicie dementował i nawet wypowiedział się do tekstu, żeby „Ajwen” nie zmyślał, bo to żałosne.

Dzień później, o siódmej rano zadzwonił telefon. Siódma rano to zazwyczaj jest pora, kiedy do pobudki mam jeszcze trzy albo cztery godziny. Mimo wszystko zaskoczony, kto może dzwonić bladym świtem, odebrałem.

– No cześć, tu Piotrek Świerczewski – zaczął spokojnie kumpel Iwana.

– No cześć.

– Tak było spokojnie, jak nic nie pisałeś... Ale musiałeś zacząć, co? Ech, Krzysiu, wiesz, jak to jest. Ja mam kolegów, no i

wiesz...

– No nie wiem.

– Chodzi o to, że oni dzwonią do mnie i mówią: „Policzmy się z tym Stanowskim, koniec tego”. A ja im mówię: „Nie, zostawcie go, to porządny chłopak, on ma taki zawód, musi pisać”. Wiesz, powtarzam im, żeby dali spokój. Ale sam pomyśl. A jak nie odbiorę telefonu? Będę w kinie czy coś? No i wiesz, zrobią, co chcą zrobić? Nie zaczekają na mnie? Nie mogą cię chronić, to ryzyko.

– Zaraz, zaraz... Piotrek, czy ty mnie straszysz?

– Nie, straszą to duchy. Ja tylko mówię, że takie czasy dziwne, wiesz. Trzeba być ostrożnym, po co ci to? Czy to chodzi o to, że jak się będziemy mijali na schodach, to ktoś ma spaść? Przecież to bez sensu.

W tym momencie zdecydowałem się na jedną ze swoich najlepszych ripost w życiu. Pamiętam ją tak dobrze, ponieważ do dziś sam się sobie dziwię, że właśnie tak odpowiedziałem.

– Piotrek, mam prośbę. Naślij na mnie tych swoich kolegów, niech mnie już pobiją czy zabiją, wszystko jedno, tylko zrób dla mnie jedno: nie dzwoń do mnie nigdy o siódmej rano, bo ja wtedy śpię.

Świerczewskiego na kilka sekund zamurowało, a potem odniosłem wrażenie, że nabrał szacunku... Nagle zmienił ton, spytał, co słytać, i nigdy więcej nie wracał do tych głupich gadek o spadaniu ze schodów i groźnych kumplach, jakby momentalnie zrozumiał, że to tylko strata czasu i że lepiej postraszyć kogoś innego.

Piłkarze – i jest to reguła o 90-procentowej sprawdzalności – szanują dziennikarzy, którzy nie przymilają się im przy byle okazji, nie kłaniają w pas, mają własne zdanie. Pachołki, włączące w tyłek małe gnomy, bywają sportowcom przydatni, ale na dłuższą metę wzbudzają politowanie i stają się bohaterami żartów w szatni. A najlepiej, jeśli dziennikarz jeszcze ma

pieniądze, jeździ dobrym samochodem, nieźle się ubiera – wtedy to już w ogóle wzbudza u zawodników respekt jako ktoś z ich świata. Bo w sumie oni najbardziej lubią i szanują samych siebie.

Ze wspomnianym Świerczewskim (fikcyjny mistrz „Turbokozaka” w Canal+ – szkoda, że daliście się oszukać, bo w rzeczywistości powtarzał wszystkie konkurencje po kilka razy) ostatni raz widziałem się chyba, gdy powstawała książka „Szamo”. Uznaliśmy, że może nam opowiedzieć kilka ciekawych historii, ale niestety siedzieliśmy i siedzieliśmy w knajpie, a Piotrek nie był w stanie nic sobie przypomnieć i mówił tylko, że ma fatalną pamięć, za to Hajto – doskonałą. I żeby uderzyć do Tomka.

Na szczęście w pewnym momencie przypadkowo zjawił się mieszkający w pobliżu menedżer Jerzy Kopiec i opowiedział całkiem niezłą anegdotę.

– Dzwonił do mnie Janusz Wójcik – stwierdził. – Mówi: Moja matka umarła.

Wszyscy posmutnieli lub po prostu zrobili smutne miny, bo tak wypadało.

– Aż mnie zmroziło, takie wyznanie! – kontynuował Kopiec. – Mówię do niego: bardzo współczuję, panie trenerze. Moje kondolencje. A on mi na to: Weź nie pierdol. Dzwonię, że mi matka umarła, bo jest sprawa. Trzeba przyjechać do jej mieszkania, wyłamać zamek i zdjąć obraz ze ściany, zanim to zrobi kto inny. Weź się tym zajmij.

\* \* \*

Trafne spostrzeżenie Pawła Zarzecznego, że jeśli ktoś chce cię pobić/zabić, to nie pokazuje wcześniej twarzy, to właśnie Paweł w pigułce: szybki umysł, błyskawicznie kojarzący fakty, a do tego lekceważące podejście do wszelkich zdarzeń,



bagatelizowanie sygnałów ostrzegawczych. Pewnie gdyby zainstalować mu w głowie nowe oprogramowanie, z aktualizacją odpowiadającą za instynkt samozachowawczy, łatwiej by mu się żyło. Bo to jednak trochę szkoda, że ktoś tak błyskotliwy i zwyczajnie mądry wplątuje się w tarapaty tak często, iż dzisiaj ma problem ze znalezieniem normalnej pracy, takiej na miarę talentu.

Swobodę pisania ma niebywałą, przed kamerą wypada chyba jeszcze lepiej. Rzadkie połączenie wiedzy, luzu i naturalnego drygu. Oczywiście, wszystko, co powie, trzeba dzielić nie przez dwa, tylko przez dwadzieścia dwa, bo często kreuje się na kogoś, kim nie jest – lecz to tylko sceniczna poza, maska zakładana na czas przedstawienia. Kostium. Jego igranie z prawdą nie zawsze jest klarowne dla czytelników i widzów.

Lubi żyć ciekawie, lubi bywać, a ponad wszystko lubi o tym opowiadać. Jest gawędziarzem w pracy i w życiu, zresztą on chyba nie rozgranicza tych pojęć. Jeśli więc przydarzy mu się cokolwiek godnego uwagi, nie ma żadnych hamulców, aby opowiedzieć o tym w telewizji. Na skutek gadulstwa zakończyło się kilka jego interesujących znajomości, między innymi z Bogusławem Cupiałem.

Niegdyś obaj panowie pozostawali w naprawdę dobrych stosunkach. Na przykład jeździli limuzyną właściciela Wisły Kraków i pili wino. Pewnego razu Cupiał zgłodniał i poprosił kierowcę, aby zjechał na stację benzynową po hot doga.

Kilka dni później w telewizji Paweł wypalił: – Na miejscu kibiców Wisły Kraków nie spodziewałbym się wielkich transferów do klubu, skoro Bogusław Cupiał karmi się hot dogami z Orlenu.

To była ich ostatnia wspólna przejażdżka, ale nie sądzę, by Paweł żałował. W ogóle nie wiem, czy on kiedykolwiek czegoś żałował.

\* \* \*

Świat dziennikarzy jest światem dość zamkniętym, w związku z czym powstaje całkiem sporo mitów na temat tego, jak funkcjonują redakcje. W czasie kompromitujących dla Polski mistrzostw świata w 2006 roku – kompromitujących nie tyle ze względu na wyniki, ale bardziej całą atmosferę wokół kadry, przysyłanie kucharza na konferencję prasową itd. – Jacek Krzynówek powiedział do Marka Wawrzynowskiego z „Faktu”: – Bo wy jesteście niemiecką gazetą i dostaliście polecenie, żeby nam zaszkodzić.

Cytat z pewnością nie jest dosłowny, ale mniej więcej o to chodziło. Aktualnie – zwłaszcza w polityce – coraz częściej podnosi się argument narodowości mediów, przez co zwykli ludzie mają wyobrażenie, że gdzieś w największym gabinecie w najwygodniejszym fotelu siedzi gruby Niemiec, który mówi wszystkim, co mają pisać, a czego absolutnie nie mogą. To oczywiście całkowita bzdura. Pracowałem w „niemieckich” gazetach i ani przez sekundę nie odczułem, iż istnieją tematy szczególnie wrażliwe, które poruszać należy tylko zgodnie z wytycznymi. I nie mówię tylko o sporcie, bo w „Dzienniku” – jako szef dodatku sportowego – regularnie uczestniczyłem w naradach wraz z innymi szefami działów, gdy rozmawiano na temat polityki czy spraw społecznych. No dobra, był wspomniany epizod w „PS”, gdy na miejscu zarządzał Niemiec, ale to było zarządzanie tymczasowe i zupełnie innego rodzaju, niezwiązane z konkretną narodowością.

W polskich gazetach pracują polscy dziennikarze, którzy podlegają polskim szefom i naprawdę zupełnie ich nie interesuje struktura własnościowa koncernu. Mogą być głupi, mogą mieć niedorzeczne poglądy, ale nie są sterowani przez żadnego Hansa czy inną Angelę.

Krzymówek ma prawo sądzić, że teksty dziennikarzom do ucha dyktują małe wróbelki, może też sądzić, że z Berlina przychodzą e-maile z połajankami. Ma prawo tak sądzić nawet połowa społeczeństwa – ale fakty są zupełnie inne. Niemców interesuje wynik – przychody, rentowność, generalnie ekonomia. Dlatego jeśli już czegoś żądali, to zwolnienia 20 osób, nieważne których, żeby Excel wypluł bardziej pozytywny wynik.

Nie o Krzymówka jednak chodzi i nie o Niemców. Chodzi o to, że wielokrotnie widzę, jak piłkarze, trenerzy, działacze czy kibice węszą spiski. – Ciekawe, komu zależało na tym, aby taki artykuł ukazał się akurat teraz – mówią i puszczają w ruch cały przemysł insynuacji. – Och, na pewno nie przez przypadek ten tekst ukazał się akurat dwa dni przed tak ważnym meczem, ktoś chce nam zaszkodzić – powiadają. Kibicom w to graj: – Dziennikarze znowu chcą zmącić atmosferę w naszym klubie, ciekawe, kto za to płaci.

Życie wygląda inaczej. Nigdy nie widziałem, by którykolwiek dziennikarz analizował: – Jeśli dzisiaj coś napiszemy, to wprowadzimy zamęt i klub X w weekend przegra... Nie, takie rzeczy się po prostu nie zdarzają. Teksty puszczane są wtedy, kiedy powstaną. A że dzień w dzień trzeba zapełniać mnóstwo stron, to powstają non stop. I nikt nie kalkuluje, jaki będzie ich skutek. Liczy się tylko to, by zrobić dobrą gazetę, ciekawą, na czasie.

Może to strasznie nudne, ale nie ma żadnych zleceń od prezesów, trenerów, nie ma taktyki pogrążenia tego czy innego klubu serią artykułów, nie ma terminarza, w którym ktokolwiek by zaznaczał, kiedy najlepiej dowalić konkretnej osobie, by osiągnąć najlepszy efekt. Po prostu – dziennikarze piszą teksty lepsze lub gorsze, ale własne. Dopiero później w szalonych umysłach rodzą się pokraczne teorie o tym, kto z kim i dlaczego.

\* \* \*

No dobrze, dotarliśmy do takiego momentu, że już definitywnie czas odpowiedzieć na pytanie – dlaczego warto zostać dziennikarzem sportowym? Och, powodów jest cała masa, ale sami pewnie zdążyliście się zorientować, iż jest to po prostu niesamowicie ciekawe zajęcie. Nie chodzi o mecze, które obejrzysz – większość meczów będzie nudna. Nie chodzi też o piłkarzy, których spotkasz – większość z nich nie ma nic do powiedzenia. Chodzi o mnogość sytuacji, w jakich się znajdziesz, o codzienne gierki, intrygi, o tak różne charaktery, z którymi się zetkniesz i będziesz musiał pracować. O nieprzewidywalność – każdy dzień jest inny, codziennie jest nowa historia do napisania. Wreszcie o znaczące chwile, których będziesz bezpośrednim świadkiem, o satysfakcję, jaką przynosi dobry tekst, a idę o zakład, że jest to satysfakcja znacznie większa niż z poprawnie wykonanego przelewu, terminowo dostarczonego towaru czy z solidnego raportu.

Tak, dziennikarz sportowy rzadko się nudzi – i to jest ta zaleta, która przeważa szalę. To jest ten argument, który na starcie wycina inne zawody w pień. Bo przecież chodzi o to, by to życie przeżyć bez ziewania.

A poza tym – no cóż – dziennikarz sportowy za nic nie ponosi odpowiedzialności. Napisze, że tego trenera trzeba zwolnić, a innego zatrudnić, a prawda jest dokładnie odwrotna – nieważne. Doradzi w tekście samobójczą taktykę, a najgorszego piłkarza wskaże jako najlepszego – nikogo to nie ruszy. Skłamię – najwyżej przeprosi, a i to niekoniecznie. W całym tym kotle, w którym taplają się piłkarze, działacze, trenerzy i dziennikarze – tylko ci ostatni nie odpowiadają za błędy. To rozleniwiające i zgubne, ale też komfortowe, prawda? Pomyśl, drogi czytelniku, ile razy w swojej robocie obrywałeś za zrobienie czegoś złe.

Zostań dziennikarzem – będziesz miał święty spokój. Znam to z autopsji.



**Dlaczego dziennikarze sportowi są lepsi  
od politycznych?**



**W** ostatnich latach popełniłem kilka artykułów o polityce lub też dotyczących styku mediów i polityki. Z reguły wywoływały wielkie poruszenie – okazało się, że ludzie lubią, gdy pisze się i o tym bez ogródek, bez zahamowań i bez podlizywania się tej bądź innej opcji. Są wręcz zaskoczeni, że tak wolno. Odzwyczajili się. Zazwyczaj pojawiały się komentarze: „Co to za kraj, w którym najrozsądniej o polityce pisze dziennikarz sportowy”. Albo „Niby pan od sportu, a pisze rozsądnie”.

Z jakichś przyczyn zakorzeniło się w ludziach przeświadczenie, że dziennikarz sportowy jest tym gorszym, natomiast jeśli ktoś zajmuje się polityką, to musi być osobą o wyjątkowo szerokich horyzontach. Być może wiele osób niechętnie przenosi opinię o sportowcach (bardzo często mylną, ale mocno zakorzenioną – prymitywy) na dziennikarzy sportowych.

W rzeczywistości dziennikarstwo sportowe to z punktu zawodowego bardzo, bardzo wymagający poligon i jeśli ktoś jest naprawdę dobry w tej gałęzi branży, poradzi sobie w każdej innej. A dlaczego wymagający – o tym za moment.

Robert Krasowski, niegdyś redaktor naczelny „Dziennika”, a dziś współwłaściciel wydawnictwa Czerwone i Czarne (które wydało właśnie tę książkę, którą teraz czytacie), jakiś czas temu powiedział mi: – Nie potrafię tego zrozumieć, ale z mojego doświadczenia wynika, że kompetencja dziennikarzy sportowych wydaje mi się zdecydowanie większa niż kompetencja dziennikarzy zajmujących się polityką.

Jego doświadczenie związane z kontaktami z jednymi i drugimi zapewne nie jest zbyt wielkie, a na sto procent nie jest

jednakowe. Z racji wysokiej pozycji w środowisku, gdy już trafił na dziennikarzy sportowych, to raczej na tych lepszych niż gorszych, gorsi piętro niżej klecili teksty. Funkcja skutecznie odgradzała go od skończonych tumanów ze świata sportu, co w przypadku polityki – w której robił na co dzień – nie było możliwe. O ile sam nie nadaję istotnej rangi zawodowi dziennikarza sportowego (to głupi zawód, niepotrzebny, ale wygodny i fajnie się żyje), o tyle podzielał zdanie, że dziennikarze polityczni – uogólniam – stoją na niższym poziomie. Krasowski nie wiedział, z czego to wynika, ja natomiast – tak mi się zdaje – wiem.

Rozmawialiśmy o książkach. Mówiłem nad kim – jako wydawnictwo – mogliby się zastanowić, kto ma interesujący życiorys, kto zgodzi się powiedzieć prawdę, a kto będzie kręcić. Wnioski oczywiście nie były wesołe – trudno u nas o piłkarski hit sprzedażowy, bo trudno o osoby, które jednocześnie stanowią materiał na książkę, znajdują się obecnie na topie, jak i mają motywację, by książkę napisać albo podyktować. – Taki Łukasz Piszczek – mówię. – To mogłaby być znośna pozycja, opowieść sukcesu, ale z odrobiną cienia w postaci korupcji. Albo Błaszczkowski, z przeszywającym opisem morderstwa w jego rodzinnym domu. Taki rozdział tworzyłby książkę. U Kuby jest coś więcej niż tylko futbol. Tylko że oni książki teraz nie napiszą. Bo jej nie potrzebują.

Okazało się, że z Błaszczkowskim nie miałem racji, nie doceniłem jego wewnętrznej motywacji wypowiedzenia się i rozliczenia z przeszłością, zamknięcia pewnego rozdziału raz na zawsze. On wbrew moim prognozom książkę napisał. Ale moja i Krasowskiego rozmowa tamtego dnia toczyła się dalej.

– A jak ich skusić? – padło pytanie.

– Sami się skuszą, jak skończą kariery i poczną tęsknotę za popularnością. Będą chcieli w ten sposób przedłużyć swoje



pięć minut, chociaż o minutkę. A jak po drodze zbankrutują, to będzie jeszcze łatwiej.

– A gdyby tak teraz? To ich nie jara? To nie zaspokaja ich próżności?

– Ich próżność jest regularnie zaspokajana przez kibiców, przez media, tydzień w tydzień, dziesiątki tysięcy ludzi skandują ich nazwiska, codziennie ktoś ich prosi o zdjęcie albo autograf. Są nasyceni – mówiłem. – Gdyby jeszcze rynek książek funkcjonował jak w Anglii i gdybyście zaoferowali któremuś z nich tyle pieniędzy, ile angielski wydawca Rooneyowi, to pewnie któryś z nich by w to wszedł. A wy co możecie dać? Tyle, ile oni zarabiają w dwa czy trzy tygodnie.

I tak doszliśmy do wspólnego wniosku, jak bardzo różni się świat sportowców i świat polityków. Politycy piszą książki, ponieważ czują ogromną potrzebę lansu, uważają, że w ten sposób budują swoją pozycję i – no tak – walczą na nietypowym rynku pracy. W przypadku sportowców – książek potrzebują czytelnicy. W przypadku polityków – politycy właśnie.

Ma to ogromny wpływ na pracę dziennikarzy sportowych oraz dziennikarzy politycznych. Otóż dziennikarz sportowy notorycznie jest wyrzucany drzwiami i ciągle wraca oknem. Dziennikarz sportowy wiecznie ma pod górkę. Nikt mu nie chce nic powiedzieć, bo po co? Nikt nie chce tracić czasu na długie rozmowy – bo po co? Cały biznes – przynajmniej w Polsce – kręci się niezależnie od prasy. O ile politycy muszą udzielać wywiadów, sami się napraszają i pchają przed kamerę, bo w ten sposób budują kluczową podczas wyborów rozpoznawalność, o tyle piłkarze, trenerzy i działacze – w większości – raczej szukają świętego spokoju. Politycy o pracę walczą przez media, a piłkarze – na boisku. O ile nie jesteś dużą gwiazdą futbolu, zainteresowanie prasy zazwyczaj oznacza problemy („wytłumacz, dlaczego przegrywacie”).

Dziennikarz polityczny z reguły słyszy odpowiedź „tak”, a dziennikarz sportowy – z reguły „nie”. Ten pierwszy ma robić za podstawkę do mikrofonu, ten drugi jest wiecznie goniony z miejsca na miejsce, więc uczy się pewnej bezczelności, nabiera doświadczenia bojowego, trenuje pogoń za rywalem. Do pierwszego dzwonią. Drugi – musi dzwonić (ale nie może się dodzwonić).

Po prostu – dziennikarz polityczny jest oczekiwanym gościem, a sportowy nieproszonym przybłądą. Przybłąda musi użyć całego sprytu, przebiegłości, aby usiąść przy stole. A gość po prostu siada i prosi o deser. Rzecz jasna zdarzają się wyjątki, zdarzają się dziennikarze mile widziani przez sportowców, a niemile przez polityków, ale ogólnie wygląda to w taki właśnie sposób. Z tego powodu często jedni nie rozumieją drugich. Wielokrotnie na zebraniach słyszałem genialne pomysły, propozycje lub nawet żądania.

– Słuchajcie, robimy taki dodatek o Szkocji... No i fajnie byłoby mieć tam wywiad z jakimś Szkotem. Podobno w Manchesterze United trenerem jest Szkot, Alex Ferguson, tak?

– No tak.

– No to niech ktoś od was zrobi z nim wywiad na jedną stronę, tak do piątku.

– Ale to niemożliwe.

– Dlaczego niemożliwe?

– Bo on nie udziela wywiadów, a już na pewno nie nam.

– Jak możesz tak mówić? Jesteśmy dużą gazetą!

– Skoro jesteśmy dużą gazetą, to dajcie w to miejsce wywiad z prezydentem USA. Szybciej się umówicie.

To ekstremum (dialog faktycznie miał miejsce). Ale podobne niezrozumienie dziennikarstwa sportowego występowało (i pewnie występuje) codziennie.

– Zadzwoń do Dudka zaraz po meczu, potrzebujemy jego komentarza na pierwszą stronę – to po finale Ligi Mistrzów.

– Robimy raport o najbogatszych klubach świata na stronach gospodarczych. Czy ktoś z waszego działu mógłby zadzwonić po wypowiedź do prezesa Realu?

I tak dzień w dzień.

A wszystko to jest wynikiem innych doświadczeń. Po prostu politycy są dla dziennikarzy na zawołanie. Mają swoich asystentów albo całe biura prasowe, które dbają o optymalną komunikację i PR. Piłkarze natomiast kierują się fanaberią – albo porozmawiają, albo nie, zależnie od nastroju. Kiedyś w pubie w Manchesterze spotkałem się z Tomaszem Kuszczakiem, wtedy bramkarzem Manchesteru United, i zapytałem: – A w sumie dlaczego ty tak rzadko odbierasz ten telefon? I tak rzadko odpisujesz na SMS-y?

– Bo ten telefon leży w łazience. Przeglądam wiadomości tylko wtedy, gdy siedzę na kiblu.

Można nawet myśleć o piłce nożnej jak o polityce. Tutaj też jest ktoś w rodzaju prezydenta (obecnie Boniek), są partie mające swoich wiernych fanów (kluby i ich kibice), są posłowie, ministrowie, czyli ci wszyscy mniej lub bardziej znaczący piłkarze i trenerzy. Są wreszcie sprzeczne interesy, wojny podjazdowe, obsadzanie stanowisk i wyciąganie kasy. Można uznać futbol za sprawę trzeciorzędną – nawet trzeba, bo to jest sprawa trzeciorzędna – ale pod względem zawodowym, dziennikarskim, widać naprawdę wiele pasujących do siebie elementów, konieczność wykonania tych samych czynności.

I moim zdaniem po prostu dziennikarze sportowi te same czynności wykonują lepiej. Potrafią dotrzeć do ludzi, mają tupet, kiedy trzeba, potrafią być bezczelni, nie dają sobie w kaszę dmuchać i rozstawiać po kątach. Są bardziej niezależni, bo być może nikt na nich nie wymusza pełnego posłuszeństwa, nikt nie łamie kręgosłupów. Ale bez względu na przyczyny – tak, są bardziej niezależni. Ponadto zazwyczaj wiedzą, o czym piszą.

Przynajmniej na takiej głupocie jak piłka nożna naprawdę się znają.

Z moich obserwacji wynika, że dziennikarze polityczni rzadko kiedy mają jakąkolwiek fachową, specjalistyczną wiedzę, mają za to niesamowite mniemanie na swój temat i coś, co nazwać trzeba poczuciem misji. Żeby dziś pisać o polityce, wystarczy odróżniać Tuska od Kaczyńskiego i Pawlaka od Schetyny, jakakolwiek inna wiedza jest zbyteczna. Dziennikarz piszący o polityce nie musi być ekspertem w żadnej dziedzinie, w polityce też nie, bo niby co to dziś w Polsce oznacza „być ekspertem od polityki”? Ilu takich ekspertów naprawdę jest? Są dwa obozy. Albo (wariant, że jesteś znany) dzwonią do ciebie ci z pierwszego obozu, albo ci z drugiego. Lub też (wariant, że jesteś nieznany) podstawiasz dyktafon tym z pierwszego lub tym z drugiego. Banalne. Zazwyczaj – bezmyślne.

Doszło do takiego szaleństwa, że jeśli nawet któryś ze sportowych dziennikarzy jest kibicem konkretnego klubu, to z pewnością nie jest aż takim fanatykiem, jakich się spotyka na korytarzach Sejmu. Tam branża podzieliła się na klany, może nawet sekty. Prawda przestała mieć znaczenie, zniknęło nawet poczucie wstydu, które zwykle wymusza na pracownikach mediów chociaż szcątkową uczciwość. Dziennikarstwo społeczno-polityczne w Polsce znalazło się w tak potwornym kryzysie, że dzisiaj w zasadzie służy jedynie interesom konkretnych partii. Nie ma mediów równo okładających obie strony i od obu stron równo wymagających. Są tylko cyngle pracujący na zlecenie jednych bądź drugich.

Najgorsza jest ta misja. Akurat w Krasowskim – gdy był naczelnym „Dziennika” – lubiłem to, że nie dał się tej misji gubić i zachowywał dystans. Oczywiście, znał zasady rynku, linia gazety była taka, że należało pisać przede wszystkim o polityce, jednak raz na jakiś czas w głównodowodzącym odzywała się druga natura. Pamiętam jedno zebranie. Było tak – codzienna

poranna narada szefów działów. Jakież 15 osób. Ci od polityki jak zawsze sądzą, że mają coś ważnego, a jak zawsze to tylko nieistotne duperele (podobnie jak tematy ze sportu, bez różnicy, z tym że oni na mnie – przedstawiciela sportu – zawsze patrzyli z góry). Akurat zastanawiali się, co jest wydarzeniem dnia, na co Krasowski odpowiedział, że wydarzeniem dnia nie jest ani Tusk, ani Kaczyński, tylko to, że „jakiś cymbał u nas napisał, że film »Ratatuj« jest słaby, a mojej córce się podobał”. I że teraz pół miliona Polaków pójdzie do kina na ten film i jeśli się okaże, że wcale nie jest słaby, to gazeta będzie pogrzebana. Śmiałem się na to spotkanie kolegów od polityki z glebą.

Dziennikarze polityczni zawsze sądzą, że mają coś istotnego do przekazania. Zawsze. Tylko gdyby po roku czy dwóch spróbować sobie przypomnieć tekst, który odmienił Polskę – to jakoś tak pusto. Żeby przypomnieć aferę, która została rozliczona od A do Z – oj, ciężko. Żeby wypchnąć poza nawias ludzi, którzy nie są godni pojawiania się w mediach – nie zdarza się to. Na co dzień widzimy tylko bieganie z wywieszonym jęzorem i napuszczanie na siebie ludzi. Bezwartościowa papka. Tak bezwartościowa, że 90 procent materiałów można podsumować stwierdzeniem: – I co z tego? Kiedy wprowadzono podwyższenie wieku emerytalnego, to zamiast na ten temat rzeczowo dyskutować, w kółko pokazywano, że poseł Niesiołowski szturchnął kamerę pani redaktor Stankiewicz. Wypadałoby zapytać – czy naprawdę to, co zrobił jeden dziad drugiej babie, jest w tym całym zamieszaniu najważniejsze? Czy ludzie nie zasługują na odrobinę fachowości? Tydzień w tydzień tłukli to w tych swoich „opiniotwórczych programach”, natomiast w milionie pytań zabrakło najważniejszego: – I co z tego? A potem ktoś przestawił wajchę i przez kolejne dwa tygodnie non stop słyszeliśmy, że Jan Tomaszewski nie będzie kibicował reprezentacji Polski. I znowu trzeba spytać: – I co z tego? Kogo obchodzi, komu będzie

kibicował Jan Tomaszewski? To równie istotne jak to, za kogo trzyma kciuki w „You Can Dance”.

Ale ci dziennikarze zawsze mówią, że tak. Że to ważne. I nawet dorabiają jakąś ideologię. Chyba sami wierzą w sens swojej pracy, tak niezauważalny dla reszty społeczeństwa.

Kiedy dziennikarz sportowy napisze coś o polityce, to pojawia się zdziwienie, a czasami nawet oburzenie. Jak to? Pan od biegania w krótkich spodenkach wkracza na teren dla dorosłych? Ale kiedy dochodzi do sytuacji odwrotnej – kiedy rozpoczyna się wielki turniej i o futbolu zaczynają mówić wszyscy, także ci na co dzień opowiadający do kamery, że w Sochaczewie ciężarówka wjechała w płot, to jakoś oburzenia nie słyszę. Skąd ta nierówność?

Są dziennikarze sportowi, o których mam dobre zdanie, ale ogólna ocena tego środowiska nie jest u mnie specjalnie wysoka. Jednak ci od polityki są jeszcze dwa poziomy niżej. Przewartościowani – zewnątrz i wewnątrz. Gdyby rzucić ich do sportu, a tych otrzaskanych w sporcie do polityki, na sto procent ciekawsze materiały przynieśli by ci drudzy, wyszkoleni w obcowaniu (często, nie zawsze) z cymbałami, którzy w dodatku nie mają najmniejszej ochoty chociaż beknąć do mikrofonu.

Dlatego – docieńcie pismaków od sportu. I nie dziwcie się, jeśli kiedyś najdzie ich, by napisać coś o polityce. Też mają dwie ręce, mózg i oczy szeroko otwarte. Czasami także talent. A co najważniejsze – nie należą do żadnej sekty.



**Dlaczego to już koniec?**



**T**rener X stracił kiedyś pracę – było to bardzo zaskakujące, bo wcześniej osiągnął z klubem historyczny sukces. Nie będę informował o tym, kim jest trener X ani kim jest prezes Y, który go zwolnił, bo za moment napiszę coś, czego pewnie przed sądem nikt nie potwierdzi. Co bardziej bystry czytelnik i tak się zorientuje.

Wyniki były pretekstem. X zwolniono nie dlatego, że przestał wygrywać, ale dlatego, że przestał się kontrolować. Pewnego dnia na ulicy znalazło go starsze małżeństwo. Bali się, że człowiekowi w średnim wieku się coś stało, w dodatku szybko poznali, kim on naprawdę jest. Nie było to trudne, skoro ta charakterystyczna twarz często gościła na pierwszych stronach lokalnych gazet. Postanowili, że... zaopiekują się nim w domu. I tak faktycznie zrobili – zabrali znajdującego się w fatalnym stanie szkoleniowca do mieszkania, pomogli się ogarnąć, a później zadzwonili do klubu: prosimy, przyjedźcie i go odbierzcie.

Ów trener miał problemy z alkoholem i hazardem albo raczej z hazardem i alkoholem, bo najpierw grał, a potem pił – nie na odwrót. Zdarzały się tygodnie, gdy nie był w stanie funkcjonować, zdarzały się zgrupowania, gdy miewał ataki lęku i bał się wyjść z hotelowego pokoju, a drużynę prowadził asystent. Ale w weekend – zawsze świeży i umyty. Czasami z dobrymi wynikami. I z właściwym podejściem do piłkarzy – ci bardzo go lubili.

Gdy stracił pracę, z prezesa Y zrobiono durnia, a z X kolejną ofiarę permanentnych czystek na trenerskich stołkach.

Kibice żyją w świecie iluzji, mają ograniczony dostęp do informacji, często na podstawie fałszywych przesłanek



wyciągają błędne wnioski – których jednak są w stanie bronić do upadłego. Dzisiaj piłkarski biznes w dużej mierze polega na tym, kto skuteczniej oszuka i kto mocniej wmówi swoją wersję.

Jeśli znasz całe tło zdarzenia takiego jak powyżej (w stu procentach prawdziwego), postrzegasz sytuację o 180 stopni inaczej niż wszyscy, ale... cóż zrobić? Prawdy nie napiszesz, bo nie udowodnisz. Możesz tylko wymownie milczeć, gdy inni dziennikarze krzyczą: „Ale jak mogli go zwolnić, jak mogli zdymisjonować takiego fachowca?”.

Wspominam o tej sytuacji z jednego powodu: przez całą książkę – na pozór pełną niepołączonych ze sobą, czasami przypadkowych anegdot – chciałem pokazać niektóre mechanizmy rządzące piłką, a także to, że często sprawy mają drugie dno, szczególny kontekst. Rzucałem światło na problemy, o których na co dzień zapominamy. Mam nadzieję, że chociaż trochę mi się to udało i że odrobinę inaczej będziecie patrzeć na konkretnych ludzi, od czasu do czasu – chociaż w futbolu to trudne – wyłączycie emocje, a włączycie myślenie. Tak, to książka skandalicznie wręcz subiektywna – dokładnie takiej chciałem. Może nie jestem najsympatyczniejszą osobą na świecie (kiedyś Maciej Skorża powiedział mi: – Panie Krzysztofie, jak znajomi chcą mnie wkurwić, to dzwonią i przedstawiają się jako pan), ale przynajmniej nie mam problemu z tym, że ktoś mnie nie lubi – co z kolei w prostej linii przekłada się na to, że siadam przed komputerem i piszę, co chcę.

I tak usiadłem i napisałem książkę. Na razie koniec. Dlaczego? Bo wszystko, co dobre, szybko się kończy? A może po prostu szkoda papieru na te moje opowiadania? Mam nadzieję, że wybieriecie opcję numer jeden i tak całkiem czasu nie straciliście.

Chciałbym gorąco podziękować wszystkim osobom, z którymi spotkałem się przez lata na dziennikarskim szlaku. Wszystkim tym, którzy mi pomogli przez chociaż jeden dzień –

nawet jeśli później nasze drogi się rozeszły i nawet jeśli dzisiaj patrzemy na siebie spode łba albo wręcz ciskamy w siebie obelgami.

Szczególne podziękowania dla Michała Rosiaka, Dariusza Stolarczyka, Pawła Zarzecznego, Piotra Górskiego, Przemysława Rudzkiego, Włodzimierza Sierakowskiego, Michała Zaranka, Roberta Piątka, Jacka Kmiecika, Romana Kołtonia, Rafała Nahornego, Jarka Czerniaka, Adama Godlewskiego, Marcina Kality, Macieja Polkowskiego, Wiesława Gilera, Łukasza Kowalskiego, Pawła Mogielnickiego, Pawła „Brody”, Mirosława Skowrona, Jacka Kostantego, Jakuba Moryca, Kamila Gapińskiego, Krzysztofa Mocka, Pawła Burlewicza, Tomasza Stanka, Wiktora Cegły, Michała Pola, Stanisława Żółkiewskiego, Cezarego Kowalskiego, Andrzeja Kostyry, Piotra Koźmińskiego, Piotra Kuczy, Piotra Wołosika, Pawła Wołosika, Grzegorza Szamotulskiego, Wojciecha Kowalczyka, Żelysława Żyżyńskiego, Pawła Sławskiego, Tomasza Ćwiąkały, Jakuba Olkiewicza, Mateusza Rokuszewskiego, Andrzeja Niedzielana, Piotra Przychodzenia, Krzysztofa Firląga oraz oczywiście dla mojej mamy Urszuli, siostry Magdy i wspaniałej żony Marty. Muszę też podziękować synowi Leonowi, który rozkosznie przeszkadzał w tworzeniu tej książki – dzięki czemu pisało się ją jeszcze dłużej i jeszcze przyjemniej. Kiedyś może to przeczyta.



**Krzysztof Stanowski**, urodzony 21 lipca 1982 r. w Warszawie. Od blisko 20 lat zajmuje się dziennikarstwem sportowym. Twórca popularnego portalu Wieszlo.com, znany z ostrego pióra felietonista „Przeglądu Sportowego”. W przeszłości spisywał wspomnienia Wojciecha Kowalczyka, Andrzeja Iwana oraz Grzegorza Szamotulskiego i każda z tych obrazoburczych książek błyskawicznie okazywała się bestsellerem. *Stan futbolu* to jego pierwsza w pełni samodzielna pozycja.

Stanowski związany był także z takimi gazetami i magazynami, jak: „Dziennik”, „Super Express”, „Magazyn Futbol”, „Maxim” czy „Wprost”, oraz z telewizją Orange Sport, w której prowadził własny program.



W wieku 14 lat Krzysztof Stanowski napisał pierwszy artykuł do „Przełądu Sportowego”. Od tamtej pory przez blisko 20 lat konsekwentnie budował swoją pozycję w dziennikarstwie sportowym. Zobaczył wszystko i poznał wszystkich. Napisał trzy bestsellerowe książki: *Kowal – prawdziwa historia*, *Spalony* oraz *Szamo – wszystko, co wiedziałbyś o piłce nożnej, gdyby cię nie oszukiwano*.

Teraz nadszedł czas na kolejną pozycję – Stanowski oprowadza czytelnika po nieznanym rejonach naszego futbolu, z charakterystyczną dla siebie bezwzględnością opisuje ludzi decydujących o obliczu naszej piłki. Mnóstwo faktów, jeszcze więcej anegdot. I przede wszystkim – zero mydlenia oczu.



**WESZŁO!**

wydawnictwo czerwone i czarne  
[www.czerwoneiczarne.pl](http://www.czerwoneiczarne.pl)